



GRAHAM MOORE

SHERLOCKISTA

FASCYNUJĄCA HISTORIA POSZUKIWAŃ DZIENNIKA
ARTHURA CONAN DOYLE'A

Prószyński i S-ka

**CHYBAJĄC MOJĄ
SHERLOKISTA**

**PRZEŁOŻYŁA
MAJA LAVERGNE**

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału THE SHERLOCKIAN

Copyright © 2010 by Graham Moore

All rights reserved

Projekt okładki

Wojciech Wawoczny

Zdjęcia na okładce © IStockphoto/Xavier Arnau

Stephen Mulcahey/Arcangel Images

Redaktor prowadzący Katarzyna Rudzka

Redakcja Renata Bubrowiecka

Korekta Andrzej Massé

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-943-8

Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

ABEDIK S.A.

61-311 Poznań, ul. Ługańska 1

Mojej matce, która nauczyła mnie kochać zagadki,
kiedy miałem siedem lat. Leżeliśmy w łóżku,
czytając sobie nawzajem
Tragedię w trzech aktach Agathy Christie.
Dzięki niej to wszystko stało się możliwe.

Sherlockista jest fikcją historyczną. Wszystkie postacie współczesne przedstawione w powieści są wytworem wyobraźni autora.

OD AUTORA

*Powieściopisarce są klasą ludzi, którzy bardzo nie lubią,
żeby im przeszkadzały fakty.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
Z WYSTĄPIENIA NA CZEŚĆ ROBERTA PEARY'EGO, MAJ 1910

No więc, co się naprawdę wydarzyło?

Nie chcę was rozczarować, ale jedyną uczciwą odpowiedzią, jakiej mogę udzielić, jest ta oto: to w pewnym stopniu tajemnica.

Ponieważ *Sherlockista* jest fikcją historyczną, nacisk trzeba położyć na słowo „fikcja”. Wiele wydarzeń opisanych tutaj się nie zdarzyło i wiele z przedstawionych postaci nigdy nie istniało. Ale ponieważ część istniała i ponieważ książka ta jest kolażem zdarzeń prawdziwych, prawdopodobnych, potencjalnie prawdziwych i w sposób oczywisty fałszywych, pomyślałem, że przyda się kilka słów wyjaśnienia.

Tak więc proszę. To wszystko jest prawdą:

Po śmierci sir Arthura Conan Doyle'a w 1930 roku spośród jego rzeczy zginął zbiór papierów - listy, niedokończone

opowiadania i tom dziennika - który pozostawał w ukryciu przez ponad siedemdziesiąt lat, kiedy to był świętym Graalem sherlockistów.

Wreszcie w 2004 roku Richard Lancelyn Green, czołowy badacz zajmujący się postacią Sherlocka Holmesa, ogłosił, że odnalazł zaginione papiery. Twierdził, że daleki krewny Conan Doyle'a ukradł je córce pisarza i ma zamiar sprzedać je na aukcji z zyskiem, zamiast przekazać je na cele charytatywne, jak sobie tego życzył Green i spadkobiercy Conan Doyle'a. Spór o prawa do własności dokumentów stawał się coraz bardziej zawzięty i coraz bardziej publiczny. Zanim nadszedł marzec 2004 roku, Green zaczął opowiadać przyjaciołom, że niepokoi się o własne bezpieczeństwo. Twierdził, że dostaje listy z pogrózkami i że śledzi go jakiś zagadkowy Amerykanin. Podobno w jego domu miał być nawet podsłuch i z niektórymi gośćmi rozmawiał tylko w ogrodzie. Przyjaciele Greena ze społeczności sherlockistów byli zaniepokojeni.

Dwudziestego siódmego marca Richarda Lancelyna Greena znaleziono martwego w jego mieszkaniu na South Kensington. Został uduszony własnym sznurowadłem. Ciało znalazła jego siostra Priscilla. Koroner wydał orzeczenie otwarte i do tej pory londyńska policja nadal uważa sprawę za nierozwiązaną.

Sherlockiści na całym świecie zaczęli natychmiast poszukiwać zabójcy. Szybko pojawiły się różne teorie. Jedni uważali, że do śmierci Greena przyczynił się coraz ostrzejszy spór w rodzinie Conan Doyle'ów dotyczący majątku pisarza. Drugim bardziej prawdopodobne wydawało się, że Green popełnił samobójstwo, by rzucić na kogoś podejrzenie. Postać Harolda w tej powieści uosabia cechy wielu prawdziwych sherlockistów - którzy bez wyjątku, zapewniam was, przewyższają go zarówno błyskotliwością, jak i urokiem osobistym.

Więcej informacji na temat śmierci Richarda Lancelyna Gre-
ena znajdziecie w artykule Davida Granna *Mysterious Circum-
stances*, zamieszczonym w „The New Yorker”, 13 grudnia 2004.
Za szybkie wprowadzenie zaś do tematu może posłużyć *The Cu-
rious Incident of the Boxes* Sarah Lyall („The New York Times”
z 19 maja 2004).

Wszystkie informacje zawarte w powieści na temat współcze-
snych stowarzyszeń sherlockistów - jak Chłopcy z Baker Street
(Baker Street Irregulars) - są według mojej wiedzy dokładne,
podobnie jak opisy ich zebrań i rytuałów. Spotkania członków
tych grup nie są otwarte dla publiczności, żeby więc uchylić rąb-
ka tajemnicy, korzystałem z różnych sprawozdań i wywiadów.
Składam tutaj specjalne podziękowanie Lesliemu Klingerowi -
światowej klasy sherlockiście i redaktorowi „The New Annotated
Sherlock Holmes” - za jego pomoc w tej i w wielu innych kwe-
stiach. Dziękuję także Chrisowi Redmondowi - twórcy serwisu
Sherlockian.net, będącego bezcennym źródłem informacji, zupeł-
nie niezwiązanym z tą książką - za nauczenie mnie długiej i nie-
szczególnie wstrętnej historii Chłopców z Baker Street. Ponieważ
panowie ci więcej już zapomnieli na temat studiów sherlockiań-
skich, niż ja kiedykolwiek będę wiedział, muszę zaznaczyć, że
wszystkie ewentualne błędy w tej książce są wyłącznie moje.

Jeśli zaś chodzi o opowieść rozgrywającą się na przełomie stu-
leci, wszystkie zawarte tu informacje biograficzne dotyczące Ar-
thura Conan Doyle'a są prawdziwe. Pisarzowi temu poświęcono
wiele świetnych biografii, ale szczególnie polecam *Teller of Ta-
les* Daniela Stashowera, który zredagował także *Arthur Conan
Doyle: A Life in Letters* - mistrzowsko skompilowane zbiory
prywatnej korespondencji Conan Doyle'a. Poza tym powieść Ju-
liana Barnes'a *Arthur & George* przedstawia pięknie odmalowany
- i wierny! - portret pisarza przy pracy nad jedną z prawdziwych

zbrodni, które badał. Conan Doyle bowiem pomógł Scotland Yardowi w wyjaśnieniu szeregu spraw. *The Real World of Sherlock Holmes* Petera Costello zaś zawiera fantastyczną listę wszystkich zbrodni, którymi zajmował się pisarz. Morderstwo opisane w *Sherlockiście* natomiast jest fikcją, chociaż wiąże się z wieloma prawdziwymi sprawami, jak choćby szczególnie głośne w tym czasie morderstwa panien młodych w wannie, które Conan Doyle pomógł wyjaśnić.

Dopuszczałem się jednak pewnego poważnego fikcyjnego odstępstwa od prawdziwej historii Arthura Conan Doyle'a: grupa rozgniewanych sufrażystek nie umieściła bomby w poczcie pisarza w 1900 roku. Zrobiły to w roku 1911. *The British Women's Suffrage Campaign: 1866-1928* Harolda L. Smitha to fantastyczne źródło wiedzy na temat tego ruchu i jego przywódczyni Millicent Fawcett.

Staralem się również, by wizerunek Brama Stokera w tej powieści był jak najwierniejszy i w dużej mierze opiera się na *Bram Stoker and the Man Who Was Dracula*, jego doskonałej biografii napisanej przez Barbarę Belford. Chociaż Oscar Wilde nie jest pełnokrwistą postacią *Sherlockisty*, zdecydowanie wpływał zarówno na Conan Doyle'a, jak i Stokera. *Oscar Wilde* Richarda Ellmana pozostaje od ponad dwudziestu lat najlepszą biografią tego pisarza.

Wszystkie miejsca opisane w powieści są prawdziwe. Jeżeli macie taką możliwość, gorąco polecam wycieczkę do Szwajcarii i odwiedziny w Muzeum Sherlocka Holmesa. Przespacerujcie się wśród krzesła, lamp i gazownic z dawnego gabinetu Arthura Conan Doyle'a. Kto wie, co tam znajdziecie?

GPM
2010

ROZDZIAŁ 1

WODOSPAD REICHENBACH

*Więc proszę uchwycić ten fakt macką swego mózgu:
Lalka i jej twórca nigdy nie są identyczni*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
„LONDON OPINION”,
12 GRUDNIA 1912

9 sierpnia 1893

Arthur Conan Doyle zmarszczył czoło i myślał tylko o morderstwie.

- Zabiję go - powiedział, krzyżując ramiona na szerokiej pierśsi.

Wysoko w szwajcarskich Alpach wiatr łaskotał jego gęste, długie na dwa centymetry wąsy i zdawało się, że wieje prosto przez jego uszy. Bo uszy Arthura sprawiały wrażenie zawsze nastawionych, jakby wsłuchiwały w coś odległego, dziejącego się gdzieś za nim.

Jak na mężczyznę tak mocnej budowy miał niezwykle ostry nos. Dopiero niedawno zaczął siwieć, na co nie miał większego wpływu, ale z czego nawet się cieszył. Chociaż miał dopiero trzydzieści trzy lata, był już sławnym pisarzem. A cieszący się

międzynarodowym uznaniem literat z włosami w kolorze jasnej ochry wyglądały gorzej niż postarzały, nieprawdaż?

Dwaj jego towarzysze podróży wspięli się na skalną półkę, na której stał - najwyższy punkt wodospadu Reichenbach, jaki można było zdobyć. Silas Hocking był duchownym i powieściopisarzem dobrze znanym w miejscach tak odległych jak Londyn Arthura. Jego ostatni utwór z dziedziny literatury religijnej *Her Benny* Arthur wysoko sobie cenił. Edward Benson był znajomym Hockinga, a przy tym znacznie spokojniejszym od niego. Chociaż Arthur poznał ich dopiero tego ranka, przy śniadaniu w hotelu Riefel Alf w Lucernie, czuł, że może im zaufać. Może im zdradzić swoje przemyślenia i ciemne zamiary.

- Stał się kimś w rodzaju „starca z morza” wiszącego mi na szyi - ciągnął Arthur - i mam zamiar z nim skończyć.

Hocking stał obok niego, sapiąc i podziwiając rozciągający się przed nimi przestwór Alp. Łachy śniegu roztapiały się kilka metrów poniżej ich stóp, tworząc rwący strumień, który od tysiącleci żłobił ścieżkę przez górę, a teraz wlewał się z hałasem do spienionej sadzawki na dole. Benson w milczeniu ulepił twardą śnieżkę i pod wpływem kaprysu rzucił ją w otchłań pod nimi. Siła wiatru odrywała od niej kawałki śniegu, aż rozplynęła się w powietrzu jak pasmo białych obłoczków.

- Jeśli tego nie zrobię - powiedział Arthur - wpędzi mnie do grobu.

- Nie sądzi pan, że jest pan dość surowy dla starego przyjaciela? - zapytał Hocking. - Przyniósł panu sławę. Majątek. Tworzycie razem ładną parę.

- A zamieszczając jego nazwisko w każdym sznurowatym kryminale, jaki wydałem w Londynie, zbudowałem mu reputację daleko przewyższającą moją. Dostaję na przykład takie listy: „Moja ukochana kotka znikła na South Hampstead. Na imię ma

Sherry-Ann. Czy może pan ją odnaleźć?”. Albo: „Mojej mamie wyrwano torebkę, kiedy wysiadła z dorożki na Piccadilly. Czy może pan wydedukować, kto jest winowajcą?”. Problem jednak polega na tym, że te listy nie są adresowane do mnie, lecz do niego. Myślą, że jest kimś rzeczywistym.

- Tak, ach ci biedni i pełni podziwu czytelnicy... - wziął ich w obronę Hocking. - Pomyślał pan o nich? Zdaje się, że strasznie tego gościa lubią.

- Bardziej niż mnie! Czy pan wie, że dostałem list od własnej matki, która przecież ma świadomość, że oczywiście zrobię wszystko, czego zechce, z prośbą, bym podpisał jako Sherlock Holmes książkę dla jej sąsiadki Beattie. Wyobraża pan sobie? Miałem się podpisać jego nazwiskiem zamiast własnym! Jakby matka była jego matką, a nie moją. Ech! - starał się zapanować nad gniewem. - Moje lepsze utwory się ignoruje - ciągnął. - „Michał Clarke”? „Biała kompania”? Ta urocza sztuczka, którą zmagistrowałem z panem Barriem? Wszystko to pominięte dla kilku makabrycznych opowieści. Co gorsza, przez niego tracę czas. Jeżeli będę miał wymyślić jeszcze jedną pokrętną fabułę - drzwi od sypialni jak zwykle zamknięte od wewnątrz, niedająca się odcyfrować pożegnalna wiadomość od nieboszczyka, a wszystko opowiedziane tak, by do końca nikt nie odgadł oczywistego rozwiązania - nie wytrzymam. - Arthur wpatrzył się we własne buty. Opuszczona głowa była u niego oznaką znużenia.

- Mówiąc szczerze, nienawidzę go. I dla własnego zdrowia psychicznego wkrótce go uśmiercę.

- No i jak pan to zrobi? - droczył się z nim Hocking.

- Jak można zabić wielkiego Sherlocka Holmesa? Wbić mu nóż w serce? Poderżnąć gardło? Powiesić go?

- Powiesić! Ach, te słowa są balsamem dla mojej duszy. Ale nie, to powinno być coś wielkiego - w końcu jest bohaterem.

Dam mu ostatnią sprawę. I złoczyńcę. Tym razem jednak prawdziwego drania. To będzie dżentelmeńska walka na śmierć i życie. On się poświęca dla dobra ogółu i obaj giną. Coś w tym rodzaju.

Benson ulepił kolejną śnieżkę i łagodnym łukiem rzucił ją w przestrzeń. Arthur i Hocking śledzili jej płynny lot dopóty, dopóki nie znikła na tle nieba.

- Jeśli chce pan oszczędzić na wydatkach na pogrzeb - zachotał Hocking - zawsze może go pan zrzucić ze skały. - Spojrzał na Arthura, szukając reakcji, ale nie zobaczył uśmiechu na jego twarzy, tylko głębokie zamyślenie.

Arthur spojrzał w dół na ziejącą otchłań. Słyszał ryk spadającej wody i huk, jaki wywoływała u wylotu kamienistej rzeki. Nagle poczuł przerażenie. Wyobraził sobie własną śmierć na głazach w dole. Jako lekarz wiedział aż nadto dobrze, jak kruche jest ludzkie ciało. Upadek z tej wysokości... Jego zwłoki objijające się o skały przez całą drogę w dół... Straszny krzyk zamarty w ustach... Rozczłonkowany na ziemskiej skorupie, żdzbla trawy poplamione jego krwią... A teraz w jego myślach własne ciało znikło, zastąpione przez kogoś szczuplejszego, wyższego, chudego jak wstążka, niedożywionego mężczyznę w myśliwskiej czapce i długim płaszczu. Jego surowa twarz roztrzaskana raz na zawsze na ostrym kamieniu.

Morderstwo.

ROZDZIAŁ 2

CHŁOPCY Z BAKER STREET

*Nazywam się Sherlock Holmes, i moim zadaniem jest
wiedzieć to, czego nie wiedzą inni. **

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
BŁĘKITNY RUBIN

* Wszystkie cytaty z opowiadań o Sherlocku Holmesie pochodzą z „Księgi wszystkich dokonań Sherlocka Holmesa”, wyd. Rea, Warszawa 2010.

5 stycznia 2010

Moneta pięciopensowa wpadła w dłoń Harolda. Sprawiała wrażenie ciężkiej, kiedy wylądowała reszką do góry, a Harold zamknął palce na wytartym srebrze. Ścisnął je przez kilka sekund, zanim sobie uświadomił, że drżą mu ręce. W pokoju wybuchł aplauz.

- Hurra!
- Witaj na pokładzie!
- Gratulacje, Haroldzie!

Czyjaś ręka poklepała go po plecach, inna serdecznie uściśnęła za ramię. Ale jedyną rzeczą, o jakiej mógł myśleć, była moneta w

prawej dłoni. W lewej ścisnął nowy dyplom. Moneta była przyklejona byle jak do jego lewego dolnego rogu i odkleiła się, kiedy Harold zamaszyście, w nadmiarze radości chwycił dokument. Odpadła, a on złapał ją w locie. Spojrzał na srebrny krążek. Był to wiktoriański szyling, wart w swoim czasie tylko pięć pensów. Dzisiaj byłby wart znacznie więcej, a dla Harolda - wręcz cały majątek. Zamrugał, żeby przepędzić wilgoć, która zebrała się w kącikach oczu. Moneta oznaczała, że dotarł do celu. Że coś osiągnął. Że przynależy.

- Witaj, Haroldzie - usłyszał czyjś głos za plecami.

Ktoś poklepał go po czapce *à la* Sherlock Holmes, którą miał na głowie.

- Witaj w gronie Chłopców z Baker Street.

Słowa, na które Harold czekał tak długo, teraz, kiedy wreszcie padły, zabrzmiały obco i dziwnie. Wszyscy ci ludzie - dwieście osób śmiejących się, żartujących i poklepujących wzajemnie po plecach - bili mu brawo. Temu Haroldowi. Haroldowi White'owi, dwudziestodwunastoletniemu, z lekkim brzuszkiem, gęstymi brwiami, astygmatyzmem i teraz spoconymi oraz drżącymi dłońmi.

Nie mógł uwierzyć, że naprawdę na to zasłużył. Ale taka była prawda. Tutaj było jego miejsce.

Chłopcy z Baker Street byli bodaj najważniejszą światową organizacją zajmującą się badaniami na temat Sherlocka Holmesa, a Harold został właśnie ich najnowszym członkiem. Swój pierwszy artykuł ogłosił w „Baker Street Journal”, kwartalniku stowarzyszenia, dwa lata wcześniej. Zatytułował go *O datowaniu plam krwi: Sherlock Holmes i początki nowoczesnej medycyny sądowej*. Badał w nim historyczne związki między pierwszymi eksperymentami Holmesa w *Studium w szkarłacie* z pracą doktora

Edwarda Piotrowskiego. („Doktor Piotrowski, praktykujący w Krakowie w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, rozbijał głowy króliczków i utrwał wzory, jakie tworzyła tryskająca z ich czaszek krew. Eksperymenty Holmesa były podobnie krwawe, chociaż miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby posługiwać się własną krwią, jak również pracą własnej czaszki”, napisał Harold. Uważał, że to najzabawniejsze zdanie w artykule). Potem opublikował jeszcze dwa teksty w mniejszych magazynach sherlockistów.

Dzisiaj po raz pierwszy brał udział w dorocznej kolacji Chłopców. Już samo zaproszenie do wzięcia udziału w tak ekskluzywnym wydarzeniu było ogromnym zaszczytem, a do tego propozycja członkostwa w tak młodym wieku, z tak niewielkim dorobkiem naukowym? Harold nie słyszał, by komukolwiek innemu złożono taką propozycję tak prędko, zaledwie po jednej kolacji. W tanim czarnym garniturze, który zwisał mu z ramion, w krawacie poplamionym kurczakiem przeżywał najwspanialszą chwilę swego życia. Poprawił kraciatą czapkę, zwaną szerlok, która wspaniale leżała na jego głowie. Miał ją od czternastego roku życia, od kiedy uległ obsesji na punkcie Sherlocka Holmesa i przebrał się za niego na Halloween. Należała do jego ulubionych przedmiotów i w miarę jak jego miłość do detektywa zmieniała się z dzieciennego zakochania w poważne studia, z rekwizytu awansowała do elementu jego codziennego stroju. Z dumą wystąpił w niej na rozdaniu dyplomów w Princeton, nawet przyszył do niej chwost na tę okazję. Kiedy po nerwowym okresie dorastania Harold wkroczył w nowy, nieco nużący etap życia i został dwudziestolatkiem, szerlok dobrze mu służył na koktajlach, jesiennych piknikach i ślubach przyjaciół, na których zdarzało mu się bywać coraz częściej. Miał go na głowie, kiedy podpisywał pierwszą umowę o pracę u wydawcy w Nowym Jorku, i miał,

rozstając się z Amandą, dziewczyną, z którą był najdłużej i o której nigdy nie wspominał.

Kolacja Chłopców z Baker Street w hotelu Algonquin przy 44 Ulicy zawsze wypadła w wielkim tygodniu sherlockistów, około 6 stycznia, gdy miłośnicy Holmesa z całego świata zbierali się w Nowym Jorku, by przez cztery dni wykładami, wycieczkami, podpisywaniem książek czy sprzedażą wiktoriańskich antyków i pierwszych wydań świętować urodziny detektywa. Ale spośród setek tych towarzystw Chłopcy z Baker Street stanowili najstarszy i najbardziej ekskluzywny klub.

Truman i FDR twierdzili, że są jego członkami, podobnie jak Isaak Asimov. I to właśnie Chłopcy sprawili, że 6 stycznia był przez wszystkich uznawany za dzień urodzin Holmesa. Sir Arthur Conan Doyle bowiem nigdy nie wymienił tej daty w kanonie, czyli czterech powieściach i pięćdziesięciu sześciu opowiadaniach składających się na przygody detektywa. Ale wnikliwe, niemal talmudyczne odczytanie tych historii pozwoliło Christopherowi Morleyowi, jednemu z założycieli Chłopców z Baker Street, wysunąć tezę, iż 6 stycznia jest najbardziej prawdopodobną datą urodzin Holmesa.

Pozostałe organizacje były uważane za naśladowców Chłopców i potrzebowały ich oficjalnej zgody na działalność. Nie można było wypisać podania o przyjęcie do klubu. Jeśli wyróżniłeś się na polu badań sherlockistowskich, sami cię znajdowali. A gdy przywódca Chłopców uznał, że się nadajesz, dostawałeś szylinga na znak członkostwa. Takiego jak moneta, którą Harold właśnie ścisnął w pobielających palcach.

Oklaski przeszły w rozmowy. Odsuwano krzesła, białe lniane serwetki rzucono na talerze z na wpół zjedzonymi kurczakami i gotowanymi jarzynami. Długimi haustami opróżniano szklaneczki

szkockiej. Wymieniano uściski dłoni. Mówiono sobie do widzenia.

Harold poczuł się nagle głupio. Od kiedy dowiedział się o istnieniu klubu, stale wyobrażał sobie tę chwilę. A teraz było po wszystkim. Co będzie musiał teraz zrobić, żeby to uczucie wróciło? Tak bardzo chciał zatrzymać te emocje, nie pozwolić im rozpuścić się w nudnym zgiełku zwykłego życia. Patrzył, jak kelnerzy zbierają sztucce, zgarniają brudne widelce i tępe noże do masła do plastikowych misek.

Harold White mieszkał w Los Angeles i pracował jako niezależny ekspert od literatury. Jego głównymi zleceniodawcami były studia filmowe, których działy prawne zatrudniały go do obrony przeciwko oskarżeniom o pogwałcenie praw autorskich. Jeżeli jakiś wściekły powieściopisarz skarżył producentów największego kasowego przeboju kina akcji lata, twierdząc, że pomysł na film zaczerpnęli z jego mało znanego kryminału politycznego sprzed dwudziestu lat, do Harolda należało wyjaśnienie, że nie, że w istocie oba te dzieła zaczerpnęły podstawowe elementy fabuły z jednej z mniej znanych sztuk Bena Jonsona bądź z którejś z trudnych nowel Dostojewskiego czy z innego tekstu równie mało znanego i będącego już własnością ogólną. W działach prawnych studiów filmowych nazwisko Harolda było często przywoływane i chwalone, pomijając te rzadkie przypadki, gdy postanawiały podać do sądu siebie nawzajem.

Główną kwalifikacją Harolda na to stanowisko było to, że przeczytał wszystko. Po prostu przeczytał więcej książek niż ktokolwiek, kogo znał on sam czy jego pracodawcy. Osiągnął to w tak młodym wieku dzięki wielkiej umiejętności szybkiego czytania. Gdy jako dziecko mozolnie brnął przez stronicę opowieści o Holmesie, jego pragnienie - jego niemal zwierzęca potrzeba - poznania rozwiązania zagadki była źródłem problemów: czytanie

książki bowiem trwało dłużej, niż mógł znieść. Nauczył się więc szybkiej lektury z poradnika, który sprowadził pocztą. Koledzy droczyli się z nim z powodu tej umiejętności, gdyż uważali za rzecz nie do pomyślenia, aby ktoś potrafił przeczytać czterystu stronicową książkę w dwie godziny i zapamiętać z niej znaczną liczbę informacji. Ale Harold to umiał. I udowadniał im to, pozwalając się później przepytwać z zawartości fabuły i opisów przyrody. Oczywiście dzięki temu również szybciej przyswajał informacje niż wszyscy koledzy poznani w szkole w Chicago, na Uniwersytecie Princeton czy w dorosłym życiu.

- Harold! - odezwał się za nim niski, dźwięczny głos.

Para rąk ścisnęła go za ramiona. Odwrócił się i ujrzał nad sobą twarz Jeffreya Engelsa, siwego Kalifornijczyka z niemal przyklejonym do twarzy uśmiechem, który był najbardziej lubianym i szanowanym sherlockistą w tej sali. Harold podejrzewał, że to właśnie on był zwolennikiem przyjęcia go do Chłopców z Baker Street. Ale wiedział też, że nawet jeśli, to Jeffrey nigdy mu o tym nie powie.

- Dziękuję - powiedział więc tylko.

Jeffrey puścił to mimo uszu. Jego zwykły uśmiech gdzieś znikł, a zamiast niego na twarzy mężczyzny pojawiło się posępne spojrzenie.

- Ta sprawa zmierza w krytyczną stronę - powiedział cicho.

- W jaką?

- W stronę morderstwa! - odparł Jeffrey.

ROZDZIAŁ 3

KOŃCOWY PROBLEM

*Jak wiesz, szukmistrz nie zostanie nagrodzony brawami,
jeśli wyjaśni, na czym polega jego sztuczka.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
STUDIUM W SZKARŁACIE

3 września 1893

Arthur zabił Sherlocka Holmesa przy świetle jednej lampy.

Zamknięty za ciężkimi drzwiami swego gabinetu pisał szybko. Lampa naftowa na jego biurku rzucała bladożółty blask na ściany pokryte książkami. Szekspir, Katullus, a nawet, do czego Arthur chętnie się przyznawał, Poe. Byli tu wszyscy jego ulubieńcy, ale rzadko się z nimi konsultował. Nie należał do pisarzy rozkładających swoje źródła na biurku niczym prześcieradła, mocno się ich trzymających, stale się konsultujących. *Hamlet* leżał na swojej półce - trzeciej od dołu, ćwierć drogi od drzwi, idąc wokół pokoju zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara - i jeżeli Arthur chciał zacytować z niego jakiś fragment, by stworzyć kolejny

trafny aforyzm Holmesa, robił to z pamięci. Cóż, taka jest fikcja.

Morderstwo miało słodki smak. Arthurowi ciekła ślinka. Ciężkie pióro w jego krótkich palcach nie drapało papieru - głąskalo stronicę, wypełniając każdą od góry do dołu czarnym atramentem. Fabuła, zagmatwana zagadka składająca się z trików i smacznych puent, została opracowana znacznie wcześniej.

W tym środkowym punkcie swojej kariery Arthur był niekwestionowanym królem powieści detektywistycznej. W rzeczy samej, ponieważ Stany nie wydały takiego autora od czasu, gdy Poe wymyślił tę formę. Oczywiście jego historie opierały się na sztuczce i Arthur bez zmieszania przyznawał, że to prawda. Była to ta sama sztuczka, którą posługują się tysiące salonowych magików i cyrkowych zonglerów: fałszywy trop.

Arthur najpierw przedstawiał swoim czytelnikom fakty dotyczące zbrodni: jasno, prosto, spokojnie i sprawnie. Nie pomijał żadnego ważnego szczegółu ani - tak, to była cecha prawdziwego rzemieślnika - nie wykorzystywał zbyt wielu nieistotnych. Łatwo jest zmylić czytelnika masą niepotrzebnych postaci i zdarzeń; Arthur natomiast dążył do tego, by przedstawić jak najprostszą opowieść, z zaledwie kilkoma koniecznymi postaciami dla porządku, i mimo to ukryć rozwiązanie przed czytającymi. Kluczem był sam tekst, sposób przedstawienia informacji. Arthur przyciągał uwagę do emocjonujących, niezwykłych, a przy tym zasadniczo nieważnych faktów, pozostawiając wszystkie istotne szczegóły dla Holmesa, który posługiwał się nimi, jakby dokonywał czarów.

Układanie tych fabuł było grą - Arthur przeciwko swojej publiczności, pisarz zaangażowany w niekończącą się walkę z czytelnikami - i tylko jedna strona mogła z niej wyjść zwycięsko: albo czytelnik wcześniej zgadywał zakończenie, albo nie znał

rozwiązania aż do ostatniej strony. To był pojedynek umysłów, wojna, którą Arthur nieczęsto przegrywał.

Oczywiście, jeśli czytelnik był wystarczająco bystry, mógł całą sprawę rozwiązać już po pierwszych kilku stronach! W głębi duszy jednak Arthur wiedział, że czytelnicy nie chcą tak naprawdę wygrać. Chcą zmierzyć się intelektualnie z autorem i przegrać. Pragną olśnienia. Dlatego ułożenie porządnej powieści kryminalnej było piekielnie nużąca sprawą. A że harował w tym kołowrocie już ładnych kilka lat, monotonia tego działania zrodziła w nim taką nienawiść do Holmesa, że nie umiał już nad nią zapanować. Teraz ta nienawiść nie dotyczyła już tylko detektywa o szurzej twarzy, ale rozszerzyła się na uwielbiających go czytelników. I szczęśliwie w końcu tym opowiadaniem Arthur skończy z nimi wszystkimi na dobre.

Chociaż było późno, słyszał, jak dzieci hałasują na górze. Dobiegał go również głos Anny, pokojówki, która próbowała je uciszyć, by nie obudziły matki. O tej porze jednak Touie już mocno spała, zresztą tak jak przez większość dnia. Jej suchoty nie nasiliły się, chociaż czyste szwajcarskie *Föhn* nie poprawiło zbytnio stanu jej zdrowia. Rzadko wychodziła z domu, a podróże do miasta były wręcz wykluczone. Wobec jej słabowitości Arthur podjął decyzję, że będzie się nią opiekował, nawet jeśli oznaczałoby to oddzielne sypialnie i konieczność zatrudnienia niani do opieki nad dziećmi. I nawet jeśli jego biedna, kochana Touie, którą poślubił, gdy miała lat dziewiętnaście, miałyby się tak jak teraz zamykać w swoich pokojach na zimę... Cóż. Ale mógł pisać. I choć zazwyczaj lubił pracować w ustalonych godzinach za dnia, to dziś wieczór było inaczej - niektóre rzeczy należało pisać w ciemności.

Pióro bez pośpiechu przeniosło się na ostatnią stronę. Stawiał te same szerokie litery co zawsze. Słowa przychodziły mu do głowy jedno po drugim - porządny rzeczownik, wyjaśniający czasownik, czasami mile widziany przymiotnik - a on sumiennie zapisywał je na ciemniejszej kartce. Nie wracał do swoich zdań. Nie wykreślał słów, jak jego dobrzy przyjaciele panowie Barrie i Oliver, którzy bez końca zamieniali je na *mot juste*. Arthur uważał, że to oznaka niezdecydowania. Nie sprawdzał nawet poprzednich akapitów, żeby upewnić się, w którą stronę ma pójść. Po prostu to wiedział.

Właśnie dotarł do ostatniego fragmentu opowiadania - listu zza grobu, który ma być otwarty, kiedy jego nadawca umrze, ten: „...kogo zawsze będę uważał za najlepszego i najmądrzejszego człowieka, jakiego kiedykolwiek znałem”, pisał. Stosowny hołd, piękne pożegnanie. Lekko postawił kropkę po „znałem” i położył kartkę na poprzednich. Ostrożnie uporządkował ich stos w doskonały prostokąt i odwrócił. „Ostatnia zagadka” brzmiał tytuł u góry pierwszej strony. Rzeczywiście, pomyślał Arthur. A potem, co dziwne, uśmiechnął się. Nawet pozwolił sobie na chichot. Po raz pierwszy od lat poczuł się naprawdę wolny.

Wstał. Radośnie podszedł do drzwi. I wtedy... Och! Omal zapomniał. Praktycznie w podskokach wrócił do biurka. Co go napadło? Wyglądał jak zakochany nastolatek w drodze do ukochanej.

Otworzył kluczem lewą dolną szufladę biurka i wyjął ciemną, oprawioną w skórę książkę - jedną ze stosu takich samych. Otworzył ją i przerzucił kartki do strony już w dużej części wypełnionej atramentem. Wziął pióro i zapisał datę. A potem, chociaż zazwyczaj co wieczór poświęcał godzinę na zapisanie wszystkich ważnych wydarzeń dnia i wszystkich swoich najskrytszych myśli, tym razem zapisał w dzienniku tylko dwa słowa: „Zabiłem Holmesa”.

Poczuł się lekko. Mięśnie jego ramion rozluźniły się. Zamknął oczy i wdychał ciemne powietrze. Był szczęśliwy.

Starannie zamknął drogocenny dziennik i wyszedł do holu w poszukiwaniu brandy.

ROZDZIAŁ 4

ZAGINIONY DZIENNIK

Nie potrafię się oprzeć pokusie wprowadzenia odrobiny dramatyzmu. Watson to potwierdzi.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
TRAKTAT MORSKI

5 stycznia 2010

- Morderstwa! - powtórzył w celu wzmocnienia efektu Jeffrey Engels w hotelu Algonquin.

Harold zawahał się. Coś tu było bardzo nie w porządku.

- Ta sprawa przybrała poważniejszy obrót? Popelniono morderstwo? - powtórzył Jeffrey tym razem z wahaniem.

Harold roześmiał się.

- To cytat z „Sześciu popiersi Napoleona” - stwierdził. - Jest mi pan winien drinka.

- Świetnie! - Jeffrey promieniał. - Jestem.

- Choć tak naprawdę jest mi pan winien dwa drinki. Cytat nie jest całkiem dokładny, powinno być: „przybrała ona znacznie poważniejszy obrót”.

Jeffrey zastanowił się przez chwilę.

- No, no, jesteś członkiem Chłopców z Baker Street raptem dwie minuty i proszę! Już się czepiasz starego człowieka. No dobrze, w takim razie będę cię poił szkocką do świtu.

Harold spotkał się z tą zabawą w cytaty już na pierwszym zebraniu, w jakim wziął udział. Cztery lata temu, zanim napisał cokolwiek dla „Baker Street Journal” i poznał któregoś z Chłopców, znalazł się na zebraniu lokalnego towarzystwa w Los Angeles, Ciekawych Zbieraczy z Baker Street. Stanowili niewielką grupę, a ich zebrania były otwarte dla publiczności. W wykładanym dębiną barze nad szklankami pachnącej torfem szkockiej - Harold szybko stwierdził, że wszyscy sherlockiści musieli uważać, iż kostki lodu to trucizna i trzeba się przed nią mieć na baczności - zbieracze wykrzykiwali cytaty z opowiadań o Sherlocku Holmesie. Kto się pierwszy pomylił, wpisywano mu na rachunek następną kolejkę. A ponieważ większość z nich miała upodobanie do wysokogatunkowej szkockiej w pokaźnych ilościach, niedoświadczeni gracze szybko stwierdzali, że ich karty kredytowe są obciążone do granic limitu.

- To mój pierwszy wieczór w klubie - powiedział Harold. - I przypuszczam, że jest pan za to odpowiedzialny bardziej niż trochę. To ja jestem panu winien drinka.

Uśmiech powrócił na twarz Jeffreya.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz, dzieciaku. Chodźmy, zrobmy użytek z baru.

Kilka minut później Harold siedział na stołku przy barze, popijając z Jeffreyem burbona, a grupa rozbawionych gości przeprowadziła zamach na tutejsze pianino i śpiewała starą piosenkę sherlockistów. Barman przyglądał im się z dozą dezaprobaty i zmieszania.

Za naszych kanonicznych przyjaciół

Po obu stronach zbrodni,

Za czasy Holmesa i Watsona
Wypijmy wszyscy zgodnie

- fałszowała pijana gromada na melodię *Auld Lang Syne* i Harold musiał przyznać, że nigdy nie słyszał, żeby jakąś piosenkę sherlockistów śpiewano zgodnie z tonacją.

Wkrótce razem z Jeffreyem wdał się w dyskusję o dzienniku, co musiało być głównym tematem dzisiejszych rozmów. Śpiew i picie stanowiły rozrywkę, ale umysły setek sherlockistów zgromadzonych w hotelu Algonquin drażyła tylko jedna myśl: zaginiony dziennik sir Arthura Conan Doyle'a w końcu się odnalazł.

Po śmierci Conan Doyle'a jeden z tomów jego dzienników zniknął. Nie znaleziono wtedy - ani przez cały kolejny wiek - sfatygowanego, przesiąkniętego atramentem skózanego notatnika obejmującego wpisy od 11 października do 23 grudnia 1900 roku. Zaginiony dziennik stał się świętym Graalem sherlockistów. Byłby wart majątek - może nawet 10 milionów dolarów - gdyby się pojawił choćby na aukcji w Sotheby's. Ważniejsze jednak było to, że stanowił drzwi do umysłu największego pisarza powieści kryminalnych na świecie u szczytu jego twórczych możliwości. Przez sto lat uczeni teoretyzowali na temat jego zawartości. I jak, u licha, mógł tak zniknąć bez śladu?

Trzy miesiące przed kolacją w hotelu Algonquin każdy z Chłopców z Baker Street otrzymał krótki mail od kolegi ze stowarzyszenia, Aleksa Cale'a. „Wielka tajemnica została rozwiązana”, brzmiała wiadomość. „Odnalazłem dziennik. Proszę, poczyńcie wszystkie konieczne przygotowania, żebym mógł go przedstawić wraz z zawartymi w nim tajemnicami na tegorocznej konferencji”. To była wspaniała niespodzianka, nawet dla Aleksa, który miał szczególne upodobanie do tego rodzaju dramatu.

Lawina maili przeleciała prędko przez kulę ziemską: „Mówi serio?”, „Nie chodzi mu chyba o TEN dziennik, prawda?”, „Szukał tego cholerstwa dwadzieścia pięć lat i znalazł dopiero TERAZ?”. Chłopcy z Baker Street zareagowali niedowierzaniem tylko po to, żeby uniknąć wstrząsu. Przez następne trzy miesiące zaś przeszli przez wszystkie możliwe stany - od radosnego podniecenia i niepokoju przez niecierpliwe oczekiwanie aż po ciemną zazdrość.

Alex Cale już był uznawany za najznakomitszą postać wśród sherlockistów. I trudno było się z tym spierać, chociaż Chłopcy mieli w swoim gronie przynajmniej kilku ekspertów gotowych się z tym nie zgodzić. Ależ oczywiście, stwierdzili szybko jego rywale, któżby inny, jeśli nie Alex Cale, mógłby odnaleźć zaginiony dziennik Arthura Conan Doyle'a. Przy jego pieniądzach, wolnym czasie i olbrzymim funduszu powierniczym zostawionym przez kochanego tatusia.

Ale teraz umysł Harolda i setek innych sherlockistów - pijących, śmiejących się, śpiących czy, co zdarzało się rzadziej, uprawiających miłość w hotelu Algonquin - zaprzętało pytanie: gdzie Alex odnalazł dziennik? I przede wszystkim jak?

Po pierwszej wiadomości Alex przestał odpowiadać na maile. Nie oddzwaniał. Nie odpisywał na listy, chociaż zawsze chełpił się swoim zamiłowaniem do staroświeckiej sztuki prowadzenia korespondencji. Wreszcie po wielu próbach Jeffreya Engelsa nawiązania z nim kontaktu Alex przysłał wiadomość. Jeśli w ogóle można to tak nazwać.

Jestem śledzony. Wkrótce się odezwę.

Informacja miała okrojoną formę depeszy i przez to Jeffrey nie wiedział, czy Alex żartuje, czy traci zmysły. Przesłał jego

wiadomość dalej i ogólnie uznano, że trochę za dobrze się bawi, posuwając się w kwestii fantastycznej zagadki odrobinę za daleko. Z pewnością dziennik był wartościowy, ale kto chodziłby za nim wokół jego domu? Cale się przekomarza, myślano. Chociaż Harold nie był pewny, czy to tylko fikcja.

- Wiesz, co myślę? - odezwał się Jeffrey. - Że to jest opowiadanie. Zaginiony rękopis. Conan Doyle musiał uznać go za bezwartościowy i ukrył go. Nie chciał, żeby ktokolwiek go znalazł i opublikował.

- Możliwe - zgodził się Harold. - Ale Conan Doyle za życia opublikował dużo. I nie chcę bluźnić, ale nie wszystko to są perły. „Lwia grzywa”? „Diament Mazariniego”? No naprawdę.

Jeffrey roześmiał się.

- Zawsze byłem zdania, że to nie on je napisał. Brzmiały zupełnie inaczej niż jego dzieła. Ale dziennik pochodzi z jesieni 1900 roku, okresu, w którym przygotowywał się do napisania „Psa Baskerville'ów”. Bodaj swojego najlepszego utworu, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Tak - przytaknęła Harold. - Z jakiegoś powodu jednak nie myślę, że to opowiadanie. Myślę, że raczej... - urwał. Głupio mu było powiedzieć to na głos.

- Że raczej...? - drążył Jeffrey.

- To znaczy, że to raczej... Że dziennik ukrywa jakiś sekret. Coś, czego Conan Doyle nie chciał nikomu wyjawić. Coś, co zapisał tylko dla siebie. Był gorliwym diarystą. Lubił przelewać swe myśli na papier. To działa terapeutycznie. Ale też nie chciał, żeby świat wiedział, co jest w tym dzienniku.

Zadzwonił telefon Jeffrey'a. Dzwonek przypominał pisk opon i klakson jednocześnie. Jeffrey zerknął na ekran i przeprosiwszy go gestem, odebrał.

- Tak? - powiedział tylko, a po chwili dodał: - Dziękuję.

Harold patrzył nań pytająco.

- Więc myślisz, że w tym dzienniku jest jakiś sekret - oznajmił Jeffrey. - No to, dzieciaku, czemu nie mamy się przekonać?

Harold niewiele z tego rozumiał.

- Dzwonił konsjerż - ciągnął Jeffrey. - Poprosiłem go, żeby dał znak, jak tylko Alex Cale się zamelduje.

- Uśmiechnął się znowu, zadowolony z siebie. - Cale jest w holu. Chcesz iść rozwiązać tajemnicę?

Harold omal nie przewrócił drinka, zeskakując ze stołka. Wypadł z szerokich podwójnych drzwi niczym Holmes w pogoni za profesorem Moriartym. Jeffrey, nadal uśmiechnięty, podążył stacecznie za nim do rzęsiście oświetlonego holu.

Alex Cale - Jeffrey miał rację - właśnie składał podpis w recepcji - miał na sobie gruby trenecz zapięty aż pod szyję, a w prawej ręce trzymał teczkę sprawiającą wrażenie ciężkiej. Przełożył ją do lewej, aby wypełnić hotelowe formularze. Zniewieściały, ale przyjazny Alex był typem człowieka, który wydawał tyle przyjęć, na ilu bywał, i miał talent do zapewniania, że każdy był zadowolony ze swojego drinka nawet wtedy, gdy nie on za nie odpowiadał. Harold widywał go już wcześniej i oczywiście znał jego nazwisko niemal równie długo jak Holmesa, ale nigdy ich sobie nie przedstawiono.

- Alex, mój stary przyjacielu, jesteś! - zagrzmiął Jeffrey.

Alex odwrócił się, ale nie sprawiał wrażenia zadowolonego na widok dwóch mężczyzn idących w jego kierunku.

- Dobry wieczór panom - powiedział cicho.

Jego akcent - brytyjski - był rzadkością wśród Chłopców z Baker Street, gdyż większość członków klubu stanowili Amerykanie. Nie postawił teczek ani nie zrobił żadnego ruchu, żeby objąć kolegów. Wyglądał jak mokry, pomięty i zużyty papierowy

ręcznik. Na dworze musiała się zerwać burza, choć Harold tego nie zauważył. Cale miał rozszerzone źrenice, jak gdyby z braku snu, i nie patrzył na nich, lecz jakby poprzez nich.

- Gdzieś ty był cały tydzień, stary? Brakowało nam ciebie. Wczoraj mieliśmy cudowny odczyt Laurie King na temat roli kobiety w Wielkiej Luce. Fascynujące.

- Przykro mi, że go opuściłem - powiedział Alex nieszczerze.

Harold pomyślał, że musi wiedzieć, że wcale nie o tym chcą z nim rozmawiać, ale o tym, o czym wszyscy inni: o dzienniku. O jutrzejszym wykładzie. O rozwiązaniu stuletniej zagadki.

- Kim pan jest? - zapytał Alex, nie zadając sobie nawet trudu, żeby spojrzeć Haroldowi w oczy.

- Harold. Harold White. Właśnie dzisiejszego wieczoru zostałem przyjęty do Chłopców z Baker Street.

Wyciągnął rękę, lecz Alex nie zrobił żadnego ruchu, żeby ją uściskać.

- Prawdę mówiąc, spotkaliśmy się już kiedyś. Choćby w Kalifornii. Był pan na UCLA z odczytem...

- Rzeczywiście - potwierdził Alex. - Pamiętam. Miło pana znowu widzieć - skłamał.

- Z roku na rok są coraz młodsi, prawda? - powiedział Jeffrey ciepło.

Harold starał się nie czuć urazy.

- W gruncie rzeczy nie jestem aż taki młody - zauważył. - Już...

- Nie odwracajcie się - powiedział Alex nagle.

Harold zmieszał się.

- Słucham?

- Nie odwracajcie się - powtórzył Alex.

Zarówno Harold, jak i Jeffrey stali bokiem do drzwi wejściowych i obaj zaczęli instynktownie odwracać głowy.

- Tam ktoś jest, na zewnątrz. Za oknem. Nie odwracaj się, jak ci tam... Harry! Co ci powiedziałem? Przesunę się teraz lekko w prawo. Tak. A wy zróbcie to samo. Tak. Jeszcze raz. Widzicie kogoś? Tam, w oknie?

Harold usiłował zerknąć za siebie, nie obracając szyi, co przyprawilo go o lekki ból głowy. Zobaczył gęste fale deszczu bijące w wysokie okna, mdłe smugi białego światła lamp po drugiej stronie 44 Ulicy, ale niczego, co byłoby twarzą złowrogo zaglądnącą do holu.

Był zdezorientowany, a teraz zaczynał się również niepokoić - ale raczej o zdrowie Aleksa niż o jego bezpieczeństwo. Jeffrey też nie dostrzegł niczego niewłaściwego i sprawiał wrażenie równie niepewnego, jak zareagować.

- Daj spokój - powiedział w końcu. - Przestań z nas kpić. Chodź, napijemy się czegoś. A ty nam opowiesz o swoich przygodach.

Alex zignorował go albo nie usłyszał, bo wzrokiem przetrząsał resztę holu.

- Powiedz nam, co jest w dzienniku - ciągnął Jeffrey. - Proszę. Daj nam zajrzeć ukradkiem przed jutrem.

Alex przez chwilę wpatrywał się w niego w milczeniu. Sprawiał wrażenie naprawdę zmieszanego.

- Koniecznie chcecie wiedzieć, co jest w dzienniku? - zapytał.

I choć odpowiedź była oczywista, minęło kilka chwil, zanim zareagowali.

- Tak - oznajmili niemal jednocześnie.

Po raz pierwszy Alex nawiązał kontakt wzrokowy z Haroldem. Skutek wytrącił go z równowagi.

- Ciekaw jestem, czy rzeczywiście - odparł. - Kiedy się staje wobec jakiegoś problemu, to naturalne, że chce się poznać odpowiedź. Ale jeśli myślicie, że zdołacie spać tej nocy, to prześpijcie się z tym: Czy tajemnica czasem bywa przyjemniejsza niż

rozwiązanie? Jesteście pewni, że wiedza o tym, co jest w dzienniku, będzie równie fascynująca jak wieczne zastanawianie się nad tym?

Zrobił krok do tyłu, odsuwając się od nich, i przełożył teczkę z jednej ręki do drugiej. Przyciągnął ją do piersi i lekko poklepał wolną dłońią.

- A więc do zobaczenia jutro, mam nadzieję.

Kiedy szybko odchodził, przecinając hol na skos, Harold spostrzegł mokre ślady stóp, jakie zostawiał za sobą. Kałuże w kształcie podeszwy prędko się rozlewały, a ich pierwotny zarys zniknął w cienkiej, połyskliwej warstwie wody.

W holu rozległo się szemranie. To sherlockiści dostrzegli Aleksa, ale zanim zdążyli się upewnić, że to on, zniknął w windzie.

- Jezu - westchnął Harold. - Co on chciał powiedzieć?

- Że jutro o tej porze będziemy znali ostatnią wielką zagadkę Arthura Conan Doyle'a - odparł Jeffrey.

ROZDZIAŁ 5

ŻAŁOBA

Drobne kradzieże, pozornie nieuzasadnione napady, bezcelowa brutalność układały się w jedną całość dla człowieka, który wiedział w czym rzecz. Dla badacza świata przestępczego żadna z europejskich stolic nie miała takich zalet jak Londyn.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY Z NORWOOD

18 grudnia 1893

Arthur wyszedł z pomarańczowego światła stacji Charing Cross w suche zimno okresu Bożego Narodzenia. Chociaż Londyn nie doświadczył jeszcze dużych opadów śniegu, chłód uderzał w jego długi płaszcz, wpraszając się w rękawy, wślizgiwał się między sznurowadła skórzanych butów, szturchał go w uszy i już po chwili pomalował ich koniuszki na niebieskawoczerwony kolor.

W drugim tygodniu tego bezśnieżnego grudnia morderstwo Arthura - bo myślał o swoim uczynku w tych kategoriach - dokonane na Sherlocku Holmesie stało się sprawą publiczną. „ŚMIERĆ SŁAWNEGO DETEKTYWA!” - krzyczał nagłówek w „Timesie”.

Arthur był zażenowany tą skrajną głupotą. Ci durnie nawet wydrukowali nekrolog! Nekrolog dla fikcyjnej postaci! Uważał to za wystarczający dowód na to, że sprawy dotyczące tego jegomościa wymknęły mu się spod kontroli. Położenie temu kresu było niezaprzeczenie słuszne. Holmes był nieznośny i dobrym londyńczykom lepiej posłuży jakaś fikcja wyższego lotu. Przy najmniej w końcu to szaleństwo się uspokoi, jakiś nowy awanturnik wyskoczy ze stronic „The Strand” na scenę narodową - może będzie to ten cały Raffles, o którym pisze Willie Hornung - i Sherlock Holmes w ciągu roku pójdzie w zapomnienie. Arthur był tego pewien.

Dwa i pół roku wcześniej przeprowadził się z ciasnego mieszkania na Montague Place dwanaście kilometrów dalej, do ślicznego podmiejskiego dwupiętrowego domu w South Norwood. Nie brakowało mu ani hałasu centrum, ani przepychania się i ścisłu za każdym razem, kiedy musiał opuścić mieszkanie. Tęsknił jedynie za codziennym widokiem British Museum i wafęsaniem się wzdłuż otaczającego go wielkiego kamiennego muru w kształcie litery U. Czasami wybierał dłuższą drogę, naokoło, gdzie mur się otwierał, ukazując las jońskich kolumn pod prostym architravem. Gzyms nad nim był tak szeroki i cienki, że kiedy Arthur nań spoglądał, zawsze myślał, iż wygląda, jakby chmury uformowały się w prawą dłoń Boga, która naciska na muzeum, właczając je głębiej w angielską glebę.

South Norwood jednak stanowiło postęp. Nie trzeba się tu było codziennie dusić w miejskim dymie („W Londynie człowiek oszczędza majątek na tytoniu”, mawiał do Barriego, który śmiał się uprzejmie), a Charing Cross było oddalone stąd o zaledwie kilka minut pociągiem. Kupił trzykołowy tandem dla siebie i Touie, która bardzo dobrze znosiła te ćwiczenia. Przejeżdżali trzydzieści kilometrów przed kolacją, jeśli zaczynali zaraz po

podwieczorku. Poza tym w nowym domu znalazło się miejsce dla jego siostry, Connie, po tym jak razem z mamą położyli kres jej włóczędze po Portugalii. Była doskonałą guwernantką dla Rogera i Kingsleya, synów Arthura, z których drugi, roczny, nadal nie był większy od małej poduszki.

Arthur opuścił pieszy ciąg pośrodku ulicy i skierował kroki na południe, oddalając się od hotelu Charing Cross. Minął jednonożego sprzedawcę gazet, który potrząsnął w jego kierunku dziennikami. Ominął go wzrokiem.

Sznur dorożek trzeszczał i turkotał po Strandzie. Konie postękiwały na zimnie jak zmęczeni i zrędlivi starcy. Chłopcy biegali we wszystkich kierunkach naraz, roznosząc listy. Na gładkich dwu- i trzypiętrowych budynkach po obu stronach alei wisały czerwone tablice „DO WYNAJĘCIA”, oferujące pokoje nad biurem telegrafu, sklepami, długim rzędem biur adwokata. Arthur odwrócił się plecami do Trafalgar Square i spacerował.

Przedmieścia były przyjemne, oczywiście, ale tęsknił za miastem. Kochał tu przyjeżdżać, załatwiać sprawy; i robił to bez pośpiechu. Wchłaniał energię miasta, jego gwar i szczeł, a potem wracał nasycony do Norwood. Do Touie. Do swojego roweru.

W tej chwili był zadowolony. Nawet wymachiwał laską, idąc StranDEM. Był w nastroju do gwizdania, gdyby w ogóle należał do ludzi, którzy gwizdzą. Piękny poranek zapowiadał udany dzień.

- TY BYDLAKU!!! - krzyknęła starsza kobieta i zamachnąwszy się w jego stronę torebką, z całej siły uderzyła go w twarz, strącając czapkę.

Arthur zachwiał się. Nie odniósł obrażeń, ale doznał poważnego wstrząsu. Napastniczka nie mogła mieć mniej niż sześćdziesiąt lat. Była zgarbiona tak, że jej barki znajdowały się dokładnie nad noskami jej butów. A przede wszystkim sprawiała wrażenie

kruchej. Skąd wzięła tyle siły, żeby uderzyć Arthura? Na rękawie ciemnego płaszcza miała krepę. Arthur zaczął się jąkać.

- Ja... proszę pani... przepraszam. Czy... czy w jakiś sposób panią obraziłem?

- TY POTWORZE!!! - warknęła i ponownie się zamierzyła.

Ciężka torba bardzo powoli zatoczyła długi łuk na tle nieba, a jej niebieski kolor odcinał się od gęstej pokrywy chmur. Tym razem jednak Arthur cofnął się, unikając ciosu. Uniósł na chwilę łaskę, przyjmując pozycję obronną, a potem z zażenowaniem ją opuścił. Był młodym wysportowanym mężczyzną. Nie powinien podnosić łaski na skonfundowaną starszą kobietę.

- Proszę pani, nie wiem, za kogo mnie pani bierze, ale zapewniam panią, że nigdy w życiu pani nie spotkałem.

Przebiegający w pośpiechu chłopiec na posyłki przystanął, żeby się przyjrzeć tej scenie. Po chwili dołączyła do niego wysoka dama w modnym kapeluszu i z otwartą parasolką chroniącą przed słońcem pomimo pochmurnego zimowego dnia. Jedna odwrócona głowa przyciągała następną. Zaczął się robić tłum.

- Bardzo dobrze wiem, kim pan jest, doktorze Doyle, i niech pan nie myśli, że nie wiem, co pan zrobił.

Arthura mniej zdziwiło tak doskonale zastosowane podwójne zaprzeczenie niż fakt, że posłużyła się jego nazwiskiem. Nie był przyzwyczajony do tego, że go rozpoznają, chociaż w zeszłym roku jego fotografie pojawiły się w gazetach. David Thomson wykonał dla „Daily Chronicle” bardzo ładne zdjęcie Arthura piśzącego przy biurku.

Usłyszał narastający szept dobywający się z tłumu.

- Doyle...

- Doyle...

- Doyle...

- Zapewniam, że nie wiem, o co pani chodzi - powiedział błagalnie.

Spojrzał w stronę tłumu, szukając wsparcia, potwierdzenia własnego zdrowia psychicznego, ale spostrzegł, że wielu zgromadzonych ma identyczne czarne opaski na ramieniu. Całe miasto w żałobie? Był gotów przysiąc na Świętą Księżę, że widział gazety tego ranka... Czy coś ominął? Odejście jakiegoś męża stanu? Cecil był stary, z pewnością, ale nie aż tak... Zatem Królowa Matka? Nie, nie. Z pewnością by o tym wiedział!

- Zabił go pan! Zabił go pan, jak tu stoję! - syknęła stara kobieta.

- Dlaczego pan to zrobił? - warknął ktoś z tłumu.

- Zabiłem...? - wybełkotał Arthur. Wtem zaświtała mu w głowie straszna myśl. - Nie chcecie chyba powiedzieć, że jesteście źli, bo...

- ...zabił pan Sherlocka Holmesa.

Oślupiał. Tym razem nie odezwał się ani nie poruszył, gdy stara znowu uderzyła go w splot słoneczny. Kilka osób z tłumu prosiło wprawdzie, żeby przestała, ale inni bardziej byli zajęci Arturem. Chcieli odpowiedzi. On jej nie miał.

Policzki Arthura wyduły się z wściekłości.

Dwa miesiące wcześniej jego ojciec umarł w szpitalu psychiatrycznym w Crichton, jakieś sto trzydzieści kilometrów na południe od domu w Edynburgu, gdzie Arthur spędził dzieciństwo. Szaleństwo Charlesa Doyle'a w połączeniu z pijaństwem nie pozwoliło mu przez lata zbliżyć się do jedyne go syna. Słał tylko Arthurowi pocztę ze szpitala, a on sztywniał na widok pobazgranych kopert ze znamieną pieczętką: Dumphries.

Ojciec nigdy nie pisał prawdziwych listów. W kopertach były rysunki - makabryczne autoportrety, portrety Arthura i szkice zwierząt: duszki w towarzystwie olbrzymich owadów, groteskowo

wielkie stonogi dosiadające okrutnych sójek. W pierwszej chwili wiadomość o śmierci ojca przyniosła mu ulgę. Ale dopiero wtedy Arthur dowiedział się o szczegółowym rejestrze swoich osiągnięć, jaki prowadził ojciec. Charles wycinał recenzje wszystkich powieści syna i trzymał je w albumie, w którym szkicował sceny przedstawiające rodzinę przy stole w kuchni ich piętrowego domu w Edynburgu. Mama, ciągle lojalna wobec męża, znalazła nawet pośród jego rzeczy książkę Arthura i posłała mu ją bez komentarza. Dopiero wtedy zrozumiał, co utracił. Czy tata w ogóle wiedział, że Arthur się ożenił? Ma dwoje dzieci? A drugie dziecko urodziło się przedwcześnie i leżało dwa miesiące w szpitalu, zanim można je było zabrać do domu?

Tydzień po śmierci ojca kochana Touie spędziła długie popołudnie w swej sypialni z lekarzem rodzinnym. Po wizycie doktor powoli zszedł na parter i powiedział Arthurowi, że kaszel dobywający się z jej płuc jest nieuleczalny. To gruźlica. Żona najprawdopodobniej umrze w ciągu kilku miesięcy. Był uprzejmy i profesjonalny, co tylko spotęgowało wstyd Arthura, lekarza z wykształcenia, który utrzymywał, że to tylko naturalna słabość po urodzeniu syna. Były dni, w których obawiał się, że wstyd przewyższy smutek. I kolejne przejażdżki rowerem po okolicy. Arthur pedałowal mocniej. Każda wycieczka się liczyła.

Charles Doyle był rzeczywisty. Touie była rzeczywista. Ich śmierć była tragedią. Sherlock Holmes był tworem wyobraźni, a jego śmierć - drobną rozrywką. Trajkocząca starucha i rosnący tłum za nią nie wiedzieli nic o jego ojcu - nie znali nawet jego imienia, bo śmierć Charlesa Doyle'a nie zasługiwała na choćby jedno zdanie w „Timesie”, „Daily Telegraph” czy nawet manchesterskim „Guardianie”. Choroba Touie pozostanie tajemnicą na lata. Nie, ci ludzie nic o nim nie wiedzieli. Znali tylko Holmesa.

Pozostał niewzruszony wobec wyzwisk, aż wreszcie pojawił się posterunkowy.

- Rozejść się, rozejść się - polecił tłumowi z większą dozą zrozumienia niż wojowniczości w głosie.

Usłuchali, chociaż stara, odchodząc, przeklinała Arthura z każdym krokiem.

Posterunkowy - niski, szczupły, profesjonalny - podał mu czapkę.

- Dziękuję panu - powiedział Arthur, wracając do rzeczywistości.

- Niech się pan tym wszystkim nie martwi, doktorze Doyle - odparł tamten. - Uważam, że wyprawił pan Holmesowi naprawdę piękne pożegnanie.

I dotknąwszy hełmu, odszedł.

ROZDZIAŁ 6

...DOTYCHCZAS

*Świat jest pełny morderców i ich ofiar;
i jakże pożądliwie szukają się nawzajem!*

ZDANIE PRZYPISYWANE AMBROSE'OWI BIERCE'OWI;
BYĆ MOŻE APOKRYFICZNIE

6 stycznia 2010

Harold wszedł do recepcji przy dźwięku wydawanym przez kaczki w okresie godowym. To zebrani tu sherlockiści kwakali jeden na drugiego, czekając niecierpliwie. Zebrani jedynie w tym sensie, że wszyscy znaleźli się w jednym pomieszczeniu. Rechotali, wrzeszczeli i nawoływali przyjaciół jak motłoch. W niczym nie przypominali nobliwego zgromadzenia.

Setki sherlockistowskich luminarzy zajmowały fotele, chociaż żaden z nich naprawdę nie siedział. Harold miał wrażenie, że lewitują kilka centymetrów nad siedzeniem. Unosili się w powietrzu, wypytujac sąsiadów o pogłoski, obracając się to w jedną, to w drugą stronę, a Harold wychwytywał z tych rozmów tylko pojedyncze słowa: „spóźniony”, „Alex”, „zniknął”.

Po drodze do wolnego krzesła trącił w ramię starszą Angielkę, której nazwiska nie pamiętał. Odwróciła się, a jej siwe włosy zawirowały, ukazując tak grube okulary, że nikt by nie pomyślał, że da się w nich chodzić.

- Coś się stało? - zapytał, usiłując wyglądać nonszalancko.

- Alex się spóźnia - odparła szybko. - Dzwonili do jego pokoju, ale słuchawka jest odłożona. Zniknął.

- Jezu - powiedział Harold.

Pomyślał o jego zdenerwowaniu poprzedniego wieczoru. I przekonaniu, że jest śledzony. To nie mogła być...

Drobna, dość młoda kobieta, której Harold nie znał, usiadła po jego lewej stronie. Kiedy się odwróciła, fala kędzierzawych brązowych włosów odsunęła się na bok i Harold zobaczył tym razem oczy - szeroko otwarte, jak gdyby oglądanie świata było ciągłym aktem odkrywania. Jasnoniebieska suknia ujmowała jej lat, a różowo-żółty szalik sprawił, że przez sekundę wyglądała jak rozpakowany cukierek.

- Rany, ale hałas! - zauważyła.

Czy mówiła do niego? Patrzyła przecież przed siebie, lustrując dalej pokój.

- Aha - przytaknął jednak Harold cicho.

Odwróciła się do niego i jej bezpośredniość trochę go zaskoczyła.

- Przepraszam - rzuciła przyjaznym tonem. - Czy pan coś mówił?

- Hm, powiedziałem „aha”.

- Przepraszam, ale nie usłyszałam w tym hałasie. Co pan powiedział?

- Aha...

Zawahała się.

- Aha?

- Aha, powiedziałem... Aha. W znaczeniu: tak, całkiem spory hałas. Tutaj.

Przyglądała mu się przez chwilę, oceniając go.

- No tak. - Znowu się odwróciła.

Harold poczerwieniał, potem zaczął mówić, czując wewnętrzny przymus. Miał ten okropny zwyczaj, że kiedy był zdenerwowany i nie wiedział, jak się zachować, wyrzucał z siebie przypadkowe słowa, jedno po drugim, jak gdyby miał nadzieję, że któreś z nich zwróci uwagę rozmówcy.

- Przyszła pani na wykład? Jestem Harold. Ciągłe pada na dworze? Harold White.

Kobieta w zamyśleniu uniosła brwi. Prawdopodobnie podejmowała decyzję, na które pytanie odpowiedzieć.

- Haroldzie - powiedziała. - Czy zna pan Aleksa Cale'a? - Najwyraźniej nie wybrała żadnego.

- Jesteśmy przyjaciółmi - odparł, ciesząc się, że jakoś nawiązał rozmowę. - To znaczy, pozostajemy w przyjaznych stosunkach. Widziałem go wczoraj wieczorem. W hotelu.

- Był tu wieczorem?

- Tak. Złapał go deszcz. - Zbeształ się w myślach za skupianie się na ulewie. Był pewien, że mógłby powiedzieć tej kobiecie coś bardziej interesującego. - Prawdę mówiąc, robił wrażenie zdenerwowanego. Powiedział, że ktoś go śledzi. Ale, wie pani, on uwielbia dramatyzm.

Kobieta popatrzyła na szerloka Harolda. Wskazała go prawą brwią.

- Wygląda mi na to, że pan również. Myśli pan, że ktoś go śledził?

To było trudne pytanie. Prawdopodobnie najtrudniejsze, jakie mogła mu zadać.

- Nie. Może. To znaczy... Czy to nie byłoby fantastyczne? No, nie, gdyby się stało coś złego, ale... godne uwagi. Wie pani, co mam na myśli.

Było w niej coś, co sprawiało, że Harold chciał mówić i nie przestawać. To była pociągająca cecha i typowa dla... dziennikarki?

Kiedy Alex Cale ogłosił swoje odkrycie, dziennikarze zalali Chłopców z Baker Street prośbami o zgodę na ich udział w stycznym zjeździe. No, „zalali” jak na standardy sherlockistów, gdyż ludzie opętani na punkcie Sherlocka Holmesa zwykle nie przyciągali dużej uwagi mediów. Mieli jednak sztywne zasady, co do takich spraw: nikomu, kto nie był członkiem akredytowanej organizacji sherlockistów, nie wolno było uczestniczyć w weekendowym wykładzie. Wszystkie prośby odrzucono.

- Przepraszam - przerwał Harold samemu sobie. - Kim pani jest?

- Sarah Lindsay - powiedziała radośnie. - Miło mi pana poznać! - Wyciągnęła do niego rękę.

- Której organizacji jest pani członkinią?

- Och, żadnej - odparła. - Jestem reporterką. Piszę artykuł o Aleksie Cale'u i zaginionym dzienniku.

- Jak się pani tu dostała?

Wzruszyła ramionami.

- Jeffrey Engels - wyjaśniła. - Wysyłaliśmy do siebie maile przez jakiś czas i mnie wpuścił.

Harold pomyślał, że to trochę dziwne - czy Jeffrey nie wspomniałby o tym, gdybym postanowił zrobić dla niej wyjątek?

- To taki miły gość, ten Jeffrey - ciągnęła. - Pan też jest Chłopcem z Baker Street?

- Tak.

Uświadomił sobie, że wypaplał już wszystko, co mógł wiedzieć na temat Aleksa: jego dziwne zachowania poprzedniego wieczoru i paranoi. Sarah sprawi, że Alex i Chłopcy z Baker Street wyjdą na durniów. Wyśmiejże ich nawiązujące do epoki elementy stroju, niekiedy napuszone popadanie w niemożliwą do zweryfikowania uczoność, ich „dar dramatyzowania”, jak powiedział przed chwilą. Skrzywił się nerwowo.

- Martwi się pan, że tu jestem? Niepotrzebnie, zapewniam.
- Nie, ja... Nie wiem, o czym pani mówi. Po prostu mamy zasady dotyczące reporterów. W ogóle wszystkich obcych. Nie...
- Haroldzie, w porządku. Czym się pan martwi? Że będę się z panem droczyć z powodu szerloka? Czy tych fajeczek, które połowa z obecnych tu mężczyzn nosi w kieszeni płaszcza?

Harold uśmiechnął się. Była zabawna.

- Niech pani spojrzy - odparł. - Jesteśmy na konwencji poświęconej Sherlockowi Holmesowi. Czy nie uważa pani, że dopiero brak takiej czapki byłby trochę dziwny?

- Bardzo. Jeśli się chce zostać ekspertem od powieści detektywistycznych dziewiętnastego wieku, trzeba się zapewne odpowiednio ubierać. Ale czy nie jest pan trochę... za młody na członkostwo w klubie?

- Mogę być najmłodszym Chłopcem z Baker Street, ale znam się na tym wszystkim równie dobrze jak inni.

- Wierzę panu. I mogłabym poprosić, żeby pan to udowodnił.

Przerwał im dźwięk dochodzący z przodu. Jeffrey sprawdzał mikrofon na podium.

- Tak. Próba. Raz, dwa i tak dalej. Tak? Słyszać mnie? Dobrze. - Odetchnął głęboko i rozpostarł przed sobą kilka notatek. - Panie i panowie, ponieważ ciągle czekamy na spóźnionego Alexandra Cale'a, szanownego gościa tego poranka, pozwolę sobie powiedzieć kilka słów tytułem wprowadzenia. Miałem zamiar to zrobić, kiedy się pojawi, ale jestem przekonany, że pan Cale doskonale zna listę swoich wyczynów ani nie musi tracić czasu, słuchając mojej opowieści i kilku pikantnych dowcipów na temat pewnego wspólnie spędzonego wieczoru przy drinkach w Sussex wiele lat temu.

Rozległo się kilka chichotów i kilka bardziej znaczących rechotów.

- To zabawna historia - wyjaśnił Harold Sarah. - Chodzi o źle zaplanowaną wizytę w stajniach późną nocą.

Kiedy sir Arthur Conan Doyle przeszedł z ziemskiej świadomości do następnej, jak by to sam określił, siódmego lipca 1930 roku, pozostawił dwadzieścia osiem powieści, dobrze ponad sto opowiadań, siedem tomów esejów o spirytualizmie, cztery woluminy pamiętników i oczywiście ogromny zbiór listów i dzienników, które natychmiast trafiły w ręce gorliwych badaczy. Z listów i dzienników poznaliśmy postać Conan Doyle'a nieco odbiegającą od jego publicznego wizerunku. Zobaczyliśmy w nim wiecznego uczniaka, wyobrażającego sobie, że jest błędnym rycerzem rzucającym się na pomoc bezbronnym, nieszczęsnym dziewczętom. Przeżywającego konflikt romantyka, wplątanego w platoniczny romans z młodszą od siebie kobietą, podczas gdy jego chora żona powoli umierała. I zazdrosnego artystę, wściekającego się strona za stroną zamasztyego, starannego pisma na jasno świecący wytwór swojej wyobraźni. Przy tym bogactwie materiału badacze zdołali stworzyć piękną rozmaitość doskonałych biografii. - Jeffrey pochylił się do przodu. - To, że więcej niż kilku z nich było członkami tej czcigodnej instytucji, jest drobiazgiem, z którego osobiście czerpię wielką dumę. Andrew Lycett, John Dixon Carr, Martin Booth i, bodaj najbardziej definitywnie, Daniel Stashower stworzyli mistrzowskie portrety przyjaciela i agenta literackiego Johna Watsona.

Sarah zrobiła zdziwioną minę.

- Przyjaciela i agenta literackiego?

- Tak, oto Jeffrey dyplomatyczny - szepnął Harold. - Większość sherlockistów jakby... ech, udaje, że Holmes istniał naprawdę, a Conan Doyle opublikował jego przygody jako fikcję,

żeby zachować jego prywatność. Rywalizujący z nimi doyle'anie, jak sami siebie nazywają, uważają, że sherlockiści są głupi. Gdyby Jeffrey uznał Doyle'a za autora opowiadań, połowa obecnych okrzyknęłaby go bluźniercą. Lepiej stać po stronie sherlockistów.

- Dobrze, że nie przysłałam was wyśmiać - zauważyła Sarah.

- ...uznanie dla pracy Stashowera, zestawienie najbardziej szczegółowego opisu życia i czasów Doyle'a, jaki widzieliśmy - ciągnął Jeffrey. - Ale prawdziwie pełna biografia pisarza ciągle była nieosiągalna. Jego dziennika, obejmującego wpisy od października do końca grudnia 1900 roku, nie było wśród porządnie poukładanych papierów znalezionych w jego gabinecie w Undershaw po tym, jak umarł. Oczywiście krążyły plotki, że któreś z jego dzieci mogło go gdzieś ukryć, żeby potajemnie go sprzedać. Ale nic nigdy ich nie potwierdziło. W rzeczy samej, poza kilkoma szybko zdemaskowanymi falsyfikatami przez ponad osiemdziesiąt lat nikt nigdzie nie natrafił na ślad dziennika. - Jeffrey przerwał, odetchnął głęboko i uśmiechnął się. - Lecz to się zmieniło.

W sali wybuchł aplauz. Jeffrey powiedział to triumfalnie jeszcze raz:

- Lecz to się zmieniło! Pan Alexander Cale, wielu z państwa znany osobiście, a wszystkim od strony zawodowej jako niezrównany sherlockiański badacz i krytyk, poszukiwał tego dziennika przez ponad dwadzieścia lat. Uczynił celem swego życia rozwiązanie ostatniej zagadki Conan Doyle'a. I niedawno tego dokonał. Jest tu dzisiaj - mówiąc te słowa, Jeffrey spojrzął za siebie, żeby sprawdzić, czy Alex się już pojawił; ale go nie było - żeby przedstawić nam znikający i pojawiający się dziennik i zdjąć zeń ciężar tajemnic. Przede wszystkim oczywiście tej, dlaczego dziennika nie było z pozostałymi tomami i gdzie się

znajdował przez cały ten czas. Ale dla przyszłych badań nad Holmesem może nawet ważniejsze jest pytanie: co robił Conan Doyle w tym czasie?

Luka w naszej wiedzy pojawia się zaraz po powrocie Conan Doyle'a z Afryki Południowej, gdzie pracował jako lekarz wśród brytyjskich żołnierzy rannych w wojnie burskiej. Jako patriota Doyle pojechał tam i latem wrócił, żeby przekonywać współziomków o słuszności sprawy. Kandydował do Parlamentu w Edynburgu, swoim rodzinnym mieście, i przegrał o włos. Skupiał się na polityce, swoich powieściach historycznych i sztukach. Sherlock Holmes nie żył wtedy od siedmiu lat i zgodnie z tym, co wiemy o Conan Doyle'u, wielki pisarz nie tęsknił za nim.

Potem nagle, w marcu 1901 roku pojawia się list do H. Greenbough Smitha z magazynu „Strand”. Conan Doyle chciał drukować tam w odcinkach nowe opowiadanie o Holmesie, rozgrywane przed jego śmiercią. To był „Pies Baskerville'ów” - nowy szczyt w kanonie. Potem przyszło opowiadanie, które poruszyło Londyn: „Przygoda w pustym domu”. Jego akcja rozgrywała się w 1894 roku i przywracało Sherlocka Holmesa do życia. Dowiadujemy się w nim, że Holmes upozorował własną śmierć w 1891 roku, żeby zmylić pomocników Moriarty'ego, i przez trzy lata anonimowo podróżował po świecie, a teraz wrócił, żeby zrobić porządek. To czarodziejskie, niepokojące interludium, podczas którego Holmes był na wygnaniu, nazywamy, jak państwo wiedzą, Wielką Luką. Ale wiemy znacznie więcej o działalności Holmesa w tym okresie niż Conan Doyle'a. Jakaż to wielka zmiana w nim nastąpiła, że skłoniła go do przywrócenia Holmesa do życia? Na pewno nie brakowało mu pieniędzy, chociaż wydawcy dobijali się do jego drzwi o kolejną zagadkę detektywistyczną. Więc dlaczego właśnie wtedy? I dlaczego tak nagle? Po co wracać do tanich kryminałów, jak je sam nazywał, i bohatera,

którego darzył, musimy to przyznać, niemałą antypatią? I w tej chwili, kiedy najbardziej chcielibyśmy zajrzeć do umysłu Conan Doyle'a, nie mamy takiej możliwości. Lecz to się zmieniło.

- Czy on już tego nie powiedział?

- Óóóó.

Ale niewiele już było do słuchania. Jeffrey obejrzał się ostatni raz, potwierdzając, że nie, Alex rzeczywiście nie wszedł do sali balowej. Kiedy kaczki zaczęły znowu kwakać, Jeffrey odwrócił się na podium, czekając, by jego spokój udzielił się zebrany.

- Panie i panowie, zdaje się, że mamy nową zagadkę! - Przez pokój przeleciał lekki śmieszek. - Jeśli wybaczą państwo dalsze opóźnienie, natychmiast rozpocznę śledztwo.

Zanim jeszcze Jeffrey zszedł z podium, salę zalała nowa fala gwaru. Garstka podekscytowanych sherlockistów wstała, po czym uprzytomniła sobie, że nie ma dokąd pójść. Harold rozpoznał Tsukagę Saito, cichego przewodniczącego największej grupy sherlockistów w Tokio. Stał na baczność u czoła tłumu, niemal buchając potrzebą zrobienia czegoś.

- Cóż, wygląda na to, że ma pani dość emocjonujący temat do reportażu - powiedział Harold do Sarah.

Tylko że kiedy się odwrócił, jej obok nie było. Wciągając szyję, rozejrzał się wokół i zobaczył, jak idzie, postukując butami na płaskim obcasie o śliską drewnianą podłogę. Jej celem był niewątpliwie Jeffrey, który, jak zawsze uprzejmy, usiłował wycofać się z sali balowej i odeprzeć hałaśliwy tłum sherlockistów zadających mu wciąż te same pytania.

Harold nie był świadom, że ruszył za Sarah. Później tłumaczył sobie, że zrobił to, żeby się przydać Jeffreyowi - nie godziło się, żeby właśnie teraz nękała go pytaniami. Choć, prawdę mówiąc,

odczuwał wyraźną potrzebę przydania się jej.

Mając przed sobą horde rozszuchwalonych entuzjastów zagadek, Sarah szybko zmieniła kurs i po cichu wyszła przez solidne drzwi na zewnątrz. Harold manewrował ostrożnie między rzędami, omijając na palcach stopy brodatego Niemca i rozciągając się nad kolanami drobnej Amerykanki w profesorskich samodziałach. Jego „proszę mi wybaczyć” i „przepraszam” niewiele dodawały do ogólnego zgiełku.

Przecisnął się w końcu przez zamykające się drzwi. Na korytarzu za nimi panowała zaskakująca cisza. Nigdzie nie było widać śladu Sarah. Nie widział jej w labiryncie holu ani tętniącego życiem lobby, do którego ów korytarz prowadził. Choć w otwierających się drzwiach windy mignęły mu jej włosy.

Harold - niespodziewanie dla samego siebie - ruszył za nią.

Przyspieszył i poczuł coś dziwnego w łydkach, co promieniowało do kolan. Uznał, nie na podstawie niedawnych doświadczeń, że to się nazywa bieganie. Sapiąc i dysząc, w ostatniej chwili wsunął dłoń między drzwi windy i ucieszyło go miłe „ding!”, kiedy te zaczęły się otwierać.

- Śledzi mnie pan? - zapytała.

Harold, ciężko dysząc, uchwycił się gładkiej złotej poręczy.

- Głęboki oddech - dodała. - Nic panu nie będzie.

- Powinniśmy... uff... powinniśmy... uff... z powrotem na dół - to było wszystko, co był w stanie odrzec.

- Dobrze powiedziane.

Wobec jej nieustępliwości postanowił zebrać się w sobie, zanim znowu spróbuje ją odwieść od jazdy na górę. Kiedy jego oddech się uspokoił, kolejne mechaniczne „ding!” obwieściło ich przybycie na jedenaste piętro.

Sarah ruszyła korytarzem wyłożonym jaskrawym dywanem, Harold podążył za nią.

Znalazłszy się pod drzwiami pokoju 1117, Sarah dwukrotnie przyjaźnie zapukała. Na klamce wisiała tabliczka „Nie przeszkadzać”. Czekali.

- Skąd pani wiedziała, w którym jest pokoju?

Uśmiechnęła się.

- Grzecznie zapytałam.

Zapukała ponownie, teraz energicznie.

- Alex? - zapytała, jak gdyby nic się nie stało.

Harold natychmiast się włączył:

- Alex, tu Harold White! Nie śpisz?

Ponownie drzwi nie dały im żadnej odpowiedzi. Harold wpatrywał się w tabliczkę, która zdawała się wpatrywać w niego, szydząc z niego swoją skutecznością. I kiedy cisza stawała się już deprymująca, w korytarzu rozległy się czyjeś kroki. Harold i Sarah odwrócili się i zobaczyli mężczyznę w ciemnym ubraniu. Krok za nim podążał Jeffrey. Pewnie dyrektor hotelu, pomyślał Harold.

- Kim pani jest? - zwrócił się Jeffrey do Sarah.

- Cześć - odparła. - Jestem Sarah Lindsay. Mailowaliśmy do siebie w sprawie tego weekendu.

Jeffrey zrobił kwaśną minę.

- Rzeczywiście - przyznał. - I pamiętam, że powiedziałem pani zupełnie jednoznacznie, że nie ma pani wstępu na dzisiejszy wykład. Co więc pani tu robi?

W odpowiedzi Sarah po prostu się uśmiechnęła.

- Reporterzy - stwierdził Jeffrey. - Nie przyjmujecie odmowy, prawda?

Sarah zwróciła się do jego towarzysza:

- Jim, nikt nie odpowiada na pukanie.

Mężczyzna w milczeniu podszedł do drzwi i kilka razy mocno w nie zapukał.

- Panie Cale?! - zawołał.

Nastąpiła długa, niezręczna pauza.

- Panie Cale, tu Jim Harriman! Jestem dyrektorem hotelu odpowiedzialnym za jakość obsługi.

Harold domyślił się, że to inne określenie zwykłego kierownika.

- Pana przyjaciel, pan Engels, mówi mi, że spóźnia się pan na spotkanie, więc wejdę, żeby się upewnić, że nic się nie stało. Panie Cale?

Ciągle nic.

Jim wyjął z portfela elektroniczny klucz i przesunął go przez zamek.

- Przepraszę państwa - stwierdził z ręką na klamce.

- Daj spokój - powiedziała Sarah. - To są jego przyjaciele. Jeśli coś się stało, mogą pomóc.

Harold nie mógł nie zauważyć, że o sobie nawet nie wspomniała.

Harriman popatrzył na szczerą twarz Sarah, potem na Jeffrey'a, oczekując reakcji. Nie znalazł jej. Pomyślał chwilę, po czym nacisnął klamkę w kształcie haka.

Harold poczuł, jak chłód rodzi się w mięśniach jego ramion i dreszczem schodzi w dół pleców, mrowiąc w palcach u nóg i właśnie zlodowaciałych u rąk. Jeszcze zanim światło z korytarza wtargnęło do ciemnego, szarego pokoju, wiedział, że coś jest nie w porządku.

Kiedy jego oczy przywykły do półmroku, zobaczył komodę w nieładzie, wyciągnięte i odwrócone do góry dnem szuflady, przekrzywiony abażur i ciemne plamy na wyjściowych koszulach leżących na beżowym dywanie. A potem półotwarte drzwi szafy, stos wieszaków na zewnątrz, rozrzucone w wachlarz papiery, niczym płatki śniegu.

Harold wszedł do pokoju na końcu. Cała czwórka poruszała się jak automaty na sztywnych nogach.

- Alex?

- Alex.

- Al...ex...

- ...Alex.

Każde z nich po kolei wymawiało jego imię, jak gdyby samo to słowo miało sprawić, że się pojawi. Wywoływanie wkrótce przeszło w recytację, śpiew, a potem w zaklinanie.

Nieporządek podkreślał szczupłość pokoju. Ciężkie żaluzje były szczelnie zamknięte, zatrzymując wewnątrz ciemność. Harri-
man wszedł do środka przez wąski korytarzyk, obok drzwi do łazienki i szafy, w stronę komody pod ścianą po prawej stronie i drewnianego biurka w kącie. Po lewej stronie pokój zdawał się rozkwitać otwartą przestrzenią - tam musiało być łóżko.

Harold patrzył, jak Jim zwalnia w pół kroku, minąwszy róg pokoju, a potem zobaczył, że Jeffrey robi to samo, a po chwili marszczy brwi, kręci głową, a przez jego ciało przebiega lekki dreszcz. Sarah stanęła obok niego, odwróciła się i ostro zaczerpnęła powietrza. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, miękko narysowana i wygładzona przez ciemność.

Harold opuścił na chwilę wzrok i zapanował nad nerwami przed zrobieniem następnego kroku. Stanąwszy obok Sarah, odwrócił się i zerknął nad jej ramieniem - nagle wydawała się taka wysoka.

Jego wzrok spoczął na rozbebeszonym łóżku i wyjętych z powłoczek poduszkach. Potem przesunął się na stolik nocny i telefon koloru khaki, którego słuchawka spoczywała na widełkach, a czerwona lampka oznaczająca wiadomość mrugała długim rytmem, mniej więcej w tempie oddechu Harolda. Później na fotel i taką samą otomanę i kolejne porozrzucone papiery, robocze spodnie i kilka książek. Aż w końcu na podłogę i martwego Aleksa Cale'a.

ROZDZIAŁ 7

KRWIOPIJCA

- Lojalny przyjaciel i prawdziwy dżentelmen - powiedział Holmes, powstrzymując mnie uniesioną dłonią. - Na teraz i na zawsze to wszystko, co powinniśmy wiedzieć.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
ZNAMIENTY KLIENT

18 grudnia 1893

Londyn stał się dla Arthura obcym lądem, pełnym dziwnych ludzi zajętych swoimi dziwnymi sprawami. Czuł się jak kapitan Nemo dryfujący z dala od cywilizacji i otoczony potworami. Brnąc przez resztę tego dziwaczego dnia, miał wrażenie, że czyjeś oczy śledzą go przez całą drogę wzdłuż Strandu aż do Simpsona, gdzie zatrzymał się, żeby zjeść obiad. W środku błyskały ku niemu z każdego ciemnego kąta, kiedy jadł cynaderki i czytał gazety. Przerzucił ostatnie strony „Timesa” i stwierdził, że nawet karykaturzyści utoczyli swoją porcję krwi. Prostacki rysunek ukazywał chłopca czytającego ostatnie opowiadanie o Holmesie, a na jego twarzy malowały się smutek i rozczarowanie. Teraz Arthura oskarżano o zniszczenie dzieciństwa całemu pokoleniu.

Zacharczał. Kropla sosu z cynaderek spadła na gazetę. Gorący wołowy wywar zamazał twarz chłopca, zniekształcając jego rysy. Skóra dziecka zrobiła się brązowa. Z zaciekawieniem Arthur wziął łyżkę, nabrał kolejną porcję i zepchnąwszy dwa ziarnka groszku i plasterek marchewki z powrotem na talerz, znów wylał kilka kropel zawiesistego brązowego sosu na gazetę. A potem jeszcze kilka. A potem całą łyżkę, aż tani papier zmarszczył się i rozdarł pod wpływem plynu.

Arthur rozejrzał się po restauracji, żeby się przekonać, czy ktoś zauważył jego błazeństwa. Nikt. Albo wszyscy zauważyli i teraz plotkowali o nim gniewnym szeptem.

Chodził chwiejnym krokiem, załatwiając sprawy: adwokat, apteka. Wiedział, że jeszcze kilka godzin temu miał zajść do jakiegoś ważnego sklepu, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć, do jakiego. Wstrząsnęło nim głębokie poczucie samotności.

Bywał sam wcześniej, to oczywiste, ale być samemu wśród tyłu ludzi, być jedynym zdrowym człowiekiem w domu wariatów - to dopiero jest samotność. W pierwszych - no, dobrze, pierwszych i jedynych - latach praktyki spędzał niekończące się popołudnia w swoim jasnym, pustym gabinecie, czekając przy tanim biurku na pojawienie się pacjentów. Wykorzystywał jednak ten czas, pisząc długą powieść *The White Company* i garść powiastek, w których po raz pierwszy pojawił się pewien detektyw konsultant. Wtedy były to takie przyjemne żarty - zadumany, kłótlivy detektyw i nieświadomy niczego, ograniczony pomocnik. Holmes był zbyt beznamiętny, zbyt daleki, żeby Arthur mógł się do niego przywiązać. Ale Watson! Cóż, Watsona można było pokochać. To on był alter ego Arthura, nie Holmes. To Watson dzielił z nim biografię, jego głos, jego porywy i romantyczne niepowodzenia. To za nim teraz będzie tęsknił. Ale wtedy, pochylony nad biurkiem, przez cały czas cierpliwie czekając na

dźwięk dzwonka, nie czuł się tak samotny jak teraz.

Skierował się do teatru Lyceum. Przeszedł po długich cieniach, jakie na kocich łbach rysowało jego sześć wysokich kolumn. Pod szerokim portykiem było ciemno i wydawało mu się, że w cieniu jest cieplej.

- Proszę, proszę - zakrakał upiorny głos z tyłu. - Wyglądasz jak straszydło. Umarł ktoś?

Arthur odwrócił się.

Zza trzeciej kolumny od końca, materializując się niczym duch w świetle słońca, wyłonił się tęgi, barczysty mężczyzna. Brodę miał przyciętą przy policzkach, a jego niemodnie krótkie włosy były przyklejone do czaszki od głębokiego przedziałka na lewo. Miał na sobie płaszcz i frak, a jego buty miały kolor tak głębokiej czerni, że aż lśniły. Był ubrany jak na państwowy pogrzeb albo - co w jego wypadku bardziej prawdopodobne - na premierę. Musiało minąć kilka sekund, by Arthur ochłonął z szoku i rozpoznał starego przyjaciela.

- Bram - powiedział, oddychając głęboko. - Aleś mnie przstraszył.

- Moje najszersze przeprosiny - odparł Bram Stoker, podchodząc, żeby uścisnąć dłoń Arthura. - To dlatego, że jesteś taki błady. Prawie cię nie poznałem.

- Błady? - Arthur oparł się o lodowatą ścianę Lyceum. - To był... To był dziwny dzień.

Szerokie główne drzwi do teatru nagle się otworzyły i na portyk wypadła rozpromieniona kobieta.

- Zatem do szóstej?! - zawołała do Brama.

Jej ciemne kędzierzawe włosy wysunęły się spod kapelusza. Uśmiechnęła się do Arthura i znacząco podniosła gęste brwi.

- Do szóstej - odpowiedział stanowczo Bram.

Kobieta - całkiem przystojna - poszła w stronę Strandu. Przez chwilę, zanim włączyła się w jego rytm i znikła w tłumie, Arthur

dostrzegł żałobną opaskę na jej ramieniu. Zazgrzytał zębami.

- Musisz pamiętać Ellen Terry - rzucił Bram, kiedy już nie mogła ich usłyszeć. - Jestem pewien, że widziałeś ją na scenie wiele razy.

- Och, tak. Oczywiście. Z pewnością, tak.

- Wariuje z tą Julią. - Uśmiechnął się. - Henry zbiera wszystkie pochwały za Romea i biedaczka jest trochę spragniona uwagi. Ale nie myśl, że Henry jest zadowolony z recenzji.

To była typowa rozmowa z Bramem. Jego życie polegało na uspokajaniu rozszalałego ego aktorów, których miał pod opieką jako menedżer Lyceum - szczególnie Henry'ego Irvinga. Irving z upływem czasu stawał się coraz bardziej despotyczny i próżny. Jako pięćdziesięcioletni był raczej za stary, żeby grać Romea, ale nie chciał słuchać obiekcji Brama. Kiedy ukazały się recenzje - oczywiście Arthur je czytał - i potwierdziły zdanie menedżera, no cóż, tylko rozzłościły starzejącego się aktora. Bram był oddanym sługą Irvinga, chociaż Arthur podejrzewał, że przez tych piętnaście lat, jakie upłynęły od czasu przyjęcia stanowiska, jego przyjaciel nie był zbyt wiele razy szczęśliwy.

Bram zawsze chciał być pisarzem. I na tym właśnie polegał problem. To wyjaśniało jego gorycz. Znosząc ciężar niewdzięcznej, wyczerpującej duchowo pracy mocno się trzymał swej namiętności do życia literackiego, którą rzadko się dzielił publicznie. Budził się wcześniej rano. I przed wizytą w Lyceum, gdzie musiał zażegnawać kolejny kryzys budżetowy i prawić pochlebstwa Irvingowi dopóty, dopóki go nie rozboleło gardło, pisał jakieś makabryczne i fantastyczne opowiadania - naprawdę ociekające krwią - a potem chował je w szufladzie. Raz tylko pokazał kilka Arthurowi, który był wstrząśnięty zawartą w nich przemocą.

Od czasu do czasu opisywał też swoje postępy w pracy nad dłuższym i wiecznie dalekim od ukończenia utworem o ożywionych upiorach i pijącym krew hrabim. Doprawdy, jak na człowieka tak potulnego i tak - Arthur nie bał się tego powiedzieć - grzesznie zniewieściałego, Bram miał spore zamiłowanie do groteski.

Poznali się dwa lata wcześniej, kiedy Bram kupił sztukę Arthura - przedstawienie na jednego aktora dla Henry'ego Irvinga. Potem były długie wieczory prób i jeszcze dłuższe sączenia burgunda, a Arthur znalazł w nim przyjaciela, który go rozumiał. I chociaż opowieści Brama nie przyniosły mu przez lata więcej niż pół pensa, a Arthur przez ten czas zapewnił sobie całkiem wygodną sytuację finansową, nie było między nimi na tym tle żadnych napięć.

- Masz chwilę? - zapytał Arthur.

- Dla ciebie zawsze - odpowiedział Bram. - Coś się stało?

- Nienawidzę go! - warknął Arthur nagle.

Bram roześmiał się.

- Mówimy o Holmesie?

- Nienawidzę go bardziej niż kogokolwiek! Gdybym go nie zabił, z pewnością on zabiłby mnie. A ci... ci ludzie zachowują się tak, jakby był rzeczywisty, jakbym zamordował im ojca albo matkę. - Arthur mówił coraz prędzej na temat niesprawiedliwości tego wszystkiego, tego, że Holmes odciągnął uwagę ludzi od istotniejszych rzeczy, tego, że dzieło artysty zaczyna przerastać swego twórcę, a jego oddech kłębił się w zimnym powietrzu jak dym z fajki.

Wreszcie Bram zaczął się śmiać i Arthur zamilkł, zaskoczony.

- Nienawidzę go - powtórzył.

- Zrzuciłeś tego biedaka ze skały - zauważył Bram. - Wyobraź więc sobie, co on musi sądzić na twój temat.

ROZDZIAŁ 8

ZACIEMNIONY POKÓJ

Przecież znasz moje metody. Zastosuj je...

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
ZNAK CZTERECH

6 stycznia 2010

Wszystkie historie o Sherlocku Holmesie zaczynają się w najciemniejszym kącie pogrążonego w ciemnościach pokoju. Holmes siedzi w ciężkim półmroku gazowego światła i dymu, przegląda codzienne gazety, zaciąga się fajką, wstrzykuje sobie kokainę. Wypuszcza kółka dymu w ponurą atmosferę pokoju, czekając na coś, co przebije ropień ciszy jego gabinetu i uwolni obietnicę przygody: śladów do zinterpretowania, zagadki, której nie umiałby rozwiązać. A po każdej historii wraca do tego samego pokoju i znów umiera z nudów. Ciemność jego gabinetu była jego klątką, ale również miejscem, gdzie rodził się jego geniusz. A kiedy do tego pokoju...

Harold wzdrygnął się i myślami wrócił do pokoju 1117, do jego tenisówek na grubym dywanie, do ramienia Sarah o włos od

jego twarzy i do nieżywego Aleksa przed nim.

Ciało Cale'a - a jedno spojrzenie wystarczyło, żeby stwierdzić, że jest martwy - było wciśnięte w dywan jak ciasto. Miał na sobie czarny garnitur na dwa guziki i grubą muszkę, nieco przekreconą. Przywodził mu na myśl przedsiębiorcę pogrzebowego - chociaż był bez butów, które stały porządnie obok, w cienkich elegancyjnych skarpetkach, prawie tak czarnych jak reszta ubrania. Czy właśnie się ubierał, kiedy go zabito? Szykował się do zasznurowania butów?

Harold podszedł do Aleksa, omijając Sarah. Pomimo setek ociekających krwią historii, jakie przeczytał, nigdy wcześniej nie widział na własne oczy prawdziwego trupa. Było to zarazem bardziej i mniej wstrząsające, niż przypuszczał. Oczy zaszyły mu mgłą i zagryził wewnętrzną stronę dolnej wargi na myśl o tym, że zaledwie kilka godzin temu widział Aleksa żywego. Stał jednak prosto i rozglądał się czujnie po miejscu zbrodni, co wydawało mu się zawstydzająco normalne.

- Dzwonię po policję - oznajmił kierownik.

Sięgnął po telefon na stoliku nocnym, ale zaraz gwałtownie się zatrzymał z ręką o kilka centymetrów od słuchawki. Mrugające czerwone światełko nadawało jego twarzy demoniczny wygląd. Rozmyślił się, nie chcąc niczego ruszać, po czym wyszedł z pokoju, by zadzwonić z holu.

- Chodźmy - powiedział Jeffrey. W jego oczach szklily się łzy.

Harold wiedział, że rozsądny człowiek powinien opuścić to miejsce, pochyliwszy głowę wobec powagi śmierci. Rozsądny człowiek zdałby się na policję i oczekiwał wiadomości na temat śledztwa w porannych gazetach. I pod żadnym pozorem nie podszedłby do ciała Aleksa Cale'a.

Zrobił krok naprzód.

- Haroldzie, nie - w głosie Jeffreya było słychać napięcie.

- Co by zrobił Sherlock Holmes? - zapytał Harold do szaleństwa poważnie. Musiał to zrobić, musiał się przekonać, czy potrafi.

- Holmes by się wczułgał z powrotem na stronicę, z której przyszedł.

- Ale co by zrobił, gdyby był prawdziwy? - Nie mógł opanować ciekawości.

- Haroldzie, to chore. Nie będę w tym brał udziału.

- Poszukałby śladów stóp na podłodze! Tak. W najpierwszej historii, „Studium w szkarłacie”, zaczyna od zbadania podłoża.

- Tu jest dywan - zauważył Jeffrey.

Harold spojrzał w dół. Rzeczywiście, całą podłogę pokrywał pluszowy beżowy dywan. Nie było na nim widać żadnych śladów stóp. Sherlock Holmes nie był rzeczywisty, a Harold nie był detektywem.

- Ale Holmes zawsze je znajduje - upierał się Harold. Nie potrafił się powstrzymać.

Sarah patrzyła na niego z mieszaniną zachwytu i oszołomienia.

- Pan mówi serio - powiedziała, uśmiechając się.

- Nie mówisz poważnie - stwierdził Jeffrey. - To obłąkańcze. Jesteś badaczem literatury, a nie jakimś zakichanym detektywem.

Przenosząc wzrok z Jeffreya na Sarah i rozpaczliwie szukając wsparcia, Harold zobaczył przez mgnienie oka własne odbicie w dużym lustrze, wiszącym na otwartych drzwiach łazienki. Zobaczył swoje brudne tenisówki i zwłoki za nimi. Przesunął wzrok po wyprostowanej sylwetce do szerłoka na swojej głowie. Zamarł na chwilę, porażony tym widokiem. Spojrzał na Sarah, jakby był dzieckiem oczekującym choćby najdrobniejszego wsparcia.

- Jaka jest druga rzecz, którą robi Holmes? - zapytała.

Harold i Jeffrey wpatrywali się w siebie przez długą chwilę.

- Nie rób tego - powiedział Jeffrey stanowczo. - Psiakrew, ani mi się waż.

- „Sherlock Holmes zbliżył się do ciała i uklękawszy, zbadał je uważnie” - zacytował Harold i pochylił się nad zwłokami, zginając się wóół jak tancerz.

Lewe oko Aleksa było niemal zamknięte, ale prawe pozostało szeroko otwarte, jakby wytrzeszczone, chociaż, prawdę mówiąc, trudno to było stwierdzić w tej sytuacji. Gęste ciemnon Blond włosy przycupnęły na jego głowie niczym kura znosząca jajko - to wrażenie dodatkowo potęgowała niemal przezroczysta bladość jego twarzy. Nadal miał na nosie okulary w tytanowej oprawce - nie wygięły się ani nie stłukły. Tęcza czerwonofioletowych pręg owijała się wokół jego szyi, tworząc imponujący impresjonistyczny siniec. Dostrzegł też luźno zwisający z niej cienki czarny sznurek, który wydawał się miękki jak materiał. Harold przykląkł na jedno kolano, żeby go zbadać, i dopiero wtedy poczuł lekki zapach kału unoszący się w powietrzu.

- Co on ma wokół szyi? - zapytała Sarah, klękając obok Harolda.

Harold przyjrzał się bliżej i wyciągnął rękę, żeby dotknąć sznurka. W dotyku przypominał bawełnę, lecz kiedy przesunął po nim rękę, znalazł plastikową końcówkę.

- Sznurwadło - stwierdził.

Kiedy Sarah wyciągnęła rękę, żeby samej to sprawdzić, Harold popatrzył na buty Aleksa, stojące równo obok łóżka. W jednym brakowało sznurwadła.

- Jego sznurwadło - dodał.

Niezaprzeczalnie, uniesienie pojawia się w chwili nawet najmniejszego odkrycia - klucze do domu wykopane z głębokich

kieszeni wczoraj noszonych spodni; cyfry dawnego numeru telefonu mamy odnalezione w jakiejś poroślej mchem prekambryjskiej umysłowej Arkadii. Niewiele rzeczy przyprawia ludzki umysł o taki dreszcz jak łączenie faktów, odkrywanie, rozwiązywanie. Harold drżał na całym ciele.

- Co potem zrobił Holmes? - zapytała Sarah.

- Niech go pani nie zachęca! - warknął Jeffrey. - Już jedźcie policja. A oni będą mieli prawdziwych detektywów. Z prawdziwym sprzętem. To jest miejsce przestępstwa, Haroldzie, nie możesz tu niczego dotykać. Holmes nie znał analizy odcisków palców, ale my tak.

- Słuszna uwaga - przyznał Harold z namysłem. - Ale Holmes sobie całkiem dobrze radził bez niej, nieprawdaż? Dzisiaj mamy zespoły badające miejsca zbrodni i elektrostatyczne zdejmowanie odcisków palców. Ale jaką mamy wykrywalność sprawców morderstw w Nowym Jorku? Sześćdziesiąt procent? Moim zdaniem Holmes radził sobie o wiele lepiej.

- To jest wariactwo - nalegał Jeffrey. - W porządku. Alex nie żyje, a ty jesteś w szoku. Ale nie waż się robić bałaganu na miejscu zbrodni, bo prawdziwa policja nie znajdzie zabójcy. Będą tu lada chwila.

- Ma pan rację - odparł Harold. - Będą tu za chwilę. Lepiej zbadajmy pokój, zanim się zjawią i wszystko zadepczą. W „Studium” policja się zjawia i przewraca wszystko do góry nogami, zacierając właściwe ślady. A my nie chcemy przecież stracić żadnych dowodów.

- Słyszysz siebie, Haroldzie? Zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? - Jeffrey chrząknął i odetchnął głęboko. - Nigdy nie chciałem ci tego mówić, ale zawsze głupio wyglądałeś w tej czapce. Zdejmij ją i chodźmy.

Nie zwracając na niego uwagi, Harold przeszedł w lewy kąt pokoju i zaczął od niego dokładne, systematyczne oględziny wzdłuż ścian.

- Sarah, nie mamy dużo czasu. Rozejrzysz się za dziennikiem? Choć nie sądzę, żebyśmy go znaleźli. Morderca starannie przeszukał pokój i zapewne trafił na to, czego chciał.

Nie żeby Sarah bez chwili zastanowienia ruszyła przekładać przedmioty na miejscu zbrodni. Tyle że potrzebowała na to naprawdę chwili, mniej niż atomowy ułamek sekundy, kwantowy okres podejmowania decyzji. Niemal natychmiast znalazła się wśród porozrzucanych papierów, zbierając je w stopy i oceniając ich ważność.

- Jak wygląda ten dziennik? - zapytała.

Harold pomyślał chwilę.

- Oprawiony w skórę. Stary. Od razu się wie, że to stuletni dziennik.

- Myślałam, że Holmes posługuje się aforyzmami, a nie tautologiami.

- Myślę, że jak go zobaczysz, to będzie całkiem oczywiste, dobra?

Porozrzucane papiery przeglądane przez Sarah przyniosły niewiele informacji interesujących detektywów amatorów - strony od 709 do 841 nieukończony biografii Conan Doyle'a Aleksa Cale'a, która, sądząc po tym fragmencie, byłaby idealnie wyczerpująca. Sarah podniosła staroświeckie pióro wieczne leżące obok ciała i pokazała Haroldowi. Był to Parker Duofold, model Big Red, prawdopodobnie z lat dwudziestych - czarna nakrętka, trzon czerwony. Conan Doyle mógłby pisać nim ostatnie opowiadania o Holmesie.

Znalazła też kilka książek w twardych oprawkach. Pełny zbiór historii o Holmesie, brudny i postrzępiony od ciągłego używania i niemal całkowicie niebieski od notatek na marginesach. Pod niskim fotelem leżała teczka Cale'a, którą Harold natychmiast rozpoznał. Była otwarta. I pusta.

Kiedy Sarah przeszukiwała podłogę, Harold przyjął punkt widzenia gryzonia w miejscu, gdzie beżowy dywan spotykał się z tapetą koloru écru, pod wzorem lilii w pionowych rzędach, które zdobiły większą część ściany. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął szkło powiększające, zazwyczaj służące mu jako zabawka, kiedy się denerwował albo nudził.

Na ten widok Jeffrey z zawstydzeniem pokręcił głową. Nie zważając na nic, Harold rozpoczął metodyczne badanie ścian pokoju. Przez szkło widział zmarszczki na tapecie. Co chciał znaleźć Holmes, kiedy przeszukiwał ten pamiętny dom przy Lauriston Gardens, prowadząc swoją pierwszą sprawę? Tamten pokój był zapuszczony, pokryty kurzem i pleśnią. Holmes przekopał się przez nie i świecił zapałką w najciemniejszych kątach, gdzie w końcu odkrył słowo „RACHE” - po niemiecku „zemsta” - wypisane krwią u dołu ściany w nieużywanej części pokoju. Ale, pomyślał Harold, chociaż ta wskazówka była sensacyjna, czego Holmes tak naprawdę szukał? Nie oczekiwał przecież, że morderca zostawi wszystko wyjaśniającą wiadomość.

Harold widział jedynie czystą hotelową tapetę i świeżo wyczyszczony dywan. Nie marzył nawet o odkryciu tak dramatycznej wskazówki, ale metoda Holmesa zadziałała. Po prostu musi. Więc czego, do licha, powinien szukać?

Posuwał się centymetr po centymetrze wokół pokoju w stronę drewnianego biurka. Leżąca na nim bezładna góra papierów i piór zdawała się sugerować, że ten, kto splądrował pokój, chciał się upewnić, że żaden zaginiony dziennik nie został ukryty w hotelowym przewodniku po płatnych kanałach. Harold odsunął krzesło i wczołgał się pod mebel, kontynuując badanie. Ciemność jednak utrudniała działanie, więc sięgnął po przewróconą lampę, zapalił ją i skierował jej światło na ścianę.

Potem ją upuścił, podskakując jak ugodzony rykoszetem. Żarówka roztrzaskała się, wyrywając Sarah i Jeffrey'a z zamyślenia. Oboje rzucili się w jego stronę. To, co zobaczyli, wyglądało na pierwszy rzut oka jak niewielka ciemna plama na jasnej czystej ścianie. Ale kiedy ukłękli, zaczęli rozróżniać brązowoczerwone litery nabazgrane nad linią dywanu, jak gdyby ktoś zrobił to palcem. Nie potrzeba było szkła powiększającego, żeby przeczytać jeszcze schnące słowo:

ELEMENTARNE

Było napisane krwią.

ROZDZIAŁ 9

SENSACYJNE WYDARZENIA

*Jeszcze nie znasz Sherlocka Holmesa...
Może ci zupełnie nie przypaść do gustu.
Życie z nim na co dzień może nie być takie proste.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
STUDIUM W SZKARŁACIE

18 października 1900

Bomba w poczcie Arthura nie wybuchła zgodnie z planem.

Jakieś dziesięć minut przed eksplozją Arthur zasiadł do śniadania przy oknie. Szare jesienne światło wpadało przez dziewięć kwadratowych szybek. W takie dni białe drewniane szprosły wydawały się jaśniejsze od niego. Arthur zabrał się do jajek z pomidorem.

Od śmierci Sherlocka Holmesa minęło siedem lat. Siedem lat opowiadań, przygód i nowego życia, które Arthur sobie zorganizował z dala od dawnego. Porzucił Londyn dla Hindhead. Ten dom, Undershaw, zbudował trzy lata wcześniej. Już wtedy był okazały, ale w miarę upływu lat stawał się coraz bardziej imponujący.

W posiadłości panował nastrój karnawału. Były tu wielkie stajnie, które przyciągały przyjaciół z miasta w niemal każdy weekend, biegające tam i z powrotem dzieci i dalecy krewni, kominiek, w którym można było rozpalić duży ogień jak podczas hinduskich świąt, ciemny, cichy pokój bilardowy, w którym Arthur już zdążył przegrać z Bramem i Jamesem Barriem. Na nowym lando, kupionym za sto pięćdziesiąt funtów, plus para koni, żeby je ciągnąć, służba właśnie malowała rodzinny herb. Istotnie, Arthur zadbał o umieszczenie go we wszystkich możliwych miejscach. Przypominał mu, skąd przyszedł, i dumę, jaką czuł na myśl o tym, do czego doszedł. Zadziwiające, ile człowiek może osiągnąć dzięki prostej umiejętności posługiwania się piórem i snucia porządnej opowieści. Dom kupiony za fantazję, dom zbudowany za tani kryminał.

Siedem lat Sherlock Holmes pozostawał pogrzebany pod wodami wodospadu Reichenbach. Owszem, ludzie nadal o nim mówili, pisywali, omawiali jego przygody, tęsknili za nim i błagali o jego powrót w listach do wszystkich czasopism, w których się wcześniej pojawiał. Ale nie tutaj. Tutaj nikt nie śmiał o nim mówić. Nazwiska „Sherlock Holmes” nie wymawiano na głos w obecności Arthura ani w jego dostatnim domu, za który detektyw zapłacił.

Pięć minut przed wybuchem Arthur wstał od śniadania i poszedł zabrać pocztę z niedużego mahoniowego stolika znajdującego się w westybulu. To akurat lubił wykonywać sam. Kiedy szedł przez korytarze swojej rezydencji, odczuwał zadowolenie. Mały zastęp dzieci i ich opiekunek szalał na górze, kłusując ciężko między ośmioma pokojami. Na dworze stajenny karmił Brygadiera, konia Arthura, ośmiolatka mocnej rasy z Norfolk. Przez frontowe okna Arthur widział sosny górujące nad jego dwupiętrową rezydencją. Może na Boże Narodzenie kupi którąś z pobliskiego lasu do salonu.

Arthur zebrał stos porannej poczty i skierował się do gabinetu, by ją przejrzeć. Szybko otworzył listy. Przyszła uprzejma wiadomość od Innesa o wyborach, za którą Arthur był wdzięczny, ale wolałby nie myśleć na ten temat. Kandydował do Parlamentu w Edynburgu z programem w dużej mierze skierowanym przeciwko Burom. Kiedy wrócił z frontu, napisał historię tej wojny z perspektywy brytyjskiej, jak również wiele ulotek nawołujących rodaków do wsparcia wysiłku wojennego. Potem starał się o mandat, uważając, że jego poglądy będą przydatne w Westminsterze. Ale oprócz tego chciał też zwiększenia ceł na importowaną do Anglii żywność, którą z łatwością można było produkować na miejscu, i jednoczesnego obniżenia ceł na tę, której nie można było tu wytwarzać. Ów plan nie zyskał mu poparcia elektoratu, za to zmusił go do zaangażowania się w publiczną debatę na temat prawa wyborczego kobiet. Arthur nie miał zamiaru agitować w tej sprawie, ale był zawziętym antysufrażystą i kiedy go pytano, ujawniał w tej kwestii swoje zdanie. Kiedy ktoś rozrzucił w jego dzielnicy tandetnie wyglądające ulotki na temat jego katolicyzmu, stracił mandat kilkoma setkami głosów. Zamiast walczyć z pomówieniem, że jest pachołkiem papistów, wycofał się do Hindhead i wrócił do literatury.

Nadawcą drugiego listu, który otworzył, był H. Greenbough Smith, długoletni redaktor miesięcznika „Strand”. Ofiarowywał mu dziewięć tysięcy funtów za nową serię opowiadań o Holmesie. Arthur zmiął list i prędko wrzucił go do kosza. Amerykański „Collier's Weekly” zaś ofiarowywał mu dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za prawa do tego samego. Zignorował te prośby, nie zaprzatając sobie głowy oficjalną odpowiedzią obu redaktorom.

Właśnie napisał dwa nowe opowiadania o brygadierze Gerardzie (konia nazwał na cześć postaci, nie odwrotnie). Ale niezależnie od

tego, czego jeszcze dokona w swym życiu, Holmes zawsze będzie obok, gotowy utopić go w krwawych przygodach, tak ukochanych przez publiczność.

Arthur zaczerpnął kilka razy głęboko powietrza. Nie wpuścił myśli o Sherlocku Holmesie do tego domu.

Odłożył na razie resztę listów na bok. Pod nimi znalazł dość dużą paczkę. Otworzył ją teraz.

Była nadspodziewanie ciężka, owinięta w szary papier i przewiązana strzępiącym się sznurkiem. Na stemplu pocztowym widniało Surrey, ale nie było adresu zwrotnego. Na niecałą minutę przed wybuchem Arthur położył ją przed sobą na biurku. Z rozmachem przeciął sznurek i ostrożnie odwinął papier. Zobaczył czarne pudełko. Rozejrzał się za notatką czy kartą albo rachunkiem ze sklepu, ale nie znalazł niczego, co sugerowałoby zawartość paczki.

Kiedy zdjął pokrywkę, usłyszał odgłos metalu uderzającego o metal, a potem ostry szczęk. Spojrzał w dół i zobaczył całowej grubości laskę dynamitu spoczywającą na podściółce z pogniecionych gazet niczym dziecko w łóżeczku.

Stał bez ruchu przez całe pokolenie, przez wieki, przez najdłuższe cztery sekundy w życiu, rozważając swoją antypapieską postawę, i zastanawiał się, czy powrót do głębokiego katolicyzmu rzeczywiście nie byłby mu potrzebny. Wybuch nie nastąpił. Arthur nie zginął. I nie był pewny, czy potwierdzało to prawdę wiary w jedyny prawdziwy Kościół, czy nie.

Nie odczuwał również szczególnej ochoty, żeby się ruszyć, z obawy, że jakiegokolwiek wstrząśnięcie paczką może ponownie uruchomić zapłon. Tylko tyle wiedział na temat bomb dzięki służbie w pułku walczącym z Burami w Afryce. Ale bomby pocztowe nie były popularne wśród tamtejszych powstańców,

dlatego metoda ich rozbrajania nie była mu znana.

Otworzył usta, żeby wezwać pomoc, po czym się powstrzymał: A jeśli krzyk usłyszy Kingsley i przybiegnie. Albo Roger? Albo któraś ze służących? Nie wolno narażać czyjegoś życia w celu ratowania własnego.

Zajrzał do paczki, szukając wskazówek dotyczących konstrukcji bomby. Krótki lont - zaledwie na kilka sekund, pomyślał - prowadził od zapalnika na górze do końca laski dynamitu, która owinięta była kilkoma innymi przewodami, Arthur nie wiedział, w jakim celu. Zmięte kawałki papieru wyściełające pudełko drżały i Arthur szybko zdał sobie sprawę, że dzieje się tak wskutek drżenia jego rąk. Końce jego palców przywarły do krawędzi paczki, ale zdawało mu się, że drżenie zaczynało się w barkach i krótkimi falami przebiegało przez całe ciało.

Przyjrzał się bliżej gazetom. Pośród drobnego druku dostrzegł rysunek. Jakiś obrazek ilustrujący temat artykułu? Któryś z członków rządu? Mąż stanu? Przysunął paczkę do twarzy.

Rysunek przedstawiał chudego mężczyznę o ptasiej twarzy, w długim płaszczu, ze świdrującymi kropkami zamiast oczu i w wysokiej myśliwskiej czapce. To był Sherlock Holmes. Dynamitu nie obłożono gazetami; to były stronicze ze „Strandu”. Opowiadania o Holmesie. Strach Arthura zaczął ustępować wściekłości. Jeśli to, co ma się stać, stać się musi, niechby przynajmniej stało się niezwłocznie, pomyślał, jak zwykle cytując niedokładnie.

Odłożył paczkę na boczny stolik, a laska dynamitu przetoczyła się lekko w prawo, odsłaniając kolejny kawałek papieru pod spodem. Kopertę. Zaklejoną, sądząc z wyglądu. Czy odważy się sięgnąć po nią? Odważył się.

Delikatnie uwolnił kopertę spod ciężkiej laski. Widział słowa, ale nie mógł ich jeszcze przeczytać. A wtedy dynamit osunął się

z powrotem na coś twardego. Coś metalowego.

Arthur usłyszał kolejny raz odgłos metalu uderzającego o metal i szczęknięcie. Drugi lont, ukryty pod listem, zapalił się. Przewód owinięty wokół laski płonął.

Arthur zrobił to, co było najsensowniejsze - obrócił się na pięcie i tak szybko, jak pozwalały mu na to jego czterdziestoletnie nogi, pobiegł w przeciwnym kierunku. Dopadł drzwi, kiedy bomba wybuchła. Miał wrażenie, że od huku odpadają mu uszy. Okna wyleciały, szprosyp wypadły na zewnątrz, wszędzie leżało szkło.

Słyszał zbliżający się ze wszystkich stron zgiełk - to domownicy przybiegli, żeby zobaczyć przyczynę tak wielkiego hałasu. Nie śmiał się obejrzeć na to, co zostało z jego gabinetu.

Zerknął tylko na kopertę trzymaną w dłoni. Chociaż była pognieciona i cokolwiek zamazana od potu, to jedyne słowo nabażgrane na kopercie było całkiem czytelne:

ELEMENTARNE

ROZDZIAŁ 10

STOSOWANA NAUKA DEDUKCJI

Zbrodnia jest pospolita. Logika jest wyjątkowa.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
PRZYGODA W COOPER BEECHES

6 stycznia 2010

Harold starał się nie zwracać uwagi na kłócących się wokół niego sherlockistów. W miarę jak tembr ich głosów narastał, a w nim ton pretensji, skupiał się na trzech kostkach lodu w swoim południowym burbonie. Patrzył, jak ich ostre kanty zaokrąglają się w miarę topnienia. Potrząsnął szklanką, zalewając je alkoholem, i pociągnął długi łyk. Gdzieś już było południe.

Dwaj mężczyźni stojący za nim rzucali na siebie wzajemnie oskarżenia. W innych miejscach powstawały podobne spory, wywołane długotrwałym napięciem, które teraz zaczęło ustępować. Nie tylko Harold uznał się dzisiaj za detektywa. Bar był pełen snujących teorie sherlockistów, którzy wobec braku jakichkolwiek dowodów tworzyli wielkie teorie mające wyjaśnić zbrodnię. Drobne

kwestie, jak rozbieżność opinii co do kanonu, urastały do motywów brutalnego morderstwa. Niektórzy próbowali swych sił w grupkach, mając nadzieję, że tak najszybciej znajdą rozwiązanie. Inni rzucali się od razu w etap śledztwa, zamieszczając siebie na końcu historii i natychmiast oskarżając osobę po drugiej stronie stołu o jakąś nikczemną zdradę. Co więcej, używając przy tym sformułowań w rodzaju „nikczemna zdrada”. Każdy był podejrzany. Ale w tym największym skupisku sherlockistów na świecie każdy był również detektywem.

Mózg Harolda pracował na zwolnionych obrotach, zredukowany do zwierzęcych potrzeb (jedzenie, spokój, burbon) i zwierzęcych odgłosów (jednosylabowe potakiwania, gardłowe wycie). Chciał wrócić do domu.

Był przerażony. Realność tej śmierci zlewała mu głowę potem. Nerwowo wrzucał do ust precle stojące na barze i gryzł je głośno, usiłując zagłuszyć dookolne rozmowy. Większość ludzi traci apetyt pod wpływem stresu. On życzyłby sobie tego każdej pełnej niepokoju nocy, kiedy opychał się czipsami. Gdy był przygnębiony, umiał się ograniczyć do gór mrożonego jogurtu kokosowego, ale w stresie potrzebował sporego zastrzyku słonych węglowodanów. Zwykle w takich sytuacjach unikał picia, ale tym razem posłużył się dziesięcioletnią beczułką, żeby uspokoić nerwy.

Sarah, pojawiwszy się znikąd, wsunęła się na stołek obok niego i żeby go pocieszyć, poklepała go poufale między łopatkami. Niezbyt to lubił, ogólnie rzecz biorąc, chociaż w tym wypadku wydało mu się to nawet przyjemne.

- Jest wpół do dwunastej - powiedziała z uśmiechem, wskazując ruchem głowy jego szklankę.

- To był długi poranek - odrzekł.

Zgodziła się z nim i poprosiła barmana o kawę. Milczała dopóty, dopóki jej nie podano.

- Czy policja obeszła się z tobą szorstko? Funkcjonariusze potrafią być... niemili.

Harold nie był pewien, czy to właściwe słowo na ich opisanie. Jego zdaniem lepiej by pasowało „przerażający”.

Kiedy zjawili się na miejscu zbrodni i zastali go z poduszką w ręce, natychmiast zakuli go w kajdanki. Dokładna przeprowadzona przez dwie osoby rewizja nie przyniosła żadnych rezultatów, ale wystarczająco zniechęciła Harolda do bliższego kontaktu z osobami w mundurach. Potem, nadal skutego, zaprowadzono go do pustego pokoju w tym samym korytarzu i wypytywano o jego relacje z Alekssem i odkrycie słowa na ścianie - miał wrażenie, że spędził tam z nimi cały dzień. A ponieważ zdenerwowanie i głód Harolda rosły, jego odpowiedzi na pytania stawały się coraz bardziej zawile, przesłaniając oczywisty fakt, że Harold nie tylko nie zabił Aleksa Cale'a, ale też nie ma najmniejszego pojęcia, kto to zrobił. Wreszcie po spisaniu wszystkich informacji z jego prawa jazdy i wyraźnym oznajmieniu, że ma nie wyjeżdżać z miasta do zakończenia śledztwa, wypuszczono go. Z wielkim zdziwieniem stwierdził, że całe przesłuchanie nie trwało dłużej niż półtorej godziny.

- A ty skąd o tym wiesz? - zapytał.

- Pracowałam kiedyś dwa lata w „Salem News”, pod Bostonem. Przydzielono mnie do działu przestępstw, ale w takiej małej gazecie oznacza to głównie wykonanie telefonu do szefa miejscowej policji z pytaniem, kogo aresztowano poprzedniego wieczoru. Tak czy owak, człowiek się uczy uśmiechać, być miłym i stwarzać wrażenie, że to oni rządzą, nawet jeśli w zamian słyszy „kotku”. Ale niewiele mogłam na to poradzić - oni oczywiście rządzą. - Upiła znowu łyk kawy i obróciła się na stolku, zwracając twarzą do Harolda, co zmusiło go do tego samego. - Nie przeszkadza ci,

że jesteś podejrzany? - zapytała.

Harold od razu wiedział, jak na to odpowiedzieć.

- Naprawdę myślisz, że jestem podejrzany?

- Wydaje mi się, że chcieli ci po prostu dać nauczkę za panoszenie się na miejscu zbrodni. Chcieli cię nastraszyć.

- I udało im się.

Sarah się roześmiała.

- Zdaje się, że wszyscy tutaj mają teorię na temat tego, kto to zrobił - zauważyła, wskazując na kłócących się wokół baru sherlockistów. - A co ty o tym myślisz?

Wszystko, co mu przyszło do głowy na ten temat, nie było ani obiecujące, ani zachęcające do rozmyślań.

- Słowo „elementarne”... zostało użyte rzeczywiście tylko w jednym opowiadaniu o Holmesie.

- Naprawdę? - zdziwiła się Sarah. - A ono nie wchodzi w skład jednego z tych sławnych cytatów Sherlocka Holmesa: „Elementarne, mój drogi Watsonie”?

- Tak, ale zdanie to nie zostało zamieszczone w oryginalnych opowiadaniach. Pochodzi z serialu filmowego z Jeremym Brettelem. Literacki Holmes tylko raz mówi do Watsona „elementarne”, w „Garbusie”.

- Hm.

- To bardzo szczególne słowo z bardzo szczególnego opowiadania. I umiejscowienie go... W „Studium w szkarłacie”, pierwszym opowiadaniu o Holmesie, detektyw znajduje słowo napisane krwią w podobnym miejscu na ścianie. W ciemnym kącie zacienionego pokoju.

- Ale to nie była krew Aleksa - zauważyła Sarah. - Na ciele nie ma żadnych nakłuc ani ran. Tyle udało mi się wyciągnąć od gli-niarzy.

- Tak samo jest w opowiadaniu. Krew nie pochodzi od ofiary, to krew zabójcy.

Zamyślili się na dłuższą chwilę.

- Rozwiązesz to, prawda? - powiedziała w końcu Sarah. - Rozwiązesz tajemnicę morderstwa Aleksa Cale'a - stwierdziła jeszcze raz, jakby to było oczywiste.

I Harold uznał, że tak właśnie się stanie. Był najmłodszym Chłopcem z Baker Street od czasu samego Cale'a. I uczci Cale'a, robiąc to, czego tamten nie zdołał. Ofiarowując to, czego tamtemu się nie udało - rozwiązanie.

- Muszę wiedzieć, kto zrobiłby coś takiego... Kto mógłby zabić w tak makabryczny sposób, a potem zostawić garść wskazówek odwołujących się do opowiadań o Sherlocku Holmesie.

Sarah powiodła wzrokiem po sali. Dwie kobiety narysowały na serwetce barowej coś, co wyglądało na plan miejsca zbrodni, i nawzajem tłumaczyły sobie, w jaki sposób musiało do niej dojść.

- Ktoś, kto przeczytał za wiele kryminałów - stwierdziła.

ROZDZIAŁ 11

SCOTLAND YARD

*Policja jest świetna w gromadzeniu faktów,
jednak nie zawsze wie, jak później te fakty wykorzystać.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
TRAKTAT MORSKI

19 października 1900

- Niech pan posłucha - powiedział nie za bardzo ogolony inspektor. - Nie wygląda na to, by chcieli pana zabić. Raczej dobrze nastraszyć, co?

Arthur westchnął i zabębnił palcami na malutkim biurku inspektora, na którym stała tabliczka z brązu ze świeżo odlanymi literami „INSPEKTOR MILLER”. Dwa paski przypięte do kołnierzyka dodatkowo podkreślały rangę stanowiska tego głupiego policjanta.

Główne biura Nowego Scotland Yardu, w których Arthur znalazł się po raz pierwszy, były w ten środowy poranek nadspodziewanie ciche. Budynek miał zaledwie kilka lat i wydawał się zbyt przestronny dla swoich gospodarzy. Arthur słyszał urozmaicony stukot służbowych butów, dochodzący zarówno z bliska, jak i z odległych korytarzy, który niczym jakiś plemienny

instrument z Transwalu stanowił delikatny perkusyjny akompaniament do tej irytującej rozmowy.

- To była bomba, proszę pana, którą ktoś włożył do mojej skrzynki na listy - oznajmił Arthur. - Zniszczyła połowę mojego biurka. Może pan zrozumieć mój niepokój? Moja rodzina była w domu. - Starał się panować nad sobą.

Poza ewidentną głupotą denerwował go w inspektorze Mille-rze irytująco optymistyczny wyraz twarzy. Welniste bokobrody zwisały z policzków policjanta, nadając mu wygląd umundurowanego psa rasy beagle.

- Rzeczywiście, doktorze Doyle. Rzeczywiście. My tu, w Yardzie, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zatrzymać drania, który stoi za tym zamachem. Proszę uwierzyć, że nie spoczniemy ani na chwilę, dopóki go nie przyskrzynimy. Chcę tylko panu powiedzieć, że nie ma powodu do niepokoju. Bomba była dość marna. I choć spowodowała dużo hałasu, był to zwykły czarny proch z dodatkiem siarki. Powiedziałbym, że chodziło bardziej o efekt niż skutki, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Arthur nigdy nie wyzwiał nikogo na pojedynek, ale w tej chwili zrozumiał wspinałą zasadność tej tradycji. Albo to, albo przyłożę mu w tej sekundzie - myślał, choć drugie wyjście wydawało się bez porównania mniej dżentelmeńskie.

- A towarzyszący bombie list? - wycedził przez zęby. - Jak pan go tłumaczy?

Wziął kopertę z biurka inspektora i potrząsnął nią przed jego twarzą niczym chińskim wachlarzem. Jej prawa krawędź była pośpiesznie rozdarta, gdyż Arthur chciał do niej jak najszybciej zajrzeć. W środku jednak nie znalazł listu, tylko wycinek z „Timesa” sprzed dwóch tygodni. Był to krótki artykuł o zabójstwie na East Endzie.

„Wstrętne morderstwo w Stepney” - brzmiał nagłówek. „Pan-
na młoda znaleziona nieżywa w kąpieli”. Chodziło w nim o
sprawę młodej kobiety, która została utopiona w wannie w wynaj-
ętym mieszkaniu na Salmon Street. Obok jej ciała leżała tania
ślubna suknia. Nie ustalono tożsamości ofiary ani jej męża, a je-
dyną wskazówką w tym względzie wydawał się dziwny tatuaż na
jej ciele. Przedstawiał wronę z trzema głowami. Ponieważ mar-
twe młode kobiety często znajdowano na East Endzie, przypad-
kowi temu nie poświęcono wiele uwagi. Ze względu na okolicz-
ności znalezienia ciała i tatuaż policja założyła, że zmarła była
nierządnicą, a jej śmierć stanowiła tylko dowód na to, jak mogą
skończyć lekkomyślne kobiety.

- Nie wyobrażam sobie, żeby chodziło tu o coś więcej niż o
podłą zabawę pana kosztem - odparł inspektor Miller. - Nie ro-
zumiem, po co ktoś miałby zwracać uwagę człowieka takiego jak
pan, o pańskiej pozycji, na martwą ładacznicę.

- A może zabójca tej nieszczęśnicy i konstruktor tej bomby to
jedna osoba?

- Tak jak mówiłem, doktorze Doyle, śledztwo jest w toku.
Może pan być pewien, że panujemy nad sytuacją. Przypuszczam,
że zajmują się nim nasi najlepsi ludzie. - Inspektor obciągnął dół
marynarki, poprawiając swój wygląd i dodając tym sobie kilka
centymetrów.

Zyskał tyle, że w oczach Arthura wyglądał jeszcze młodziej.
Sztwywny ciemny mundur sprawiał nawet wrażenie o numer za
dużego. A szczupły policjant prezentował się w nim raczej ni-
czym dziecko w ubraniu ojca niż żołnierz sprawiedliwości. Jeżeli
Miller to jest najlepsze, co Yard ma do zaoferowania, pomyślał
Arthur, to motywy tych zbrodni nigdy nie ujrzą światła dzien-
nego.

- Jeśli nie ma pan już nic do dodania - ciągnął inspektor, wy-
jmując spod stosu papierów stary, pożółkły magazyn - to chłopcy

obdarliby mnie ze skóry, gdybym nie poprosił pana o autograf.

Było to wydanie „The Strand” z grudnia 1893 roku. Głównym opowiadaniem była w nim *Ostatnia zagadka* - ostatnie opowiadanie o Holmesie. Widok tego tekstu wywołał w nim falę uczuć. Pierwsza przyszła duma i skłoniła go do wypięcia piersi z powodu ciężko uzyskanej sławy, która nawet teraz wyprzedzała jego ruchy. Jej miejsce jednak szybko zajęła pełna niedowierzania irytacja, która tak wykrzywiła mu twarz, że wąsy połaskotały go w czubek nosa. Teraz Holmes? Ten wampir podążał za nim wszędzie. Inspektorowi nie zależało na uznaniu ze strony Arthura. Obchodził go tylko Holmes.

Arthur wziął magazyn z biurka i podniósł do twarzy.

- I, no tak, proszę nie myśleć, że to dziwne, ale nie mógłby pan napisać: „Dla Eddiego, od jednego detektywa dla drugiego”? I jeszcze gdyby pan mógł podpisać: „Sherlock Holmes?”.

Tego już Arthur nie mógł znieść. Cisnął magazyn na biurko i wstał jak koń, który się spina do skoku. Spojrzał na inspektora z góry i oznajmił:

- Jeśli nie będzie pan traktował tych przestępstw z należną im powagą, będę zmuszony sam się nimi zająć.

Złapał kopertę i triumfalnie schował ją do kieszeni płaszcza, zanim inspektor zdążył zaprotestować.

- Odkryję tożsamość człowieka, który zabił tę bezbronną panę młodą i któremu niemal powiodła się próba zabicia mnie. I zrobię to bez pańskiej pomocy. Do widzenia.

Obrócił się na pięcie i sapiąc ze złości, ruszył w stronę drzwi.

- Doktorze Doyle - zaczął inspektor w nadziei, że Arthur żartuje. - Nic nie wiemy o tej nieżywej dziewczynie. Żadnych rzeczy, ani pierścionków, ani biżuterii. Gość, który prowadzi oberżę,

mówi, że... Zaraz, mam to gdzieś tutaj, nawet znalazłem dla pana akta. - Inspektor przerzucił papiery na biurku, aż znalazł to, czego szukał. - Mówi, że zjawiała się poprzedniego wieczoru z wysokim mężczyzną, bardzo chudym. Nie odezwał się ani słowem. Dziewczyna od razu zapłaciła trzy pensy za noc. Podała nazwisko Morgan Nemain. Sprawdziłem, z całą pewnością jest fałszywe. I nic w pokoju, co pozwoliłoby zidentyfikować ją albo jego. Tylko ta brudna suknia ślubna. Bóg wie, skąd pochodzi. I ten dziwny tatuaż, trzygłowa wrona, który musiał jej zrobić jeden z klientów, jeśli chce pan znać moje zdanie. Wie pan, jak to jest z takimi. Powiedzieli, że nie jest świeży, czyli już jakiś czas się tym trudniła. Mój człowiek zrobił rysunek. - Inspektor podniósł kawałek białego papieru, na którym narysowano kopię tatuażu dziewczyny.

Arthur zobaczył coś, co w pierwszej chwili wyglądało jak duża czarna plama, ale kiedy przyjrzał się bliżej, plama przybrała kształt czarnej jak smoła wrony z trzema głowami. Jedna patrzyła w lewo, druga przed siebie, trzecia w prawo. Pomyślał o fotografiach amerykańskich Indian.

- Ponadto - ciągnął inspektor - mówią, że niedługo powinien pan dostać tytuł szlachecki. Naprawdę chce się pan mieszać w takie paskudztwo? I czy w ogóle pan pomyślał, dlaczego ktoś miałby chcieć utopić ladacznicę z East Endu, a potem wysadzić w powietrze prawdziwego dżentelmena, takiego jak pan? Proszę. Niech pan będzie rozsądny.

Arthur zatrzymał się z ręką na klamce. Inspektor miał rację. Sprawa była rzeczywiście bardzo ciemna. Rozwiązanie leżało w mglistej dali i Arthur nie miał najmniejszego pojęcia, jak do niego dotrze.

- To sprawa godna samego Sherlocka Holmesa - powiedział inspektor Miller z uśmiechem.

Arthur ponownie pomyślał o pojedynku. Doprawdy dojdzie dziś do walki.

- Nie - zaczął Arthur. - To nie jest sprawa godna Sherlocka, psiakrew, Holmesa. To sprawa godna jego twórcy.

I po tych słowach wyszedł, zamykając zamasyście drzwi i pozostawiając inspektora Millera samego z bałaganem, jakiego narobił.

ROZDZIAŁ 12

PROPOZYCJA

- Moje honorarium jest jednakowe dla wszystkich klientów i ściśle określone z góry - rzeki Holmes oziębłe. - Nie zmieniam stawek, chyba że z jakichś względów nie przyjmuję zapłaty wcale.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
NIEZWYKŁE WYDARZENIA NA MOŚCIE THOR

6 stycznia 2010

- To nie jest, psiakrew, zagadka - upierał się Ron Rosenbaum, uderzając głośno dłonią w bar.

Harold podskoczył. Ron miał skłonność do wymachiwania rękami, kiedy był czymś poruszony. Im większe było jego zdenerwowanie, tym większą czujność musiał zachowywać Harold, żeby go nie trafił zbłąkany łokieć.

- Masz zamiar mnie w to wrobić! I obaj wiemy dlaczego! - ciągnął Ron.

- Słuchaj - odparł Harold. - Nie mówiłem, że masz coś wspólnego z tą sprawą. Z morderstwem.

- Szszzsz! - upomniał go Ron, rozglądając się po hotelowym barze. - Cicho. Nie chcę, by ktoś jeszcze się o tym dowiedział.

Ponownie zamachał łokciami i Harold się uchylił. Ron Rosenbaum był po czterdziestce, chociaż zmarszczki, jakie miał z powodu ciągłego mrużenia oczu, sprawiały, że wyglądał starzej. Trzyczęściowe garnitury, które nosił codziennie, czyniły z niego bankiera, ale Harold wiedział, że Ron jest właścicielem jakiejś małej firmy londyńskiej zajmującej się nieruchomościami. I na pewno nie był głównym obiektem niczyjego śledztwa.

Zwalił się na Harolda kilka minut temu, zaraz gdy Sarah poszła odebrać telefon, i natychmiast zaczął przekonywać o swojej niewinności. Z każdą minutą ożywiał się coraz bardziej, chociaż starał się zachowywać dyskretnie, przyciskając się do ramienia Harolda i szepcząc mu gniewnie do ucha.

- Czym ty się tak martwisz? - zapytał.

- Był tam, jak znalazłeś ciało, prawda? Co powiedział? Wiem, że mówił o mnie, nie kłam, do cholery.

Harold nie miał pojęcia, o kim Ron mówi.

- Jeffrey? Martwisz się o Jeffrey Engelsa?

Ron ponownie sprawdził, czy nikt ich nie podsłuchuje. Sherlockiści nadal stanowili większość klientów, okupujących stoliki w trzy- lub czteroosobowych grupkach.

- Wiesz, że często... grzecznie się różniliśmy w opiniach - powiedział Ron. - Choć czasem nie aż tak grzecznie. Ale jesteśmy przyjaciółmi. Mogę to powiedzieć uczciwie. Myślisz, że wiedział, że Cale nie żyje, jak robił dziś rano to wprowadzenie?

Ostatnie pytanie zaskoczyło Harolda.

- Nie - odpowiedział. - Nie myślę.

- Wiesz, że z Cale'em też często się sprzecznali, prawda? Odgrywali kolegów, ale to bzdura. Jeffrey chciał z niego wyciągnąć

informacje o dzienniku i jego wykładzie, ale Cale milczał. I Jeffrey nie był zadowolony, mówię ci.

- Słuchaj - powiedział Harold. - Nie sądzę, aby zrobił to ktoś z was.

Ron aż się skrzywił ze zdumienia.

- Naprawdę? - zapytał. - A któż by inny?

Harold znał ich od niedawna, ale naprawdę ich znał. I naprawdę ich lubił. Wśród nich czuł się jak u siebie. W zamian za starego szylinga z poprzedniego wieczoru niemal znalazł swoje miejsce na ziemi. Niemal, bo wśród dziesiątków otaczających go kolegów był zabójca. I to prawdopodobnie więcej niż jeden, jak wynikałoby z *Morderstwa w Orient Expressie*. A oni musieli je znać. Wszyscy tutaj czytali te same książki. Wszyscy znali je na pamięć - Christie, Chandlera, Hammetta...

Po raz pierwszy tego dnia Harold poczuł gniew. Był zły na zabójcę o unicestwienie Aleksa Cale'a i zabranie dziennika, ale również o zniszczenie Chłopców z Baker Street. Jak teraz będzie wyglądała ich grupa? Na jednym z ostatnich spotkań w Los Angeles pili whisky do drugiej nad ranem i śmiali się z wielkiej dziury w fabule *Samotnej cyklistki*. Nigdy już więcej tego nie zrobią. Bo jakżeby mogli?

Nikomu nie powinno to ująć na sucho. Przynależność do klubu zbyt wiele znaczyła dla Harolda - i spotkania z tymi połączonymi jedną pasją ludźmi. Nikt nie może zmusić go do ponownego pograżenia się w samotności.

- Dlaczego Jeffrey wygłosił rano ten odczyt? - zastanowił się.

Ron się uśmiechnął.

- To doskonałe pytanie - stwierdził. - Dlaczego nie zaczekał, aż znajdzie się Cale? Po co wyjaśniał tę sprawę grupie, która wiedziała na jej temat wszystko?

- Jakby chciał nas przekonać, że nadal wierzy, iż Alex Cale żyje.

- Haroldzie, cieszę się, że zaczynasz myśleć tak jak ja.

Chwileczkę. Zaczyna myśleć tak jak Ron? To nie jest dobry omen. Jeśli ma się tego podjąć - a musi to zrobić - powinien zachować trzeźwość sądów i rozsądek. Teoretyzowanie jest zbyt łatwe, zbyt satysfakcjonujące emocjonalnie.

- Myślę, że powinniśmy... - Ron zamilkł w pół zdania.

Wpatrywał się w coś ponad ramieniem Harolda.

Czyjaś dłoń poklepała Harolda od tyłu. Odwrócił się i zobaczył przed sobą przystojnego mężczyznę o kilkanaście centymetrów niższego od siebie i o dziesięć lat starszego. Jego gęste czarne brwi kontrastowały z delikatnym kobiecym nosem, dodając mu zarazem urody, jak i powagi. Miał na sobie pogniecione spodnie koloru khaki i obcisły czarny golf, co w sumie tworzyło dosyć swobodny, ale zarazem wyrafinowany styl. Później Harold zauważył jeszcze sporych rozmiarów zegarek, niewątpliwie złoty, stanowiący w sumie jedyny ukłon w stronę ostentacji.

- Pan Harold White? - zapytał mężczyzna cicho.

- Tak - odpowiedział Harold.

- Zostawię panów - zaproponował Ron, wymykając się chyłkiem.

Harold spojrzął ponad ramieniem nieznanego na stojącą w drzwiach Sarah, która wyraźnie ich obserwowała.

- Moglibyśmy gdzieś porozmawiać? - zapytał obcy. - Mam na imię Sebastian. - Wyciągnął prawą dłoń i zamknął w niej dłoń Harolda, podczas gdy lewą przykrył ją od góry, umacniając więź.
- Sebastian Conan Doyle.

Prawnuk Arthura Conan Doyle'a chodził tam i z powrotem po miękkim kremowym dywanie w pokoju hotelowym Harolda. Zakładał ręce na plecach, ściągając łopatki, a potem stanowczo krzyżował je na piersiach.

- Proszę posłuchać. To żadna tajemnica, że Cale i ja się kłóciliśmy. Kłóciliśmy się o ten dziennik publicznie od lat. Cale błędnie zakładał, że ten wolumin jest własnością publiczną i powinien trafić do jakiegoś muzeum czy uniwersyteckich zbiorów. Pan jednak zapewne to rozumie, iż należy on do mnie. Napisał go mój pradziadek. To moja własność. Przyleciałem do Nowego Jorku, żeby przemówić Cale'owi do rozsądku, wyjaśnić to raz na zawsze

- Sebastian Conan Doyle spojrział na Harolda, oczekując, iż ten mu przytaknie.

Harold nie chciał się z nim spierać w tej kwestii, ale też nie uważał, że należy to tak zostawić.

- Rozumiem pańskie stanowisko, panie Conan Doyle. I choć nie jestem prawnikiem i nie znam zawiłości prawa spadkowego, to nie wydaje mi się, aby ten dokument był w posiadaniu pańskiej rodziny przez ostatnie osiemdziesiąt lat. Wszystko, zdaje się, zależy od tego, gdzie Alex go znalazł. Pańskie prawa do niego nie są aż tak oczywiste.

Sebastian westchnął i pokręcił głową. Spojrział na Sarah, która w milczeniu siedziała na krawędzi łóżka, opierając się z tyłu na rękach i unosząc nieco nogi. Uśmiechnęła się do niego współczująco.

- Ma pan rację - stwierdził Sebastian. - Nie jest pan prawnikiem.

Ani ty, pomyślał Harold, chociaż nie miał pojęcia, czym zajmuje się człowiek, który odziedziczył taki majątek. Sebastian był najstarszym dzieckiem Henry'ego Conan Doyle'a, i chociaż miał siostrę, ciotkę i czworo kuzynów, to on przede wszystkim zabierał głos w kwestiach związanych z majątkiem pradziadka. Rodzina Conan Doyle'ów strasznie się spierała o prawa autorskie do Holmesa i Watsona i majątku, jaki te prawa corocznie przynosiły. Obecnie relacje między jej członkami nie były najlepsze. Lady Harriet Conan Doyle, ciotka Sebastiana, która przez lata

okazywała swą hojność badaczom literatury i publiczności, nie utrzymywała z Sebastianem żadnych stosunków. I podobnie jak młodszy Doyle'owie trzymała się z daleka od sprawy dziennika. Za to Sebastian i jego prawnicy włączyli się w dyskusję o nim już kilka dni po pierwszym mailu Aleksa Cale'a, obwieszczającym odkrycie.

- Sąd o tym wszystkim zadecyduje, kiedy przyjdzie czas - ciągnął Sebastian. - Pozwałem Cale'a i jeśli ktoś, kto ma ten dziennik, spróbuje go komuś podarować, pozwę również jego. Ale... - Sebastian zatrzymał się na środku pokoju, strzelając obcasami jak niemiecki generał w filmie o drugiej wojnie - ... teraz przede wszystkim trzeba go odnaleźć.

- Policja nadal na nic nie natrafiła? - zapytała Sarah.

- Nie. Ktokolwiek zabił Cale'a, ukradł też dziennik. Przynajmniej tyle udało mi się od nich dowiedzieć. Przeanalizowali też hotelowy wykaz korzystania z kart do otwierania drzwi i przeprowadzili kilka rozmów z personelem.

- Co wynika z wykazu? - chciał wiedzieć Harold.

- Trzy osoby weszły zeszłej nocy do pokoju Aleksa Cale'a. Proszę. - Sebastian wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i podał ją Haroldowi.

Jak to? Skąd Sebastian Conan Doyle ma policyjne dokumenty dotyczące morderstwa? - pomyślał Harold i spojrzął na kartkę.

Była to fotokopia wydruku z biura ochrony hotelu. Lista obejmowała wszystkie przypadki posługiwania się kartą do pokoju Aleksa i wszystkie przypadki otwarcia i zamknięcia drzwi numer 1117.

- Cale po raz pierwszy użył karty, żeby wejść do pokoju, o 12.46 w nocy - powiedział Sebastian. - Potem jeszcze trzy osoby weszły do jego pokoju o 3.51, 4.05 i 5.10.

- Boże! Czyją kartą otworzyły drzwi?

- Na tym polega problem. Niczyją. Za każdym razem drzwi otwierano od środka.

- Więc ktoś pukał, a Alex go wpuszczał? Trzy razy w środku nocy?

- Najwyraźniej. Albo ktoś wszedł, potem wyszedł, a potem wrócił. Nie da się stwierdzić, co dokładnie oznacza to trzykrotne otwarcie drzwi.

- Czy ustalono czas zgonu?

- Między czwartą a ósmą rano. Każdy z tych gości, jeśli było ich więcej, mógł go zabić.

- A co z kamerą? W korytarzu?

- Nie ma. Jest kilka w holu głównym, ale są skierowane na drzwi wejściowe i recepcję.

- To kto wszedł głównym wejściem? - zapytał Harold.

- Od cholery ludzi. To jest olbrzymi hotel. Piątego stycznia był w trzech czwartych pełny.

- Czy ktoś wszedł do hotelu tuż przed tym, jak Alex przyjął pierwszego gościa? O 3.40 albo 3.45? - zapytał.

- Dobre pytanie! Tak się cieszę, że przyszedłem do pana po pomoc.

Harold postanowił zignorować protekcyjność w głosie Sebastiana. Jego umysł zaprzętały szczegóły sprawy.

- Ale nie. Nikt nie wszedł do hotelu między 3.20, kiedy jakiś biznesmen wrócił z klubu striptizowego, a 4.30, gdy jakiś sherlockista wszedł, zataczając się, po wizycie w barze na tej samej ulicy - jakiś Japończyk, wyleciało mi nazwisko.

- Czyli ktokolwiek zabił Aleksa, mieszkał tej nocy w hotelu? - zapytała Sarah z podnieceniem.

- Istotnie - odparł Sebastian.

- Albo - zauważył Harold szybko - zabójca po prostu wszedł do środka kilka godzin wcześniej, kiedy był duży ruch, i czekał.

Sebastian rozważył jego słowa.

- Myślę, że to prawdopodobne. Interesujące. - W zamyśleniu podrapał się w szyję. - Chcę, żeby to było jasne, Haroldzie. Ktoś ukradł moją własność. Chciałbym ją odzyskać. I jestem gotów wydać na to całkiem sporo pieniędzy. Rozumie pan?

- Oczywiście - odparł Harold. A ponieważ Sebastian wciąż się na niego patrzył, zrozumiał, że powinien zadać pytanie: - Czy chce pan, żebym coś zrobił w tej sprawie?

Sebastian się skrzywił. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który odczuwa potrzebę tłumaczenia się innym i zapewne nie był zbyt szczęśliwy, musząc to zrobić teraz.

- Powiedziała mi - wtrąciła się Sarah i Harold zorientował się, że mówiła do niego. - Powiedziała Sebastianowi, co masz zamiar zrobić. Że rozwiążesz tę sprawę.

- Tak... - przytaknął Harold ostrożnie.

- Dobrze - stwierdził Sebastian. - W takim razie bardzo bym chciał panu w tym pomóc. Musi pan odnaleźć dziennik. Jeśli znajdzie pan przy okazji również zabójcę, fantastycznie. Jeśli nie, też fantastycznie. Mało mnie to obchodzi. Ale proszę odzyskać wolumin i zwrócić go prawowitemu właścicielowi. Zapłacę panu. Dobrze.

Harold spojrzął na Sarah, szukając potwierdzenia, że Sebastian mówi poważnie. Jej uśmiech był równie nieprzenikniony jak zawsze. Skąd w ogóle znała Conan Doyle'a?

- Dlaczego ja? - zapytał Harold w końcu, pomijając na razie trudniejsze kwestie.

- Prawdę mówiąc, to był pomysł Sarah. Poznałem ją, gdy prosiła o zgodę na wywiad. Spotykaliśmy się w tej sprawie przez kilka miesięcy. Tutaj zatrzymałem się w hotelu na drugim końcu miasta. Zadzwoiłem do niej, jak tylko się dowiedziałem, co się stało. Opowiedziała mi, co pan odkrył w pokoju Cale'a. Zrobiło

to na mnie wrażenie. Bądźmy szczerzy - uważam, że to sprawka któregoś z was. Myślę, że to jeden z pańskich cierpiących na urojenia koleżków zabił Cale'a i ukradł mój dziennik. Prawdopodobnie z jakiegoś skomplikowanego i bezsensownego powodu. Będzie mi potrzebny ktoś, kto jest... Jak to ująć? Podobnie nastawiony na odzyskanie dziennika. „Elementarne” napisane krwią na ścianie? Dajcie spokój. To jakiś chory sherlockista, który zostawia wskazówki dla innego chorego sherlockisty. Bez urazy, oczywiście.

- Nie ma sprawy - powiedział Harold szczerze.

Sebastian podszedł do niego i spojrzał mu prosto w oczy.

- Mam dostęp do pewnych... To znaczy mogę dostarczyć panu tego, co będzie pan potrzebował. Proszę tylko powiedzieć, jak mogę pomóc.

Harold pomyślał o dreszczyku, którego zaznał w pokoju Aleksa. Dreszczyku odkrywania czegoś, rozwiązywania zagadki. A potem o swojej potrzebie wiedzy.

- „Moje honorarium jest jednakowe dla wszystkich klientów i ściśle określone z góry [...]Nie zmieniam stawek, chyba że z jakichś względów nie przyjmuję zapłaty wcale”.

- Słucham?

- To cytat. Z „Niezwykłych wydarzeń na moście Thor”. Jednego z opowiadań pańskiego dziadka.

Sebastian i Sarah patrzyli w zdumieniu na niego.

- Zrobię to - oznajmił. - I nie wezmę za to pieniędzy. Ale będę potrzebował kilku rzeczy.

- Dobrze - ucieszył się Sebastian.

- Potrzebne mi są kopie policyjnych raportów: autopsji, przesłuchań, wszystkiego.

- Oczywiście.

- I bilet do Londynu. Pierwszą klasą. Mógłbym siedzieć tutaj cały dzień, przesłuchując sherlockistów, ale nie doprowadzi mnie

to do niczego. Są na to za sprytni. Żeby odkryć, gdzie jest, musimy się dowiedzieć, skąd się wziął, gdzie Alex go odnalazł i jak. A więc muszę obejrzeć jego dom. I gabinet.

- Załatwione. - Teraz Sebastian wręcz się uśmiechnął.

- Dwa bilety - wtrąciła Sarah.

Odwrócili się do niej, zaskoczeni.

- Przyjechałam tu, żeby śledzić tę historię. W tej chwili wy ją tworzycie.

Harold do tej chwili nie był pewien, czy jej ufa. Teraz już wiedział, że nie.

- Potrzebny ci jest Watson, nieprawdaż? - zapytała, widząc jego obawy i uśmiechnęła się szeroko, a wtedy znikły resztki jego rozsądnej ostrożności.

- Gra się zaczyna - powiedział dumnie Harold, wstając.

Sarah zamknęła na sekundę oczy, powstrzymując uśmiech triumfu.

ROZDZIAŁ 13

BIAŁA SUKNIA

*Moja zemsta się właśnie rozpoczęła.
Rozciągam ją na stulecia, czas jest po mojej stronie.*

BRAM STOKER,
DRACULA

21 października 1900

- Czy moglibyśmy ustalić, co ja tu właściwie robię? - zapytał Bram Stoker, kiedy szli w górę York Street, na północ od stacji Stepney.

Nie było tłoku, ale pociągi pasażerskie na linii Blackwall kursowały tak rzadko, że wyprawa na East End okazała się dość czasochłonna.

- Mam sztukę, którą muszę się zająć, uważasz. Henry chce mieć jutro na scenie żywego konia w swoim „Don Kichocie”, więc naprawdę muszę skądś wykopać tę kobyłę.

- Zapłuci imbecyle, Bram! - wykrzyknął Arthur, przedzierając się przez tłum pieszych w brudnych ubraniach. - Nie zaufałbym Yardowi, że znajdzie drogę do własnej kieszeni. - Rozejrzył się, próbując się zorientować, gdzie jest. To zaledwie dwie przecznice

od stacji Stepney, a już się całkiem zgubił. - Pewna martwa dziewczyna rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Byłoby nie po dżentelmeńsku odwrócić się od niej.

- Jest martwa. A więc chyba tylko jakieś święcenia predestynowałyby nas do pomocy jej. A nie słyszałem, żebyś jakieś odebrał.

- W takim razie potrzebuje sprawiedliwości - poprawił się Arthur. - I my ją jej zapewnimy.

Bram nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Ktoś wysadził w powietrze moje biurko. W tym czasie w domu była cała moja rodzina. Czy jej dobro nie powinno ci leżeć na sercu?

Bram westchnął.

- Arthurze, ale co ja tu robię?

Conan Doyle przystanął.

- Potrzebna mi jest twoja pomoc.

- Mój Boże. Chcesz, żebym był twoim Watsonem, prawda?

- Nie rozumiem.

- Uważasz, że ponieważ końcem pióra powołałeś do życia Holmesa, sam możesz się nim stać. Więc potrzebny ci Watson. I z jakiegoś powodu, tylko tobie znanego, wybrałeś mnie. Dlaczego nie Barriego albo, jeszcze lepiej, Shawa? Jestem pewien, że on nie ma nic do roboty.

- Całkiem niezła dedukcja. Najwyraźniej to ty uważasz się za detektywa.

- No dobrze, skoro chcesz się tak zachowywać, porozmawiajmy poważnie - oznajmił Bram. - Watson jest pospolitym, skutecznym zabiegiem literackim. Holmesowi jest potrzebny do wyjaśniania przestępstw nie bardziej niż sześćdziesięciokilowy ciężar u nogi. Publiczność, Arthurze. To publiczności potrzebny jest Watson, żeby myśli Holmesa mogły pozostawać zawsze poza jej

zasięgiem. Gdybyś opowiadał te historie z perspektywy Holmesa, każdy by wiedział, co ten cholerny geniusz myśli przez cały czas. Mieliby winowajcę na pierwszej stronie. Ale jeżeli opowiadasz je z perspektywy Watsona, pozwalasz czytelnikowi gonić w ciemności razem z tym niewydarzonym niedołęgą. Watson jest komiczną ozdobą. Żartem. Dobrym, przyznaję, ale nie bardzo widzę, do czego tobie może być potrzebny.

- Posłuchaj - zaczął Arthur takim tonem, jakby po raz setny musiał wyjaśniać, dlaczego niebo jest niebieskie.

- Postaram się to powiedzieć z całym należnym ci szacunkiem. Nie orientuję się tak dobrze w tej... w tej okolicy. Pojmujesz? I wiem, że ty spędziłeś jakiś czas w tych stronach i możesz znać tutejszych mieszkańców, co może mi się przydać w śledztwie. Rozumiesz?

Bram poczuł się urażony sugestią Arthura.

- Robisz mi przykrość, stary przyjacielu. Nie sędzę, żebym miał tu stać i godzić się na twoje insynuacje. Wiesz bardzo dobrze, jakiego rodzaju kobiety nazywają to miejsce domem i czego szukałyby tu dżentelmen naszego pokroju. Chcę, żebyś wiedział, że twoje słowa nieco mnie dotknęły.

Arthur przez chwilę patrzył mu prosto w oczy. Potem uniósł głowę i spojrzał w górę, na otaczające ich budynki, nie znajdując jednak niczego, co wskazywałoby kierunek, poza reklamami cygar Duke of Wellington i soku z limonek Grovera. Opuścił wzrok na adres, który zapisał starannie na kawałku papieru, i zmarszczył się, bardzo zmieszany.

- Najmocniej przepraszam, nie miałem zamiaru cię obrazić. I nie chciałem zasugerować, że jesteś gościem, który szukałby uciechy w tym podłym miejscu. Do licha, zgubiłem się na dobre. Czy to jest Salmon Street?

- Nie - odparł Bram bez zastanowienia. - Salmon to następna w tamtą stronę. Znalazłeś się na... - zatrzymał się, zdając sobie

sprawę, że przypadkiem się zdemaskował. - Tak, daj mi chwilę. Nie znam tej okolicy. - Odegrał scenę rozglądania się wokół za tablicami z nazwami ulic i zdumienia, że ich nie znajduje. - Przepraszam panią - zwrócił się do przechodzącej obok młodej kobiety w czarnej sukni. - Może zna pani drogę na Salmon Street?

Kobieta przystanęła, szybko zmierzyła Brama wzrokiem od stóp do głów i uśmiechnęła się zalotnie, a jej policzki zabłyszczały jaśniej niż miedziane guziki przy jej sukni.

- Znam, proszę pana - odparła. - Chcą się panowie może wybrać na wycieczkę do Hairyfordshire?

Arthur sprawiał wrażenie naprawdę zdezorientowanego.

- Bardzo panią przepraszam, źle mnie pani zrozumiała - powiedział Bram pośpiesznie. - Szukamy tylko Salmon Street. Czy to w tę stronę? - Wskazał przed siebie w kierunku, który sugerował wcześniej.

Teraz z kolei młoda kobieta wyglądała na zdezorientowaną.

- Ależ tak - powiedziała. - Właśnie tam, trzeba skręcić w prawo.

- Dziękuję najuprzejmiej. - Bram odwrócił się, żeby odejść.

- Ale myślę sobie - usłyszał jeszcze - że jeżeli dwóch prawdziwych dżentelmenów szuka jakiegoś bardziej kojącego miejsca, to trzy pensy od osoby by wystarczyły.

Arthur zrozumiał, co miała na myśli, i był wstrząśnięty jej obcesowością.

- Do widzenia pani - powiedział po prostu i odszedł w kierunku, który wskazała.

Podążając truchtem za nim, Bram odwrócił się i posłał kobiecie przepraszające spojrzenie. Ta wzruszyła ramionami i poszła w swoją stronę.

Kilka minut później znaleźli adres i Arthur zapukał do niedużych drzwi. Bram ze znużeniem przestępował obok z nogi na nogę. Arthur zapukał jeszcze, tym razem zaciśniętą pięścią, i w końcu oblażące z farby na brzegach drzwi otworzyły się, skrzyjąc, i pojawił się w nich przysadzisty zagniewany jegomość.

- A wy to niby kto? - warknął.

Ubrany był w pumpy, roboczą koszulę i rozpiętą spłowiała szarą kamizelkę. Włosy, przylepione do tyłu głowy, wyglądały, jakby uporczywie wycofywały się z czoła w stronę karku.

- Dobrodzieju, przyszliśmy, bo badamy sprawę tej biednej dziewczyny zamordowanej dwa tygodnie temu w pana pensjonacie.

- Nie wyglądacie na policjantów - zauważył.

- I nie jesteśmy nimi. Jesteśmy...

Mężczyzna zatrzasnął drzwi przed nosem Arthura, co zdumiało go niepomiernie.

- Panie! - wrzasnął po chwili. - Panie! Jeśli otworzy pan te drzwi, damę panu słowo, że nie zabierzemy panu dużo czasu. Chcielibyśmy tylko zobaczyć na chwilę pana pokoje. Spojrzeć na miejsce zbrodni, jeśli można. My...

- To jest Arthur Conan Doyle! - krzyknął Bram w zamknięte na głucho drzwi.

Arthur odwrócił się do przyjaciela, zaskoczony.

- Nie rozumiem, co to ma do rzeczy - zauważył, ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, drzwi się otworzyły do połowy i zagniewany jegomość wystawił głowę na zewnątrz.

- Pan jest Arthur Conan Doyle? - zwrócił się do Brama.

- Nie - odparł Bram. - Ja jestem... jestem... no nikim. To - tu gestem wskazał Arthura - jest Arthur Conan Doyle.

Mężczyzna obrzucił jego towarzysza długim spojrzeniem.

- Rzeczywiście - stwierdził, kiedy skończył. - To pan. Widziałem pana zdjęcia w gazecie jakiś czas temu. Siedzi pan przy biurku, pochylony, z piórem i papierem w ręce i wygląda jak brudny pedał.

Skupiony na czekającym go zadaniu Arthur starał się, jak mógł, ukryć irytację.

- Proszę pana, czy moglibyśmy wejść i rozejrzeć się po pokoju, w którym zatrzymała się ta dziewczyna? - zapytał.

Przysadzisty mężczyzna trochę szerzej otworzył drzwi.

- Przedni jegomość z pana. Czemu nie? - odparł.

Odwrócił się, popychając drzwi do końca i dając w ten sposób znak, żeby poszli za nim. Zrobili to i znaleźli się w niewielkiej kuchni, skąd od pieca stojącego w głębi emanowało przyjemne ciepło.

- Pracuje pan nad nowym opowiadaniem? - zapytał mężczyzna, prowadząc ich przez kuchnię na górę tylnymi schodami.

- Tak - powiedział Arthur. - Chyba można to tak ująć.

Twarz mężczyzny roziskrzyła się radością.

- Więc pan to robi? Przywróci go pan do życia?

- Przepraszam?

- Sherlocka Holmesa! - wykrzyknął mężczyzna, odwracając się na szczycie schodów w aureoli światła padającego z okien na wyższym piętrze, żeby spojrzeć na Arthura. - Najwyższy czas, jeśli chce pan znać moje zdanie. Zawsze był dobry, żeby się pośmiać i przeżyć jakoś kolejny ciężki dzień. Tęsknię za nim jak za kimś z rodziny. - Mężczyzna zaśmiał się do siebie. - Po prawdzie bardziej niż za własną rodziną.

Bram W milczeniu szedł za Arthurem na drugie piętro. Zza zamkniętych drzwi niektórych sypialni dochodziły przytłumione, ale bliskie odgłosy.

- Ile osób ma pan tu zazwyczaj? - zapytał Arthur, rozpaczliwie pragnąc zmienić temat.

- Och, to zależy - odpowiedział mężczyzna. - Jakieś dziesięć, które przychodzą nocować regularnie, i jeszcze z pięć zjawiających się, jak je najdzie kaprys. Zdziwiłby się pan, ale to ci stali sprawiają mi więcej kłopotu. Myślą, że mogą się spóźnić o dzień z czynszem, a ja nie zauważę i dam im kredyt na kolejną noc. Oburzają się, jak im odmawiam. Za to ci, co przychodzą i odchodzą, wiedzą aż nadto dobrze, że muszą zapłacić z góry. Cztery pensy za noc i żadnego żydowskiego targowania się.

- Do którego rodzaju należała ta zabita kobieta?

- Do żadnego tak naprawdę. Przyszła tylko tego jednego wieczoru. Z dżentelmenem, jak się zorientowałem, ale nie przyjrzałem mu się.

- Dlaczego?

- Ona weszła pierwsza i zapytała, czy mam pokój dla niej i jej męża. „Męża” - powiedziała! Gdybym dostał błyszczącego miedziaka za każdego „męża”, który tu wyciąga swojego brudnego...

- Ale w ogóle nie widział pan jego twarzy? - przerwał mu pośpiesznie Arthur, starając się poznać jak najmniej plugawych niepotrzebnych szczegółów.

- Nie, proszę pana. Jak mówię, weszła pierwsza w tej ładnej białej sukni, z kieszenią pełną monet. Była roztrzepana, wie pan. Szybko mówiła, miała rumieńce na twarzy. Jak moja córka na Wielkanoc, gdy wie, że czeka na nią świeża słodka pomarańcza od mamy i taty. Powiedziała, że nazywa się Morgan Nemain, a ja wpisałem nazwisko w książkę.

- Mógłbym spojrzeć na tę książkę? - przerwał mu Arthur.

- Pewnie. Przyniosę ją, jak będzie pan wychodził.

- Proszę opowiadać dalej.

- Prowadzę ją do pokoju - ciągnął mężczyzna - a ona mówi, że niedługo przyjdzie jakiś pan. Idę do swoich spraw i kilka minut później jestem w pokoju Hattie Stark i tłumaczę jej, dlaczego posługaczka jeszcze nie zrobiła jej prania. Robi zamieszanie, mówi, że pranie jest jej potrzebne, a ja próbuję jej wytłumaczyć, że jeżeli go nie wystawi przed dziesiątą rano, to posługaczka nie może się za nie wziąć do następnego dnia.

Arthur popatrzył w głąb korytarza na rząd zamkniętych pokoi. Ten, o który mu chodziło, był na samym końcu.

- Powtarzamy to wszystko wte i nazad, jak to z Hattie, aż tu słyszę pukanie do drzwi frontowych i głos, który woła, żeby go wpuścić. Najpierw pomyślałem, że to głos kobiety, taki był wysoki i piskliwy, ale potem ta „panna młoda” mówi, że to jej mąż i że go wpuści. Wyglądała na porządną, więc jej pozwoliłem. I słyszę, jak ona i ten pan się śmieją, idąc na górę po schodach. Wystawiam głowę z pokoju Hattie, żeby się upewnić, że to tylko ich dwoje - trzy albo więcej osób w pokoju kosztuje ekstra, wie pan - i widzę, jak prowadzi wysokiego gościa do sypialni. Widzę tylko jego plecy. Czarny wieczorowy płaszcz, cylinder. Szedł jak lepsze państwo. A potem wróciłem do Hattie i jej wrzasków. Tyle powiedziałem detektywom z Yardu.

Arthur i Bram weszli za nim do zagraconej sypialni. Solidne niskie łóżko stało w prawym rogu. Dzbanek z wodą postawiono na szafce nocnej. Poplamiona wanna, która dawno temu mogła lśnić bielą, stała w lewym rogu. Nigdzie nie było plam krwi. Żadnego śladu strasznego zabójstwa, jakie się tu wydarzyło zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Ale stojąc tu, świadom wszystkiego, co się stało, i wielkiej tajemnicy, jaką musiał odkryć, Arthur zadrżał. Miał wrażenie, że w powietrzu czuć daleką śmierć, jakby drżało od dalekich wybuchów wojny w Transwalu.

- O czym jest pana opowiadanie? - zapytał mężczyzna, wyrывая go z zamyślenia.

- Moje opowiadanie? - zdziwił się Arthur.

- To, które pan pisze! Czy Holmes ściga kolejnego złodzieja? Czy to historia morderstwa? Najbardziej lubię morderstwa, jeśli interesuje pana moje zdanie.

- Nie mogę panu powiedzieć - odparł Arthur. - To by popsuło niespodziankę.

Mężczyzna roześmiał się, uderzając się po udzie. Chyba się dobrze bawił.

- Wie pan, co lubię robić, jak czytam pana opowiadania? - zapytał. - Próbować zgadnąć wcześniej zakończenie. Wykombinować przed panem Holmesem, kto to zrobił.

- I udaje się panu? - zapytał Bram, włączając się do rozmowy.
- Potrafi pan przechytryć Sherlocka Holmesa?

- Jeszcze mi się nie udało - przyznał właściciel pensjonatu. - Ale mam pomysł, wie pan, w jaki sposób mógłby pan go przywrócić do życia.

- No, w jaki?

- Nie potrzeba żadnych czarodziei ani nic. A co, gdyby pan Holmes wcale nie zginął? Może nie spadł z tej skalnej półki do wodospadu? Co, gdyby to udał, żeby oszukać Moriarty'ego? A potem się ukrywał po całym świecie bez żadnych przygód. Sprowadzi go pan do domu, do Londynu. To będzie jego triumfalny powrót. Tak to trzeba zrobić, powiem panu. Nikt nie chce myśleć, że Holmes nie żyje. To ciągle siedzi w żołądku.

- Poważnie? - zapytał Bram, rozbawiony jego wywodami.

- Słowo honoru. Wy, eleganckie towarzystwo, tak się przyzwyczajacie do swojego pisania, że zapominacie o czytelnikach. A my nie chcemy widzieć, jak Holmes umiera, choćby walka, która go zabije, była nie wiem jaka dobra. Chcemy, żeby pan Holmes żył zawsze.

- Co ty na to, Arthurze? - zapytał Bram, chcąc dokuczyć przyjacielowi. - Co powiesz na to, żeby odwalić kamień i wskrzesić boskiego Sherlocka Holmesa?

- Czy wszystkie pokoje mają wanny? - zwrócił się Arthur do właściciela pensjonatu. - To duża zaleta.

- Nie, nie. Tylko ten. Lata temu, kiedy zbudowano ten dom, to była damska toaleta. Teraz wynajmuję ten pokój za dodatkową opłatą. Dla lepszych klientów, rozumie pan.

Arthur podszedł do wanny i przesunął wskazującym palcem po jej gładkiej krawędzi. Była zupełnie zimna, jak szyba w śnieżny dzień.

- Tutaj znaleziono ciało? - zapytał.

- Ja sam je znalazłem. Leżała w wannie goła jak niemowlę. Szyję miała czarnofioletową, oczy wybałuszone. Jak gdyby ktoś mocno złapał ją za gardziółko i ścisnął, dopóki się nie udusiła. Suknia leżała na łóżku jakby przygotowana do włożenia.

- Zauważył pan tatuaż? Na nodze? W kształcie wrony z trzema głowami?

- Tak, widziałem go, proszę pana.

- Widział pan przedtem taki symbol? Na przykład u chuliganów w porcie?

- Nie, nie mogę powiedzieć, żebym widział. Miał dziwny kształt. U samego dołu nogi, przy kostce.

- Czy w pokoju znaleziono coś jeszcze? Coś, co by wskazywało, kim była ta biedaczka?

- Ani pyłku. Tylko ładną białą suknię i nieżywą gołą dziewczynę.

Arthur i Bram spędzili następnych kilka minut na próbach odświeżenia pamięci mężczyźnie co do jakichś szczegółów wskazujących na tożsamość kobiety, ale nic nie osiągnęli. Potem Arthur zmusił Brama do inspekcji podłogi na czworakach, na co Bram

niechętnie przystał, cały czas narzekając na warstwę kurzu, jaką podczas tego procesu pokryły się jego spodnie. Właściciel domu pokazał im książkę gości, w której znaleźli podpis „Morgan Ne-main” - wysokie litery, mocno wpisane w stronicę szerokim, ciężkim pociągnięciem pióra. O ile Holmes był ekspertem od analizy pisma, zdolnym dostrzec w nim wiele wskazówek na temat cech osoby, o tyle Arthur nie miał takich umiejętności. W milczeniu zamknął książkę, godząc się z jej tajemnicami.

W końcu ciężkim krokiem opuścili pensjonat. Szczególnie Arthur wrócił na ruchliwe ulice Stepney w kwaśnym nastroju. Sprawy nie poszły tak, jak się spodziewał.

- No jak, skończyłeś? - zapytał Bram. Czekał na odpowiednią chwilę, żeby powiedzieć Arthurowi, że idą w złym kierunku. - Masz, czego chciałeś?

- Nie będę udawał, że dzień przebiegł tak, jak planowałem - przyznał Arthur. - W rzeczy samej, zagadka wydaje się znacznie trudniejsza. Mój Sherlock miał dane, z którymi mógł pracować. A my co mamy? Suknię. Naocznego świadka, który widział mordercę tylko od tyłu. Bezimienną kobietę, która pojawiła się wieczorem. Muszą ich być dziesiątki tysięcy w samej tej przecznicy. Powiem, że to ździebko nawet poza możliwościami Sherlocka.

Bram rozmyślał przez chwilę, po czym podjął brzemienne w skutki decyzję:

- Arthurze, nie podoba mi się, że to robisz. I jeśli o mnie chodzi, to bardzo bym chciał w spokoju wrócić do teatru, jeśli teatr można w ogóle uznać za spokojne miejsce. Uważam, że bawisz się puszką Pandory, a nie masz pojęcia, co może z niej wyskoczyć. Spójrz, gdzie jesteś. To nie jest miejsce dla ciebie. Jesteś na to zbyt dobry.

- Dziękuję ci - powiedział Arthur, patrząc serdecznie na Brama. - Ale chociaż nie widzę jeszcze, w którą stronę powinienem

pójść, jestem już zbyt w to zaangażowany, żeby się cofnąć.

- Dobrze - zgodził się Bram. - W takim razie muszę ci powiedzieć dwie rzeczy. Na dwa sposoby idziesz w złym kierunku. Po pierwsze, dosłownie, kierujesz się na północ, a stacja Blackwall jest za nami.

Arthur podniósł wzrok w poszukiwaniu jakiegoś potwierdzenia tych słów. Nie znalazłszy go, skinął głową, odwrócił się i zaczął iść z powrotem w kierunku, z którego przyszedł.

- Po drugie - ciągnął Bram, idąc obok Arthura - ta zabita dziewczyna nie była prostytutką.

Słyszac to, Arthur zatrzymał się gwałtownie.

- Co masz na myśli? Znalezione ją w tym domu, z mężczyzną...

- Brednie - oświadczył Bram. - Która prostytutka z East Endu ma czystą białą suknię ślubną? Która z nich ma jakkolwiek czystą suknię? To brudna robota, nie prowadzi do czystości stroju. Ten okropny czelczyzna, z którym rozmawialiśmy, powiedział, że wpadła do jego pensjonatu z twarzą rozjaśnioną uśmiechem, a potem z góry zapłaciła za noc. Mężczyzna przyszedł kilka minut później. Gdyby się kurwiła, wybaczyć to określenie, zapłaciłaby jego pieniędzmi. A która prostytutka bierze pieniądze od klienta z góry i idzie beztrąsko do pensjonatu zapłacić za spędzony razem czas? Gdyby była w pracy, że tak powiem, ukradłaby jego pieniądze i związała, jak tylko facet straciłby ją z oczu.

Arthur zamyślił się głęboko nad tym. Jeżeli zmarła nie była prostytutką...

- To w takim razie kim była? - zapytał.

- Nie mogę powiedzieć na pewno - zastrzegł się Bram. - Nie mam dedukcyjnych zdolności, o których tak elokwentnie pisałeś, ale nie rozumiem, dlaczego nikt nie pomyśli o czymś tak oczywistym.

- O czymś oczywistym?

- Tak. Że była dokładnie tym, czym powiedziała, że jest. Pan-
ną młodą.

- W takim razie on był... - zastanawiał się Arthur na głos,
układając wszystko w głowie.

- Tak - powiedział Bram, prowadząc go przez placyk przy
York Street, aby pogrążony w myślach, nie wpadł pod przejeżdżający kabriolet. - W takim razie mordercą jest człowiek, który
ją poślubił.

ROZDZIAŁ 14

JENNIFER PETERS W ŻAŁOBIE

*Londyn to ogromne bagno, do którego nieuchronnie
ściągają wałkonie i obiboki z całego imperium.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
STUDIUM W SZKARŁACIE

9 stycznia 2010

W chłodzonym brzuchu boeinga 767 Brytyjskich Linii Lotniczych Harold usiłował dowiedzieć się czegoś więcej o Sarah. Nie od razu odniósł sukces.

- Byłaś wcześniej w Londynie? - zapytał, kiedy usiedli w skórzanych fotelach.

Milczała przez chwilę, po czym jej twarz rozjaśnił kpiący uśmiech.

- Dlaczego ty mi nie powiesz? - odparła.

- O czym?

- Czy to nie pojawia się we wszystkich opowieściach o Holmesie? Patrzy na obcą osobę i po jej wyglądzie potrafi powiedzieć wszystko o jej życiu? Drobinę brudu na butach, odciski na dłoniach, takie rzeczy.

- Więc czytałaś opowiadania o Holmesie? - zapytał Harold.

- Brawo! Twoja pierwsza dedukcja okazała się słuszna.

Harold nigdy nie wiedział, czy Sarah z nim flirtuje, czy się droczy.

- Tylko garść - dodała jednak. - Jako przygotowanie do pobytu pośród sherlockistów Powiedz mi jeszcze coś o mnie.

Harold spjrzał na jej buty na szpilkach, ciemne dżinsy, kraćciastą flanelową koszulę z postawionym kołnierzem. Miał wrażenie, że jest ubrana elegancko, ale nie umiał dokładnie powiedzieć dlaczego.

Miała rację, oczywiście. Holmes robił te sztuczki praktycznie w każdym opowiadaniu. Do salonu wchodził nowy klient i w ciągu kilku chwil Holmes wszystko o nim wiedział. W *Znaku czterech* odtworzył całą historię życia brata Watsona jedynie na podstawie oglądu jego kieszonkowego zegarka. Było to trudniejsze, niż Harold sobie wyobrażał. Ubranie Sarah niewiele mu powiedziało. Nie wyglądało na tanie, ale nie robiło też wrażenia zbyt drogiego. Jej paznokcie były krótkie i nierówne, jasnoczerwony lakier podpryskiwał niemal całkowicie.

- Holmes miał przewagę - zauważył Harold.

- Tak? A to jaką?

- Żył w wiktoriańskiej Anglii, w społeczeństwie tak silnie zhierarchizowanym, że po czyimś akcencie można było powiedzieć z dokładnością do kilku mil, gdzie się wychował. Słowo „cockney” pierwotnie oznaczało kogoś, kto mieszka w zasięgu dźwięku dzwonów kościoła St Mary-le-Bow. Spinki do mankietów określały los człowieka. Holmes potrafił tyle powiedzieć o czyjejs lasce - powiedzmy w „Psie Baskerville'ów” - bo mężczyźni je nosili. Dzisiaj już nie ma reguł. Masz milion możliwości wyboru ubrań i stylu życia. Jeśli twoje ubranie wygląda na

kosztowne, nie oznacza to, że nie pochodzi ze sklepu z używaną odzieżą. Mieszkam w LA, gdzie podstawowa zasada brzmi: im swobodniej się nosisz, tym masz więcej pieniędzy. Oboje jesteśmy Amerykanami, a poza kilkoma regionami akcenty się wzajemnie przenikają. Szczególnie gdy ludzie podróżują. Tak jak ty. Jesteś przecież reporterką. W ilu miastach mieszkałaś? W czterech? W sześciu? Mogłaś się urodzić w każdym z nich.

- Wykręty, wykręty - stwierdziła Sarah. - Nie jesteś jedynym sherlockistą, który w tej chwili ściga zabójcę Cale'a. Ale ja wybrałam ciebie. Nie chcesz chyba, żebym pomyślała, że postawiłam na niewłaściwego konia?

- Nie postawiłaś.

- Dobrze. No więc byłam wcześniej w Londynie czy nie?

Harold umilkł. Stewardesa postawiła plastikowe kieliszki do szampana na ich stolikach. Wierzył w Sherlocka Holmesa. Wiedział oczywiście, że opowiadania nie są prawdziwe, ale wierzył w to, co one reprezentowały: w racjonalność, w precyzyjną dedukcję. Sherlock Holmes umiał to robić. I on też.

Zbadał ją. Bystre, niebieskie oczy, cienki nos, dwa kółka w uszach, kręcące się ciemne włosy zebrane w koński ogon, kilka zwisających luźnych pasemek. Coś za uchem. Przysunął się bliżej. Za jej lewym uchem dostrzegł mały tatuaż.

- Tak - powiedział. - Byłaś.

Sarah się uśmiechnęła.

- Skąd wiesz?

- Nie wiedziałem, ale to był racjonalny strzał. Masz mały ślad na nosie w miejscu przekłucia. I małe tatuaż za lewym uchem przedstawiający nutę. Kto sobie tatuuje nutę? Oczywiście muzyk. Więc byłaś kiedyś muzykiem. Stawiam na grupę rockową, bo nie dbasz o palce jak muzycy klasyczni, poza tym miałaś sztyft w

nosie. Kontrabasistka? Byłaś w to zaangażowana, inaczej nie zrobiłabyś sobie tatuażu. Ale potem odeszłaś i zostałam reporterką. Albo jesteś sławna, albo nie zarabiałaś za dużo. Nie słyszałem jednak o tobie. Nie porzuciłaś też muzyki, bo potrzebne ci były pieniądze. Przypuszczam więc, że nigdy ci ich nie brakowało. Pochodzisz z bogatej rodziny, a przynajmniej z zamożnej, i realizujesz swoje szalone marzenia na złość rodzicom. W dzieciństwie rodzice mogli cię zabrać na wakacje do Europy, a grupa rockowa musiała jeździć na tournée. Więc skoro byłaś w nią tak zaangażowana, uzasadnione jest przypuszczenie, że w jakimś momencie odwiedziłaś Londyn.

Sarah spojrzała na niego rozpromieniona, a potem złożyła ręce jak do oklasków.

- Na akordeonie - powiedziała. - Nie na kontrabasie. Grałam na akordeonie w punkowym zespole.

- Zespół punkowy z akordeonistką?

- Był całkiem w porządku. Ale nigdy nie wyszliśmy poza Wschodnie Wybrzeże. Wychowałam się w Berkeley, a moi rodzice żyli „wygodnie”, jak mawiali. Zabrali mnie do Europy trzy razy, kiedy byłam dzieckiem. Paryż, Madryt i tydzień we Włoszech, z podróżą z Rzymu do Cinque Terra przez Florencję. Ale nigdy nie byliśmy w Londynie.

- Przecież powiedziałaś, że byłaś - zaprotestował Harold.

- Tak - przyznała Sarah. - Mój były mąż jest Brytyjczykiem. Urodził się w Londynie. Poznaliśmy się w Nowym Jorku, ale kilka razy odwiedziliśmy jego rodzinę. - Podniosła kieliszek i stuknęła nim o kieliszek Harolda. - Na zdrowie - powiedziała i pociągnęła długi łyk. - Uważam, że jak na pierwszy raz poszło ci świetnie.

Siostra Aleksa Cale'a płakała, kiedy się zjawili. A sądząc po różowych workach pod oczyma, wyglądało na to, że robiła to od jego śmierci.

Chociaż Jennifer Peters była o kilka lat młodsza od brata, sprawiała wrażenie o wiele starszej. Otworzyła drzwi do swego przestronnego mieszkania w London Fields po trzecim dzwonku i od razu wpuściła do środka Harolda i Sarah. Jej krótkie lśniąco włosy były wystrzępione i podczas rozmowy stale odgarniała ich końce za uszy. Miała na sobie dzinsy, sweter z dekoltem i grube czerwone skarpetki. Jej męża nie było w mieszkaniu, a Harold nie zapytał, gdzie jest. Nie mieli dzieci i spędzali większą część roku za granicą. Jennifer właśnie wróciła do Londynu, żeby zająć się dobytkiem Aleksa, odebrać jego ciało i pochować je na cmentarzu Highgate, gdzie spoczywało kilka pokoleń ich rodziny. Była jego jedyną krewną.

Kiedy wszyscy troje usiedli, Harold i Sarah na twardej kanapie, a Jennifer na szerokim, białym pluszowym fotelu, Harold poczuł mdlący smutek, zalegający w tym pokoju jak pleśń. Kanapa robiła wrażenie lepkiej. Czuł się jak kompletny osioł. Przynajmniej miał na tyle rozsądku, żeby zostawić czapkę w hotelu razem z całym bagażem (choć po prawdzie była to głównie zasługa Sarah). Nie mógł się pozbyć wrażenia, że zachowuje się jak hiena cmentarna, zmuszając siostrę Aleksa do mówienia o dopiero co zmarłym bracie.

- Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z Alekssem? - zapytał.

- Przepraszam. Czy mogą mi państwo przypomnieć, dlaczego właściwie państwo przyszli? - odpowiedziała Jennifer płaczliwie.

- Był moim dobrym przyjacielem. - Harold przełknął ślinę, zażenowany tą przesadą. - Staramy się wyjaśnić, co się z nim stało.

Jennifer spojrzała na Sarah, a potem odwróciła się od nich obojga. Była zaskoczona nie tyle złożonością problemu, ile jego niepotrzebnym komplikowaniem. Jej brat umarł. Ot, co się z nim stało.

- Harold obracał się w tych samych kręgach co Alex - wyjaśniła Sarah. - Myślimy, że jego spostrzeżenia mogą pomóc policji w wyjaśnieniu, kto to zrobił.

- Jest pan detektywem? - zapytała Jennifer.

- Nie. Niezupełnie.

- Więc co dokładnie pan robi?

- Czytam.

- Słucham?

- Czytam książki, a właściwie przeczytałem całą ich masę - to jest chyba dokładniejsze określenie. Wspomagam działy prawne większości studiów filmowych, kiedy ktoś skarży je o naruszenie prawa autorskiego...

- Jest pan sherlockistą?

- Tak.

- A pani reporterką? - zwróciła się do Sarah.

- Tak.

Westchnęła i założyła nogę na nogę, zdejmując kłaczki ze swoich czerwonych skarpetek.

- Nie rozmawiałam z bratem z miesiąc. Nie byliśmy... Nie, to nieprawda, na swój sposób byliśmy blisko.

- O czym państwo rozmawiali? Czy miała pani wrażenie, że dzieje się coś niezwykłego?

- U Aleksa zawsze działo się coś niezwykłego. Zawsze toczyła się wielka gra, zawsze gonił za jakimś starociem albo cennym dokumentem czy czymś tam jeszcze. Zawsze był o krok, o kilka godzin od ukończenia biografii. Tego dnia, pamiętam, powiedział, że ktoś go śledzi od momentu, jak znalazł ten dziennik. Uznałam, że dramatyzuje, jak to zwykle on.

- A czy wspomniał, kto go śledził?

- Och, cholera wie. To nie był pierwszy taki przypadek. Kiedyś w czasie studiów zadzwonił w przypiływie szału do ojca, dowodząc, że dwóch rywalizujących z nim studentów spiskuje przeciwko niemu, chcąc ukraść jego pracę. Oczywiście nie była to prawda.

- Jeśli nikt go nie śledził, to kto go zabił, pani zdaniem? - zapytał Harold, zaskoczony własną śmiałością.

- Nie uważa pan, że to oczywiste? - stwierdziła Jennifer. - Czy nie dlatego tu jesteście?

- Co pani przez to rozumie?

- Jeden z was. Jesteście trzodą zazdrosnych dzieci. Miał batonik, a wy wszyscy go pragnęliście. - Zdjęła nogę z nogi, oparła stopy na podłodze i pochyliła się do przodu z dłońmi na kolanach. - Jak myślicie, kto z was był do tego zdolny?

Harold pomyślał o Ronie Rosenbaumie, Jeffreyu Engelsie i tuzinie innych. Poczłł podejrzany chłód wspinający się po kręgosłupie, ale zdusił go, poprawiwszy się na krześle.

- Nie wiem - przyznał. - Jeszcze.

- Proszę pomyśleć o swojej ostatniej rozmowie z bratem - wtrąciła cicho Sarah. - Czy podał jakieś szczegóły na temat tego człowieka, który miał go śledzić?

Jennifer Peters zastanowiła się przez chwilę.

- Nie - orzekła.

- Chcielibyśmy obejrzeć jego mieszkanie, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - poprosiła Sarah.

- Och, niech będzie. W czym to może zaszkodzić? - zgodziła się Jennifer. - Zawiozę was tam. Znajdę tylko jakieś buty.

W uwielbianych przez Harolda opowiadaniach morderstwo było takie trywialne. Zwłoki były częścią fabuły, zagadką, którą należało rozwiązać. Ofiarą nie był brat. Fabuła nie zostawiała pogrążonych w żalobie sióstr, niemogących znaleźć butów.

- Pani brat - zaczął po dłuższej chwili - był legendą w naszym klubie. A to, że w końcu odnalazł zaginiony dziennik... Nie wiem, czy to panią pocieszy, ale spełnił swoje marzenie. Zanim odszedł, był szczęśliwy.

Jennifer zaśmiała się do siebie i pokręciła głową.

- Szczęśliwy? - powiedziała powątpiewająco. - Uważa pan, że ludzie są szczęśliwi, gdy wreszcie dostają to, czego pragnęli? - Z roztargnieniem bawiła się obrączką na lewej dłoni. - Pamiętam dzień, w którym zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że znalazł dziennik. Mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam. Wydawał się bardzo daleki, taki oficjalny. Zaproponowałam kieliszek szampa-
na, zaprosiłam go do restauracji, żeby to uczcić, bo zasłużył na to.

Ale on powiedział: „To nie będzie konieczne”. „To nie będzie konieczne”? Kto zwraca się tak do własnej siostry?

Po chwili wynurzyła się z szafy z parą wygodnych butów i zimowym paltem. Kiedy je wkładała, obszycie z nerek otarło się o jej uszy.

- Czy wspomniał pani, gdzie go znalazł? - zapytał Harold. Długo czekał na właściwy moment, żeby to zrobić, aż w końcu zrozumiał, że żaden taki nie będzie.

- Nigdy - odparła Jennifer.

- Pytała go pani o to?

- Z dziesięć razy. Wywnioskowałam tylko, że przez tydzień był w Cambridge. Nie wiem dlaczego. Większość badań prowadził w British Library, która ma doskonałe zbiory wiktoriańskie i edwardiańskie. Nigdy mi nawet nie wspomniał, że tym razem naprawdę jest blisko. Po prostu zadzwonił któregoś dnia i powiedział: „Och, Jennifer, znalazłem dziennik. Jest dość fascynujący. Dokończę biografię i wyjawię wszystko na tegorocznej konwencji”. Brzmiał żałośnie - jakby ktoś, kogo znał, właśnie umarł. Jakby miał napisać nekrolog. - Zmarszczyła brwi i zamilkła.

- Nie sądzi pani, że dziennik przyniósł mu spokój. Choć na chwilę? - zapytała Sarah. - To było ukoronowanie pracy jego życia.

- Myślę, że cokolwiek znalazł, unieszczęśliwiło go jeszcze bardziej. Aż w końcu ten dziennik go zabił! - oświadczyła Jennifer. - A jak myślicie, co przyniesie wam?

ROZDZIAŁ 15

DEKLARACJE MIŁOŚCI

Musi pan jednak przyznać, że jej zamążpójście stanowi odpowiednią okazję do obdarowania jej w jakiś sposób.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
CHARLES AUGUSTUS MILVERTON

21 października 1900

Najwyższa wieża Opactwa Westminsterskiego przebijała bladożółtą kulę zachodzącego słońca, kiedy Arthur wyszedł ze stacji Waterloo. Ruch uliczny płynął mostem Westminsterskim jak tryskający strumień - jak sam straszny Reichenbach, wylewając pieszych i klekoczące pojazdy na wschód, w gęste centrum miasta. Big Ben wskazywał dwadzieścia po piątej.

Gdzieś w tym mieście ukrywał się morderca, mąż „Morgan Nemain”, i Arthur miał zamiar go odnaleźć. Pierwszym miejscem, do którego się skierował, było biuro wikariusza generalnego, które wydawało w imieniu arcybiskupa Canterbury ponad dwa tysiące pozwoleń na zawarcie małżeństwa rocznie. Zazwyczaj pary brały ślub w miejscowej diecezji, ale jeśli nowożeńcy

pochodzili z różnych parafii, wówczas zgodnie z prawem jedynie arcybiskup Canterbury mógł zalegalizować ich związek. A to z kolei oznaczało, że jeżeli ktoś chciał zawrzeć małżeństwo potajemnie, siedziba wikariusza generalnego nieopodal Waterloo była miejscem, gdzie mógł to zrobić. Tajemnicą poliszynela był fakt, że najbardziej bezbożne związki sankcjonował swym majestatem najpoważniejszy urząd kościelny.

Akty ślubu z czasem odsyłano do biblioteki, ale jeśli ta nie-szczęсна dziewczyna wyszła za mąż zaledwie kilka tygodni temu, była duża szansa, że Arthur znajdzie kopię pozwolenia w biurze wikariusza.

Razem z Bramem rozgryźli to wszystko, wracając pociągiem z Blackwall, ale potem przyjaciel poprosił, żeby zwolnić go z tych poszukiwań, bo musiał znaleźć cholernego żywego konia dla Henry'ego, którego ego wymagało troski.

Na moście Westminsteru Arthura uderzył blask latarni, świecących jak konstelacja gwiazd, bielszych na tle czarnych płaszczy przechodniów i pełniejszych niż księżyc na tle wież Westminsteru. Szybko się zorientował, że to nowe elektryczne lampy, które rząd instalował aleja po alei, plac po placu, zastępując nimi gazowe. Były wydajniejsze, tańsze i niemal bezobsługowe. Dzięki nim widział każde pęknięcie w chodniku, każdy wystający kamień w bruku. Żegnaj, światłocieniu Londynu. Żegnaj, ero mgły i koksie z Newcastle. Żegnaj, smrodzie odlewni Blackfriars. Witaj, oczyszczający blasku dwudziestego wieku.

Zatrzymując hałaśliwą dwukółkę, odwrócił wzrok od nowej siedziby Scotland Yardu po drugiej stronie Tamizy. Niech będą przeklęci.

Powóz zawiózł go na Kensington, po czym ostro skręcił w prawo, w Lambeth Road. Pałac Lambeth, przysadzisty i solidny,

leżał przed nimi. Jego średniowieczne blanki stanowiły anachronizm w pozbawionym fortyfikacji nowoczesnym mieście. Arthurowi budowla ta przywodziła na myśl tęgiego i rozeźlonego Irlandczyka, gotowego wszcząć bójkę z pawilonami Szpitala Świętego Tomasza na północy. A za nią leżało biuro wikariusza.

Imponujące wejście do niego stanowił rząd malejących odwróconych liter V, tak że Artur miał wrażenie, że staje u progu ciemnego tunelu. Choć nie był to w dosłownym sensie kościół, w budynku przetrwała atmosfera spokoju i majestatycznego bezruchu, jakie zawsze panują w świątyniach. Arthur zachowywał dystans wobec Kościoła - każdego kościoła - ale kochał świątynie. Podziwiał wszystko, co łączyło się ze starożytnością, co sprawiało, że czuł się częścią Brytanii istniejącej od tysiącleci. Wierzył w swój naród i jego ideały bardziej niż w Boga. Miał więcej miłości dla tego, co saksońskie, niż dla tego, co anglikańskie.

Stukot jego butów na posadzce nieco go deprymował, gdyż dźwięk ten aż wibrował w długich korytarzach. Co chwila mijali go brzuchaci zakonnicy w habitach, ale żaden z nich nie robił tyle hałasu.

Mnich obsługujący dział małżeństw wyglądał tak młodo, że mógłby być synem Arthura. Jego habit był brązowy jak błoto, a twarz wydawała się otwarta i tak jasna, jak gdyby chłopiec nigdy nie zaznał kłopotów. Kiedy patrzył Arthurowi prosto w oczy, nie mrugał ani nie odwracał wzroku z grzeczności. Po prostu wpatrywał się w niego z pewnością siebie i trzeźwym umysłem osoby głęboko wierzącej.

- Witam - zaczął Arthur. - Miałem nadzieję, że brat pofatyguje się dla mnie i spojrzy w rejestry ślubów.

- Chodzi o pańską córkę? - zapytał dzielnie zakonnik.

- Słucham?

- O pańską córkę. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby stwierdzić, że jest pan już żonaty. - Zakonnik uśmiechnął się i skierował spojrzenie na złotą obrączkę Arthura. - Większość takich osób - starszych dżentelmenów z odrobiną soli we włosach - szuka tu zaginionych córek. Nie wolno mi pozwalać każdemu, ot tak, kopać w aktach, ale jestem skłonny zrobić wyjątek, jeśli szuka pan swojej ukochanej córki. Zdziwiłby się pan, ile osób tu przychodzi.

Arthur się zastanowił i zdecydował, że najlepszy wyjściem będzie kłamstwo.

- Tak. Chodzi o moją córkę - powiedział. - Zaginęła. Boję się, że uciekła ze swoim pięknisiem, nikczemnym człowiekiem. Nemain - to moje nazwisko. Archibald Nemain. Moje drogie dziecko ma na imię Morgan. Mógłbym przejrzeć szybko wasz rejestr, żeby sprawdzić, czy była tutaj, żeby wyjść za mąż?

- Tego się obawiałem - powiedział zakonnik porozumiewawczo. - Proszę za mną. Deklaracje trzymamy tam.

I poprowadził Arthura przez swoje biuro do niewielkiego całkiem odizolowanego pokoju, którego ściany wzniesiono z masywnych szarych kamieni. Arthur natychmiast pomyślał o Poe i o słodkiej grozie *Beczki Amontillado*.

Jedynie meblowanie pokoju stanowiła drewniana komoda z dwoma tuzinami szufladek, niegdyś przerobiona na przechowalnię ułożonych alfabetycznie deklaracji ślubnych.

Kiedy Arthur zastanawiał się nad tym, jak tego dokona, zakonnik wrócił do biura, zwabiony cichą rozmową jakiejś pary. Arthur został sam i przez większą część tej godziny przesiewał Szuflady deklaracji.

Na początku jego poszukiwaniom towarzyszyły podniecony chichot przyszłej panny młodej i powolne, zrównoważone

odpowiedzi pana młodego, który spokojnie podawał zakonnikowi konieczne szczegóły: nazwiska, imiona rodziców, miejsca urodzenia i zamieszkania, a potem pokazał zgodę ojca narzeczonej. Kiedy wyszli, zakonnik zajął się kolejnymi petentami, uwijającymi się niczym kolibry podlatujące do drzewa - najpierw słychać było odgłos ciężkich kroków, potem piski i okrzyki podczas załatwiania sprawy, a na końcu pośpiech i trzepot, kiedy pełni otuchy odchodzili.

Ręcznie pisane dokumenty miały w sobie romantyzm rządowej biurokracji. Chociaż każdy wypełniła kochająca prawa ręka pełnego zapału pana młodego, deklaracje miały w sobie niewiele z Szekspira, a więcej z testamentu. „4 października 1900” - zaczynała się pierwsza z wielu - „którego to dnia pojawił się osobiście Thomas Stacey junior z Moreden w hrabstwie Surry, w wieku lat dwudziestu czterech, kawaler, i oświadczył, że ma zamiar ożenić się z Mary Beach z hrabstwa Norfolk, w wieku dwudziestu lat, panną, za zgodą Richarda Norrisa, jej wuja i opiekuna prawnie wyznaczonego, jako że nie ma ojca, matki ani innego opiekuna wyznaczonego jej testamentem...” - ciągnęło się to przez całą stronę, aż w końcu padało stwierdzenie, że nie istnieje żadna „przeszkoda z powodu uprzedniego kontraktu”, która wchodziłaby w drogę ich zdolności do zawarcia małżeństwa zgodnie z prawem.

Arthur wrócił myślami do własnego ślubu. To już szesnaście lat temu! Aż tyle czasu minęło od tego miłego sierpniowego dnia w Masongill? Był biednym lekarzem, kiedy poznał Touie. Jego raczkująca praktyka przynosiła skromny dochód, ale dopiero teraz, tyle lat później gotów był przyznać, że mogło to mieć związek z jego brakiem talentu w tej dziedzinie. Poznał ją - wtedy Louise Hawkins - za sprawą jej brata cierpiącego na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, który został jego stałym pacjentem.

Arthur podawał mu co wieczór wodzian chloralu na uspokojenie, ale w ciągu tygodnia pacjent umarł. Jeszcze teraz Arthur zastanawiał się nad tym, czy w istocie to nie kuracja przyczyniła się do jego śmierci. Lecz chłopak marniał w atakach maligny - a więc z pewnością jakiś środek uspokajający był konieczny. Jakże nieprecyzyjną nauką jest medycyna. W większym stopniu stanowi sztukę niż literatura.

Czy małżeństwa, dowody zawarcia których przeglądał teraz, były tak szczęśliwe jak jego? Czy mężczyźni ci czuli to samo co on, kiedy zobaczył swoją pannę młodą przed ołtarzem? Czym stanie się łącząca te pary namiętność po półtorej dekady? Z wiekiem miłość potulnieje jak wierny pies. Staje się cenna, schowana przed światem jak biżuteria w szkatule. Chwalebnie niezawodna - jest jak jajka, szynka, poranna gazeta. Kochał Touie tak samo jak zawsze. Nawet bardziej. I choć od lat z powodu jej choroby powstrzymywali się od pewnych form bliskości, nie mógł być szczęśliwszy. Miał wrażenie, jakby znali się od zawsze - jak gdyby przy niej stał się mężczyzną, choć w momencie poznania się on miał dwadzieścia sześć lat, a ona była o dwa lata starsza od niego. Jak gdyby była ukochaną siostrą, przed którą nie ma się tajemnic.

No, może jedną. Jean...

Trzy lata temu poznał piękną i olśniewającą Jean Leckie, która osołomiła go i przy której czuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Jej skrzące się inteligencją wypowiedzi, jej nieskromny dowcip, promienny rozmach trzepoczących rzęs. Była młoda, ale tak mądra, tak odważna w sposobie myślenia i wyrażaniu siebie jak mężczyzna. Arthur nigdy wcześniej nie spotkał takiej kobiety i był pewien, że już nigdy więcej nie spotka. Oczywiście pozostał najzupełniej czysty w swych zamiarach. Ich dłonie nigdy się nawet nie dotknęły. Idąc obok niej, wypręzał pierś, trzymając ręce

za plecami. On również przecież złożył niegdyś taką przysięgę, jak zawarta w tych dokumentach. I nigdy jej nie złamał. Choć nadal widywał się z Jean. Chodzili na długie spacery za miastem, machała do niego z trybun podczas meczów krykieta.

To także była miłość. I ku wielkiemu zdziwieniu Arthura te dwa uczucia wcale się nie wykluczały. Kochał Touie jeszcze bardziej dzięki Jean. Kochał je tak inaczej, że miłość do nich potęgowała jedna drugą, jak odbite w systemie luster, rzucających w jego wezbrane serce przeciwne obrazy tego, co boskie. Czasem myślał, że od tego pęknie. Ale oliwa i woda nie mieszały się, podobnie jak nie wybuchły. Płynęły oddzielne i równorzędne w jego krwiobiegu.

Ile miłości może zmieścić w sobie jeden człowiek? Czy kochał bardziej niż ci młodzi o świeżych twarzach? Czy kochał bardziej niż promienne narzeczone, które płonily się wszystkimi kolorami kwietniowego ogrodu róż na myśl o zostaniu nową jakąś tam panią? Czy wszystkie miłości wyglądały tak samo, jak oskubane i ugotowane kurczęta? Czy były różne jak rogówki, odciski palców, czaszki?

Myślał o miłości, która umarła w piersi Morgan Nemain. Miłości, którą uduszono nagą w brudnej wannie w Stepney i pozostawiono, żeby zgniła. Nie była długo sama. Jej brzuch mógł być jeszcze ciepły. W jej sercu nie wykiełkowały jeszcze białe jak płatki larwy.

Z wściekłością przerzucał deklaracje, żeby poznać człowieka, który to zrobił. Przeglądał je dla zemsty.

W końcu wrócił zakonnik. Arthur nie słyszał, jak wchodzi, więc gdy chłopak dotknął jego ramienia, podskoczył przestraszony. Położył dłoń na piersi i kilka razy głęboko zaczerpnął powietrza.

- Przepraszam! - zmartwił się zakonnik. - Nie miałem zamiaru pana przestraszyć.

- W porządku - wysapał Arthur. - Nie miałem zamiaru dać się przestraszyć.

- Jak idzie kopanie?

- Boję się, że niedobrze - przyznał Arthur. - Nie znalazłem nikogo o nazwisku Morgan Nemain w tych dokumentach. Prawdopodobnie moja córka podała fałszywe nazwisko.

Zakonnik kiwnął znacząco głową.

- Nie mam się na czym oprzeć. - Przyszła mu do głowy pewna myśl. - Musi brat tu widzieć wielu młodych mężczyzn i nie pamięta zapewne imienia ani twarzy jegomościa z wysokim głosem. Był tu we wtorek dwa tygodnie temu. Czarny płaszcz. Czarny cylinder. - Arthur zaśmiał się. Czy mógłby podać mniej dokładny opis?

Zakonnik zrobił minę, jakby skosztował skisłego mleka i spojrział na Arthura z zaciekawieniem.

- Dziwne, proszę pana... Myślę, że mężczyzna, którego pan szuka, zadał mi dokładnie to samo pytanie.

Teraz z kolei Arthur zrobił dziwną minę.

- Słucham?

- Pański jegomość. Pan młody. To była przedziwna sprawa. Wchodzi mężczyzna - wysoki głos, ubranie czarne z czarnym - jakieś dwa tygodnie temu. Nie zwróciłbym na niego uwagi, ale pomyślałem, że go znam. A on zorientował się, że go poznaję, i zapytał, czy rzeczywiście. Więc powiedziałem, że tak, że poznaję go. A on na to, że to niemożliwe. Że to nie ma sensu. A ja się zgodziłem. I to było wszystko.

- Przepraszam, nie mam pojęcia, o czym brat mówi.

- Poznałem go, bo przyszedł tu już wcześniej. Kilka miesięcy temu. Wypełnił deklarację i poszedł wziąć ślub. I kilka tygodni temu przychodzi znowu, w każdym razie przyszedł ktoś, kto wyglądał tak samo. Zapachniało mi to *déjà vu*, tak? Tak mówią

Francuzi? Nie zapamiętałbym go, gdyby nie dziwne wrażenie w środku, że już go widziałem. Pytam go, czy to rzeczywiście on, a ten zrobił się strasznie nerwowy. „Jak brat mógł mnie rozpoznać?” - pyta. „Nie wiem”, mówię i śmieję się. „Był pan wcześniej żonaty?” - żartuję oczywiście. Był młody, przed trzydziestką, jak mógł być żonaty? Ale on strasznie się obruszył. Zamachał rękami, jakby był marionetką. „Jestem całkiem pewny, mój dobry bracie”, powiada do mnie, „jestem całkiem pewny, że nie mam najmniejszego pojęcia, o czym brat mówi”. Jego głos stał się tak wysoki, jakby śpiewał utwór Williama Byrda. Potem dał mi niezłą reprimendę, używając języka, jakiego nie lubimy pod tym dachem, rozumie pan? Normalnie nie zostawiłbym tego bez słowa, ale służę Panu, więc nadstawiam drugi policzek. Jegomość dał mi swoją deklarację, ja się pod nią podpisałem, a ten poszedł sobie.

Słuchając monologu zakonnika, Arthur czuł mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Czuł upajający dreszcz odkrycia.

- Czy pamięta brat jego nazwisko? - zapytał, wspinając się z podniecenia na palce.

Zakonnik spuścił wzrok.

- Nie, proszę pana. Przykro mi.

Myśli kręciły się w głowie Arthura jak bąk, wirowały, rozważały możliwości.

- Ale sądzi brat, że był wcześniej żonaty...

- Cóż, wtedy nie wydawało mi się to zbyt prawdopodobne - odparł zakonnik. - Ale teraz...

Cokolwiek zrobił Morgan Nemain - pomyślał Arthur - uczynił to już wcześniej innej dziewczynie.

ROZDZIAŁ 16

AUTOMATYCZNA SEKRETARKA

Poszlaki mogą być mylące - stwierdził Holmes z zamyśleniem. - Może się wydawać, że wyraźnie na coś wskazują, a jeśli nieco zmienisz punkt widzenia, okazuje się, że równie niewątpliwie świadczą o czymś całkiem innym.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
TAJEMNICA BOSCOMBE VALLEY

9 stycznia 2010

Podczas trwającej trzydzieści trzy minuty jazdy taksówką z mieszkania Jennifer Peters w London Fields do lokum Aleksa Cale'a w Kensington Harold i Sarah sporo się dowiedzieli o historii ich rodziny.

Co nie było trudne do ustalenia, rodzeństwo było dość bogate. Ich ojciec, Henry, zbił fortunę na transporcie morskim, choć do śmierci pozostał biedakiem z Newcastle, który zachował podejrzliwość wobec bogatych, w jakiej go wychowano. Nie należał do ludzi umiających siedzieć beczynn timer i tego też uczył swoje dzieci - nie pozwalał im liczyć tylko na rodzinny majątek. Nie potrafił

zrozumieć, że zarówno Jennifer, jak i Alex - mimo ukończenia świetnych uniwersytetów i studiów podyplomowych otwierających im drogę do każdej posady na świecie - nie mieli talentu ani ochoty do powiększania tej fortuny. Jennifer długo nie mogła się zdecydować, co chciałaby robić w życiu: podyplomowy kurs pisania wierszy (ojciec ryknął na nią, kiedy o tym usłyszał), nauczycielka sześcioletnich brzdąców (ojciec stłukł kieliszek), administratorka kampanii na rzecz oddłużenia Trzeciego Świata (zagroził, że ją wydziedziczy), ale gdy ten ostatni pomysł na siebie z czasem doprowadził do jej małżeństwa z jednym z bogatych założycieli tej organizacji, wszystkie groźby ojca zostały wycofane, gdyż spadek nie był jej już tak potrzebny. Obecnie Jennifer kierowała mężowską fundacją dobroczynną.

Alex natomiast miał zdecydowanie większe ambicje niż siostra, choć wcale nie stanowił mniejszego rozczarowania dla starszego ojca. Zapowiadał się obiecująco - był bystrym chłopcem z głową do liczb i w szkole zbierał same dobre stopnie. Wszystko popsuło się na trzecim roku studiów, kiedy poprosił o urlop na ukończenie powieści. Ojciec, chcąc uniknąć wybuchu złości, poprosił sekretarkę, panią Whitman, żeby wyprowadziła Aleksa z jego biura.

Ale kiedy kilka lat później Alex poprosił go o pożyczkę w celu utworzenia księgarni, Henry dostrzegł światełko w tunelu. Nie wiedział wprawdzie, jak wyglądają szanse na rynku małej księgarni z działem antykwarycznym w Chelsea w 1973 roku, ale ucieszył się, że przynajmniej chłopak chciał zacząć prowadzić jakiś interes. Należy być wdzięcznym za drobne podarki.

Księgarnia utrzymała się marne dwa lata i cztery miesiące, po czym na jej miejscu otwarto cudownie pachnącą indyjską restaurację, w której Alex często jadał, sycąc nie tylko żołądek, ale i

nostalgii za spędzonymi tu chwilami. Jennifer pamiętała, że zaprosił ją do niej wraz z mężem w ostatnim dniu jej działania, gdyż nazajutrz zastąpiono ją francusko-azjatyckim lokalem, oferującym kuchnię typu fusion, co bardziej przygnębiło Aleksa niż niepowodzenie własnego biznesu.

Potem przyszły kolejne niepowodzenia, chociaż żadne z nich nigdy nie inwestowało ojcowskich pieniędzy. Magazyn literacki padł dość szybko, zakup zbioru dziewiętnastowiecznych antyków okazał się niewypałem, a pół nauki w zakładzie rzemieślniczym wykonującym meble z wikliny trudno było uznać za rozsądną decyzję. Gdyby ktoś chciał przygotować biografię Aleksa Cale'a, pomyślał Harold, ten szczegół musiałby pominąć jako niepasujący do ogólnej idei jego historii. Bo stale dominującym w niej tematem był bezspornie Sherlock Holmes. Alex zakochał się w nim jako chłopiec i niania Deirdre ciągle musiała mu czytać opowiadania o nim na dobranoc. Wreszcie, mając zaledwie dwadzieścia cztery lata, został członkiem Chłopców z Baker Street.

Kiedy Henry Cale umarł nagle w 1989 roku na tętniaka mózgu i w rodzinie zabrakło elementu scalającego, jakim był brak aprobaty z jego strony, dwójka jego dzieci zaczęła się od siebie oddalać. Nie byli już sobie nawzajem potrzebni do obrony przed nim. Jakby łączyła ich tylko wspólna walka w okopach, a kiedy bombardowanie ustało, żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć drugiemu. Jennifer skupiła się na mężu i działalności charytatywnej, a Alex na swoim Holmesie i niekończących się poszukiwaniach.

Bo teraz śledztwo w sprawie zaginionego dziennika Conan Doyle'a stało się obsesją Aleksa. Nie było już nikogo, kto mógłby mu powiedzieć „nie”. Kiedy znajdzie dziennik i skończy biografię, myślał, udowodni wreszcie, że ojciec się mylił. Dokona

czegoś naprawdę wielkiego, chociaż nie w dziedzinie wymarzonej przez ojca. Jego sukcesem będzie zarówno samo zwycięstwo, jak i konsekwentny oraz rozwijający się bez ograniczeń bunt.

Harold był zaskoczony, jak skłonna do zwierzeń była Jennifer Peters, chociaż irytował go jej sposób mówienia: w jednej chwili pięknie i z bólem wyrażała się o najgłębszych uczuciach swego brata, by w środku zdania umilknąć i odpłynąć myślami w szare zimowe niebo. Przypominała Haroldowi śluzy na rzece w Chicago, które zamykały się na jakiś czas, żeby napełnić się wodą, a potem otwierały, wypuszczając hektolitry błotnistej masy.

Taksówka zatrzymała się przed jednym z dwupiętrowych domów przy Phillimore. Na tyłach budynków rosły wysokie drzewa - Harold widział tylko ich wierzchołki wystające nad spadzistymi dachami. Zapłacił za kurs pieniędzmi Sebastiana Conan Doyle'a i cała trójka weszła do mieszkania Aleksa, które w pierwszej chwili robiło wrażenie zaplecza wesołego miasteczka. Fantastyczne zabawki i stare świecidełka zajmowały całą dostępną powierzchnię. Lśniąca srebrna gazownica, ozdobna szabla, miedziana lampa, z tuzin słoików na lekarstwa wypełnionych Bóg jeden wie czym, rewolwer w szklanej gablotce, maleńki serwis do herbaty, bandžo, czternaście pustych wazonów we wszystkich kolorach i książki, książki, książki. Książki wszelkich rozmiarów, kształtu i wzoru. Książki ustawione porządnie na półkach, rozrzucone w stosach, pojedyncze, przycupnięte na krawędziach stołów i podnóżkach, jakby zaraz miały z nich spaść. Hol, salon, jadalnia i to, co leżało dalej - każde z tych pomieszczeń miało tapetę innego koloru: żółtą, różową, fioletową. Jak gigantyczny cukierek. Jakby mieszkał tu Willie Wonka. Dekoracyjna kakofonia, horror projektanta wnętrz.

- O rany - powiedział Harold tylko.

- Myślę, że... w ostatnich latach ekscentryzm mojego brata wziął górę - wyjaśniła Jennifer.

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy się rozejrzeli?

- Proszę bardzo - zgodziła się Jennifer. - I powodzenia.

Trudno było prowadzić zorganizowane poszukiwania w tak chaotycznym miejscu. Harold uległ panującemu tu klimatowi i biegał tam i z powrotem niczym pszczoła w poszukiwaniu pyłku. Powęszył w żółtym gabinecie, zaglądając do egzemplarza *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego* Gibbona. Otworzył stare pudełko po cygarach i znalazł w nim zbiór obcej waluty: dolary, korony i trzy rodzaje peso, wszystko w plastikowych torebkach obwiązanych gumkami. Sarah działała oddzielnie. Nie ustalili, czego szukają - Harold i tak nie wiedziałby, co jej powiedzieć. Miał tylko nadzieję, że kiedy znajdą to coś, będą wiedzieli, że o to im chodziło.

Sarah wzięła komplet składający się z solniczki i pieprzniczki w kształcie kotów. Postawiła go porządnie na stole obok zestawu odbitek fotograficznych 4 x 6 cali, które ułożyła w stosik. Harold zaczął ją obserwować. Jeszcze chwila, a można byłoby odnieść wrażenie, że tutaj sprząta. Kiedy doszła do niebieskiej wstążki leżącej obok białego kartonowego pudełka, ponownie ją zawiązała. Porządkowała. Harold spojrzał w dół, na bałagan u swoich stóp. On po prostu podnosił przedmioty i odkładał je z powrotem mniej więcej w to samo miejsce. Bez zasady, systemu, zwiększając jedynie bezmyślną entropię. Wszystko, co nie było dziennikiem, traktował jak śmieci. Sarah zaś przeciwstawiła się temu chaosowi i szybko sobie z nim radziła.

Szukali w ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu przez jakąś opowieść Jennifer: pokazywali jakiś przedmiot, siostra

Aleksa starała się wyjaśnić jego pochodzenie. Zepsuty zegar wyglądał na południowoamerykański. Alex był tam w dziewięćdziesiątym ósmym albo dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. *Ergo*: musiał go przywieźć z Argentyny. Sarah pierwsza zauważyła automatyczną sekretarkę. Wskazała na jej mrugające światelko.

- Sprawdziła pani jego wiadomości? - zapytała.

- Och! - Jennifer sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Nie zauważyłam tego.

- Mogę? - zapytała Sarah.

Jennifer skinęła głową i Sarah uruchomiła odtwarzanie. Rozległo się głośne szczęknięcie i przesywający sygnał.

- *Jedna - wiadomość - odezwał się antropomorficzny głos sekretarki. - Pierwsza - wiadomość - otrzymana - o - osiemnastej - czterdzieści - jeden - czwartego - stycznia - dwa - tysiące - pięćdziesiątego - roku.*

Pięć dni temu, pomyślał Harold. Na trzy dni przed kolacją Chłopców z Baker Street.

- *Panie Cale, mówi Sebastian Conan Doyle - rozległ się ludzki głos.*

Harolda przeszły ciarki. Sebastian wyraźnie był wściekły.

- *Zapewne dostał pan już nakaz sądowy od moich adwokatów. Wiem, że się pan przede mną ukrywa. Myśli pan, że ponieważ wykopał pan właściwą skrzynię gdzieś na jakimś strychu, ma pan prawo do czegoś, co należy do mnie? Ty mały palancie. Słyszysz mnie pan, Cale? Jest pan tam teraz? Słucha pan mojego głosu, lejąc w spodnie? No to niech pan posłucha: jeśli odda pan komuś ten dziennik, pożałuje pan. Dopilnuję, żeby znienawidził pan już samo nazwisko Conan Doyle.*

Rozległo się kolejne głośne szczęknięcie i to był koniec wiadomości.

ROZDZIAŁ 17

LISTA OKROPNOŚCI

*Szukajmy konsekwencji w działaniu.
Jej brak oznacza oszustwo.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
NIEZWYKŁE WYDARZENIA NA MOŚCIE THOR

21 października 1900

Arthur Conan Doyle położył głowę na stosie raportów o uduśnieniach i głęboko westchnął. Nigdy nie myślał, że praca detektywa jest tak piekielnie nudna.

Większą część dnia spędził wśród tych papierów. Od zakonnika w biurze wikariusza generalnego nie dowiedział się niczego ważnego, chociaż młody człowiek bardzo starał się pomóc. Razem przeszukali deklaracje, ale nie znaleźli niczego, co pobudziłoby pamięć zakonnika i przywołało nazwisko morderczego pana młodego. Przekonany, że nic więcej już tu nie uzyska, Arthur odbył krótki spacer do Scotland Yardu. Inspektora Millera nie było - na szczęście! - ale inni, którzy znali Arthura ze słyszenia, byli zachwyceni, że mogą się przydać. Tak więc kilka następnych godzin spędził, badając kryminalne akta Yardu. Jeżeli morderca

uderzył dwukrotnie, musi być jakiś zapis jego poprzedniej zbrodni. Ale choć w ciągu minionego roku w samym Londynie znaleziono sporo nieżywych dziewcząt, ciało żadnej nie zostało porzucone w tanim pensjonacie na East Endzie, nagie, z tatuażem i w towarzystwie świeżej sukni ślubnej.

Skoro morderca udusił „Morgan Nemain”, czy zasadne było przypuszczenie, że posłużył się tą samą techniką przy innej zbrodni albo - uchowaj Boże - zbrodniach? Arthur nie był pewien. Czy na tyle szalony umysł delektował się konsekwencją? Czy mordercy są jak rzemieślnicy - każdy z własnym zestawem ulubionych narzędzi? A może liczą na traf, wykorzystując ostatecznie to, co im akurat wpadnie w ręce? Gdyby tylko istniał przyrząd umożliwiający zajrzenie w głąb czaszek londyńskich zabójców...

Usłyszał czyjeś kroki i przyjemne pobrękiwanie filiżanki o spodek. Podniósł wzrok znad stosu papierów i zobaczył młodego oficera, który przyniósł mu herbatę. Jego kwadratowa twarz i bijący z postawy profesjonalizm zrobiły na Arthurze spore wrażenie.

- Herbata, doktorze Doyle? - zapytał policjant, stawiając tacę na biurku.

- Dziękuję - odpowiedział Arthur, porządkując papiery.

Młody człowiek wahał się przez chwilę, jakby oczekując dalszych poleceń. Kiedy ich nie otrzymał, obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi. Noc przyszła niezauważenie i czarne niebo, widoczne w oknie, sprawiało, że nowy budynek Scotland Yardu wydawał się jeszcze masywniejszy i cichszy.

- Oficerze! - zatrzymał go Arthur.

- Pemblesmith, proszę pana. Frank Pemblesmith. - Podeszedł do biurka Arthura.

- Czy spotkał pan kiedyś mordercę, mój chłopcze?

Oficer Frank Pemblesmith zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

- Założę się, że kilku. Akurat w zeszłym tygodniu zatrzymałem gościa, który wdał się w bójkę w pubie. Pracował na kolei, jeśli się nie mylę. Pobił się z innym kolejarzem i uderzył go w głowę kuflem. To był ponury widok.

- Tak, z pewnością - przyznał Arthur, choć nie o to mu chodziło. - Ale czy miał pan kiedyś do czynienia z prawdziwym zabójcą? Z kimś, kto się urodził, żeby czynić zło?

- To znaczy?

- No cóż, szukam człowieka, który zabił dwie - co najmniej dwie - młode kobiety, w dodatku z zimną krwią. Zaplanował to. Z góry wiedział, co robi. Kto byłby do tego zdolny? To przecież wbrew wszelkiemu rozsądkowi.

Oficer Pemblesmith usiadł na krześle, zanim odpowiedział.

- Ma pan coś przeciwko dygresji?

- Zupełnie nic - odrzekł Arthur, odsuwając się z krzesłem od biurka.

- Wychowałem się w Dorset - zaczął Pemblesmith. - Miałem tam kumpla, Seana Smarka. To nie było jego prawdziwe nazwisko. To my, chłopcy, tak go nazywaliśmy, bo stale ciekło mu z nosa - zimną, wiosną, latem czy jesienią. W każdym razie jednego roku nasiliły się przypadki zabijania owiec w okolicy. Wszyscy byli oburzeni i nie znajdowali dla tych zdarzeń żadnego wytłumaczenia - ktoś przez kilka miesięcy skradał nocą przez pola i podcinał żyły w nogach owiec rasy Border Leicesters, które wszyscy hodowaliśmy, a potem czekał, aż się wykrwawią. Matki trzymały dzieci przez cały dzień w domu ze strachu, że tajemniczy zabójca zmieni przedmiot zainteresowania i przerzuci się na ludzi. To długa historia, ale w końcu władze przyłapały go na gorącym uczynku. I co się okazało?

To Sean Smark zabijał owce. Sean! Spytałem go, dlaczego to robił. I wie pan, co mi odpowiedział?

- Nie - odparł Arthur.

- Patrzył mi prosto w oczy, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdezorientowania. Przez chwilę jakby naprawdę mocno się nad tym zastanawiał, aż w końcu odrzekł: „Nie wiem, Frankie. A jak ty myślisz? Dlaczego to zrobiłem?”.

Arthur nie wiedział, jak zareagować, wołał więc w milczeniu czekać na wnioski.

- Chodzi mi o to, żeby się pan nie przejmował żadnymi „dla czego”, doktorze Doyle. Kto wie, z jakiego powodu ludzie czynią zło? Nie da się wytłumaczyć, co siedzi u człowieka w głowie. - Postukał się dwukrotnie we własną czaszkę, jakby chcąc pokazać jej grubość. - Lepiej spędzać czas, zastanawiając się nad tym jak. I kto.

Kiedy wyszedł, stukając butami, Arthur jeszcze przez długą minutę popijał herbatę. Była ohydna - słaba i zimna. Odsunął tacę i wrócił do papierów: dziewczyny zakłute nożem, utopione, udużone.

24 października 1900

Mógł wybierać pomiędzy dziewczyną z herbaciarni, zadżganą w St James Park, pielęgniarką przejechaną przez powóz niedaleko University College, a jedną z dwóch guwernantek pobitych i obrabowanych na Kensington. Czuł się, jakby otworzył bombonierkę z okropnościami.

Właśnie był w trakcie ponurego obchodu: odwiedzał ich rodziny, domy, miejsca, gdzie je zabito. I za każdym razem zadawał te same pytania: „Czy przed śmiercią córka nie wyszła za mąż?”, „Czy przypadkiem nie zauważyli państwo sukni ślubnej w pobliżu ciała?”, „Bardzo przepraszam, ale czy siostra nie była naga?”.

Przypominało mu to lekarskie wizyty domowe, gdy w zaciszu sypialni korzystał z podobnie ograniczonego zestawu pytań: „I jakże się dzisiaj czujemy?”, „Jak tam z apetytem?”, „Czy ząb nadal boli?”, „Och, proszę mówić prawdę. Brała pani te krople kokainowe, które pani dałem?”. Chociaż tamte sytuacje nie wiązały się z takim bólem jak obecne.

Zakończywszy spotkanie, Arthur skreślał kolejne nazwisko z listy. Żadna z najbardziej prawdopodobnych według niego ofiar nie miała nic wspólnego z zabójcą „Morgan Nemain”. Zaczął więc badać mniej rokujące przypadki - ciał znalezionych na ulicy.

W następny piątek, kiedy niemal wszystkie nazwiska z listy były już sprawdzone, Arthur znalazł się na East Endzie, gdzie trzy miesiące wcześniej w uliczce na tyłach Wathey Street, nieopodal Whitechapel, znaleziono martwą dziewczynę z przerwaną tchawicą i z taką liczbą rozległych sińców na całym ciele, że nie sposób było orzec, co przyczyniło się do jej śmierci. Znalaziono ją w ubraniu, lecz w dokumentach Scotland Yardu nie było wzmianki o sukni ślubnej wśród należących do niej rzeczy. Arthur jednak dysponował jej nazwiskiem: Sally Needling. Miała dwadzieścia sześć lat i zanosilo się na to, że zostanie starą panną. Nadal mieszkała z rodzicami na Hampstead. Ojciec był adwokatem, mieli więc pieniądze, a do tego ładny kawałek ziemi. Poza tym rodzice nie mieli pojęcia, co ich córka mogła robić w okolicach Whitechapel.

Arthur odnalazł uliczkę na tyłach Wathey Street. Była ciemna i wąska. Panował tu ohydny smród dochodzący jakby spod ziemi. Kiedy zagłębił się w nią kilka kroków, zrozumiał jego przyczynę. Zobaczył tylne drzwi sklepu rzeźniczego, za którymi składowano zepsute kawałki prosiąt i bydlęce szkielety. Bez wątplenia było to miejsce publiczne, a więc odległe od zacisza pensjonatu, w

którym „Morgan Nemain” spotkała śmierć. I najpewniej te sprawy nie mają z sobą nic wspólnego, stwierdził Arthur. Dziewczyna duszona w uliczce narobiłaby tyle hałasu, że z łatwością usłyszano by ją na Wathey Street. Jakąkolwiek okropność tu popełniono, nie miała ona żadnego związku z zagadką, którą próbował rozwiązać.

Popatrzył w górę. Ze sznura biegnącego nad uliczką zwieszał się rząd rozmaitych ubrań: wełniane spodnie, jasne szmizjerki, kurtki z bufiastymi rękawami, mokre białe koszule, pończochy wszystkich kształtów i rozmiarów. Cóż za dziwny asortyment!

Wyszedł z uliczki i spojrzał na budynek, do którego przynależało pranie. Na froncie trzypiętrowego domu nie było żadnego szyldu, ale liczba suszącej się odzieży wskazywała na to, że nie była to zwykła prywatna posiadłość.

Arthur zapukał do drzwi. Cisza. Zapukał jeszcze raz. Wreszcie otworzyła mu stara kobieta ze spłaszczonym nosem, głęboko osadzonymi oczami i stałym grymasem na twarzy.

- No co? O co chodzi? - warknęła.

- Przepraszam panią - powiedział Arthur. - Czy pani tu mieszka?

- Nie, łaskawy panie, tu mieszka królowa. W tej chwili jest w środku, dogląda sprzątaczkę.

Jej sarkazm nie zrobił na Arthurze wrażenia.

- Potrzebne mi miejsce, gdzie mógłbym przenocować - odparł.
- Mogłaby mi udostępnić pani pokój i wikt za rozsądną opłatę?

Kobieta rozejrzała się, jakby szukała kogoś na ulicy.

- Co pan słyszał? - zapytała.

- Przepraszam?

- Kto panu powiedział, żeby tu przyjść w sprawie noclegu?

- Nikt. Przechodziłem, a pani śliczny dom wyglądał tak gościnnie.

Kobieta zmierzyła go od stóp do głów i pociągnęła nosem.

- Od czasu do czasu wynajmuję pokoje obcym - oznajmiła - jeżeli wyglądają na odpowiedzialnych. Pan zaś wygląda dość przyzwoicie.

Odwróciła się i wpuściła go do środka.

- Ile ma tu pani pokoi? - zapytał.

- Mogłabym mieć dla pana wolny pokój, ale będzie to jedyny, jaki może pana obchodzić.

Arthur nie zareagował. W milczeniu podążał za kobietą przez kuchnię do długiego korytarza.

Dom sprawiał wrażenie cichego, a przynajmniej o wiele cichszego niż poprzedni pensjonat. W korytarzu Arthur dostrzegł drzwi do rozmaitych pokoi, a nawet zdołał zauważyć dwie sypialnie i klozet. W ostatnim pomieszczeniu - najpewniej sypialni właścicielki - drzwi były szeroko otwarte. Gdy zbliżyli się do niego, kobieta skręciła w lewo.

- Pana pokój będzie na górze. Na dole są zajęte.

Arthur podszedł do schodów, ale zanim je pokonał, zerknął w prawo, do jasnej sypialni właścicielki. Szerokie łóżko było porządnie posłane białymi prześcieradłami i niebieskim kocem. Na stoliku nocnym stała lampa naftowa, w głębi zaś niewielka szafa wnękowa, zasadniczo pozbawiona drzwi, a w niej Arthur dostrzegł ciemne ubrania kobiety sprzątajacej ten wielki dom, ponure turniury i jedną białą suknię ślubną.

Zatrzymał się w zastanowieniu. Skąd, u licha, u tej skąpej sprzątaczkii z Whitechapel taka suknia?

- Skąd pani ją ma? - zapytał cicho.

Kobieta odwróciła się, zdezorientowana.

- Co mam?

- Lśniącobiałą suknię ślubną w... zakładam, że to jest pani

sypialnia. Proszę wybaczyć, ale jest znacznie za mała na panią. Czyja to suknia?

- A co panu do tego? - zapytała kobieta ze złością.

- Nazywam się Arthur Conan Doyle - uznał, że teraz prawda lepiej się sprawdzi niż kolejne kłamstwo. - Prowadzę śledztwo w sprawie Morgan Nemain, a od tej chwili również niejakiej Sally Needling.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Sally Needling zatrzymała się tutaj tego wieczoru, kiedy umarła, prawda? Była jedną z pani lokatorek.

Kobieta wytrzymała spojrzenie Arthura, ale w końcu na jej twarzy pojawiła się wściekłość.

- Wynoś się, ty śmierdzący szpiclu! - warknęła.

- W jaki sposób jej ciało wydostało się z pani pensjonatu na uliczkę na jego tyłach? Nie sądzę, że pani ją zabiła. Zrobił to męczczyzna. Ale pani była tutaj, kiedy to się stało.

- Nie obchodzi mnie, kim pan jest ani czym się pan zajmuje. Tam są drzwi. Proszę z nich zrobić użytek.

Ale Arthur już znalazł sposób, by zmusić ją do mówienia.

- Miewa tu pani lokatorów wbrew życzeniu kogoś, kto jest niedaleko, prawda? Kogoś, kto bywa w tej okolicy. Hm, no tak...

- Arthur zatarł ręce i nucił pod nosem, rozważając możliwości. Jedno wiedział: musi być bardziej stanowczy. - Całkiem spory ten dom - zauważył - a pani nie ma nawet obrączki na palcu... Bo nie jest pani jego właścicielką... Pilnuje go pani tylko i w tajemnicy wynajmuje pokoje za kilka szylingów tygodniowo. Szkoda by było, gdyby właściciel się o tym dowiedział, nieprawdaż? I przykro by mi było, gdybym to ja musiał mu o tym powiedzieć. - Poprawił płaszcz i wypiął pierś.

- Nie oddam jej - oznajmiła po dłuższej chwili kobieta, choć mina jej już zrzędała.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł Arthur. - Ale muszę wiedzieć, co się tutaj wydarzyło.

- Ja jej nie zabiłam!

- Wiem - powiedział Arthur. - Kto to zrobił?

- Mało co go widziałam, przeszedł tak prędko. Przyszedł z nią. Mówi pan, że miała na imię Sally? Była w tej sukni. Kiedy ostatni raz taką widziałam? Lśniła w świetle, świeciła jak elektryczność. Mężczyzna był w czarnym płaszczu i kapeluszu, nic nadzwyczajnego. Trzymał głowę nisko, chował oczy. To ona zapłaciła za pokój. Zaprowadziłam ich więc na górę i to wszystko. - Kobieta usiadła na schodach, przyciskając kolana do piersi, jakby chciała się schować w kokonie. - Myślałam, że to wszystko - dodała po chwili. - Na drugi dzień rano idę do ich drzwi zapytać, czy chcą śniadanie. Miałam owsiankę i nawet szynkę od rzeźnika z naprzeciwka. Nie było odpowiedzi, więc otworzyłam. Była... Ta dziewczyna, wie pan, była... A suknia zmięta w kącie, jak śmieć... Cholera.

W ciemnej klatce schodowej Arthur nie widział, czy kobieta płacze, ale wszystko wskazywało na to, że tak.

- Znalazła pani ciało Sally - powiedział. - Była zupełnie naga. Została uduszona. Mężczyzna zniknął. Suknia leżała obok niej.

Kobieta skinęła tylko głową, najpierw raz, a potem wiele razy, jakby sama sobie potwierdzała prawdę.

- Czy to nie piękna suknia? - zapytała. - Widział pan kiedy taką?

- Nie chciała pani, żeby się zmarnowała. Żeby ją zabrała policja. Pomyślała pani, że może ją sprzeda albo zatrzyma dla siebie. Taka suknia musi być sporo warta. Więc schowała ją pani w szafie. Ale musiała coś zrobić z ciałem, prawda?

Teraz nie miał już wątpliwości, że kobieta płacze. Podeszedł do niej i podał jej chustkę do nosa. Rozmazała nią łzy po policzkach.

- Wzięła pani ciało i zostawiła w uliczce na tyłach domu. Musiała ją pani znieść na dół po tych schodach. Ciężka była, prawda? Uderzała o każdy stopień. Dlatego jej ciało było takie posiniaczone, kiedy znalazła je policja. Zrozumiała też pani, że nagie ciało wywoła większe zainteresowanie policji niż ubrane, więc co pani zrobiła? Wzięła kilka własnych spódnic i ją owinęła. Uczciwa zamiana, jak sądzę, za jej śliczną białą suknię.

Kobieta nadal płakała, ukrywając głowę między kolanami. Chciał usiąść obok niej i podać jej ramię, ale na schodach nie było dość miejsca. Stał więc i patrzył z góry, jak jej łzy spadają na zabrudzone buty.

- Może pani zatrzymać tę suknię - powiedział. - I chustkę.

ROZDZIAŁ 18

CZYTANIE DLA PRZYJEMNOŚCI

*„...a sprawa niewątpliwie będzie
miała charakter sensacyjny”*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY Z NORWOOD

9 stycznia 2010

Kiedy automatyczna sekretarka Aleksa Cale'a się wyłączyła, w zagraconym mieszkaniu na Kensington zapanowała cisza. Jako detektyw prowadzący sprawę Harold uważał, że powinien coś powiedzieć.

- No cóż - zauważył. - Stało się.
- Co, do jasnej cholery? - zapytała z niedowierzaniem Jennifer.
- Nie przesadzajmy z reakcją.
- Wiecie, kto to był? Znacie tego człowieka?
- Tak. Właściwie nawet pracuję dla niego.
- Nazywa się Sebastian Conan Doyle - wtrąciła Sarah. - Wszyscy wiedzą o jego kłótni z pani bratem.
- Wiedzieliśmy, że groził Aleksowi - dodał Harold - chociaż

raczej w sensie prawnym. Nie mieliśmy pojęcia, że posunął się do groźby odebrania życia.

- Usiądźmy - zaproponowała Sarah - i spokojnie pomyślmy.

Przez następny kwadrans starali się ogarnąć sytuację i wyjaśnić Jennifer swoje relacje z Sebastianem, zaznaczając jednocześnie, że nie stoją tu po niczyjej stronie. Zasadniczo chcą po prostu znaleźć prawdę. No i dziennik, oczywiście.

Jennifer nie była przekonana.

- Chwileczkę - uciszyła ich gestem. - Potrzebna mi jest prosta odpowiedź. Czy uważa pan, że to Sebastian Conan Doyle zamordował Aleksa?

- Nie wiem - odrzekł Harold po długiej pauzie. - Na pewno na tym etapie jest najbardziej prawdopodobnym z podejrzanych. Ale ten, kto odgrywa taką rolę na początku, niemal nigdy nie okazuje się sprawcą, prawda? Gdyby to było opowiadanie Conan Doyle'a, Sebastian posłużyłby za kamuflaż.

Wyraz twarzy Jennifer jasno sugerował jej stanowisko.

- Dlaczego nie założy pan na chwilę, panie White, że to nie jest opowiadanie Conan Doyle'a? - zapytała z ironią. - Powiedzmy, czysto teoretycznie, że taka śmierć przydarzyła się w prawdziwym świecie, w dodatku prawdziwemu człowiekowi... Czy w takim wypadku nadal nie uważa pan, że powinnam powiedzieć o tej wiadomości policji?

- Tak, absolutnie, ma pani rację. Ale kiedy będzie pani z nimi rozmawiać, proszę nie wspominać o naszej wizycie. Nowojorska policja, jakby to powiedzieć, sugerowała mi, że nie powinienem opuszczać stanu. Przez jakiś czas. Nie żebym był podejrzany czy coś. Tak czy owak, rozumie pani, o co mi chodzi...

- Spokojnie - przerwała mu Sarah. - Zastanówmy się jeszcze

raz nad główną kwestią. Dlaczego uważasz, że to nie Sebastian zabił Aleksa?

- Z wielu powodów. Przede wszystkim po co miałby to robić? Ze względu na pieniądze? Tak, możliwie. Ale teraz, kiedy Alex nie żyje, nie sprzeda dziennika. Wszyscy wiedzą, że został skradziony. Jeżeli jednak to Sebastian zabił Aleksa, to nie zadał sobie zbyt wiele trudu, żeby to ukryć, prawda? Zostawił nagranie z pogrózkami na sekretarce. Może młody Conan Doyle i jest palantem, ale nie idiotą. Więc, punkt trzeci: jak to zrobił? Gdyby policja znalazła jego twarz na którymś z nagrań z monitoringu, już dawno by go aresztowano. I jak się dostał do pokoju Aleksa? Drzwi nie otwierano siłą. To Alex chętnie je otwierał. Aż trzy razy. Znał swego zabójcę. Czy przy swojej paranoi z uśmiechem wpuściłby do środka Sebastiana Conan Doyle'a? No i punkt czwarty: wiadomość napisana krwią, sznurowadło jako narzędzie zbrodni... Czy waszym zdaniem pasuje to do Sebastiana? A jeśli zostawił te wskazówki, żeby kogoś obciążyć, jakiegoś sherlockistę, kogoś takiego jak ja, to czy nie spieprzył sprawy? Bo oto, o ironio, jedynym podejrzanym zostaje on sam. Dlaczego nie zastrzelił Aleksa na ciemnej ulicy i nie zabrał mu walizki, pozorując zwykły bandycki napad? Dlaczego nie włamał się do jego mieszkania tutaj, nie ukradł dziennika i nie stworzył pozorów działania jakiejś grupy włamywaczy? Jeżeli Sebastian to zrobił, to wybrał najgłupszy sposób.

Zdenerwowany Harold westchnął z ulgą, a obie kobiety patrzyły na niego w oszołomieniu.

- To było wstrząsająco spójne - stwierdziła w końcu Sarah.

Harold wywrócił oczami, dając jej do zrozumienia, że nie uważa tej uwagi za szczególnie pomocną.

- Ja zaś rozumiem, dlaczego Conan Doyle pana wynajął - oznajmiła Jennifer i Harold nie do końca był pewien, czy miał to być komplement.

- Pani Peters - zaczął. - Mam do pani jeszcze jedno pytanie.

- Jedno? - szepnęła Sarah *sotto voce*.

- Pośród tych wszystkich książek, leżących w tym mieszkaniu, nie znalazłem ani jednej autorstwa Arthura Conan Doyle'a. Ani żadnych notatek czy materiałów mających związek z wielką pracą Aleksa - jego biografią Conan Doyle'a. Rozumiem, dlaczego zabrał ze sobą do Nowego Jorku oryginalny dziennik. Ale to raczej mało prawdopodobne, aby spakował również wszystkie inne materiały...

- Nie - odparła Jennifer. - Trzymałby je zapewne w pracowni.

- W pracowni?

- Tak. Brat miał jeszcze jedno mieszkanie ulicę dalej. Nie lubił pisać tam, gdzie mieszkał, gdyż wywoływało to w nim, jak mawiał, klaustrofobiczne doznania.

- A ten pokój, te wszystkie książki i to wielkie biurko? To nie jest jego gabinet?

- To był jego gabinet do czytania... dla przyjemności... Czy ja-koś tak go nazywał. Wszystkie materiały dotyczące Sherlocka znajdziemy dosłownie obok. Jeśli ma pan ochotę tam zajrzeć.

Spacer do pracowni Aleksa był rzeczywiście krótki. Mieściła się ona przy następnej przecznicy na północ, w budynku wyglądającym dokładnie tak samo jak pierwszy - co tylko podkreślało idiosynkratyczną bezsensowność mnożenia kosztów.

Stanęli przed drzwiami, przyglądając się Jennifer przetrząsającej torebkę w poszukiwaniu kluczy. Wyjęła całą listę osobistych

rzeczy - puder, cienie do powiek, okrągłe pojemniki na szkła kontaktowe - ale nic to nie dało. Harold rozważał nawet propozycję pomocy, ale nigdy nie wiedział, czy przeglądanie damskiej torebki nie narusza tabu.

Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, drzwi się otworzyły, na pozór same, a z budynku wynurzył się mężczyzna ze skórzaną torbą i grzecznie przytrzymał drzwi przed Jennifer. Chociaż wyglądał młodo - raczej nie przekroczył trzydziestki - włosy na skroniach miał już przerzedzone. Harold zauważył jeszcze luźne dzinsy, poplamione niebieską farbą, nijaki szary sweter i okropną kozią bródkę.

- Też nie cierpię takiego zarostu - szepnęła Sarah, jakby czytała w jego myślach. - Trudno powiedzieć, czy to broda, czy jakaś narośl na szczęcie.

Jennifer w końcu znalazła klucze, ale kiedy zatrzymała się przed drzwiami mieszkania 2L, zrozumiała, że nie są potrzebne: drzwi bowiem były otwarte.

Czekały na nich jak szczęki gotowe ich pożreć.

- Halo?! - zawołała Jennifer z nutą strachu w głosie. - Halo?!

Nie było odpowiedzi.

- Czy ktoś jest w środku?!

Harold spojrzał na Sarah, a ta skinęła głową jakby do siebie i zrobiła krok do przodu, otwierając drzwi na oścież.

Panował tu jeszcze większy bałagan niż w pokoju hotelowym Aleksa w Nowym Jorku. Rozproszone promienie słoneczne wpadały przez szerokie okna na morze książek leżących na podłodze, pocięte poduszki i kłaczki białego puchu, wyglądające jak łachy śniegu. Harold stanął za Sarah i jego wzrok najpierw przyciągnęły opróżnione drewniane półki, przez lata zasłonięte książkami przed słońcem i teraz wyraźnie jaśniejsze w środku, a potem porozbijane talerze na podłodze i stos srebrnych sztućców lśniących

na tle białych kuchennych kafelków. Biurko stojące w głębi pomieszczenia było otwarte, wręcz wybebeszone, a na jego blacie wykwitła plama niebieskiego atramentu.

Jennifer pozostała przy drzwiach, zbyt przestraszona, żeby wejść dalej. Po chwili wróciła Sarah, która zdążyła już zlustrować całe mieszkanie.

- Nikogo tu nie ma - oświadczyła.

Harold patrzył na niebieski atrament. Był jeszcze mokry.

- Kozia bródka! - ryknął, składając wszystko w całość.

Niebieskie plamy na dżinsach mężczyzny nie były po farbie, lecz po atramencie.

Przebiegł obok Jennifer i puścił się w dół po schodach, zeskakując po trzy stopnie naraz. Wypadł na zewnątrz. Ale wszystko na nic. Na długiej ulicy nie zobaczył żywego ducha.

ROZDZIAŁ 19

ZŁAMANA SPINKA DO WŁOSÓW

*Mamy szkarlatną od krwi nić zbrodni, biegnącą
przez bezbarwny kłębek życia, a naszym zadaniem
jest ją odnaleźć, oddzielić od pozostałych
i obnażyć każdy jej cal.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
STUDIUM W SZKARŁACIE

27 października 1900

Needlingowie mieszkali w domostwie o nazwie Millhead, które stało u podnóża wzgórza w Westhampstead. Wielkie białe kolumny niczym strzałę wypychały w niebiosa szpiczasty dach. Przed nimi rozciągał się rząd delikatnych żywopłotów i dwie puste, symetrycznie zaaranżowane rabaty. Skaliste wrzosowisko ciągnęło się daleko, a czerwonawe skały sięgały pokrytego chmurami horyzontu.

Arthur zapowiedział swój przyjazd poprzedniego dnia. Sam zreagował depezę do ojca Sally, wyjaśniając w niej, kim jest i w jaki sposób włączył się w „tę tragedię”, a następnie prosząc o

zgode na rozmowę w Westhampstead. Ale zanim ją wysłał, uznał, że i tak mogłaby wzbudzić spore zdziwienie, więc znowu pośpieszył do Yardu, żeby to policja ułatwiła mu pierwszy kontakt. I rzeczywiście inspektor Miller skontaktował się z Bertrande Needlingiem, bez problemu uzyskując zgodę na wizytę. Arthur posłał więc rano ojcu Sally krótki liścik, dziękując w nim za poświęcenie mu czasu i zawiadamiając, że odjedzie o 16.05 z King's Cross. Nie wspomniał bezpośrednio o córce, jej zabójstwie ani o tanim pensjonacie na East Endzie z białą koronkową suknią ślubną schowaną w szafie na tyłach domu.

Zastukał ciężką kołatką z brązu we frontowe drzwi. Słyszał, jak dźwięk rozchodzi się echem po całym domu. Po chwili służąca otworzyła drzwi i wpuściła go do środka.

Rozmowa z rodzicami, prowadzona głosem ściszym niemal do szeptu, była pełna emocji. Bertrand i Clara Needlingowie siedzieli po przeciwnych stronach salonu. Bracia Sally byli nieobecni, a Arthurowi nie udało się dowiedzieć, gdzie przebywają. W komnacie co chwila zapadało dziwne, nagłe milczenie. Gdy pani Needling w połowie gubiła wątek i zatrzymywała się w swojej opowieści niczym silnik parowy wydający ostatnie tchnienie, jej mąż, z zawodu adwokat, nie rzucał się, żeby go podjąć, a Arthur uważał, że nie powinien ich pospieszać. I tak cisza trwała dopóty, dopóki Arthur nie poczuł, że może zadać kolejne pytanie, jakby na poprzednie otrzymał zadowolającą odpowiedź. Domownicy żyli w pełnym smutku zamroczeniu i pisarz brnął przez nie ostrożnie i z należnym szacunkiem.

Sally urodziła się w 1874 roku w tym domu. Była pogodną dziewczynką, jak zapewniła Arthura pani Needling. Biegała na wzgórze za domem, a potem turlała się z niego z chłopcami w

znoszonych i za dużych na nią spodniach braci, żeby nie pobrudzić sukienek. Na ósme urodziny błagała rodziców bez końca o spinkę do włosów z rubinami, którą wypatrzyła na wystawie w mieście, u Routledge'a na Oxford Street. W końcu ojciec uległ, ale gdy nazajutrz po urodzinach Sally poszła z braćmi na wzgórze ze spinką we włosach i turlała się w niej wesoła jak ptaszek, ozdoba połamana się na tuzin kawałków. Dziewczynka była zdruzgotana. I tylko trochę musiała poprzymilać się do pana Needlinga, by ten kupił jej drugą - wspominała żona, po raz pierwszy uśmiechając się tego popołudnia.

- Doktor Doyle nie musi wiedzieć tego wszystkiego - rzucił pan Needling ostro. - Próbuje wykryć, kto ją zabił, a nie napisać jej biografii.

- Mój drogi - zaczęła się tłumaczyć żona - ja tylko chciałam wyjaśnić, jaka była... - urwała i w dusznym powietrzu znów zaległa cisza.

- Czy byli jacyś dżentelmeni, których lubiła, o których państwo wiedzieli? Czy odwiedzało ją wiele osób? - zapytał Arthur, ponownie zmieniając temat. Chciał zobaczyć, czy to nie doprowadzi ich do rozmowy o trwającym jedną noc małżeństwie córki.

- Nie, proszę pana - odparł pan Needling. - Była spokojną dziewczyną. Dużo przebywała w posiadłości. Bardzo lubiła konie.

Arthur skinął głową na znak, że rozumie. Nie wiedzieli, że w momencie śmierci była zamężna. Jej związek z zabójcą był tajemnicą. Czy powinien więc nadal w to brnąć? Wiadomość, że nie była na ślubie swojej zamordowanej córki, musiała być straszna dla każdej matki.

- Ale miała przyjaciółki w mieście - powiedziała pani Needling. - Spędzała z nimi mnóstwo czasu.

- Przyjaciółki w mieście? - zapytał Arthur.

- Janet i... Emily. Tak. Janet i Emily. Zналиśmy tylko ich imiona. I nigdy nie mieliśmy okazji ich poznać. Sally jeździła do nich do miasta i chodziły razem na te zebrania...

Pan Needling poprawił się w fotelu, wyraźnie poruszony kierunkiem, jaki przybrała rozmowa, ale nic nie powiedział.

- Jakie zebrania? - zapytał Arthur od niechcienia.

Pani Needling popatrzyła na męża, szukając wsparcia, ale ten unikał jej wzroku.

- Chociaż powiedziałabym, że to były raczej odczyty niż zebrania. Sally nie była strasznie aktywną członkinią, rozumie pan. Chodziła na te spotkania tylko dla pogadanek. I przyjaciółek, oczywiście. Lubiła ich towarzystwo.

- Nie chcemy jednak, żeby odniósł pan mylne wrażenie, doktorze Doyle. To wszystko! - wtrącił pan Needling. - Była dobrą dziewczyną, zawsze. Musi pan o tym pamiętać.

- Oczywiście, proszę pana. Jestem przekonany, że córka państwa była ozdobą całego Westhampstead. Tym bardziej powinienem znaleźć człowieka, który dokonał tego niecnego czynu, i dopilnować, żeby został ukarany.

Bertrand Needling nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Cóż więc to były za odczyty?

- Dotyczące praw wyborczych dla kobiet - odparła pani Needling odważnie. - Sally była sufrażystką.

- No, no - zaoponował ojciec. - Nie wyolbrzymiajmy sprawy, moja droga. Chodziła na jakieś odczyty i miała kilka przyjaciółek - to wszystko. I nie było w tym nic dość szkodliwego. Chociaż ja jestem konserwatystą, członkiem Ligi. - Podniósł prawą rękę, pokazując pierścień.

Arthur pochylił się i rozpoznał kształt pięciolistnej rozety.

- Od Disraeliego aż do naszego Cecila - kontynuował pan Needling. - Oto mężowie stanu. I nigdy bym nie pozwolił córce pójść za daleko w taką głupotę. Wiem również, że pan zgodziłby się ze mną. Proszę zrozumieć, że to była młodzieńcza rozrywka. Nic poważnego.

- Była sufrażystką - powtórzyła pani Needling. - Mówiła o tym, jak tylko się nadarzyła okazja. - Ale mąż głośno zakaszłał i znowu zamilkła.

Arthur nie widział potrzeby wchodzenia w rodzinne spory polityczne. Zawsze lubił Disraeliego, musiał to przyznać, ale Cecil? Jakiej atrofii ulegli konserwatyści, że teraz ich nowym chorążym był markiz Salisbury, podły skromniś?

- Czy znają państwo nazwę tej organizacji? Albo miejsce zebrań?

- Nie chodziła na ich spotkania - oznajmił pan Needling. - Wzięła udział w kilku nieszkodliwych odczytach. I nie była członkinią żadnej organizacji. Choć jej znajome może i tak, nie mogę za nie ręczyć.

- Przepraszam, że poruszam tak bolesny temat, ale jej ciało znaleziono w Whitechapel - zasugerował Arthur.

Pan Needling zmarszczył brwi i zacisnął zęby.

- Czy możliwe, że córka była...

- Moja córka, proszę pana, nie miała czego szukać na Whitechapel, może pan być tego zupełnie pewien. Rozumie mnie pan? Niczego. - Mężczyzna uderzył obiema dłońmi w poręczę fotela. - Policja się myli. Albo jej ciało przewiózł w to wstrętne miejsce ten bandyta, który ją zabił, żeby zatrzeć ślady.

- Proszę mi powiedzieć - nie dawał za wygraną Arthur - czy córka dostawała jakieś listy od tych przyjaciółek? Od Janet i Emily? Podejrzewam, że mogą zawierać informacje bardzo przydatne w śledztwie.

Pani Needling zastanowiła się nad pytaniem.

- Nie sądzę - oznajmiła w końcu. - Ale jeżeli pan Needling nie ma nic przeciwko temu, może pan zbadać jej biurko i sam zobaczyć.

Arthur spojrział na mężczyznę, którego blada twarz nie wyrażała ani pozwolenia, ani dezaprobaty.

- Jeśli państwo pozwolą, byłbym bardzo wdzięczny.

Needling skinął tylko głową i pozostał w fotelu. Jego żona zaś zaprowadziła Arthura przez podobny do pałacu dom na górę, do pokoju córki.

Uderzyła go nieskazitelna czystość panująca w pomieszczeniu. Ani jeden pyłek kurzu nie wzbił się w powietrze, kiedy otwarto drzwi. Ani jeden szew kapy nie był przesunięty. Służba musi tu sprzątać codziennie, pomyślał Arthur, chociaż dziewczyna nie żyje od miesięcy.

Stanął przed biurkiem. Sześć małych szufladek było na górze, a dwie szersze niżej, z przodu mebla. Arthur wyciągnął rękę, żeby otworzyć jedną z nich, ale zatrzymał się na chwilę i spojrzął na panią Needling stojącą w drzwiach. Opierała się o framugę, a lewą ręką przytrzymywała się ściany, jak gdyby chciała przyciągnąć ją do siebie.

Arthur miał nadzieję, że odejdzie. Chciał jej oszczędzić tego widoku. Poza tym Bóg jeden wiedział, co może tam znaleźć. Ale kobieta nie poruszyła się, tylko spojrzała na sufit i mocniej oparła się o framugę.

No trudno. Wyciągnął do końca jedną z szuflad nad biurkiem. Przechowywane w niej koperty, pióra i butelki atramentu zagrzechotały, kiedy wylądowała z łoskotem na blacie. Pani Needling zadrżała, wytrącona z otumanienia.

- Przepraszę pana, doktorze Doyle - powiedziała. - Muszę się zająć gęsią na kolację - wyjaśniła i zostawiła Arthura samego.

Czuł się trochę jak hiena cmentarna i wyraźnie brakowało mu wsparcia Brama. Ale działał metodycznie. Uważnie przeczytał

listy. Część z nich była autorstwa braci Sally, którzy rok wcześniej służyli w Transwalu. Dwa były od wuja z Paryża. Trzy od babci w Swansea. Arthur dużo się dowiedział o pogodzie na kontynencie i przyływach Atlantyku, ale niewiele o tajemnym życiu Sally Needling. Kim były jej przyjaciółki? Do jakiej organizacji należały? I komu udało się ukradkiem poślubić Sally?

Arthur przejrzał górne szuflady jedną po drugiej, aż doszedł do piątej. Pociągnął za gałkę z brązu, ale szuflada mocno się opierała. Pochylił się i dostrzegł małą dziurkę od klucza poniżej gałki. Wyglądała na czysto dekoracyjną, jak zameczki przymocowywane do oprawnych w skórę dzienników. Trudno było uwierzyć, że jednak pełniła jakąś funkcję. Jeszcze raz pociągnął za gałkę, mocniej, lecz szuflada ani drgnęła, co było obiecujące.

Podszedł do drzwi sypialni i cicho je zamknął. Nie chciał, żeby rodzina słyszała, jak pracuje. Wrócił do biurka i raz jeszcze pochylił się nad dziurką od klucza. Niewiele wiedział o otwieraniu zamków wytrychem, ale kiedyś, przy wysokiej karafce brandy, Wilde wytłumaczył mu, jak to się robi. Ale skąd Wilde o tym wiedział? - Arthur nie miał pojęcia. Wziął pióro z biurka i wbił koniec stalówki w dziurkę. Ale pióro nie pasowało. Dziurka była za mała. Musiał poszukać czegoś innego. Jego wybór padł oczywiście na pudełko z biżuterią stojące obok lustra. Kiedy je otworzył, zamrugał od blasku, jaki rzucały leżące w środku klejnoty. Brylanty, opale, złote bransoletki i pierścionki wszystkich kolorów. Arthur znalazł trzy sznurki pereł, ale zapinki na wszystkich miały kształt litery U i były bezużyteczne. W końcu natrafił na przedmiot z długą cienką zapinką - idealny wytrychem. Wracając do biurka przyjrzał się dokładniej temu, co trzymał w dłoni: była to migocząca rubinowa spinka do włosów.

Przystanął, wpatrując się w nią. Była taka mała w jego dłoni. I oszałamiająco kolorowa, jak cała biżuteria dla dzieci. Łatwo mógł sobie wyobrazić zachwyty ośmioletniej Sally, kiedy otworzyła pudełko i znalazła ją w środku. I łatwo mógł sobie wyobrazić, jak płakała po jej stracie.

Wsunął długie metalowe zapięcie w dziurkę. Pasowało doskonale. Poruszył nim w górę, potem w dół, potem w jedną i drugą stronę, żeby znaleźć zapadkę. Pamiętał, jak Wilde mówił, że trzeba odszukać wszystkie po kolei i naciskać jedną po drugiej. Naparł mocniej na zamek, szukając głębszej, kiedy spinka się złamała. Paseczki z kamieniami upadły na podłogę, a zapięcie zostało mu w ręku. Spojrzał pod stopy. Kryształ zamigotały na podłodze jak kolorowe wyspy na brązowym drewnianym morzu.

Nie zaprzętał sobie głowy zbieraniem elementów. Mleko zostało rozlane. Wrócił do zamka i ponownie wsunął zapięcie w dziurkę od klucza.

Minęła minuta i otworzył go. Niecierpliwie wysunął szufladę. Położył ją na biurku i zajrzał do środka. Wewnątrz nie było nic poza grubym na pół centymetra stosem identycznych białych kartek. Wziął je do ręki i podniósł do światła.

Były czyste. Nie było na nich nic poza jednym znakiem. U góry każdej kartki był wizerunek czarnej trójgłowej wrony. Arthur aż podskoczył. Co on jednak oznaczał?

Złożył kartki i schował je do kieszeni płaszcza, a szufladę wsunął na miejsce. Zebrał kawałki połamanej spinki, po czym delikatnie włożył je do pudełka z biżuterią i wyszedł.

Pokój wyglądał teraz tak, jakby nigdy go tutaj nie było.

ROZDZIAŁ 20

POŚCIG

*W tej chwili jesteście niczym czatujący myśliwi
i z niecierpliwością czekacie, aż zacznie się polowanie.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
DOLINA STRACHU

9 stycznia 2010

- Policja już jedzie - oznajmiła Jennifer Peters od drzwi, zamykając telefon komórkowy. Ciągle nie zdołała wejść do środka.

Harold i Sarah przeglądali stosy książek i papierów. - Wiem, że to niezręczne - powiedział Harold - ale wolałbym raczej nie rozmawiać z policją, jeśli to pani nie przeszkadza. Przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny dwa razy znalazłem się w miejscach zbrodni i nie chciałbym być znowu maglowany na ten temat.

- Dobrze. Niech pan idzie - zgodziła się Jennifer krótko, ściślej obejmując się ramionami. - Nie powiem im, że pan tu był.

Harold obrzucił szybkim spojrzeniem półki z książkami Aleksa i dał znak Sarah, że powinni wyjść. Sarah zamknęła szufladę biurka i ruszyła za nim w stronę drzwi. Spojrzała ciepło na

Jennifer i przechodząc obok niej, położyła jej rękę na ramieniu.

- Dziękuję - powiedział Harold, kiedy wyszli do holu.

- Wolalabym już nigdy więcej was nie widzieć - wyznała Jennifer.

Harold skinął głową bez słowa i za Sarah opuścił budynek.

- Cóż - stwierdził po dłuższej chwili. - Zła wiadomość jest taka, że kimkolwiek był ten człowiek z kocią bródką, zabrał z mieszkania wszystko, co mogłoby nam się przydać. Nie mamy dziennika, dobrze. Ale nie mamy nawet żadnej jego fotokopii. Ani urywków, które Alex przepisał. Zauważyłaś kabel od laptopa obok biurka? Dziesięć do jednego, że był do niego podłączony komputer, który ten gość również zabrał. Sporo książek o Conan Doyle'u, ale żadnej informacji o samym dzienniku.

- A jakieś pozytywne wnioski? - zapytała Sarah, kiedy szli w stronę Argyll Road.

- Tak. Widzieliśmy kogoś, kto jest w to zamieszany. I wiemy, że gość nie jest sherlockistą. A przynajmniej nie należy do Chłopców z Baker Street, bo bym go rozpoznał.

- To zapewne dobra wiadomość. Ale myślę, że cię zakasuję. - Sarah sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła kawałek fioletowego plastiku wielkości kciuka. Podała go Haroldowi. - USB. Było w jednej z szuflad biurka.

- Ukradłaś je?

Wzruszyła ramionami.

Harold był pod wrażeniem. Nigdy nie wiedział, czy Sarah jest dwa kroki za nim, czy przed nim.

- Nie jestem pewna, czy jest na nim coś przydatnego, ale możemy to sprawdzić w hotelu - zaproponowała, oglądając się za siebie. - Mam też złą wiadomość.

- Jaką?

- Myślę, że ktoś nas śledzi.

Harold zeszywniał.

- Poważnie? - zapytał.

- Uklęknę, jakbym coś robiła przy bucie. A ty stań przede mną, odwróć się i nie przerywaj rozmowy. Potem spójrz od niechcienia przed siebie i spójrz na dużego gościa w skórzanej kurtce. Gotowy? Teraz.

Uklękła na prawym kolanie i pochylając się w lewo sięgnęła do buta, jak gdyby chciała wyjąć z niego kamyk. Harold odwrócił się, starając się wyglądać swobodnie. Mówiąc, włożył ręce do kieszeni.

- Dobra, gadamy sobie - powiedział. - Nadal mówię, bla, bla, bla, mówię.

Spojrzał w ulicę za Sarah. Wśród przechodniów - pary trzymającej się za ręce, biegacza w dresie, czteroosobowej hinduskiej rodziny - szybko odnalazł postawnego mężczyznę w skórzanej kurtce i luźnych niebieskich dżinsach. Kurtka musiała być cienka i mężczyzna trzymał ręce w kieszeniach, chroniąc je przed chłodem. Psiakrew, pomyślał Harold, zdając sobie sprawę, że właśnie nawiązał z nim kontakt wzrokowy. Odwrócił gwałtownie głowę w prawo i wpatrzył się w odległą tablicę informacyjną.

- Właśnie na siebie spojrzeliśmy - powiedział. - Chyba wie, że go zauważyłem.

- Co teraz robi? - zapytała Sarah, dalej dłubiąc w bucie.

Harold, nie odrywając wzroku od tablicy - z napisem „PAŁAC KENSINGTON” i małym obrazkiem idącego człowieka - próbował popatrzeć w lewo. Mężczyzna odwrócił wzrok i sprawiał wrażenie zajętego wystawą solarium.

- Udaje zainteresowanie czym innym - powiedział Harold. - Ale wygląda zdecydowanie podejrzanie.

Sarah włożyła but i wstała. Przyśpieszonym krokiem poprowadziła Harolda przez Kensington Road.

- Co robimy? - zapytał w końcu.

Sarah podniosła rękę i zeszła z krawężnika na jezdnię.

- Zabieramy się stąd - oznajmiła.

Szybko podjechała taksówka i wgramolili się do środka. Dopiero kiedy zamknęli za sobą drzwiczki i kierowca odwrócił się, żeby zapytać, dokąd ma jechać, zdali sobie sprawę, że nie wiedzą, co powiedzieć.

- Umm... Nie do hotelu? - zapytał Harold.

- Prawdopodobnie już wie, gdzie się zatrzymaliśmy. Ale na wszelki wypadek nie ułatwiamy mu tego. Czy może pan po prostu - zwróciła się do kierowcy - jechać przed siebie przez chwilę, zanim postanowimy, dokąd chcemy się udać?

W odpowiedzi taksówkarz, Azjata z olbrzymimi wąsami, wrzucił ramionami, przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów i ruszył.

Harold i Sarah zerknęli za siebie. Mężczyzna w skórzanej kurtce rozmawiał przez telefon komórkowy. Przez chwilę widzieli, jak maleje w oddali, ale zaraz zatrzymał się przed nim jakiś czarny samochód. Drzwi się otworzyły i mężczyzna szybko znalazł się w środku. Jak na osobę tej postury okazał się zadziwiająco sprawnym. Samochód popędził za nimi, rosnąc w lusterku wstecznym taksówki.

- Czy mógłby pan jechać trochę prędzej? - poprosił Harold.

- Prędzej? - zapytał kierowca. - Prędzej dokąd?

- Dokądkolwiek - powiedziała Sarah. - Tam. I prędzej.

Azjata ponownie wrzucił ramionami i znacząco pokręcił głową. Amerykanie!

Za nimi czarny samochód lawirował między pasami, agresywnie zmniejszając odległość dzielącą go od taksówki. Boczne szyby miał przyciemnione, więc Harold nie widział, kto jeszcze jest w środku. Za to za kierownicą siedział łysiejący mężczyzna w szarym swetrze i z okropną kozią bródką.

Harold zaczerpnął gwałtownie powietrza.

- Jasna cholera - tylko tyle zdołał powiedzieć.

Sarah zobaczyła kozią bródkę w tej samej chwili, co on i natychmiast odwróciła się do kierowcy.

- Czy mógłby pan skrócić w prawo na tych światłach? Tak, właśnie tutaj.

- Proszę pani - odpowiedział taksówkarz. - Co się dzieje?

- Proszę skrócić w tym miejscu, teraz! - warknęła Sarah.

Kierowca zmienił pasy i wykonał manewr.

- Nie chcę się mieszać w żadne kłopoty - zaznaczył, kiedy mijali Imperial College.

- My też nie. Starajmy się więc ich uniknąć, skręcając ostro w lewo.

- Wysadzę państwa na tym rogu.

- Nie! - wtrącił się Harold. - Jadą za nami.

- Starczy tego - stwierdził szofer. - Pora wysiadać.

- Proszę pana, ten czarny samochód z tyłu jedzie za nami od samego początku.

Kierowca spojrział w lusterko, ale zobaczył więcej niż kilka aut w tym kolorze.

- Dlaczego miałby za panem jechać? Jest pan sławnym aktorem?

- Prawdę mówiąc - stwierdził Harold - to dobre pytanie. Przecież to oni mają to, czego my szukamy.

- To może ja się zatrzymam, a pan pójdzie wyjaśnić, kto kogo ściga.

- To nie jest zły plan - zauważył Harold.

Sarah popatrzyła na niego dziwnie.

- Mam pomysł - oznajmił.

Sięgnął do portfela i wyjął plik banknotów. Nie sprawdzając kwoty, złożył je i podał kierowcy. Taksówkarz sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Potrzebna mi jeszcze jedna przysługa z pana strony - ciągnął Harold. - Proszę dodać gazu. Ale tak porządnie. Potem prędko skrócić w lewo w... - spojrzał przez okno, żeby przeczytać nazwę ulicy - Fulham i od razu stanąć.

Kierowca spojrzał na plik banknotów i wzruszył ramionami.

Kiedy przyspieszył, Harold poczuł, jak jego tułów wciska się w miękkie oparcie. Spojrzał na swoje dłonie i stwierdził, że samoczynnie zaciskają się na siedzeniu.

Taksówkarz skrzył w lewo, nurkując w przerwę między samochodami, a Harolda rzuciło w prawo, na Sarah. Gdy samochód wyszedł z zakrętu, Harold próbował grzecznie się odsunąć, ale skończyło się na tym, że napał dłonią na udo dziewczyny. Sprawiała wrażenie, że nic nie poczuła.

Kierowca podjechał do krawężnika i z entuzjazmem wcisnął hamulec. Harold i Sarah polecili do przodu.

- Proszę tu sekundę zaczekać - powiedział Harold, wysiadając.

Przez chwilę stał w otwartych drzwiczkach, czekając, aż czarny samochód wyjedzie z za rogu i znajdzie się naprzeciwko niego.

Nie trwało to długo. Po kilku sekundach auto pędem przejechało przez skrzyżowanie, a potem jeszcze przyspieszyło, znalazłszy się na Fulham.

Harold, trzęsąc się z nadmiaru adrenaliny, wyszedł na jezdnię wprost pod jego koła. Widział dezorientację na twarzy Koziej Bródki. Jeżeli chciał go zabić, teraz miał po temu doskonałą okazję.

Wystarczyło trzymać nogę na gazie i Harold uderzy w maskę. Zwykły wypadek drogowy; nikt nie pozna prawdy. Harold grał w tego pokera nie dla zysku, lecz informacji. Podejmował ryzyko, by poznać przeciwnika. Jeżeli jednak zapłaci za to śmiercią...

Zobaczył grymas na twarzy Koziej Bródki, skręcającego w jego stronę. Pisk opon przebił się przez południowy hałas ruchu ulicznego. Samochód odbił się od krawężnika i sunąc po chodniku, wyjechał nieco na pierwszy pas jezdni. Zatrzymał się o metr od Harolda.

Twarz Koziej Bródki wykrzywił gniewny grymas. Harold uśmiechnął się. Nie próbował go zabić - wręcz przeciwnie, dołożył wszelkich starań, żeby do tego nie doszło. Harold spokojnie podszedł do czarnego auta i delikatnie zapukał w szybę od strony pasażera.

Nastąpiła długa chwila ciszy, jakby skonsternowani pasażerowie nie wiedzieli, co zrobić. Nastawili się na pościg, a nie uprzejme *tête-à-tête* - i ta zmiana zbiła ich z pantafyku.

Wreszcie szyba się opuściła, ukazując mężczyznę w skórzanej kurtce.

- Tak? - odezwał się z lodowatym spokojem.

- Nie macie dziennika, prawda? - stwierdził Harold.

Mężczyzna nie odpowiedział, rozważając sytuację. Okazał się bystrzejszy, niż zakładał Harold.

- Czyli wy też go nie macie - odparł, uśmiechając się szeroko.

Psiakrew. Nic w ten sposób nie zyskał. Ale może nie do końca na tym stracił...

- Pan nie zabił Aleksa - orzekł.

- Jest pan tego pewien? - zapytał mężczyzna.

Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął pistolet. Wycelował go prosto w twarz Harolda. Myśli Harolda opanował chaos. Jego logika

upadła. Chłodny sherlockowski umysł poddał się w obliczu strachu.

- Nie mam dziennika - przyznał. - I nie wiem, gdzie on jest.

Samochód zadrżał, jęknął, po czym lekko się obniżył. Harold spojrzął ponad dachem i zobaczył wstającą z klęczek Sarah. Przebiła tylną oponę. Najwyraźniej przednią także.

- Taksówka! - wrzasnęła do Harolda. - Już!

Mężczyzna z pistoletem spojrzął w jej stronę i Harold skorzystał z okazji, by uciec.

Szarpnięciem otworzył drzwi taksówki i rzucił się na tylne siedzenie. Sarah była pół sekundy za nim.

- Proszę teraz jechać wszystko jedno dokąd najszybciej, jak pan może! - krzyknął do kierowcy.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz zrozumienia powagi sytuacji. Przesunął dźwignię i wcisnął pedał gazu.

Harold spojrzął przez tylną szybę. Nikt nie wysiadł z auta ani nie ruszył w pościg.

W dłoni Sarah dostrzegł scyzoryk. Złożyła go i wsunęła do torebki, po czym spojrzała mu w oczy z niemożliwym chłodem.

- No - powiedziała. - Jak zadziałał twój plan?

ROZDZIAŁ 21

WERGILIUSZ I DANTE NAD BRZEGAMI ACHERONU

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie.

DANTE ALIGHIERI,
BOSKA KOMEDIA

30 października 1900

Bram Stoker stał przed stacją Aldgate, studiując obrazek, który trzymał w ręku. Przedstawiał czarną trójgłową wronę na białym papierze. Dzioby miała uchylone, jak gdyby każdy miał zaraz pożreć jakąś zdobycz. Jej skrzydła zaś wyglądały jak pojedyncze pociągnięcia pędzlem albo nożem. W obrazku było coś groźnego - wojowniczego, morderczego.

Oddał papier Arthurowi, który czekał w milczeniu, aż przyjaciel skończy badanie.

- Przerażająca bestia - stwierdził Bram. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Ani ja - przyznał z westchnieniem Arthur. - Nie mam pojęcia, skąd pochodzi ani co przedstawia.

- Załóż się, że nic miłego. Więc znalazłeś te kartki w pokoju

Sally Needling? A Scotland Yard twierdzi, że taki sam obrazek wytatuowany był na nodze Morgan Nemain?

- Tak - potwierdził Arthur. - I wiem, o co teraz zapytasz. Czy Sally Needling też miała tatuaż na nodze. Niestety, nie znam odpowiedzi. Ale to była dobra dziewczyna. Z szacownej rodziny. Już znalezienie jej ciała w alejce na Whitechapel stanowiło wystarczający kłopot dla policji. Mogli pominąć wzmiankę o tatuażu, żeby oszczędzić rodzicom - i przy okazji sobie - problemów.

- Widzę, że twoja opinia o Yardzie z każdym dniem jest coraz gorsza.

- Mój Boże! Toż to idioci! W ciągu czterech dni wyraźnie zbliżyłem się do wyjaśnienia dwóch morderstw, a może i innych, które oni już dawno uznali za przegrane. Kiepscy z nich detektywi.

Bram musiał się na to uśmiechnąć.

- Całe więc szczęście, że mamy do dyspozycji takiego mistrza - zauważył.

Arthur się skrzywił. Uważał, że Bram bywa niekiedy zbyt nonszalancki. Ale bez niego zgubiłby się na East Endzie, więc trzymał język za zębami.

- Mam nadzieję - powiedział - znaleźć tatuażystę Morgan Nemain, a najprawdopodobniej też Sally Needling. Ten obrazek coś dla nich znaczył. Może powiedziały o tym tatuażystce.

- Czy przysłała ci do głowy możliwość, że to sam morderca zrobił ten tatuaż Morgan Nemain już po jej śmierci?

- Boże, Bram, co za ponura myśl. Ale policja twierdzi, że tatuaż nie był świeży. Poza tym ukrycie rysunków przez Sally oznacza raczej, że miała je na długo przed śmiercią. I wiązała z nimi jakieś pozytywne skojarzenia.

- Dobrze pomyślane, Arthurze. Lecz jak masz zamiar znaleźć tatuażystę? W Londynie musi być z tysiąc marynarzy, którzy

potrafią się posługiwać tuszem i gorącą igłą.

Teraz z kolei uśmiechnął się Arthur. Cofnął się i dłonią wskazał okolicę.

Spadł na nich południowy zgiełk Aldgate. Powozy turkotały na High Street. Grupa chłopców kopnięciami podrzucała grudki ziemi, poszturchując się i rzucając kamykami w przechodzące konie. Żebracy potrząsali zardzewiałymi puszkami, a kieszonkowcy śledzili cichaczem każdego przyzwoicie ubranego przechodnia. I do tego ten smród, ohydny odór zdechłych ryb unoszący się nad całą tą sceną.

- A teraz postaw się na miejscu tego człowieka - zaczął Arthur. - Co w takim razie by zrobił? Albo, jak w naszym przypadku, co ona by zrobiła?

Bram zmarszczył brwi.

- To cytat z czegoś, prawda?

- Tak. Ze „Studium w szkarłacie”.

- To jedno z twoich opowiadań!

- Istotnie. I to jest dobra rada, nie uważasz? Chodź.

Poprowadził Brama na wschód od stacji, przez High Street.

- Wyobraź sobie, że jesteś młodą dziewczyną o świeżej twarzy, dwudziestodwuletnią, z wrzosowiska na północy. Przyjeżdżasz do miasta od czasu do czasu na zakupy lub do teatru, a czasem na wykład sufrażystek. Ty i twoje przyjaciółki postanowiłyście zrobić sobie tatuaż symbolizujący to czy owo. Dokąd idziesz?

- Na Strand. Zapytałaby w sklepach, w miejscach, gdzie bywała wcześniej.

- Blisko, Bram, ale niezupełnie dobrze. Przeciwnie, Sally poszłaby wszędzie oprócz Strandu. Nie chciałaby, żeby w tych sklepach ją rozpoznano, jak rozpytuje o tatuażystę. A gdyby rodzice odkryli jej wycieczkę? To by była katastrofa.

- Podobno malowanie na ciele staje się ostatnio coraz powszechniejsze. Od lat nie widziałem brytyjskiego marynarza, który nie miałby wypalonego znaku na przedramieniu. I nie, że-
bym słuchał plotek, ale powiadają, że nawet księżę Yorku ma
tatuaż, który zrobił sobie podczas pobytu na Malcie.

- Ale to, co uchodzi prostym ludziom pracującym na morzu i
dziedzicowi Walii, niekoniecznie przystoi córce adwokata z We-
sthampstead. Jeżeli Sally zrobiła sobie tatuaż, to wykonała go w
tajemnicy.

- No to poszłaby do portu, oczywiście - powiedział Bram. -
Reputacja tej okolicy w sprawach tak niegodnych dam jak ta jest
wszystkim znana.

- Bardzo dobrze - pochwalił go Arthur, na co Bram zrobił
dziwną minę.

To było znacznie bardziej pasjonujące niż ślęczenie w Sco-
tland Yardzie nad papierami. Odkrycie czegoś samemu było
emocjonujące, ale smakowało jeszcze lepiej, gdy wyjaśniało się
to później zadziwionej publiczności... Cóż, Arthur musiał przy-
znać, że coraz lepiej rozumie Holmesa.

- No więc, nasza dziewczyna przyjeżdża do Londynu. Wybiera
się do portu. Ale dokąd?

- Najbliższe stacje to Shadwell i Fenchurch na linii Blackwall
albo, jeszcze lepiej, Wapping na linii East London.

- Oczywiście masz rację - zgodził się Arthur. - Tak by poje-
chał londyńczyk. Ale Sally Needling mieszkała poza miastem,
prawda? Żeby dojechać do linii Blackwall, musiałaby się objąć
między pociągami na Cannon Street. Szczerze mówiąc, to skom-
plikowane nawet dla kogoś takiego jak ja. A ona w ogóle nie zna
portu. Jest dziewczyną ze wsi. Nie sądzisz, że wybrałaby naj-
prostszą drogę do dowolnego przystanku, który wyglądałby na

mapie kolejowej na najbliższy portu? - Arthur wyjął mapę z wewnętrznej kieszeni palta i rozłożył ją w rękach. - Spójrz tutaj! Wsiadła w Great Northern do King's Cross oczywiście. Potem przesiadła się w Metropolitan tutaj, do Aldgate.

- Ale stacja Mark Lane jest bliżej doków.

- Tak, ale czy ona by o tym wiedziała? Podejrzewam, że nie. Spójrz na tę mapę.

Zatrzymał się i rozpostarł ją na ścianie tawerny, wygładzając dłońmi. Ze środka doszedł ich brzęk półlitrowych szklanek i pisk butów na przesiąkniętych piwem deskach.

- Czy z tego rysunku nie wynika - ciągnął - że z Aldgate jest łatwiej dojść do portu niż z Mark Lane? Ty i ja, wiemy, że nie. Ale czy Sally Needling nie była przekonana, że to Aldgate jest bliżej. Popatrzyła na tę szeroką aleję tutaj - Commercial Road - i uznała, że to łatwiejsza droga niż płatanina ulic, przez którą musiałaby się przedzierać przy Tower. Więc poszła na wschód od stacji, do Commercial Road, a potem skręciła w prawo, w Leman. Doszła do portu tędy, od Wellclose Square. Chodź!

Arthur szedł prędko, ciągnąc za sobą mapę niczym latawiec. Bram podążał za nim, lawirując między złodziejami kieszonkowymi i ladacznicami. Arthur przyglądał się frontom sklepów, które mijali: punkty z tytoniem, puby, biura spedycyjne, pensjonaty. Kiedy zbliżyli się do Wellclose Square, zбочył w lewo, ale Bram klepnął go w ramię, ustawiając ponownie na szlaku na południe. Na rogu St George i Weil Street, tuż poniżej Wellclose Square, znalazł to, czego szukał: sprzedawcę przypraw z Dalekiego Wschodu.

„Kupiec korzenny Tang. Import i eksport” - głosił szyld.

- Aha! - krzyknął Arthur. - Doskonale. Co Sally wie o tatuażu poza tym, że jest to sztuka uprawiana na Wschodzie? Z pewnością

zaszłaby więc tutaj - oznajmił i pociągnął za krzywe drzwi.

Kiedy weszli do środka, natychmiast znaleźli się w obłoku zapachów. Żaden z nich nie znał źródła tych upajających woni, zatykających im nozdrza i rozjaśniających głowy, ale doznanie było oszałamiające i jednocześnie dziwnie przyjemne.

Drobny stary Chińczyk wyłonił się z zaplecza. Na głowie miał jeden kosmyk białych włosów, a na sobie brudną szatę, poplamioną jaskrawopomarańczowymi pasmami.

- Panowie - wyszeptał. - Czym mogę służyć?

- Mam nadzieję, że rzeczywiście nam pan pomoże - powiedział Arthur prędko. - Czy przypadkiem nie zajmuje się pan tuszem?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Tuszem? Nie importuję tuszu z Chin, proszę panów.

- Nie chodzi o import, dobry człowieku. Raczej o wtopienie go w moją skórę. Widzi pan, chciałbym zrobić sobie tatuaż i jestem pewien, że w swoim życiu sporo ich pan wykonał.

Starzec przez chwilę marszczył brwi, po czym wzruszył ramionami.

- Obawiam się, łaskawy panie, że jest pan w błędzie - oświadczył. - Ja sprzedaję korzenie, nie obrazki na skórze. - Podniósł kościstą prawą dłoń, która wyraźnie drżała. - Boję się, że nawet gdybym spróbował, nie zdołałbym nic narysować.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział Arthur, a podniecenie uleciało zeń wraz z głębokim westchnieniem.

Bez słowa wyprowadził Brama ze sklepu. Choć byli w nim tylko chwilę, wzдрыgnęli się, wychodząc na światło dzienne i świeże powietrze. Zapach korzeni szczypał Arthura w nosie, kiedy wysysał go wiatr.

- Ale przysięgłbym - odezwał się po chwili - że tędy przeszły. Przeszły, Bram, bo to jedyna droga, która ma sens!

- Mogła znaleźć chętnego tatuażystę w każdym pubie pomiędzy rzeką a Whitechapel Road - odparł Bram. - Albo poprosić jakiegoś przechodzącego ulicą marynarza o wyświadczenie tej usługi. Nie ma sposobu, żeby wydedukować, dokąd poszła, przyjacielu.

Arthur głęboko rozważył problem. Czy Bram ma rację? Czy rzeczywiście nie ma sposobu, zważywszy na skąpe informacje, jakimi dysponuje, żeby wydedukować myśli i działania tych dziewcząt? Jeżeli tak, to cały proces pracy detektywistycznej, który opisał w dwóch tuzinach kapitalnych opowiadań, był oszustwem. Czuł jednak, że ma wszystko, żeby złożyć tę historię w całość. Jeśli tego nie zrobi, zawiedzie nie tylko jako detektyw, ale również jako pisarz, a jego nauka dedukcji, zdolność do intelektualnego przejścia przez najciemniejsze ludzkie doświadczenia, okaże się jedynie tanim kłamstwem, niewartym pensa.

Kiedy stał tak na ulicy St George, tuż poniżej Wellclose Square, przyszło mu do głowy coś jeszcze. Czy tak się czują jego czytelnicy? Zagubieni w środku opowiadania? Bez bladego pojęcia, w jaką stronę zmierzają? Bo on właśnie stracił poczucie panowania nad zdarzeniami. Jakże więc muszą mu ufać, skoro zgadzają się na tę irytującą dezorientację, mając nadzieję, że poprowadzi ich ku zadowalającemu zakończeniu. A gdyby na ostatniej stronie nie było rozwiązania? Albo nie miałoby ono większego sensu? To czytelnicy ponoszą ryzyko. Ofiarowują autorowi swój czas i pieniądze. A co autor obiecuje im w zamian? Będę się wami opiekował, chciał im powiedzieć. Wiem, że teraz wydaje się to niemożliwe, ale to się uda. Nie widzicie, dokąd idę, ale ja tak, i w końcu będziecie zachwyceni. Zaufajcie mi.

Ponownie wyjął z kieszeni mapę, rozłożył ją i usiadł na kra-
węzniku. Bram spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Arthurze, tu musi być strasznie brudno...

- Bram! Ona nie miała pojęcia, dokąd idzie! To jest klucz. Gdybyś nic nie wiedział o tej okolicy, dokąd byś poszedł? - Wo-
dził palcami po mapie, jak gdyby była napisana brajlem. - Prze-
szliśmy ze stacji Metropolitan wprost do portu i nie widziałem
żadnych innych kupców korzennych po drodze. - Uporczywie
wpatrywał się w mapę. - Przeszliśmy wprost do portu - powtórzył.
- Wprost! O to chodzi!

- Nie mam pojęcia, co masz na myśli.

- Przeszliśmy wprost do portu, najprostszą drogą, bo ty wie-
działeś, jak tu dojść! Ale Sally nie znała tej trasy. Pamiętasz, jak
przystanąłem na Wellclose Square i poszedłem w lewo?

- Tak - odparł Bram, zaczynając rozumieć. - Ulica otwiera się
w tym kierunku, ale nie prowadzi do portu, tylko na wschód i z
powrotem do Cable Street.

- Ale ja tego nie wiedziałem! - zawołał Arthur z podniece-
niem. - Gdybyś mnie nie cofnął, poszedłbym na plac!

Zerwał się i wybiegł na jezdnię, niemal wpadając pod szeroką
czterokółkę. Rozpędzone konie minęły go o kilkanaście centyme-
trów. Dorożkarz krzyknął coś ordynarnego, ale Arthur nie zwró-
cił na niego uwagi. Popędził z powrotem Lemn Street na północ,
z dala od portu. Bram biegł tuż za nim.

Pośrodku Wellclose Square wznosił się Duński Kościół, dalej
więzienie na Neptune Street i po wschodniej stronie placu, za
Londyńską Szkołą Morską dom noclegowy dla marynarzy, pro-
wadzony przez metodystów. Mimo tłumy ciemnocłych maryna-
rzy Arthur wypatrzył orientalny sklep po drugiej stronie placu.
Jego entuzjazm jednak szybko ostygł, gdy okazało się, że i ten

sprzedawca niewiele więcej może mu pomóc.

- Nie mogę tego znieść, Bram - skarżył się rozżalony. - Moja logika jest niepodważalna. Jak dwa i dwa to cztery, Sally Nedding musiała pojawić się na tym placu. To zbyt prawdopodobne, żeby nie było prawdą.

Ponownie usiadł na zimnej ziemi i oparł się o ścianę pensjonatu dla marynarzy. Dwa niewielkie okna nad jego głową otaczały tablice obwieszające zasady obowiązujące w ośrodku: „Alkohol zakazany”, „Ażjaci mile widziani”. Bram stanął przed Arthurem i spojrzał na niego ze współczuciem.

- Przykro mi, przyjacielu. Może rozsądek kończy się przy Tower, a w slumsach wschodniego Londynu trzeba wziąć szaleństwo za przewodnika. Wracajmy do domu. Odpocznijmy. Sprawiasz wrażenie wyczerpanego. Może jutro jakaś myśl wpadnie ci do głowy i... - słowa uwięzły mu w krtani, a na jego twarzy pojawił się najdziwniejszy wyraz, jaki Arthur w życiu widział.

- Bram? Czy coś się stało?

- Jezu Chryste, mój Panie i Zbawicielu! Kurwa!

Bram wyglądał jak opętany. Arthur westchnął.

- Zdaję sobie sprawę, że jesteśmy wśród marynarzy - łagodnie upomniał przyjaciela - ale to nie znaczy, że musisz się wyrażać jak oni.

Bram odpowiedział mu chichotem. Czyżby naprawdę postradał zmysły?

- Nie mogę uwierzyć własnym oczom - oświadczył.

- Arthurze, wstań.

Arthur wstał i otrzepał ziemię z płaszcza.

- Teraz się odwróć.

Przed nim znajdował się narysowany piórem na papierze wizerunek trójgłowej wrony. Był przyczepiony do tablicy oznajmiającej: „Ażjaci mile widziani” i identyczny z tym, który Arthur

miął w kieszeni płaszcza.

- Bardzo chciałbym zobaczyć, jak to robi Sherlock Holmes - powiedział Bram chytrze.

Arthur uśmiechnął się szeroko, niemal demonicznie.

- Chodź ze mną - powiedział cicho, ale w jego głosie słychać było dumę zwycięstwa.

Poprowadził Brama naokoło pensjonatu, aż znalazł boczne wejście, z dala od kościoła. Tam też wisiało kilka tablic, ale wszystkie miały wschodnie znaki.

- Urządzili oddzielny dom dla marynarzy z Dalekiego Wschodu - powiedział powoli Arthur, kiedy zrozumiał, co znalazł. - Mogą tu mieszkać za grosze, kiedy ich statki stoją w porcie. Są niemal samowystarczalni. Sprzedają sobie żywność, alkohol i tytoń, opium i świeże fajki. I oczywiście mają na miejscu tatużystę.

Wszedł do budynku, gdzie powitała go ściana hałasu: marynarze ze wszystkich portów na Dalekim Wschodzie wrzeszczeli jeden na drugiego w swoich językach, wykrzykując na całe gardło cudzoziemskie przekleństwa i dysonansowe szanty. W jednym z kątów ludzie leżeli poukładani jak w puszcze. Jedni palili opium w metrowych fajkach, inni, już nieprzytomni, nie zważali na nic. Dwaj potężni łysi Azjaci nabierali do lśniących strzykawek kleisty płyn z butelek opatrzonych etykietą „Frederick Bayer & Co: Czysta heroina do uśmierzania wieczornego kaszlu u dzieci”. Arthur zlustrował stan stosunków międzynarodowych: heroina od Niemców, morfina od Anglików, opium od Chińczyków. I natychmiast pomyślał o Sally i Morgan wchodzących przez te same drzwi - dwóch niewinnych dziewczynach przekraczających Styks.

- Jeśli ty jesteś Wergiliuszem - zażartował w odpowiedzi na to wyznanie Bram - to ja muszę być Dantem...

- Myślę, że jest na odwrót - stwierdził Arthur.

Podszedł do nich chudy mężczyzna w świeżo wyprasowanym czarnym stroju i zagadnął ze szkockim zaśpiewem:

- Jakież to statek przywiózł was, panowie, w moje progi?

- Może tratwa Charona. Ale zostawmy to na chwilę. Szukamy dwóch młodych kobiet - oznajmił Bram.

- Tak jak połowa ludzi, których widzicie przed sobą - zauważył mężczyzna. - Wątpię jednak, by mieli czym zapłacić. Choć, panowie... - zmierzył ich wzrokiem od wyglansowanych butów po cylindry - ...nazywam się Perry i jestem pewien, że znajdę to, czego panowie pragną.

- Dziękujemy - odrzekł Arthur - ale nie chodzi nam o obecne tu dziś panie, lecz młode kobiety, które przyszły tu kilka miesięcy temu albo nawet rok. Skorzystały z usług miejscowego tatuażysty.

Perry zmarszczył brwi. Miał nadzieję porządnie na nich zarobić.

- Znajdą go panowie na zapleczu. - Wskazał odległe drzwi. - A kiedy skończycie z nim rozmawiać, wróćcie do mnie. Może jednak mógłbym panów czymś zainteresować.

Pokój od cichszego zaplecza oddzielała aksamitna portiera, przesiąknięta dymem i pełna dziur wypalonych fajką. Bram odsunął ją na bok.

Opary dymu były tu rzadsze, a kinkiety z grubymi świecami przymocowano co kilka stóp. Pośrodku pokoju na wyściełanym stole leżał na brzuchu obcokrajowiec o skórze koloru popiołu. Na jego plecach i ramionach, zwisających swobodnie po bokach, widniało po kilka kolorowych rysunków.

Nad nim stał tatuażysta - największy Japończyk, jakiego Arthur widział w życiu. Był zupełnie łysy, co podkreślały jeszcze skomplikowane tatuaże. Kiedy odwrócił się w stronę gości,

zobaczyli kolejne barwne wzory biegnące w górę jego szyi, ku uszom i czubkowi głowy.

Był w stroju roboczym: wełnianych spodniach i białej koszuli, a w ręce trzymał długą, zakrzywioną igłę, którą wymierzył wprost w Bramę, mówiąc:

- Panowie poczekają na zewnątrz.

Miał czysty londyński akcent, głos niski i chrapliwy od dymu. Arthur pomyślał, że jego wnętrzności muszą być tak samo wypalone jak skóra.

Bram jednak wyjął z kieszeni Arthura rysunek z wroną i bez słowa rozłożył go przed mężczyzną. Tatuażysta wpatrywał się w niego przez chwilę. Widać było, że go rozpoznał i że ta praca napełniała go dumą.

- Ej, tam! - warknął marynarz na stole. - Weź się pan za to, co?

- Gdzie pan to znalazł? - zapytał Japończyk, nie zwracając na niego uwagi.

- Na ciele młodej dziewczyny. Ten obrazek miała wytatuowany na nodze.

- Na ciele? Ktoś zabił jedną z tych dziewczyn? Arthurem wstrząsnęło, ale się nie odezwał.

- Tak - odparł Bram.

- Kto?

Bram zamilkł na chwilę, lecz gdy mężczyzna stanął obok niewielkiego stolika z dziesiątkami igieł w najróżniejszych kształtach i rozmiarach, zaraz dodał:

- Nie pan.

Tatuażysta uśmiechnął się, gładząc swoje igły.

- Dobra, Smithy, uciekaj - powiedział do klienta. - Daj mi minutę na rozmowę z przyjaciółmi.

Klient serią gestów dał wyraz swemu wielkiemu niezadowoleniu wobec takiego obrotu spraw. Wychodząc z pokoju, splunął

na buty Brama, ale ten nawet nie drgnął. Arthur poczuł, że czas przejąć dowodzenie.

- Wytatuował pan grupę dziewcząt, co najmniej dwie, jakiś czas temu - stwierdził.

- Wytatuowałem - zgodził się mężczyzna. - To musiało być ponad rok temu. Rysunek był całkiem prosty. Żadnego cieniowania, tylko czarny tusz na tych bladych nóżkach. Użyłem... - przerwał, odwrócił się do stolika z przyrządami i wybrał średnią igłę ze środka stołu, a następnie podał ją Arthurowi - ...tej igły.

Była nieprawdopodobnie lekka, jakby nic nie ważyła. Została zrobiona z kości słoniowej cienkiej jak grafit. Arthur podniósł wzrok na Japończyka i zobaczył, że ten wpatruje się w niego, oczekując aprobaty. Nie ma rzemieślnika, który nie byłby dumny ze swoich narzędzi.

- To piękny... przyrząd - powiedział Arthur.

- Sam ją zrobiłem. W Kioto. - Mężczyzna westchnął, zatracił się na chwilę we wspomnieniu i jego spojrzenie złagodniało. - To był pierwszy i jedyny raz, że grupa dziewczyn przyszła po taki sam kolor - powiedział. - Wytatuowałem tę wronę wszystkim czterem.

- Czterem?! - wykrzyknął Arthur.

- Tak jest. Były cztery, przyszły razem, z tym rysunkiem na kawałku papieru.

- Jak się nazywały?

- Zaraz, proszę pozwolić, że sprawdzę w książce rachunkowej. Jestem pewien, że każda dała mi czek - stwierdził tatuażysta z lodowatym sarkazmem.

- Rozumiem - powiedział Arthur. - A co z samym rysunkiem? Nigdy w życiu nie widziałem takiego wzoru. Co on symbolizuje? Skąd się wywodzi?

- Nie umiem powiedzieć. Czy to nie rysunek samego diabła? Dziewczyny przyniosły z sobą ten papier i powiedziały, że chcą

taki tatuaż. Poćwiczyłem trochę na kartce, zanim przeszedłem do skóry. Widział pan obrazek przyczepiony na zewnątrz? Spodobał mi się. Dziewczyny nie powiedziały, co oznacza. - Mężczyzna zarechotał. - Ale wie pan co? Marynarze często go wybierają. Ale pewnie też nie wiedzą, co znaczy. Ten niesamowity kształt po prostu napędza mi klientów.

- O czym rozmawiały dziewczyny podczas wizyty u pana?

- Mało pamiętam, tak trajkotały. Myślę, że bały się bólu od nakłuć igłą. Ludzie przy pierwszej wizycie zachowują się na dwa sposoby: albo są cisi jak myszki, zbyt przerażeni, żeby mówić, albo zagadują mnie na śmierć. A one aż krzyczały, jak dotknęła je igła. Musiałem im dać podwójną dawkę. - Gestem wskazał strzykawkę na stoliku.

- Morfiny? - zapytał Arthur.

Japończyk przytaknął.

- A ostatnio dodaję do niej też trochę importowanej heroiny. Klienci nie są tacy śpiący jak po morfinie, ale tak samo potulni.

- Przypuszczamy, że te dziewczyny należały do jakiegoś klubu. Czy przypomina pan sobie, czy nie rozmawiały o prawie wyborczym kobiet?

- A co to takiego?

- Nieważne - odrzekł Bram. - Czy pamięta pan cokolwiek, co mówiły? Nawet jedno słowo albo zdanie może mieć znaczenie.

Tatuażysta położył dłoń na głowie, zastanawiając się. Pukał się w łusą czaszkę, co przypominało tykanie zegara.

- Facetka - powiedział w końcu.

Arthur i Bram wymienili spojrzenia.

- Facetka? - zapytał Bram.

- Tak, wiem, że to dziwne - przyznał mężczyzna. - Dlatego to zapamiętałem. Jedna z nich robiła jakiś żart, a druga mówiła: „Opowiedz to facetce!”. I wszystkie pękały ze śmiechu. I tak w

kółko. Tak działa morfina. To były w gruncie rzeczy dziewczynki, nie mogły ważyć więcej niż czterdzieści pięć, pięćdziesiąt kilo każda. Pewnie mogłem użyć mniejszą dawkę środka znieczulającego. W każdym razie dość chichotały.

- Z facetki?

- „Chciałabym zobaczyć, jak by facetka to zrobiła!” albo „I co facetka teraz powie?”. A potem: „Chlup, chlup” - i leżały na ziemi ze śmiechu.

- Cóż to znaczy, u Boga Ojca? - zapytał Bram ze zdumieniem na twarzy.

- To znaczy - oznajmił Arthur - że były niezadowolonymi członkiniami związku sufrażystek.

Nawet na tatuażystce zrobiło to wrażenie. Obaj z Bramem aż przekrzywiali głowy, spoglądając na Arthura.

- A skąd to wiesz? - zapytał Bram.

- Ponieważ opiaty sprawiają, że wiele rzeczy, które wcale nie są zabawne, wydaje się śmiesznych. Nawet kiepskie gry słów. Wygląda na to, że nasze dziewczęta nie przepadały za przywódczynią sufrażystek, niejaką Millicent Fawcett.

- Arthurze, mój Boże, jesteś dzisiaj godnym przeciwnikiem Holmesa. Ze wstydem muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem o tej kobiecie.

Arthur westchnął, żałując, że sam nie może tego powiedzieć.

- Pamiętasz, jak kandydowałem do Parlamentu z Edynburga?

- Oczywiście - odparł Bram, zaskoczony.

- Pamiętasz, że moja kandydatura przepadła z powodu podłych plotek o moich rzekomych papistowskich sympatiach?

- Tak. Pamiętam te brednie.

- No właśnie. A osobą, która je rozpowszechniała, była Millicent Fawcett.

ROZDZIAŁ 22

WIELKA LUKA

*Być może to jest największa z zagadek Sherlocka Holmesa:
Kiedy o nim mówimy, niezmiennie ulegamy fantazji,
że istnieje*

T. S. ELIOT, RECENZJA

THE COMPLETE SHERLOCK HOLMES SHORT STORIES, 1929

9 stycznia 2010

Harold i Sarah siedzieli w obskurnej kawiarence internetowej, popijając herbatę i wpatrując się w dwa ciemne monitory. Kilka stanowisk dalej gruby mężczyzna po czterdziestce oglądał strony z pornografią.

Wcześniej w taksówce odbyli długą debatę na temat bezpieczeństwa powrotu do hotelu i oboje doszli do wniosku, że Kozia Bródka i jego kompan z pistoletem musieli ich znać. Czyli śledzili ich od jakiegoś czasu. A więc hotelu nie można było uważać za bezpieczny. A ponieważ pierwszą sprawą było obejrzenie zawartości USB, kierowca zostawił ich przy Kensington Internet Café, gdzie teraz przeszukiwali pliki.

Harold był nadal pod wrażeniem opanowania Sarah podczas pościgu. On sam był praktycznie w rozsypce i tylko dzięki

resztkom determinacji i siły woli zdołał stanąć przed nadjeżdżającym samochodem. Sarah zaś nie dość, że zakradła się od tyłu, to jeszcze przebiła opony. Gubił się w tym wszystkim. Świat stał się dla niego tajemnicą. A Sarah wyraźnie go rozumiała. Chciałby być podobny do niej.

Otworzył zewnętrzny dysk i pomyślał, że natrafił na żyłą złota - powitał go wielki plik tekstowy oznaczony ACD BIO BRU-LION 12.14.09. Otworzył go i oto miał przed sobą długo oczekiwaną biografię Conan Doyle'a autorstwa Aleksa Cale'a, która musiała zawierać długi ustęp o odnalezieniu dziennika i jego wartości.

Sarah sprawdziła swoją pocztę, wyszła, żeby zatelefonować, a potem drugi raz, żeby odebrać przychodzącą rozmowę. Harold zaś w tym czasie szybko, bo inaczej nie umiał, przeczytał szczególnie biografii pisarza, a poza tym znał je już niemal na pamięć. Narracja Aleksa była pełna uwielbienia dla Conan Doyle'a i nieprzytomnie staroświecka, jakby z tego umiłowania musiał naśladować styl pisarza. Ustęp o służbie Conan Doyle'a podczas wojny burskiej zaczynał się następująco: „Determinacja malowała się na jego twarzy i twarde było postanowienie Arthura Conan Doyle'a, kiedy schodził z trapu liniowca transoceanicznego kompanii P&O do brudnego portu w Cape Town”. Brzmiało to nieco pretensjonalnie, ale Harold czytał to z rozkoszą. Łzy napłynęły mu do oczu, kiedy dotarł do opisu śmierci pisarza we własnym łóżku, w kochających ramionach drugiej żony. „Jesteś cudowna”, brzmiały jego ostatnie słowa, wyszeptane w zalaną łzami twarz Jean, z którą ożenił się w 1907 roku i przeżył dwadzieścia trzy lata.

Harold pomyślał o Aleksie umierającym samotnie w pokoju hotelowym, z oczyma wychodzącymi z głowy i mięśniami sztywnymi od walki, i uświadomił sobie, że od tamtego dnia nie

przystanął nawet na chwilę, żeby uczcić go chwilą zadumy. Żeby pojąć tę stratę. Jakie to ma w gruncie rzeczy znaczenie, czy odnajdzie dziennik? Jaką różnicę robi ustalenie zabójcy Aleksa? Spotka go wprawdzie kara więzienia, lecz Alex nigdy nie zobaczy owoców pracy swojego życia. Nigdy nie zacznie nowego projektu. „Rzucając wyzwanie niepoprawnej wierze Conan Doyle'a w siły nadprzyrodzone”, wrócił do lektury, „Harry Houdini postanowił mu udowodnić raz na zawsze, że prawdziwe czary nie istnieją. Pokazywał więc pisarzowi sztukę za sztuką i z zakłopotaniem stwierdzał, że za każdym razem, kiedy wyciągał z talii kolejną kartę, Conan Doyle nie mógł uwierzyć, że to nie efekt magii. Niemal widzimy zdesperowanego Houdiniego, który stwierdza: «Wyjąłem pańską kartę dzięki sprawności ręki, a nie paranormalnej sile», na co Conan Doyle odpowiada: «Ale to moja karta. Jakkolwiek się to dzieje, dla mnie i tak to czary»”. Harold otarł łzy serwetką, potem wydmuchał nos i wrzucił bibułę zwiniętą w ciasną kulkę do śmieci. Po raz pierwszy pojął, że nie robi tego dla Aleksa, lecz dla siebie. Robi to w celu poznania rozwiązania, potężnej odpowiedzi leżącej poza jego wzrokiem. Nie chodziło wcale o sprawiedliwość. Chodziło o tajemnicę.

Podniósł wzrok znad ekranu i stwierdził, że Sarah nie ma obok. Przez okno zobaczył ją na ulicy, jak z ożywieniem rozmawia przez telefon. Starał się nie wpadać w paranoję, ale nigdy nie wiedział, z kim się kontaktowała, a przecież niedawno ktoś celował do niego z pistoletu.

- Z kim rozmawiałaś? - zapytał, kiedy wróciła.

- Z moim naczelnym w Nowym Jorku - odpowiedziała. - Bardzo się cieszę na ten materiał.

- Tak? A co mu powiedziałaś?

- Niewiele. Że robimy postępy i że jesteś fascynującą postacią, na której oprzemy cały materiał. Bardzo chce cię poznać, jak wrócimy do Nowego Jorku.

Harold nie wiedział, co go bardziej ucieszyło - to, że Sarah uznała go za fascynującego, czy że wracają do Nowego Jorku. Razem. Chociaż to dziwne, że wyszła na zewnątrz, żeby porozmawiać ze swoim naczelnym.

- Bardzo bym chciał poznać twojego szefa - powiedział po prostu. - Jak to wszystko się skończy.

- Skoro o tym mowa. Znalazłeś coś?

- Zauważyłem coś dziwnego.

- Ach tak?

- Nie ma tu niczego nowego w części biograficznej od października do końca grudnia 1900 roku, co mógłby wnieść dziennik. Tylko kilka stron na temat tego okresu w życiu Conan Doyle'a i wszystkie informacje pochodzą ze źródeł ogólnie dostępnych. Żadnych tajemnic. - Harold przerzucił strony na ekranie. - Dowiadujemy się, że Conan Doyle często grał w krykieta, czasami wspierał Scotland Yard, a w końcu wskrzesił Sherlocka Holmesa. Ale w zasadzie wszyscy już to wiedzieliśmy.

- Zaczekaj - powiedziała Sarah. - Ja nie wiedziałam, że Arthur Conan Doyle był konsultantem Scotland Yardu.

- Tak. Z biegiem lat zaczął być bardziej... powiedzmy, ekscentryczny. Po nieudanym zamachu na jego życie Conan Doyle zaczął współpracować ze Scotland Yardem i dość głęboko zainteresował się kilkoma sprawami. W pewnym momencie sądził nawet, że ściga seryjnego mordercę.

- I znalazł go?

- Nie. W gruncie rzeczy myślę, że Yard nie uznał tej historii za taki przypadek. Kuba Rozpruwacz wstrząsnął całym Londynem kilka lat wcześniej i zapewne uważali, że Arthur ulega literackiej fantazji. Ale policja była zadowolona z reklamy, z poparcia publiczności czytującej opowiadania Conan Doyle'a. Później jeszcze kilka razy pojawiły się opinie, że Scotland Yard powinien go

zatrudnić przy jakiejś ważnej sprawie. Kiedy w 1926 roku znikła Agatha Christie, wszystkie gazety wydrukowały teksty z bezpośrednią prośbą do Conan Doyle'a, żeby się włączył w jej poszukiwania. I wiesz co? Zrobił to. Znalazł ją. Pewnego dnia wybrała się autem na przejażdżkę na wieś i nie wróciła. Jej samochód uderzył w drzewo, ale nie było w nim krwi ani jej ciała.

- Jezu. W jaki sposób ją znalazł?

- Słusznie wykocypował, że w okolicy jest tylko jedna stacja kolejowa, do której mogła dojść pieszo, i tylko jeden pociąg, do którego mogła wsiąść niezauważona. Nie pamiętam, jak wykombinował, na której stacji wysiadła. Ale rzeczywiście mąż znalazł ją tam trzy dni później. Mąż, który miał romans i przez którego przeszła załamanie nerwowe. Mieszkała więc tam pod przybranym nazwiskiem.

- O rany. Ale to nie ma nic wspólnego z zaginionym dziennikiem.

- Nie.

- No, dobrze. Conan Doyle pracował dla Scotland Yardu, a potem - niedługo potem - wskrzesił Sherlocka Holmesa?

- Tak. Wielka Luka skończyła się wraz z publikacją „Psa Baskerville'ów” w marcu 1901 roku. Sherlock Holmes nie żył od ośmiu lat i nagle, bez widocznego powodu Arthur postanowił przywrócić go światu, napisać kolejne opowiadania o detektywie, którego podobno nie znośił. Oficjalnie tłumaczył, że z powodów finansowych, ale to raczej nie była prawda. Był bogaty. W dodatku od lat dostawał oferty czeków in blanco od każdego wydawcy i magazynu na świecie. Dlaczego więc akurat wtedy zmienił zdanie? I dlaczego przywrócił Holmesa tak... tak innego?

- Innego? - zapytała Sarah, zaintrygowana.

- Holmes powrócił po prostu inny. Bezwzględny, zimny, manipuluje świadkami w celu zdobycia informacji, kłamie, a nawet sam popełnia przestępstwa, jeśli uważa, że to posłuży sprawie. Raz nawet uwiódł pokojówkę, żeby go wpuściła do swojego domu. Staje się prawdziwym draniem, jakby stracił wiarę w wymiar sprawiedliwości. Zachowuje się jak sędzia i ława przysięgłych, wymierza nawet kary schwytanym przez siebie przestępcom. Zrywa też współpracę ze Scotland Yardem, którym zaczyna wręcz gardzić. Rzeczywiście, postacie policjantów w opowiadaniach Conan Doyle'a zawsze były płaskie, żeby na ich tle umysł Holmesa błyszczał, ale teraz zupełnie z nich zniknęli. Holmes nie chce mieć z nimi nic wspólnego. A więc pytanie o Wielką Lukę jest w gruncie rzeczy pytaniem o to, co stało się z Holmesem, kiedy go nie było. I praca Aleksa nie daje nam odpowiedzi.

- Na moje ucho - powiedziała Sarah w zamyśleniu - pytanie raczej brzmi: co się stało z Arthurem Conan Doyle'em?

ROZDZIAŁ 23

SUFRAŻYSTKI

Serce i umysł kobiety są dla mężczyzny nieodgadnione.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
ZNAMIENTY KLIENT

11 listopada 1900

Arthur zapiął górny guzik edwardiańskiego gorsetu. Wciągnął brzuch, przymocowując dolne tasiemki do podwiązek. Rozkłoszowana spódnica była luźna i z łatwością obejmowała jego talię, ale kiedy wstał i jej fałdy opadły delikatnie na białe pończochy, poczuł ostry ból w piersi i plecach. Gorset wpijał się boleśnie w żebra i łopatki.

- Au, Bram, czy to wszystko jest naprawdę konieczne? - po-skarżył się. - Mój Boże, to jest straszliwie niewygodne.

Bram spojrział znad bardziej nowoczesnego gorsetu opinającego jego brzuch. Arthur wyglądał niecodziennie. Strój wypychał w górę fałdy tłuszczu na jego klatce piersiowej, stwarzając wrażenie pełnego biustu. Spódnica, luźna zgodnie z obecną modą, leżała na nim całkiem dobrze. To niedorzeczność krzaczastych wąsów

przyjaciela sprawiła, że Bram głośno się roześmiał. Chociaż jak je zgoli, włoży perukę i trochę się pomaluje... Cóż, będzie całkiem nieźle wyglądał.

- Masz prezentację prawdziwej damy, Arthurze, nic się nie martw - stwierdził z uśmiechem. - Holmes zawsze się przebierał, gdy chciał dostać się gdzieś potajemnie, prawda? To chyba dobry moment, żebyś i ty spróbował. Wziąłem trochę teatralnych kosmetyków z garderoby Henry'ego i peruki od pań. Nie będą miały nic przeciwko temu.

Wskazał na poplamioną porcelanową umywalkę w kącie pokoju.

Przebierali się przed wielkimi lustrami w opuszczonej garderobie w głębi Lyceum, z której żaden aktor nie chciał korzystać ze względu na stare gazowe oświetlenie. Henry uważał, że to nie do pomyslenia, żeby się przebierał w świetle gazowym, jeśli ma występować przy elektrycznym. I Bram zaraz po jednej inwestycji musiał zapłacić za kolejne unowocześnienie - prąd w garderobie Henry'ego. Wkrótce zaś inni aktorzy złożyli podobne żądania i tylko w tym jednym pomieszczeniu nadal funkcjonowały gazowe lampy.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogę kontynuować śledztwa w porządnej parze spodni - skarżył się ciągle Arthur. Nawet pętelki do sznurowania gorsetu zwisające z tyłu drażniły jego skórę i nerwy. W tym okropnym urządzeniu nie zazna ani chwili spokoju.

- A co innego możemy zrobić? - zapytał Bram. - Mamy wziąć udział w zebraniu związku sufrażystek we frakach i cylindrach? Jestem przekonany, że ciebie - znanego autora i sławnego antysufrażystę - od razu by zauważono. Wyrzuciłyby nas, zanim zdążylibyśmy usiąść na swoich miejscach. Jeśli mamy iść i jakoś to przetrwać, to musimy wyglądać jak kobiety.

Arthur wiedział, że Bram ma rację. Ale nadal był niezadowolony.

- Jeśli chcesz - ciągnął Bram - mogę pójść tam sam. Nikt nie wie, kim jestem. Niepotrzebne by mi było żadne przebranie, żeby spędzić wieczór z sufrażystkami.

Arthur pomyślał, że gorycz w głosie Brama wynikała z tego, że jego kariera literacka ciągle nie rozwijała się tak, jak sobie tego życzył, nie powinien jednak wyładowywać frustracji na kolegach, którzy odnieśli większy sukces.

- Muszę to zobaczyć. Muszę zobaczyć Millicent Fawcett i jej satynowy gang. Jeżeli mam ochronić pozostałe dziewczęta, muszę dokładnie wiedzieć, co właściwie robią.

- Jak zawsze rycerski, co? - stwierdził Bram.

Arthur zarzucił na ramiona cienki wieczorowy szal i zawiązał go na podwójną kokardę na szyi.

- Rycerskość jest sednem bycia mężczyzną. Tym, co odróżnia nas od zwierząt.

- I tym - zauważył Bram, poprawiając spódnicę - co odróżnia nas od kobiet.

- W rzeczy samej! - Arthur bawił się czepek, starając się znaleźć właściwe tasiemki. - Gdyby mężczyźni i kobiety zamienili się rolami, to byłby koniec cywilizacji! Upadek Anglii.

- Zakładam więc, że nie zmieniłeś swojego stanowiska w kwestii przyznania kobietom prawa wyborczego? Chodź. Siadaj. Pozwól, że zgolę ci wąsy.

Narzędzia już leżały przy umywalce: nożyczki, krem, brzytwa.

- Chyba, że sam chcesz czynić honory.

- Nie - odparł Arthur. - Nie myślę, żebym dał radę. Noszę wąsy od szesnastego roku życia. Wiedziałeś o tym? Byłem pierwszym chłopcem w klasie, któremu pojawił się meszek na twarzy. - Usiadł na krześle twarzą do przyjaciela i zamknął oczy. - I owszem

- ciągnął - rozważałem tę kwestię wielokrotnie i za każdym razem stwierdzałem, że argumentom sufrażystek czegoś brakuje.

- Czegóż takiego? - chciał wiedzieć Bram, który właśnie przygotowywał krem do golenia, ubijając go pędzlem z piór.

Gdy wziął z umywalki krótkie stalowe nożyczki, Arthur się skrzywił, zgrzytnął zębami, ale oczy miał nadal zamknięte. Nie chciał być świadkiem likwidacji własnego zarostu.

- To nie ma nic wspólnego z prawami - powiedział cicho, ledwie poruszając ustami. - Chodzi o obowiązki. Mężczyźni mają obowiązki wobec społeczeństwa, a kobiety mają swoje. Tak więc obie płcie mogą szczęśliwie żyć razem. Czy możesz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby żony mogły głosować razem z mężami? Nie jest tajemnicą, że Partia Konserwatywna ma w Anglii daleko większe poparcie wśród kobiet niż wśród mężczyzn.

- To samo powiedział Gladstone, kiedy sprzeciwił się reformie prawa wyborczego.

Przystrzygłszy wąsy, Bram zabrał się do nakładania na twarz przyjaciela kremu.

- Najzupełniej - przyznał Arthur. - Masz dobrą pamięć do polityki. Liberałowie pozbawili sufrażystki gruntu pod nogami dla własnych korzyści wyborczych. Mój argument pozostaje. Powiedzmy, że ustawa została uchwalona i kobiety zaczynają głosować. Młoda para, świeżo po ślubie, idzie razem do urny. Mąż w tym wypadku wybiera Gladstone'a, żona zaś Cecila. Ależ by się kłócili! Jakie napięcia by to spowodowało w małżeństwie! Wskaźnik rozwodów w tym kraju poszedłby w górę.

Kiedy Arthur przestał mówić, Bram przejechał brzytwą nad jego górną wargą tuzinem krótkich pociągnięć. Centymetr po centymetrze wąsy Arthura znikwały z jego twarzy. Bram podał

przyjacielowi gorący ręcznik. Arthur otworzył oczy. Zbadał swoją twarz w lustrze. Wyglądał jak... nagi.

- No dobrze - powiedział Bram. - Teraz położymy ci trochę cienia na powieki i odrobinę pudru na policzki, a potem idziemy.

- Skąd tyle wiesz o damskim makijażu? - zapytał Arthur.

- Pracuję w teatrze - wyjaśnił Bram. - I jestem pewien, że mam jeszcze wiele talentów, których również nie jesteś świadomy.

Arthur podniósł woreczek z białym proszkiem. Wyglądał zupełnie jak mąka albo kokaina.

- Puder cię wybieli, a potem to - Bram pokazał cienki jak brzytwa węgielek - przyciemni linie wokół oczu. Usiądź teraz, nie mamy za dużo czasu. Wykład zaczyna się o ósmej. I kto wie? Może się czegoś dowiemy.

Kiedy Arthur i Bram pojawili się w Caxton Hall w Westminsterze, zgromadził się już tam spory tłum. Ich powóz dołączył do sznura innych na Palmer Street, każda dorożka bowiem zostawiała przy krawężniku sufrażystkę. Ze swego okna Arthur widział szpaler czarnych czepków ciągnący się na północ przez kilka przecznic. Czepki unosiły się i opadały niczym jabłka w wiadrze wody, kiedy panie zatrzymywały się, żeby przywitać jedna drugą.

Podczas gdy Arthur się gapił, Bram zapłacił dorożkarzowi, który zdawał się spieszyć z odjazdem. Potem przykazał przyjacielowi, by ten przy wysiadaniu ujął w dłoń fałdy spódnicy - nie po to zadał sobie tyle trudu z przygotowaniem kobiecego przebrania, żeby ten wszystko popsuł, idąc jak mężczyzna.

Kiedy zbliżyli się do budki z biletami, Arthur zaczął się de-nerwować. To miała być pierwsza próba jego przebrania.

Na razie żadna z kobiet wokół nich nie zwróciła na niego

uwagi, ale kiedy się znajdzie na początku kolejki, zaledwie kilkanaście centymetrów będzie go dzieliło od młodej kobiety za szybą. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat i uśmiechała się wesoło do każdej klientki, jak dziecko.

Bram usiłował stanąć w kolejce przed Arthurem, ale został ofuknięty. To Arthur pójdzie pierwszy. Jeżeli jego przebranie ma być zdemaskowane, lepiej, żeby stało się to od razu.

Kiedy zbliżył się do początku kolejki, zorientował się, że będzie musiał zamienić kilka słów z kobietą za szybą. Tego wcześniej nie przewidział. Nie miał więc najmniejszego pojęcia, jak sobie z tym poradzi.

Wreszcie stanął przy okienku i spojrzał prosto w oczy dziewczynie sprzedającej bilety. Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Ile biletów dla pani na dziś wieczór? - zapytała dziarsko.

Przełknął ślinę.

- Dwa, proszę - powiedział najwyższym głosem, jaki zdołał z siebie wydać.

Dziewczyna znów po prostu się uśmiechnęła.

- To będą cztery pensy, proszę pani - oznajmiła.

Dzięki Bogu, pomyślał Arthur i już bez słowa zapłacił.

Jeden bilet wręczył Bramowi, który podążył za nim przez wielkie podwójne drzwi Caxton Hall.

Chociaż do ósmej brakowało jeszcze kwadransa, sala była już pełna. Twarde krzesła ustawiono w rzędy. Każde z nich trzeszczało i stukało, kiedy siedząca na nim dama przesuwiała się w tył lub w przód, żeby porozmawiać z przyjaciółkami. Arthur i Bram spędzili długie pięć minut na poszukiwaniu wolnych miejsc, które wreszcie znaleźli na prawym skraju widowni, blisko tyłu.

W sali zgromadziło się co najmniej dwieście kobiet i trzech czy czterech mężczyzn. Wzdłuż sceny biegła mosiężna barierka,

oddzielając ją od widowni. Niewysoka mównica leżała na stole z przodu sceny. Za nią ustawiono rząd krzeseł przodem do widowni. Kilka z nich zajmowały dystygowane kobiety w średnim wieku, ale część nadal była pusta, gdyż panie chodziły tam i z powrotem, witając się serdecznie i pochylając ku sobie, by zamienić szybko kilka ukradkowych zdań. Salę ozdabiały transparenty ze sloganami sufrażystek. „Naprzód wybiegły myśli tych, których szept już nie śpi! Zwycięstwo! Zwycięstwo!” - głosił największy z nich. Na balkonie co najmniej kolejna setka kobiet przycupnęła wzdłuż drewnianej poręczy, patrząc w dół na scenę. Wszystkim obecnym oczy lśniły z podniecenia. Zebranie miało się wkrótce zacząć.

Arthur szukał w tłumie Millicent Fawcett, ale nie mógł jej znaleźć. Cały czas spuszczał też wzrok, unikając kontaktu z siedzącą obok niego kobietą. Chociaż jego przebranie wywiodło w pole dziewczynę w kasie, mogło nie być równie skuteczne w przypadku innych osób.

Wreszcie jakaś kobieta podeszła do mównicy i gdy trzy razy ostro uderzyła w nią młotkiem, w sali natychmiast zapadła cisza. Była ubrana od stóp do głów na biało i jako jedna z nielicznych obecnych tu pań nie miała czepka z szerokim rondem. Jej ciemne włosy lśniły w światłach sceny.

Kiedy wszyscy usiedli, Arthur zauważył, że cały pierwszy rząd na widowni zajęli mężczyźni. Rzadko patrzyli w kierunku sceny. Siedzieli z nosami w malutkich notatnikach, w których zawzięcie coś notowali. Reporterzy - uświadomił sobie.

Wykład polityczny, który teraz nastąpił, był równie okropny i monotony jak wszystkie, jakich Arthur wysłuchał wcześniej, lecz jego ton działał ożywczo. Najpierw kobieta w bieli podziękowała wszystkim za udział i wsparcie, a potem wygłosiła wstęp w sposób tak nieśmiały, że Arthur przez chwilę się zastanawiał,

czy nie trafili na spotkanie jakiegoś mało znanego towarzystwa ogrodniczego. Więc tak brzmiał głos najbardziej rewolucyjnej organizacji w Londynie? W końcu kobieta zaanonsowała dwie mówczynie: Millicent Fawcett i Arabelle Raines. Arthur zeszywniał na krześle.

Kiedy panie weszły na scenę, niemal od razu doprowadziły publiczność do szaleństwa. To nie był wykład, raczej debata. Albo mecz bokserski. Fawcett i Raines - obie w czarnych sukniach i kremowych kapeluszach - stały po przeciwnych stronach pulpitu i rzadko odwracały się do siebie, za to na zmianę mówiły do publiczności o swoim stanowisku wobec prawa wyborczego kobiet.

Millicent Fawcett wystąpiła pierwsza i zachowywała się nad wyraz spokojnie. Ani razu nie podniosła głosu ponad poziom właściwy odmawianiu modlitwy przy stole. Jej sposób bycia był dystyngowany i dyskretny, ale zarazem władczy. Jasne włosy koloru lnu zebrała w kok z tyłu głowy. Miała ciemne, głęboko osadzone oczy i mocny nos, co tylko zwiększało wrażenie trzeźwej powagi, jaką emanowała. Ale zanim skończyła pierwsze zdanie, w tłumie odezwały się szemrania, a chwilę później okrzyki aprobaty. Kobieta w bieli musiała kilka razy podchodzić do mównicy z młotkiem, żeby przywołać widownię do porządku.

Wystąpienie Millicent Fawcett było w gruncie rzeczy dość konserwatywne, stwierdził Arthur. Uznała ona, że kobiety i mężczyźni to odmienne istoty o odmiennych zainteresowaniach. I to stanowiło koronny argument w jej agitacji na rzecz pozyskania przez kobiety prawa wyborczego.

- Gdyby mężczyźni i kobiety byli dokładnie tacy sami - powiedziała - wówczas zgromadzenie ustawodawcze złożone wyłącznie z mężczyzn reprezentowałoby nas we właściwy sposób.

Ponieważ jednak nie jesteśmy tacy sami, nasze wartości nie są dostatecznie reprezentowane w naszym obecnym systemie politycznym. W naszym społeczeństwie mężczyźni są mistrzami w umiejętności rządzenia, a kobiety - mistrzyniami życia domowego. To jest sprawiedliwe.

- Cholerna toryska! - krzyknęła jakaś rozgniewana kobieta z balkonu.

- Mamy prawa! - zawołała inna.

Millicent Fawcett kontynuowała jakby nigdy nic:

- W minionych latach nasz rząd zajmował się wyłącznie sprawami mężczyzn. Ale ostatnio państwo uznało za stosowne zaangażować się w kwestie edukacji, wychowania dzieci i prowadzenia domu. Zajęcia kobiet stają się zajęciami całego społeczeństwa. Kobiety zatem muszą mieć prawo głosu w Parlamencie. Kobiety chcą się teraz zaangażować w życie swojego rządu, ponieważ rząd zaangażował się w ich życie! Przyznanie nam prawa głosu nie sprawi, że porzucimy swoje obowiązki wobec społeczeństwa, ale spowoduje, że będziemy je jeszcze skuteczniej wypełniały!

To było dobre wystąpienie, pomyślał Arthur. Dobrze uargumentowane i dobrze skomponowane. Nigdy wcześniej nie rozważał tej kwestii w takim świetle. Kiedy przyszła kolej na Arbellę Raines, tłum znów się rozkrzyczał, choć z innego powodu. Kobieta była błada i prawdziwie chuda. W czarnym ubraniu wyglądała niczym duch. Ale z jej ciała wydobył się głos tak silny, że Arthur aż wyprostował się na krześle. Niósł się przez salę, jakby była to widownia królewskiej opery.

Musiała być studentką Milla, a w swych poglądach politycznych szła zdecydowanie dalej niż Millicent Fawcett. Jej argumentacja opierała się jedynie na naturalnych prawach kobiet, na ich przyrodzonym prawie jako istot ludzkich do wszystkiego, co

przynależy mężczyznom. Chociaż ona również podkreślała fundamentalne różnice między płciami.

- Nie mówię, że kobiety są takie same jak mężczyźni - grmiała. - Mówię, że kobiety są równe mężczyznom. Od stulecia angażują się w sprawy państwa. Utworzyły wszelkiego rodzaju organizacje polityczne i służą w nich. Niektóre maszerują z Ligą Primrose, inne - z federacją socjaldemokratyczną. Jeżeli więc są zdolne doradzać, namawiać i przekonywać do głosowania, na pewno są zdolne same głosować. Pozwólcie mi jednak bliżej wyjaśnić zasady tego wołania o prawo wyborcze. Powinno się je rozszerzyć, dzięki łasce Boga, na wszystkie Jego stworzenia. A skoro kobiety powinny głosować, powinny także głosować kobiety ubogie: Hinduski, Murzynki i Azjatki. Nasze prawa pochodzą nie od rządu, ale od Boga.

- Radykałka! - rozległ się krzyk z góry.

- Sufrażetka! - zawołał ktoś inny.

Na to słowo Arabella Raines popatrzyła w stronę balkonu. Jej twarz przybrała dość srogi wyraz.

- Tego słowa używa się w protekcyjnych żartach - powiedziała. - To szyderstwo rzucone w nas przez Amerykanów i krótkowzrocznych redaktorów naszego „Daily Mail”. - Mówiąc to, popatrzyła w dół, na pierwszy rząd siedzeń, i posłała lodowate spojrzenie jednemu z reporterów. - Mówią, że jesteśmy sufrażetkami, bo bawimy się w rewolucję. Ja mówię, że wcale się nie bawimy. Mówię, że poważnie podchodzimy do naszych celów i sposobów ich osiągnięcia.

Sala wybuchnęła salwą wyzwisk i kobieta w bieli skoczyła do mównicy, gdzie tłukła młotkiem w drewno raz za razem, lecz z niewielkim skutkiem. Millicent Fawcett nawet nie mrugnęła pośród całego zamieszania. Patrzyła na tłum wyprostowana i nieruchoma. Ale Arthur dostrzegł coś w jej oczach. Choć siedział

daleko, zobaczył w nich smutek. Może poczucie utraconej okazji. To nie było zebranie, na jakie miała nadzieję.

W końcu sala się uspokoiła i mówczynie mogły kontynuować debatę. Ich punkt widzenia się nie zmienił, wydawały się wręcz coraz bardziej utwierdzone w swych opiniach. Chociaż z punktu widzenia Arthura walczyły po tej samej stronie, w ciągu godziny rozbieżności między nimi jedynie się pogłębiły. Millicent Fawcett pozostała niezmiennie spokojna i profesjonalna, podczas gdy Arabella Raines pozwoliła sobie na większy wachlarz emocji na scenie. I dopiero gdy na samym końcu Fawcett przypomniała obecnym, że jednoczy je walka o prawo wyborcze kobiet, tłum wydawał się zjednoczony tylko w swojej dezaprobacie wobec jej uprzejmej próby pojednania.

- Jak w domu Atreusza - stwierdził Arthur, kiedy mówczynie zakończyły debatę.

Wprawdzie zebranie dobiegło kresu, wydawało się, że niewiele z jego uczestniczek ma ochotę wyjść. Przechadzały się małymi grupkami, wymieniając opinie ściszym głosem.

- Wygląda na to, że pani Fawcett przewodniczy podzielonemu królestwu. A z tego, co nam powiedział tatuażysta, wynikało, że nasze dziewczęta były w obozie jej przeciwnym. Należały do radykalniejszego odłamu.

- Zgadzam się - przytaknął Bram, obracając się do Arthura twarzą, by uniknąć niepotrzebnych oględzin ich przebrań. - Chodźmy za panią Raines. Zobaczmy, dokąd idzie.

Wyśledzili ją kilka metrów przed sceną, królującą wśród tuzina młodych sufrażystek. Stanęli przy ścianie, uznając, że dołączenie do grupy prawdziwych kobiet zajętych rozmową nie byłoby z ich strony czynem roztropnym.

Wreszcie Arabella Raines w towarzystwie innej dziewczyny skierowała się ku drzwiom frontowym. Bram i Arthur bez słowa ruszyli za nimi. Nie musieli się spieszyć, gdyż połowa znajdujących się w sali kobiet chciała uścisnąć dłoń Arabelli albo zatrzymała się, żeby posłać jej pełen aprobaty uśmiech.

Jej towarzyszka była niewysoka i poruszała się nerwowo, poprawiając co chwila czarne włosy wysuwające się spod czepka na uszy. Jej nosek zdawał się drgać, ilekroć coś mówiła, dlatego przypominała Arthurowi polną myszkę.

Tuż przed wyjściem z głównej sali do kularów kobiety skrzyły ostro w lewo i zniknęły za jakimiś drzwiami. Arthur przeczytał znajdujący się na nich napis: „WC”, a pod spodem: „Panie”.

- O rety - powiedział. - Może powinniśmy...

- Dajże spokój - odparł Bram. - Chcesz znaleźć tego mordercę czy nie? - rzucił z irytacją i precyzyjnie się obok Arthura, wchodząc do damskiej toalety.

Arthur rozejrzał się wokół, instynktownie uznając to za czyn niestosowny, jakby naruszał święty teren. Kiedy jednak nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, zaczerpnął głęboko powietrza i podążył za Bramem.

Jego buty ciężko stuknęły o wykładaną płytami posadzkę. Ponieważ przyjaciel nie zdołał znaleźć dla niego pasującej pary damskich pantofli, włożył suknię sięgającą podłogi. Nigdy jednak nie przyszłoby mu do głowy, że są o tyle głośniejsze niż damskie.

Toaleta dla pań w Caxton Hall była wzorem czystości. Ciemne drzwi oddzielały trzy klozety ze spuszczaną wodą, umieszczone wzdłuż prawej ściany. Kafelki ciągnęły się od toalet do umywalni po lewej stronie. Nawet Bram był pod wrażeniem.

Arabella zdjęła czepkę i poprawiała włosy przed lustrem. Odwróciła się do nich, gdy weszli, i skinęła im grzecznie głową, a

potem ponownie spojrzała w lustro. Nie wyglądało na to, że zaprzętała sobie nimi głowę.

Odgłos spuszczonej wody zasygnalizował obecność jej przyjaciółki. Bram postanowił wejść do najdalszego klozetu i zamknął za sobą drzwi. Arthur nie był pewien, co robić. Chciał pozostać blisko tych kobiet, ale przecież nie mógł tak po prostu stać i się gapić.

Znalazł rozwiązanie obok umywalni, gdzie postawiono dwa wygodne fotele, najprawdopodobniej dla pań, które musiały złapać oddech, kiedy ich gorset zrobił się za ciasny. Zapadł się w jeden z nich i westchnął dramatycznie. Powachlował się rękawami sukni. Chociaż trochę udawał, musiał przyznać, że to ubranie rzeczywiście wyczerpuje. Jeżeli ten dzień nie przekonał go jeszcze o konieczności przyznania kobietom prawa głosu, z pewnością przekonał go o konieczności powołania ruchu na rzecz racjonalnego stroju.

Przyjaciółka Arabelli wyszła z kabiny i skierowała się ku umywalni.

- Och, Emily - usłyszał Arthur. - Mam się przyłączyć do Dot i tych dziewczyn z Manchesteru na późną kolację. Jestem przekonana, że szykują coś większego w swoim mieście. Chcesz iść z nami?

- Dziękuję, nie - odparła dziewczyna. - Zostawiłam w domu niedokończoną robotę. Powinam do niej wrócić.

- Kilka ściegów na drutach? - zapytała Arabella ze śmiechem.

- Tak - potwierdziła Emily i postawiła stopę na fotelu sąsiadującym z fotelem Arthura. Podciągnęła spódnicę nad kolano, a Arthur starał się wyglądać na niezainteresowanego, kiedy poprawiała podwiązki. Utkwił wzrok w ścianie przed sobą, podczas gdy dziewczyna poruszała kolanem w prawo i w lewo, naciągając

białą, cienką pończochę. Jej spódnica podjechała w górę, ukazując część uda.

Arthur się poddał. Oderwał wzrok od punktu na ścianie i pozwolił mu powędrować w stronę nóg dziewczyny. Zobaczył, jak jej uda się napinają, a potem zerknął na kolano z dotęczykiem, szczupłą piszczel i... czarną plamę na niej.

Podskoczył tak, że niemal spadł z fotela. Obie kobiety natychmiast na niego spojrzały.

- Przepraszam - powiedział swoim najlepszym kobiecym głosem, ograniczając liczbę słów do minimum. - Zawrót głowy.

- Rozumiem - odrzekła Arabella ze współczuciem. - Zwykle mdlałam raz na tydzień, kiedy nosiłam taki gorset jak pani. Nie chcę się wtrącać, ale u Whiteleya jest teraz cudowna wyprzedaż. Moje życie się odmieniło, kiedy zaczęłam nosić te nowe.

- Dziękuję - powiedział Arthur.

- Nie wiem, jak zdobędziemy prawa wyborcze, skoro nie możemy porządnie nabrać powietrza w płuca. Prawda, Emily?

- Tak. Prawda - potwierdziła dziewczyna i spojrzała na Arthura podejrzliwie.

Nie sprawiała wrażenia równie bezpośredniej jak Arabella ani równie ufnej.

- Zobaczmy się w przyszły czwartek? - zapytała Arabella przyjaciółkę. - I proszę, uważaj ze swoją... robótką. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby zdarzył ci się jakiś wypadek - dodała, po czym ukłoniła się lekko i wyszła.

Zanim Bram spuścił wodę i wyszedł z klozetu, Emily skończyła poprawianie pończochy i opuściła spódnicę. Wyszła szybko, nie pożegnawszy się nawet skinieniem głowy z Arthurem. Ten zerwał się z fotela.

- Ma tatuaż! - krzyknął. - Na prawej nodze! Widziałem!

- Arabella Raines? - zapytał Bram zdezorientowany.

- Nie - odparł Arthur. - Jej przyjaciółka Emily. Ta druga. Szybko, chłopie, nie mamy czasu do stracenia! - krzyknął i ledwo uniknął potknięcia się o własną spódnicę, wypadając w pośpiechu z damskiej toalety.

ROZDZIAŁ 24

PLAMY KRWI PRZYNOSZĄ OWOCE

*Tak bardzo zbliżyłeś wykrywanie przestępstw do nauk ścisłych,
jak chyba jeszcze nikt przed tobą!*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
STUDIUM W SZKARŁACIE

10 stycznia 2010

Harolda obudził odgłos leżącej wody. Zaspany podniósł głowę i odwrócił się, chcąc znaleźć jego źródło. Spojrzał na rozrzuconą pościel - ciemnoniebieską, w czerwoną kratkę - na kremowy dywan i drewniane biurko. W ciągu tego tygodnia mieszkał w tylu pokojach hotelowych, lecz wszystkie wyglądały jednakowo. W którym był teraz?

Kiedy zwrócił się ku drzwiom łazienki, które mogły być każdymi drzwiami do łazienki w każdym hotelu po obu stronach Atlantyku, dostrzegł wymykające się spod nich smużki pary. W środku szumiał prysznic. Harold usłyszał, że ktoś się tam porusza, i zdał sobie sprawę, że to Sarah. Wydarzenia ostatniego wieczoru wróciły do niego.

I z zalem przypomniał sobie, że nie wydarzyło się nic fascynującego.

Znaleźli ten hotel w Internecie. Był blisko, był cichy i można w nim było płacić gotówką. A oni nie mogli ryzykować używania kart kredytowych.

Wieczór spędzili na czytaniu biografii Conan Doyle'a Aleksa. Sarah robiła to z czystej ciekawości, natomiast Harold przejrzał ją wielokrotnie, za każdym razem szukając wskazówki, gdzie Alex odnalazł dziennik. Albo chociaż napomknienia o tym, co zawiera. Bez skutku.

Najwspanialszym momentem poprzedniego wieczoru była dla niego chwila, w której dowiedzieli się, że hotel ma pralnię. Zdali bowiem sobie sprawę, że jeśli nie wrócą do poprzedniego pokoju, będą musieli chodzić kolejny dzień w tym samym ubraniu. Przebrali się więc w białe szlafroki i kiedy schodzili do recepcji z brudną bielizną, dżinsami i koszulami pod pachą, wzrok Harolda dryfował ku fałdom szlafroka Sarah, które odsłaniały jej prawe udo aż do talii.

Zasnęli na dwóch końcach wielkiego łóża w tych samych szlafrokach, które posłużyły im za piżamy. Wszystko to było przygnębiająco cnotliwe, jakby byli wstydliwymi nastolatkami. Harold leżał na boku, tyłem do Sarah, chociaż zwykle sypiał na plecach. Nie chciał ryzykować, że się odwróci i przez przypadek na nią spojrzy. A co, jeżeli otworzy oczy właśnie w chwili, gdy jego wzrok akurat spocznie na niej? Pomyśli, że wpatrywał się w nią przez całą noc. Leżał więc na prawym boku, nie mogąc zasnąć.

Usiadł na łóżku, kiedy usłyszał, że jego blackberry brzęczy na stoliku nocnym. To był e-mail od Sebastiana. Był w Londynie i chciał się z nimi spotkać. „Natychmiast”.

Odkładając aparat na miejsce, Harold zauważył telefon Sarah. Mimo całej sympatii do niej, a nawet lekkiego zadurzenia nie do końca jej ufał.

Biorąc z szafki jej telefon, pocieszał się, że Holmes również nie zawsze był całkowicie uczciwy wobec Watsona. Często go okłamywał, żeby samemu rozwiązywać sprawy tak, jak mu się podoba. W *Psie Baskerville'ów* nawet wysłał Watsona z niepotrzebną misją na większą część śledztwa, żeby pozostawać w cieniu i obserwować podejrzanych, podczas gdy jego niewydarzony pomocnik odwracał ich uwagę. Harold nie robił więc niczego, czego nie zrobiłby Sherlock Holmes. Ale kiedy usłyszał, że w łazience zakręcono prysznic, wiedział, że musi działać szybko.

Wczorajszego popołudnia Sarah przeprowadziła kilka rozmów z numerem z kierunkowym Nowego Jorku. Jedna z nich odbyła się o 15.03. Wtedy na pewno byli w kawiarni. To musiał być redaktor naczelny. Słyszając, że Sarah krząta się w łazience, ponownie wybrał ten numer. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, kiedy czekał na połączenie.

- Silverman, Rummel, Tabak i Siegler. Z kim połączyć?

- Ja...mm... - nie przygotował sobie żadnej odpowiedzi. - Czy to kancelaria prawna?

Po drugiej stronie nastąpiła chwila ciszy.

- Tak proszę pana. W czym mogę pomóc?

Drzwi do łazienki nagle się otworzyły i do pokoju wkroczyła Sarah, całkowicie ubrana, ale z mokrymi włosami owiniętymi ręcznikiem.

- Nie, dziękuję - odparł Harold i rozłączył się.

Sarah zatrzymała się, widząc, że trzyma w dłoni jej telefon.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Kto to jest Silverman, Rummel, Tabak i Siegler?

Jej pierwszą reakcją był gniew.

- Sprawdzaleś mój telefon? Z jakiej racji?

- Bo mi nakłamałaś, że dzwonisz do naczelnego. Przynajmniej to już wiem. Przepraszam, ale z powodu pościgów samochodowych, pistoletów i trupów jestem trochę nerwowy. A ty sprawiałaś wrażenie, jakbyś bardzo chciała jechać ze mną do Londynu.

Westchnęła. Przez chwilę wpatrywała się w podłogę, zbierając się w sobie, po czym usiadła na łóżku.

- Tak. Okłamałam cię - wyznała, podkurczając palce u bosych stóp. - Nie chciałam ci mówić, że... ta kancelaria prawna to moi adwokaci rozwodowi. Jestem w połowie postępowania.

Wśród wszystkich rzeczy, jakie Harold spodziewał się usłyszeć od Sarah, tej zdecydowanie nie przewidział.

- Marc Epstein. To nazwisko mojego adwokata. Możesz do niego zadzwonić i sprawdzić. Nie chciałam ci mówić, bo, cóż, nie mam naczelnego. Nie pracuję teraz jako reporterka. Ale pracowałam. Pisywałam do kilku gazet, magazynów... Jestem pewna, że sprawdziłeś mnie w Google'u. Ale potem, jak wyszłam za mąż, jakoś przestałam. Mój mąż - mój były mąż - zarabiał wystarczająco dużo i w końcu przestałam pisać. A teraz, kiedy się rozwodzę, chcę do tego wrócić. Więc działałam jako wolny strzelec. W każdym razie próbuję. A kiedy usłyszałam, że Alex znalazł dziennik, kiedy zaczęłam czytać o Chłopcach z Baker Street, o was wszystkich, miałam wrażenie, że to aż za dobry temat. Każdy to kupi, to świetna historia.

- To dlatego skontaktowałaś mnie z Sebastianem. I spowodowałaś to wszystko. Chciałaś mieć o czym pisać.

Oderwała wzrok od swoich stóp. Jej oczy szklily się łzami.

- Było mi to potrzebne, Haroldzie. Potrzebna mi była ta historia. Chciałam odzyskać swoje życie.

Harold uświadomił sobie, że nie gniewa się na nią. Rozumiał ją lepiej, niż chciał.

- W porządku - powiedział. - Znajdziemy ten dziennik. Obiecuję. Ale najpierw zawrzyjmy umowę. Jesteśmy w tym razem. Ty nie będziesz kłamać, a ja nie będę sprawdzać twoich rozmów. - Uśmiechnął się.

Odpowiedziała tym samym.

Później czule wspominał, jak objął ją ramieniem, a ona położyła na nim owiniętą ręcznikiem głowę.

- Dzięki - wyszeptwała.

- Nie ma za co. Wiem, jak to jest, gdy człowiek czuje potrzebę sprawdzenia się. A potem ma szansę zrealizowania swych pragnień w prawdziwym życiu, co okazuje się o wiele trudniejsze niż marzenia.

Sarah roześmiała się.

- Oboje musimy to rozwiązać - dodał Harold.

- Tak - przyznała. - A najśmieszniejsze jest to, że moim zdaniem ja bardziej niż ty.

Londyński dom Sebastiana Conan Doyle'a leżał w Holland Park, na Abbotsbury Road. Trzypiętrowy budynek był śnieżnobiały i wzięty w nawias przez wysokie platany.

Szybko pokonali kilka schodów i stanęli przed wejściem. Odzwierny wpuścił ich od razu. Spodziewano się ich.

Dom natychmiast połknął Harolda. Wydawało się, że sufity są o kilka metrów za wysoko, a korytarze o kilka metrów za szerokie. Nawet drzwi sprawiały wrażenie ogromnych. Obrazy wiszące nobliwie na ścianach były nowoczesne, uznał Harold, chociaż niewiele wiedział o malarstwie. Sprawiały wrażenie strukturalnych, architektonicznych, pełne kształtów w prostych kolorach, zderzających się z sobą.

Sebastian czekał na nich na podeście pierwszego piętra. Sprawiał wrażenie zadowolonego, że ich widzi. Serdecznie uściśnął im dłonie.

- Chodźcie - zaprosił ich, prowadząc przez mieszkanie do pomieszczenia, które można było opisać jedynie jako salon.

Usadowił się na dużej kanapie, której poduchy wyglądały tak, jakby nigdy nikt wcześniej na nich nie siedział. Harold i Sarah zajęli miejsca na kanapie naprzeciwko. Gruba brązowa koperta bez żadnego napisu leżała na stoliku do kawy między nimi.

- Przystąpmy od razu do rzeczy, dobrze? - zaczął Sebastian szybko. - Co znalazłeś?

Harold i Sarah wymienili spojrzenia. Co powinni mu powiedzieć? - Przede wszystkim - zaczął Harold - czy dostałeś jakieś informacje od nowojorskiej policji?

- Oczywiście - odparł Sebastian. - Mam wszystko, o co prosiłeś. Wyniki autopsji, raporty, fotografie z miejsca zbrodni. Wszystkie okropieństwa. - Wziął kopertę ze stolika i rzucił Haroldowi, który natychmiast otworzył ją i zaczął przeglądać jej zawartość.

Istotnie, były w niej fotokopie ręcznie pisanych raportów policji, wydruki komputerowe zdjęć z miejsca zbrodni, sprawozdania hotelowe i gruby plik dokumentów, zatytułowany „RAPORT KORONERA”.

- Jak je zdobyłeś? - zapytała Sarah.

Sebastian popatrzył na nią protekcjonalnie.

- Przejrzałem to, z ciekawości - wyjaśnił. - Szczególnie zdjęcia są makabryczne.

Sposób bycia Sebastiana sprawiał, że Harold czuł się przy nim nieswojo. Deprymowała go pewność siebie Conan Doyle'a, ta zawsze przekrzywiona głowa i oczy wpatrujące się w człowieka z taką intensywnością, jakby Sebastian miał zaraz powiedzieć, że z nim kończy, tylko czeka na właściwy moment.

- Najciekawsza jest uzupełniająca część raportu detektywa -

ciągnął gospodarz. - Dotyczy testu DNA krwi na ścianach.

- Oo? - zdziwił się Harold, szukając właściwej strony. - Krew w słowie „elementarne”? Wiedzą czyja?

- Wiedzą. Aleksa Cale'a.

Harold spojrział na Sebastiana.

- Cholera - powiedział. - W opowiadaniu pochodziła od zabójcy, nie od ofiary.

- Ale to nie jedyne odstępstwo od opowiadania - wtrąciła Sarah. - W „Studium w szkarłacie” ofiarę otruto, nie uduszono.

Harold spojrział na nią zaskoczony.

- Jezu! - odrzekła. - Gadałeś o tych opowiadaniach non stop przez ostatnie trzy dni. Nie możesz mieć pretensji, że postanowiłam je przeczytać. Znalazłam je w Internecie, jak byliśmy w kafejce.

- Czy koroner znalazł truciznę we krwi Aleksa? - zapytał Harold.

- Nie - odparł Sebastian. - Alex Cale został uduszony, nie ma co do tego wątpliwości.

- A co z jego nosem? - dociekał Harold.

- Z jego nosem? - zdziwił się Sebastian.

- Z jego nosem? - zapytała Sarah.

- Krew - powiedział Harold. - Czy pochodziła z nosa Cale'a?

- Haroldzie, nie jestem lekarzem - oznajmił Sebastian - ale nie wydaje mi się, żeby można było powiedzieć, z jakiej części ciała pochodzi. Można tylko stwierdzić, czyja jest.

- Nie, nie, raport koronera... - Harold umilkł, przerzucając gorączkowo papiery. Zwolnił, kiedy znalazł to, czego szukał, i próbował rozczytać bazyliki koronera.

Sama fotokopia była niewyraźna, co jeszcze utrudniało to zadanie. - Czy ktoś z was może powiedzieć, co tu jest napisane?

Sarah pochylała się nad kartką i przesunęła po niej palcami. Zmrużyła oczy. Harold poczuł zapach hotelowego szamponu na jej włosach, kiedy kosmyk upadł na kartkę. Wsunęła go za ucho.

- Krwotok? - powiedziała. - Coś na temat krwotoku?

- W jamie nosowej. Skrzep krwi w... - Harold ponownie prze-rwał w pół zdania.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o co ci chodzi, Haroldzie - oznajmił Sebastian. - Alex miał skrzep krwi w jamie nosowej? Mógł rozbić nos, walcząc z zabójcą.

- Nie. Nie miał siniaków na twarzy, kiedy go znaleźliśmy. Ani złamanego nosa. To było bardziej rozmyślne. W „Studium w szkarłacie” wiadomość od zabójcy była napisana krwią na ścianie - krew pochodziła z jego nosa.

- Więc tutaj - wtrąciła Sarah - morderca użył krwi Aleksa zamiast własnej. Zrobił nacięcie w jego nosie albo coś w tym rodzaju po tym, jak go zabił. Prawdopodobnie obawiał się zostawić swoje DNA jako dowód. Nie chciał ci zbyt ułatwiać sprawy.

- To dziwne - zauważył Harold. - Odtwarza opowiadanie, ale niedokładnie. Używa tylko niektórych elementów. Czy stara się nam coś w ten sposób powiedzieć, czy też... - ponownie urwał w pół zdania i wypuścił resztę powietrza z płuc przez zaciśnięte usta.

- Czy też co? - zapytał Sebastian.

- Czy też - dokończył Harold - zabójca nie znał dobrze opowiadania? Nie znał go na pamięć? Zabił Cale'a przypadkiem. Nie planował tego. Pokłócili się. Na przykład na temat dziennika. A potem starał się zatrzeć ślady i sprawić, żeby to wyglądało na sprawkę któregoś z sherlockistów. Pamiętał częściowo początek „Studium w szkarłacie”, ale się pomylił.

Sarah sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

- Więc teraz sądzisz, że to nie sherlockista zabił Aleksa?

- Sugeruję możliwość - odparł Harold, wbijając wzrok w Sebastiana - że mordercą mógł być ktoś obeznany z sherlockistami, ale nie jeden z nich.

Conan Doyle spoglądał na niego z wyższością. Wreszcie uśmiechnął się diabelsko, a jego policzki poczerwieniały jak jabłka.

- Doprawdy, Haroldzie? To wszystko? Nie stać cię na nic lepszego?

Sarah patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Znaleźliśmy wiadomość, którą zostawiłeś na sekretarce Cale'a - oznajmił Harold. - Byłeś dość wściekły.

- Tak, tak, tak, a potem po śmierci Cale'a zaproponowałem wam, dwójce palantów, pomoc w znalezieniu zabójcy. I powiedziałem wam o swojej kłótni z Cale'em. Nie robiłem z tego tajemnicy.

- Kto nas śledzi? - wybuchnęła nagle Sarah.

Teraz Sebastian wyglądał na zdezorientowanego.

- Przepraszam. A ktoś was śledzi?

- Tak - oznajmiła.

- Ktoś z pistoletem - dodał Harold. - Bardzo dużym. I ktokolwiek to jest, splądrował również biuro Cale'a - zakończył, przyglądając się wnikliwie twarzy Sebastiana. Wyglądało na to, że słyszał o tym po raz pierwszy.

- Więc nie sądzicie - zauważył Sebastian - że ten uzbrojony prześladowca może być, och, powiedzmy, zabójcą Cale'a?

- Może - zgodził się Harold. - Tylko że ten gość nie ma dziennika. Myślę, że masz go ty.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Wydaje mi się, panie White, że nie będzie pan już potrzebny - oznajmił Sebastian lodowatym tonem.

Harold zebrał się w sobie. Czy Sebastian rzuci się na niego? Czy ma broń? Zrobił krok do tyłu, próbując przygotować się na wszystko.

- Proponuję, żeby opuścił pan mój dom - dodał Conan Doyle stanowczo, ale spokojnie.

Sprawiał wrażenie człowieka, którego łatwo zirytować, ale o wiele trudniej rozgniewać.

- Będę w kontakcie - powiedział Harold, idąc w stronę drzwi. Czuł, że dobrze to rozegrał.

- Ale masz jaja! - rzuciła Sarah, kiedy znaleźli się na ulicy.

Szli Abbotsbury Street, nie do końca wiedząc dokąd. Harold głęboko się zamyślił. Był tak irytująco blisko rozwiązania, ale, niech to diabli, ciągle jeszcze za daleko.

- Słucham? - zapytał.

- Naprawdę myślisz, że to on zabił Cale'a? - była ciekawa Sarah.

- Nie - odparł Harold po dłuższej chwili. - Ale sporo poszlak wskazuje na niego. Miał motyw, możliwości... I przyprawia mnie o gęsią skórkę, jeśli mam być szczerzy. Nie myślę jednak, że zabił Cale'a.

- Znalazłeś więc świetny sposób, żeby to pokazać.

- Nie sądzę, że go zabił, ale mogę się mylić. I chciałem zobaczyć, jak zareaguje na taką sugestię. Może się załamię i przyzna do wszystkiego. W opowiadaniach o Holmesie mordercy stale to robią, jak się skonfrontuje ich z prawdą. Nawet jeśli nie ma przeciwko nim twardych dowodów.

Przez kilka minut szli zgodnym krokiem w milczeniu. Holland Park przeszedł w Notting Hill, a potem w Bayswater. Budynki urosły o kilka pięter, a ulice stały się o kilka decybeli głośniejsze.

- No to déjà vu. Ktoś nas śledzi - oświadczyła nagle Sarah.

- Co? - zapytał Harold z niedowierzaniem.

- Starszy mężczyzna. Brunatny garnitur, okulary, półbuty tak głośne, że stąd je słyszę.

- Chryste - powiedział Harold. - Jak nas znaleźli? I jakim sposobem tak szybko się orientujesz, że ktoś cię obserwuje?

- Nie wiem. Może pilnowali mieszkania Sebastiana, zakładając, że w końcu się tam pojawimy? A poza tym spróbuj być kobietą i iść ruchliwą ulicą. Stajesz się dotkliwie świadomy każdej pary oczu, jaka na tobie spoczywa. To lepszy trening niż w CIA.

- Powiedziałaś, że jest starszy? - zapytał nieco zdyszany, bo trochę przyspieszyli.

- Tak. Może być po siedemdziesiątce.

- Po siedemdziesiątce? Nie ma wielu zbirów po siedemdziesiątce. Chyba że... Chyba że jest szefem całej tej operacji! Wynajął tamtych, żeby nas śledzili, a ponieważ spieszyli sprawę, sam postanowił się tym zająć.

- Psiakrew - rzuciła Sarah, nagle bardziej zdenerwowana. - Widzisz tę uliczkę przed nami na lewo? Dziesięć kroków? Osiem?

- Tak.

- Skręćmy w nią. Teraz...

Sarah zmieniła nagle kierunek marszu, a Harold podążył za nią. I natychmiast poczuł jej rękę, która przycisnęła go do ściany. Cegły, których dotknął plecami, były twarde i zimne. Jej ręka na jego piersi zaś - twarda i ciepła.

- Nie ruszaj się - rozkazała.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła nóż sprężynowy. Zwolniła ostrze. Było tu ciemniej niż na głównej ulicy, gdyż wysokie domy po obu stronach chodnika zasłaniały słońce. Stalowe ostrze w skąpym świetle miało mętny niebieski kolor.

Sarah przycisnęła plecy do ściany, ale stała bliżej wejścia w uliczkę. W zimnym powietrzu Harold widział jej oddech, równy i miarowy. Wtedy zdał sobie sprawę, że sam przestał oddychać. Za bardzo się bał, żeby odetchnąć.

Usłyszał głośne kroki, jakby półbuty mężczyzny były podkute.

Atak nastąpił natychmiast. Mężczyzna skręcił w uliczkę i Sarah od razu skoczyła na niego. Jej ruchy sprawiały wrażenie na poły profesjonalnych, na poły zwierzęcych. Zanim obłoczek gorącego oddechu Harolda rozpułynał się w chłodzie, powaliła starca na ziemię i przycisnęła nóż do jego szyi.

Mężczyzna chwycił się kolana Sarah, a ona musiała go nim kopnąć, bo zaskowyczał w bólu.

Harold spozrzał na twarz nieznajomego, jego wielkie okulary, szarą, plamistą skórę, grube, ciemne brwi, wyraźnie za duży nos, jakiś miękki czy gąbczasty. Jak gdyby sztuczny, przekrzywiony przez upadek... O, Jezu.

- Przestańcie! Aa! To ja! - zaskowyczał ponownie mężczyzna.

- Daj mu wstać - powiedział Harold.

Sarah nie poruszyła się, a ostrze nadal drapało jego szyję.

- Haroldzie, proszę cię, nie pozwól, żeby mnie zabiła!

- Sarah - powiedział Harold, zaczerpnąwszy haust tlenu do płuc i położywszy dłoń na jej ramieniu. - W porządku, puść go.

Po raz pierwszy oderwała wzrok od mężczyzny i spojrzała na Harolda.

- W porządku - powtórzył. - To Ron.

Zaczerwienił się z zażenowania.

- Jeden z Chłopców z Baker Street. Ron Rosenbaum.

ROZDZIAŁ 25

OBSERWACJA

Niebezpieczeństwo jest nieodłączną częścią mego powołania.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
PIES BASKERVILLE'ÓW

12 listopada 1900

Zaciągnął się dymem z tytoniu Morrisa, a potem zakasłał i obłok szarego dymu uciekł w górę, w kierunku latarni, o którą się oparł. Nie był regularnym palaczem, ale był to najprostszy sposób spędzania czasu w trakcie obserwacji. Spojrzał na drugą stronę ulicy. W oknie na drugim piętrze skromnego trzypiętrowego domu paliło się światło. Natychmiast się cofnął z kręgu latarni i opuścił głowę, bo właśnie na chwilę pojawiła się w nim ciemna postać, niczym w chińskim teatrze cieni. Była to Emily. Arthur ponownie zaciągnął się papierosem, tym razem nie tak głęboko. Obserwacja była najnudniejszą rzeczą na świecie.

Chociaż pościg poprzedniego wieczoru też nie należał do ekscytujących przeżyć. Emily szybko wsiadła na Palmer Street do przejeżdżającej dwukółki, a Arthur i Bram rozejrzeli się za wolną

dorożką. Znaleźli ją dosyć szybko i gdy pokazali woźnicy garść monet, dając mu do zrozumienia, że to będzie jego zapłata, jeżeli nie straci dwukółki z oczu, ten odpowiedział tylko zwyczajnie: „Jak pani sobie życzy” - i natychmiast potrząsnął lejcami. Jeżeli zdziwił go rozdźwięk między strojem Arthura a jego głosem, nie dał tego po sobie poznać.

Przejechali za dwukółką z Westminsteru aż do Clerkenwell i pojawili się przed tym trzypiętrowym domem przy Aylesbury Street w chwili, kiedy Emily przekręcała klucz w zamku. Arthur kazał dorożkarzowi zatrzymać się nieco wcześniej, a kiedy dziewczyna zamknęła za sobą drzwi, stanąć pod jej domem. Poczekali, aż zapali się światło, i po chwili już wiedzieli, że Emily mieszka na trzecim piętrze.

Zwolnili dorożkę i wtedy pojawiła się między nimi poważna różnica zdań co do kolejnego kroku. Arthur chciał zażądać, żeby go wpuszczono, i poznać rolę dziewczyny w całej tej sprawie. Bram zaś zauważył, że w ogóle niewiele o niej wiedzą. Być może była potajemną współniczką co najmniej dwóch zamordowanych sufrażystek i mogła mieć coś wspólnego z bombą pocztową przesłaną Arthurowi. Nadal jednak nie mieli pojęcia, co oznaczają tatuaże i - co najważniejsze - kogo ścigają. Jeżeli Emily znała mężczyznę albo nawet z nim spiskowała, mógł się zjawić w jej domu w każdej chwili. Lepiej by więc było mieć trochę więcej informacji, zanim się z nią spotkają.

Arthura nie przekonały całkowicie argumenty Brama, chociaż nie były pozbawione sensu.

- No dobrze - zgodził się w końcu. - Najpierw zorganizujemy obserwację Emily i jej domu. Będziemy też musieli pozbyć się tych absurdalnych ubrań, więc niech jeden z nas jedzie do domu po spodnie i koszulę, a drugi nie spuszcza z oka tych okien. Jeżeli

Emily wyjdzie, wznowimy pościg. Jeżeli zostanie, my też zostaniemy. Zgoda?

Tak też zrobili. Arthur pierwszy wrócił do domu po ubranie. O tej porze nie było już pociągów, więc wynajął kolejną dorożkę na najdroższą podróż w swoim życiu. Na miejscu powitała go cisza uśpionego domu. Dźwięk własnego klucza we własnym zamku i odgłos buta na podłodze w holu wejściowym sprawiły, że nagle poczuł się obcy. Jak złodziej. Żaden z domowników nie wiedział nic o sprawie, która tak go pochłaniała przez ostatnie tygodnie. Ani jego żona Touie, ani ukochana Jean nie były w jego umyśle tak żywe jak martwe dziewczyny i ich morderca.

Nikt się nie poruszył, kiedy wchodził po schodach do swoich pokoi. Na szczęście z Touie sypiali oddzielnie, więc nie musiał zakłócać jej snu, kiedy szamotał się z gorsetem.

Wrócił do Clerkenwell trzy godziny później tą samą dorożką, którą potem z kolei wziął Bram, czyniąc ten wieczór niezwykle opłacalnym dla woźnicy. Arthur i Bram wymieniali się przez większą część następnego dnia. Spali na zmianę w pobliskim hotelu, chociaż żadnemu z nich nie udało się porządnie odpocząć.

A teraz, za kwadrans osiemnasta dobę po wykładzie na posterunku stał Arthur, mając za towarzystwo jedynie srebrną papierośnicę Morrisa. Noc była długa, ale dzień jeszcze dłuższy. Kilkanaście godzin spędzonych w pół śnie i pół jawie na obserwacji jednego okna sprawiło, że stracił poczucie rzeczywistości. Piesi nadchodzili i odchodzili, Arthur zaś tkwił w jednym miejscu, zmuszając się do czujności mimo ogłupiającej beczynności. Słyszał kiedyś, jak żołnierze w Transwalu opisywali stanie na warcie jako czynność prowadzącą do całkowitego zatracenia poczucia czasu. Sekunda trwała tyle, co godzina, a godzina tyle, co sekunda,

aż w końcu nie wiadomo było, czy jest południe, czy noc. Doświadczenie Arthura było wręcz odwrotne. Wiedział dokładnie, która jest godzina, i liczył minuty na kieszonkowym zegarku do następnego pojawienia się Brama.

Punktualnie o szóstej zobaczył przyjaciela wynurzającego się zza rogu na Aylesbury Street. Wyglądał na znacznie bardziej wypoczętego niż Arthur, chociaż równie niezadowolonego z tej misji. Wymienili kilka żartobliwych uwag, choć żaden nie był w wesołym nastroju.

Raptem światło w oknie Emily zgasło i obaj z uwagą zaczęli obserwować ciemne mieszkanie. Po kilku długich chwilach Emily pojawiła się w drzwiach wejściowych. Niosła ciężką torbę, do której schowała klucze od domu. Zszedłszy po stopniach na chodnik, omal nie wpadła na starą kobietę. Wyrzuciła z siebie szybkie przeprosiny i poszła dalej, podczas gdy stara kobieta przytrzymała się poręczy, by odzyskać równowagę, zanim weszła po schodach do budynku, który właśnie opuściła Emily.

- Myślisz o tym samym, co ja? - zapytał Arthur.

- Jestem pewien, że nie - odpowiedział Bram ostrożnie.

- W takim razie za chwilę zdradzę ci swój plan - oznajmił Arthur - ale teraz chodź za mną!

Emily zbliżała się już do rogu budynku i za kilka sekund miała zniknąć z pola widzenia. Ale Arthur nie myślał o niej. Ruszył w stronę jej domu i wskoczył na jego stopnie, podczas gdy stara kobieta ciągle szarpała się z kluczami.

- Przepraszam bardzo - zwrócił się do niej. - Pozwoli pani, że pomogę?

Staruszka sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Podniosła wzrok na twarz Arthura, który bez wąsów, świeżo ogolony wyglądał jak nastolatek chcący udowodnić, że jest już mężczyzną.

- Ja - plątała się kobieta. - Oczywiście...

Arthur wyjął jej klucze z dłoni, znalazł właściwy i otworzył drzwi, po czym przytrzymał je, ułatwiając staruszce wejście do środka.

- Pani będzie uprzejma - zaprosił ją, wręczając klucze.

Nie wiedziała, jak sprostać sytuacji, ale lata treningu towarzyskiego zrobiły swoje.

- Dziękuję panu - powiedziała i weszła do budynku.

Pokonała niewielki westybul i już przygotowanym kluczem otworzyła drzwi do swojego mieszkania. Uśmiechnięty Arthur pozostał przy wejściu, jakby był źle wyszkolonym kamerdynerem, ale kiedy tylko znikła u siebie, spoważniał i zawołał do Brama:

- Na co czekasz?! Chodźmy!

Przyjaciół podążył za nim krętą klatką schodową na podest trzeciego piętra. Po chwili znaleźli się przed masywnymi drzwiami z mosiężną literą C. Arthur nacisnął klamkę, mając nadzieję, że są otwarte. Były jednak zamknięte.

- No tak - skwitował to Bram. - Świetna robota. I co teraz?

Zamiast odpowiedzi Arthur podniósł prawą nogę, odchylił się i z całej siły kopnął w nie. Rozległo się głośne skrzyknięcie i futryna się zatrzęsała, ale same drzwi ani drgnęły. Arthur kopnął ponownie, tuż obok klamki, i znowu klatkę schodową wypełnił huk, lecz drzwi po raz drugi nie ustąpiły.

Usłyszeli, jak staruszka z parteru wychodzi do holu, zaniepokojona hałasami dobiegającymi z góry.

- Co tam się dzieje?! - zawołała.

Bram i Arthur wymienili spojrzenia.

- Prawie gotowe! - krzyknął w odpowiedzi Arthur.

- Za minutę skończymy!

Nie była to odpowiedź na pytanie kobiety, ale zyskali trochę czasu. Kiedy starszka zastanawiała się, co powiedzieć, Arthur zebrał się w sobie do kolejnego kopnięcia, które nie było skuteczniejsze od poprzednich.

- Jest pan pewien, że wszystko w porządku?! - usłyszeli.

- Tak, proszę pani! - wrzasnął Arthur, którego zaczynały już boleć kolana.

Bram podniósł dłoń.

- Zaczekaj - szepnął. - Jeśli rzeczywiście chcesz wejść do mieszkania Emily siłą, możemy równie dobrze zrobić to.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął rewolwer z rękojeścią wykładaną masą perłową. Odbezpieczył, wycelował w drzwi i pociągnął za spust.

Wydawało się, że cały dom odbił echo wystrzału. Ale dopiero kiedy zupełnie ustało mu dzwonięcie w uszach, Arthur zdał sobie sprawę z tego, co właściwie zrobił przyjaciel.

- Przepraszamy panią za ten hałas! - krzyknął Bram w dół klatki. - To już wszystko!

Arthur spojrział na drzwi. Klamka zwisała, a zamek sprawiał wrażenie odkształconego na dobre. Bram z łatwością pchnął je dłonią.

- To było o wiele głośniejsze, niż można się było spodziewać - wyznał Arthur. - Chyba nigdy wcześniej nie słyszałem wystrzału w zamkniętym pomieszczeniu.

- Jeśli planujesz przeszukać mieszkanie Emily - powiedział Bram - musisz się pospieszyć. Niebawem inni zainteresują się tym hałasem.

Wszedł do mieszkania, a Arthur podążył za nim.

Wewnątrz zastali bałagan, który miał niewiele wspólnego z ich włamaniem. Zastawa do herbaty stała obok kanapy, filizanki i

spodki zajmowały każdą płaską powierzchnię, a w nich pozostał ciemny płyn, który kiedyś zapewne był herbatą, a teraz wydzieliał delikatną woń zepsutego mleka.

W pokoju znajdowały się wewnętrzne drzwi, prowadzące do zagraconej sypialni. Arthur widział z salonu, że łóżko nie zostało posłane, a części damskiej garderoby poniewierały się na podłodze obok pościeli. Chociaż widziane z drugiej strony ulicy okna wydawały się duże, teraz, od środka sprawiały wrażenie raczej małych. Nie mogły wpuszczać dużo światła, nawet w dzień, a na zewnątrz było już ciemno. Arthur podszedł do okna i spojrzał w dół na samotną latarnię, pod którą wcześniej stał. Ledwie ją widział, taka była mgła.

Naprzeciwko drzwi do sypialni stało biurko, a na nim współistniały rozmaite przedmioty: menzurki i próbki, torby kolorowych proszków i szerokie fiolki, kłębki sznurka i stos taniego szarego papieru do pakowania. Przy tym stole prowadzono zapewne pracę naukową. Na środku blatu stało otwarte białe pudełko. Arthur zajrzał do niego i znalazł się twarzą w twarz z laską dynamitu.

Wyglądała identycznie jak ta w jego paczce. Na szczęście tym razem nie była jeszcze do niczego przyczepiona. Arthur odwrócił paczkę. Pod spodem naklejono już etykietkę: „Dr Arthur Conan Doyle, Undershaw. Hindhead”.

Bram skinął tylko głową, zobaczywszy bombę i nazwisko przyjaciela na etykiecie.

- Mój Boże - powiedział Arthur. - To Emily. To ona próbowała mnie zabić.

Ale zanim Bram zdążył odpowiedzieć, usłyszeli za sobą czyjeś kroki.

Odwrócili się i w drzwiach do mieszkania zobaczyli Emily w kolorowym płaszczu. W zgięciu jednej ręki trzymała stos listów. W drugiej - rewolwer wycelowany prosto w Arthura.

Co dziwne, w tej chwili myśli Arthura nie popłynęły ku rodzinie czy ukochanym kobietom, ale ku Bramowi. Nie powinien był angażować go w to wszystko. Bram zasługuje na więcej, pomyślał, patrząc w stalową twarz pistoletu i obserwując, jak Emily go odbezpiecza.

ROZDZIAŁ 26

RON ROSENBAUM TEORETYZUJE

- *Skąd pan to wie?*
- *Śledziłem pana [odparł Holmes].*
- *Nikogo nie widziałem.*
- *Bo tego właśnie oczekuję, gdy kogoś śledzę.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
CZARCIA STOPA

10 stycznia 2010

Ron Rosenbaum wstał z wielkim trudem. Dalej trzymał się za kolano, rozcierając miejsce, w które kopnęła go Sarah. Kiedy starał się uspokoić oddech, dziewczyna odsunęła się od niego, dając mu więcej przestrzeni. Nadal jednak trzymała w pogotowiu nóż.

- *Dlaczego nas śledzisz? - zapytał Harold.*
- *I co, do licha, ma pan na sobie? - dodała Sarah.*

Jak gdyby nagle przypomniał sobie o własnym przebraniu, Roh ściągnął sztuczny nos, parę gęstych brwi i bardzo przekonującą siwą perukę. Kawałki twardej sztucznej skóry same oderwały się od jego policzków i czoła, sprawiając wrażenie, że jego

warz się rozpuszcza.

- Może to ja powinienem was przesłuchiwać?! - powiedział. - Coście zrobili z dziennikiem?

- Jezu, Ron, nie mamy go. Przestań - zirytował się Harold, po czym zwrócił się do Sarah: - Kostium, starzec... To numer Sherlocka Holmesa. Co nie wyjaśnia, co ty tutaj robisz - znowu rzekł do Rona.

- Miałem nadzieję na dłuższe dochodzenie, Haroldzie, ale nie dajesz mi wyboru. Myślę, że to ty zabiłeś Aleksa Cale'a i ukradłeś dziennik. I masz konszachty z Sebastianem Conan Doyle'em. Zapewne zaplanowaliście to razem.

Sarah uśmiechnęła się, a Harold potarł skronie bardziej zirytowany niż zagniewany.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo chciałeś być numerem jeden. Haroldzie, nie udawaj, że nie jesteś ambitny. Jesteś Chłopcem z Baker Street od... tygodnia? A już zamieściłeś artykuł w „Baker Street Journal”, zaprzyjaźniłeś się ze wszystkimi luminarzami grupy, ze mną włącznie, i poznałeś Aleksa Cale'a. Jeffrey Engels popierał przyjęcie cię do stowarzyszenia, o czym musisz wiedzieć. Ale czy pomyślałeś, że pomoże ci również zatuszować morderstwo? Nie bądź głupi, Haroldzie.

Harold nie wiedział nawet, od czego zacząć odpowiedź. Ron zachowywał się żenująco. Poza tym nie nadawał się na detektywa. To nie był dobry moment na amatorów.

- Nikogo nie zabiłem - stwierdził w końcu ze znużeniem. - Skoro to ja jestem mordercą, dlaczego odkryłem ciało? Dlaczego jestem tutaj, uganiając się za mordercą, zamiast siedzieć w domu i cieszyć się wartym dziesięć milionów dolarów dziennikiem, który właśnie ukradłem?

- Żeby odwrócić od siebie podejrzenia, oczywiście! - odpowiedział Ron ze smutnym uznaniem dla Harolda jako zręcznego przeciwnika. - Nikt nie podejrzewa, że sam detektyw jest mordercą. To wspaniały pomysł, ale pierwsza użyła go Agatha Christie, nie Conan Doyle. „Zabójstwo Rogera Ackroyda”. Pamiętaj, że czytałem te same opowiadania co ty, Haroldzie. Wiem, co zamierzasz.

- Jeżeli tak - odparł Harold - to skoro to ty śledzisz mnie i skoro to ty bawisz się w detektywa, może to ty go zabiłeś...

Ron zamarł bez ruchu, zastanawiając się nad tym. Harold zaś skinął głową w kierunku Sarah i z uprzejmym uśmiechem zostawili Rona samego w uliczce.

ROZDZIAŁ 27

DZIWNĄ OPOWIEŚĆ EMILY DAVISON

- *To dlaczego się pan tym interesuje? [zapytał Henry Wood]*
- *Każdemu powinno zależeć na tym, by sprawiedliwości stało się zadość [odparł Holmes].*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
GARBUS

12 listopada 1900

Arthur zamarł w bezruchu, a jego wzrok przeskakiwał z pistoletu w dłoni Emily na stalowy wyraz jej twarzy. Jej skóra była gładka i napięta z wściekłości.

Sekundy mijały i Arthur zdał sobie sprawę, że nie oddycha, chociaż kiedy spróbował nabrać powietrza w płuca, jego ciało nie zareagowało. Nie czuł też obecności przyjaciela za sobą, chociaż Bram nie mógł być dalej niż metr od niego.

- Cholerni rzeźnicy! - wyszeptała Emily. - Zabiliście Sally. I zabiliście moją Annę. A teraz zamknijcie swoje podłe oczy i zobaczcie ich twarze, kiedy sami będziecie umierać. - Trzęsła się z gniewu i jej prawy palec wskazujący drżał na spuście.

- Jest pani w błędzie - powiedział Arthur ledwo słyszalnym

szeptem. - Nikogo nie zabiliśmy. - Podniósł ręce nad głowę w uniwersalnym geście poddania.

Wydawało mu się, że słyszy za sobą słabe poruszenie płaszcza Brama - czy przyjaciel próbował wydostać swój rewolwer z kieszeni?

- Przyłapałam was tutaj, winnych jak grzech, a wy tylko kłamięcie! - Emily podniosła głos. - Nie spodziewałam się, że będzie was dwóch. Ale jak z wami skończę, zostaną mi jeszcze cztery kule. Wy dwaj za dwie moje? To sprawiedliwe rozliczenie.

Arthur nie miał pojęcia, o czym dziewczyna mówi, ale po wyrazie jej oczu stwierdził, że go zabije bez względu na to, czy ją rozumie, czy nie. Usłyszał kolejny szelest za sobą. Bram sprowadzi śmierć na nich obu.

- Elementarne! - wykrzyknął Arthur z całą energią, na jaką potrafił się zdobyć.

Emily zmarszczyła brwi, zacisnęła usta, a potem je rozluźniła zdezorientowana.

- Elementarne? - zapytała.

- Jestem Arthur Conan Doyle - powiedział. - A pani próbowała mnie zabić.

Emily wydawała się wstrząśnięta tą informacją. Wpatrywała mu się prosto w oczy, jak gdyby starała się wyczytać z jego twarzy prawdę. Czy to rzeczywiście Arthur Conan Doyle?

- Zgoliłem wąsy - wyjaśnił. - Wczoraj.

Jej wściekłość zdawała się ustępować.

- Pan jest Arthurem Conan Doyle'em? - zapytała, a po chwili aż skrzyła się z konsternacji.

- Tak.

- A pan? - spojrzała ponad ramieniem Arthura.

- Nazywam się Bram Stoker.

Ale twarz Emily wskazywała na to, że niewiele to wyjaśniło.

- Jestem przyjacielem Arthura.

- A pani? Kim pani jest? - zwrócił się do niej Arthur, jakby mówił do dziecka.

- Emily... Emily Davison - odpowiedziała.

- Panno Davison, wysłała pani pocztą bombę, żeby mnie zabić - powiedział Arthur. - Dołączony był do niej wycinek z gazety. Napisała pani na nim „ELEMENTARNE”. Nie mam pojęcia, dlaczego badałem tę sprawę. Ale niektórych tropów policja nie zauważyła, więc poszedłem nimi... I zaprowadziły mnie aż tutaj, do pani domu. Doprowadziły mnie do pani.

Arthur zobaczył, że Emily Davison westchnęła tak głęboko, że jej pierś wyraźnie wysunęła się do przodu. Nagle stwierdził też, że sam się porządnie spocił.

Dziewczyna opuściła rewolwer i jej zachowanie diametralnie się zmieniło. Opadła na jeden z foteli obok kanapy i odrzuciła głowę w tył. Wyglądała, jakby właśnie pozbyła się wielkiego ciężaru.

- Nie wierzę, że się udało - powiedziała cicho. - Miałam nadzieję... Mój Boże, miałam taką nadzieję, że się uda. Nie mogę uwierzyć... Jak mnie pan znalazł?

- Pani tatuaż - odpowiedział Arthur ostrożnie, bo nie był pewien, co myśleć o nagłej zmianie jej zachowania. - Znaleźliśmy człowieka, który go zrobił. Pani przyjaciółki miały identyczny, prawda?

- Och, rzeczywiście jest pan dobry. Miałam nadzieję, że tak będzie. Modliłam się, żeby tak było. Ale nie tu miał pan przyjść. Nie mnie miał pan znaleźć.

- A kogo? - zapytał Bram.

- Człowieka, który zabił Sally i Annę. Nie chciałam panu zrobić krzywdy, musi mi pan uwierzyć. Chciałam pana wynająć.

Dziewczyna zapadła się w fotelu. Rzuciła rewolwer na długi stół do kawy, jak gdyby to był komplet kluczy. Teraz nie wydawała się groźna.

Arthur skorzystał z okazji, żeby odwrócić głowę. Gdy zobaczył, że Bram sięga do kieszeni, pokręcił nią. Przyjaciel uniósł brew, jak gdyby chciał zapytać: „Jesteś pewien?”. Arthur przytaknął. Był pewien. Bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło. Teraz potrzebna była rozmowa, i to długa.

- Może najlepiej niech pani wszystko wyjaśni - zaproponował.

Emily rozważała to przez długą chwilę. Wyglądała, jakby konieczność tłumaczenia się Arthurowi nigdy nie przeszła jej przez myśl. Zaciśnęła usta, a jej twarz przybrała wyraz powagi i wyczerpania.

- Tak - przyznała. - Chyba powinnam. Mamy dużo do omówienia. Czy mogę panom zaproponować herbatę? Przynajmniej tyle mogę zrobić. Nie jestem pewna, czy mam jeszcze mleko, ale w szafie jest świeży miód.

- Dziękuję, nie - powiedział Arthur, siadając obok niej na kanapie. - Wysłała pani pocztą bombę, żeby mnie zabić?

- A ja napiłbym się herbaty, jeśli ma ją pani pod ręką - wtrącił się Bram, siadając w fotelu naprzeciwko Arthura.

Emily wstała i poszła do kuchni, by nastawić wodę.

- Tak, wysłałam - odpowiedziała, wróciwszy do salonu. - I przepraszam za to tysiącrotnie. Nie miałam jednak zamiaru pana zamordować, musi mi pan uwierzyć. - Westchnęła. - Miała wydać lekki trzask i dymić. Tylko że to była moja pierwsza konstrukcja i chyba użyłam za dużo dynamitu. Nigdy bym nie chciała pana skrzywdzić. Rozumie pan? Nie pana. - Do jej głosu wkradło się zmęczenie, w pełni zastępując gniew, którym jeszcze niecałe dwie minuty temu zdawała się całkowicie owładnięta.

- Moglibyśmy zacząć od początku? - zaproponował Arthur.

- Od początku? - zapytała. - Ale tak trudno powiedzieć, gdzie jest ten początek. - Uśmiechnęła się smutno.

- Może zacznijmy od sufrażystek? - zaproponował Arthur uspokajająco. - Pani, Sally i Anna. Wszystkie byłyście sufrażystkami?

- Nie wstydzę się powiedzieć, że byłam bardziej zaangażowana niż one. Ale to chyba oczywiste, prawda? - Umilkła i wyprostowała się. - Och, ale to wszystko wychodzi nie tak! Należy się panu wyjaśnienie, doktorze Doyle, a wkrótce pewnie również moje podziękowania. Było nas cztery: Sally, Anna, Janet i oczywiście ja. Poznałyśmy się w Caxton Hall, gdzie przez lata przychodziłyśmy na zebrania. Nie miałam jeszcze siedemnastu lat, kiedy wstąpiłam do sufrażystek, jeżeli może pan w to uwierzyć. One były starsze. Widywałyśmy się więc od czasu do czasu na zebraniach, a potem, pewnego wieczoru jakieś dwa lata temu... trach! - Emily klasnęła w dłonie, co przstraszyło Arthura. - Zostałyśmy dobrymi przyjaciółkami. To zabawne, że czasem zna się kogoś od lat, a potem nagle coś się między ludźmi dzieje i stają się nierozłączni. Tak było z nami. A szczególnie między mną i Janet. Była zdecydowanie najpiękniejszą dziewczyną, jaką widziałam w życiu. Po prostu świetnie się rozumiałyśmy. Od pierwszej rozmowy nie było między nami ani chwili niepewności czy jakichś wątpliwości. Czasem ludzie wprawiają mnie w zakłopotanie. Trudno mi zrozumieć, co mówią. Ale Janet nigdy. Czy ma pan takiego przyjaciela, z którym może pan dzielić absolutnie wszystko i nic między wami nie stanowi tabu?

Arthur pomyślał o Bramie. Ale ich przyjaźń - mimo całego zaufania i dobrej woli - nie była aż tak głęboka, jak opisywała Emily. Nic więc nie odpowiedział, a Emily kontynuowała swój monolog:

- I przynajmniej mam jeszcze Janet. Ten człowiek... Ta wstrętna kreatura jeszcze do niej nie dotarła.

Czajnik zagwizdał i Emily wstała, żeby zrobić herbatę. Wróciła po kilku chwilach z trzema filiżankami i parującym imbrykiem, które postawiła przed gośćmi.

- We cztery stworzyliśmy własną grupę. Pani Fawcett jest głupia i w dodatku praktycznie jest toryską. Tacy ludzie jak ona nie wywalczą nam prawa głosu. Jest słaba i lękliwa i ma dług wdzięczności wobec społeczeństwa z powodu swoich pieniędzy i męża. Nie ma lepszego zdania o Angielkach niż najnudniejszy stary antysufrażysta. - Znowu uśmiechnęła się gorzko. - Jak pan! Dla Fawcett i dla jej bezużytecznego związku nasza walka to tylko jedna ze spraw politycznych. Wyobrażają sobie panowie taką krótkowzroczność? Więc stworzyliśmy konkurencyjną organizację. Ale nie byliśmy w tym względzie pierwsze. Zdziwili by się panowie, ile grup istnieje na obrzeżach ulubienic Millicent. Na przykład dziewczyny z Manchesteru, o których zapewne niedługo panowie usłyszą.

Arthur nie miał pojęcia, kim one są, ale nie chciał przerywać biegu jej myśli. Emily naląła trzy filiżanki herbaty, chociaż Arthur o nią nie prosił. Odruchowo jednak grzecznie popijał dopóty, dopóki nie uświadomił sobie, że to właśnie ta kobieta omal go nie zamordowała. Poczul się głupio i odstawił herbatę na stół.

- Nazwałyśmy się Morrigan, jak irlandzka bogini wojny i przepowiedni. Mogła również przyjmować różne postaci - czasem była węgorzem, czasem wilkiem, ale naszą ulubienicą była trzygłowa wrona. Przyjęłyśmy ją za swoje godło i dałyśmy ją sobie wytatuować jako dowód oddania sprawie. Miałyśmy plany, które wstrząsnęłyby królestwem. Chciałyśmy rozpocząć kampanię ulotek jesienią. Wynajęłyśmy nawet drukarza i wypróbowałyśmy nasze godło. Trwało to wieki. Drukarz był bardzo uczynny,

nawet nam nie policzył za wiele godzin pracy. Ale ulotki nie uratują kraju, wiedziałyśmy o tym. Byłyśmy przygotowane na więcej, gdyby było trzeba. Po nich miały przyjść bomby. A gdyby bomby nie zdołały zwrócić uwagi publiczności na sprawę kobiet w Anglii, byłyśmy gotowe do budowania większych ładunków. Chciałabym zobaczyć, jak zwolenniczki Fawcett robią coś takiego!

- Rzuciłaby pani bomby na Londyn? - zapytał Arthur. - Zamieniłaby pani swój kraj w pole bitwy z powodu polityki ustawodawczej?

- W Londynie toczy się wojna bez względu na to, czy się do niej włączamy, czy nie! - powiedziała Emily z mocą i uderzyła dłonią w stół, rozlewając herbatę na spodki.

Bram podniósł swoją filiżankę i delikatnie upił łyk.

- Anglia się zmienia. I Morrigan nie jest powodem tej zmiany, lecz jej skutkiem. Czy był pan w Whitechapel, doktorze Doyle? Widział pan rozbój, jaki tam panuje? Sto tysięcy kobiet zniewolonych jako ładacznic. Był pan w Westminsterze? Kolejne sto tysięcy w niewoli jako posługaczki. Kobiety w Anglii w naszych czasach mają tylko trzy możliwości wyboru: tyranie rękoma, tyranie dupami albo korzystne zamążpójście i zaprzedenie własnych serc. Co by pan wybrał? - Wyraźnie się ożywiła, mówiąc to, a gniew znowu w niej narastał.

Arthur trzymał się poduszek kanapy, niepewny, dokąd to wszystko ich zaprowadzi.

- Czytałam pańskie przemówienia. Wszystkie je czytałyśmy. Czytałam pańskiego Sherlocka Holmesa. Pański Londyn umarł wraz z nim, spadł ze skały i utonął w sadzawce spienionej wody. Morrigan miała w tym dopomóc. - Dziewczyna zapatrzyła się przed siebie, jakby tam był jakiś wymagowany horyzont.

Arthur poczuł, że ma przed sobą wcielenie nikczemności. To był ten rodzaj furii, który niszczy cywilizację.

- Próbowwała mnie pani zamordować z powodu moich słów? - zapytał jak najspokojniej.

- Nie, nie, oczywiście, że nie - odpowiedziała. - Mówiłam panu. Nigdy nie było moim zamiarem zrobienie panu krzywdy. Potrzebna mi była pańska pomoc.

- Moja pomoc?

- Nie podłożyliśmy żadnej bomby. Nigdy nawet nie rozkolportowałyśmy ulotek. Zanim zdążyliśmy urzeczywistnić nasze plany, Sally została zamordowana. A potem Anna. Zobaczyłam ten artykuł w gazecie, którą panu posłałam, i wiedziałam, że to ona. Morgan Nemain. Ha! To był taki żarcik. Anna używała pseudonimu Morgan, zamiast Morrigan, a Nemain to imię jednego z duchów w micie o Morrigan. Anna była zabawna... Janet, moja kochana Janet, była tak wstrząśnięta, że się wycofała. Pojechała do Leeds i zamieszkała z wujem. Napisałam do niej o swoich planach. Że sama będę niosła Morrigan. Nigdy nawet nie odpisała.

Arthur spostrzegł coś nowego w jej młodzieńczej twarzy: wyraz wielkiego smutku. Policzki Emily poczerwieniały, a zielone oczy zwilgotniały.

- Nawet najdroższa Janet mnie opuściła! Ten zabójca zabrał mi wszystko, nie widzi pan? Wyrwał z mojej piersi ostatnią duszę, na której miłości mogłam polegać. Nie został mi nikt, do kogo mogłabym się zwrócić. Poza panem.

- Chyba nie bardzo rozumiem - powiedział Arthur.

- Nie ma takiego pańskiego opowiadania, którego bym nie czytała. Fabuły są tak świetne, że nie mam pojęcia, jak pan to robi. A ten Holmes! Nie cierpi kobiet, ale jest prawdziwym geniuszem. Wydaje się, że wszystko przychodzi mu z taką łatwością, zauważył pan? „Elementarne”, stwierdza. Rozwiąże każdą zagadkę, i to niemal bez wysiłku. Nigdy bym sama nie odkryła,

kto zabił Sally i Annę. Ale Holmes tak. Pan tak. Wierzyłam w pana, doktorze Doyle. Wierzyłam, że jest pan szlachetny i dobry i że dorównuje pan postaci, którą stworzył. No i miałam rację. Udało się. Mój Boże, udało się... „Garbus” to było moje ulubione opowiadanie. Chyba wszystkich, prawda? To tam Holmes mówi „elementarne” do swojego przyjaciela Watsona. Zacytowałam to w liście, żeby zwrócić pana uwagę - pobudzić pańską ciekawość. I widzę, że tak się stało.

- Chciała pani, żebym prowadził dochodzenie w sprawie zabójstw pani przyjaciółek? - zapytał Arthur z niedowierzaniem.

To było zbyt fantastyczne, żeby w to uwierzyć. Ta dziewczyna była albo szalona, albo bardzo bystra. I Arthur nie był pewien, którą z możliwości uważa za bardziej pocieszającą.

- A któż inny mógłby to zrobić? - zapytała rozsądnie. - Scotland Yardu moje przyjaciółki nic nie obchodziły. Uważali, że Sally to tania ladacznica, a kiedy rodzice Anny wreszcie zgłosili im, że ich córka zniknęła, spędzili kilka dni na wypytywaniu wokół, a potem dali spokój. Nigdy nawet nie znaleźli jej ciała. A co gorsza, gdybym powiedziała policji o naszej grupie, bardziej by jej zależało na aresztowaniu mnie niż mordercy moich przyjaciółek. Myślałam, żeby postać panu pieniądze i poprosić o pomoc, ale wszystkie moje szczupłe środki poszły na bomby. Zdałam sobie sprawę, że mam tylko jednego asa w rękawie. - Wskazała biurko i długą laskę dynamitu. - To prawda, że więcej much się łapie na miód niż na ocet. Ale ile można złapać na ćwierć funta dynamitu? - Uśmiechnęła się.

Arthur nie odpowiedział uśmiechem. Podniósł się i stanął nad nią niczym święty Piotr u wrót niebios.

- Panno Davison - zaczął - jest pani pospolitą przestępczynią. Jest pani nikczemna i bezwzględna i dopilnuję, żeby została pani

ukarana. Współczuję pani zamordowanym przyjaciółkom, ale pani nie. Pójdę do Scotland Yardu i poinformuję ich, że to pani wysłała bombę w paczce do mnie. Podzielałam pani rozpacz, jeśli chodzi o sposób traktowania młodych kobiet w Whitechapel. Może teraz będzie pani mogła jeszcze poinformować innych o warunkach życia pań w więzieniu Newgate, jak już się pani tam znajdzie.

- Ależ doktorze Doyle! - zawołała Emily, zrywając się z fotela.
- Wiem, że zachowałam się wobec pana niegodziwie. Rozumiem pański gniew. Ale byłam zdesperowana. Nie ma pan współczucia? Sally i Anna nie żyją! Zostały zamordowane! Nie odkryje pan, kto to zrobił?

- Nie - odparł Arthur, idąc w stronę drzwi. - Nie odkryję. Może się pani rano spodziewać policji. Do widzenia. - Otworzył szarpnięciem drzwi i wyszedł.

Bram wstał w końcu z kanapy, delikatnie odstawiając filiżankę na spodek.

- Do widzenia, panno Davison - powiedział. - Miło mi było panią poznać.

I podążył za przyjacielem, pozostawiając Emily Davison samą w salonie. Nie wyszła za nimi.

ROZDZIAŁ 28

ROZMYŚLANIE

*Holmes zamknął oczy, położył łokcie na oparciu fotela i zetknął opuszki palców, po czym zaczął mówić:
- Człowiek obdarzony idealną zdolnością dedukcji po pełnym zapoznaniu się z określonym faktem byłby w stanie nie tylko wywnioskować bieg wydarzeń, który do niego doprowadził, ale także przewidzieć jego przyszłe skutki.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY

10 stycznia 2010

Harold musiał się teraz głęboko zastanowić.

Tak to robił Sherlock Holmes. Siedział w głębokim fotelu, ubrany w szlafrok, i palił fajkę, zamknawszy oczy, żeby się nie rozpraszać. I metodycznie, krok po kroku analizował problem. W logiczny sposób rozkładał go na czynniki pierwsze i dociekał, co musiało się wydarzyć. Po kilku godzinach nagle wybuchał i miał odpowiedź.

Harold zdawał sobie sprawę, że to był największy dar Holmesa. Nie niesamowita zdolność obserwacji, nie encyklopedyczna

wiedza dotycząca śladów stóp i trucizn, nie umiejętność przebiegania się ani posługiwania wężącymi psami. Prawdziwą sztuką detektywa było skupienie. Zdolność przemyślenia tajemnicy. Rozum był jego bronią przeciwko temu, co niewiadome.

Jeżeli Harold miał zostać Holmesem - albo przynajmniej jego godnym epigonem - musiał zrobić to samo. Jedyne szkopuł polegał na tym, że okazało się to trudniejsze, niż się spodziewał.

Siedział w wyściełanym czerwonym fotelu, opierając łokcie na jego wygiętych poręczach, i cały czas czuł ucisk portfela schowanego w prawej tylnej kieszeni dżinsów. Powinien wstać i go wyjąć. Wtedy będzie mu wygodniej.

Znajdował się w pokoju hotelowym, w którym wraz z Sarah spędzili poprzednią noc. Sarah leżała na łóżku, jedząc grecką sałatkę i przerzucając strony biografii Conan Doyle'a Aleksa Cale'a. Harold słyszał, jak chrupie liście sałaty i tępe drapanie jej plastikowego widelca o plastikową miskę. Utrudniało mu to koncentrację.

Portfel w tylnej kieszeni zaczynał mu naprawdę doskwierać. Ugniatał miednicę tak, że nie mógł naprawdę wygodnie usiąść. Obiecał jednak sobie, że nie wstanie dopóty, dopóki nie znajdzie rozwiązania. Będzie się trzymał planu. Będzie siedział.

Sarah znowu przeżuwała. Boże, powinien był jej powiedzieć, żeby poszła się przejść albo znalazła sobie inne zajęcie, gdy zapytała, czy nie ma nic przeciwko, że zostanie w pokoju i coś przekąsi. Był bardzo uprzejmy i bardzo lubił, jak była obok. Ale trudno było przy niej logicznie myśleć.

Oto problem, z którym musi się zmierzyć. W październiku Alex Cale ogłosił, że odnalazł zaginiony dziennik Arthura Conan Doyle'a. Zadzwoił do siostry, żeby jej przekazać dobrą nowinę, i odmówił propozycji uczczenia wydarzenia. Następne miesiące spędził na czytaniu woluminu w celu włączenia zawartych w nim

informacji do biografii. Ale do 14 grudnia rękopis Conan Doyle'a nie został przepisany. Piątego stycznia Cale zjawił się w hotelu Algonquin w Nowym Jorku, żeby przedstawić dziennik kolegom. Powiedział, że jest śledzony, i sprawiał wrażenie przestraszonego. W środku nocy jego drzwi otworzyły się dla gości trzykrotnie. Nie było żadnej wskazówki co do tego, kim mogli oni być, i dotychczas nikt się nie przyznał, że był jednym z nich. Pomiędzy czwartą a ósmą rano Alex został uduszony własnym sznurowadłem.

Własnym sznurowadłem. To dość dziwne, prawda? W kanonie nie było żadnych przypadków uduszenia sznurowadłem...

Zabójca napisał słowo „elementarne” na ścianie, w najciemniejszym kącie zaciemnionego pokoju. Napisał je krwią Cale'a, którą zdobył, nakłuwając wewnątrz jego nosa. Pokój został splądrowany, a dziennik zniknął. Albo, pomyślał Harold... Co, jeśli dziennika nie zabrano z hotelu? Co, jeśli Alex zostawił go w swojej londyńskiej pracowni? To dlatego zabójca włamał się do niej! Szukał dziennika! Nie. Cholera. To się nie zgadza. Harold wiedział, kto splądrował gabinet w Londynie. Kozia Bródka i jego przyjaciel z pistoletem. Ale Kozia Bródka nie miał dziennika, bo gdyby go miał, nie żądałby go od Harolda. Więc nie było go w tamtym mieszkaniu. Musiał być w hotelu. Czy to znaczy, że poszukują go dwie grupy ludzi? Zabójca, który go zabrał z hotelu, i Kozia Bródka, który nie znalazł go w Londynie? Ale jeśli to prawda, to co Kozia Bródka wie o prawdziwym zabójcy? Czy tak jak Ron Rosenbaum myśli, że to Harold nim jest? Czy dlatego zażądał od niego dziennika? Jeżeli...

Sarah głośno schrupała liść sałaty. Harold słyszał każde zgrzytnięcie jej zębów, a potem bardziej przytłumiony dźwięk... Może to ogórek? Albo oblepiona fetą oliwka?

Zupełnie zgubił wątek. Jego koncentracja legła w gruzach i teraz znowu przeszkadzał mu portfel.

Czy Sherlock Holmes miał takie trudności ze skupieniem się? A Arthur Conan Doyle? Jakież musiał mieć ego, żeby uważać, że skoro pisze opowiadania o detektywie, potrafi rozwiązywać prawdziwe kryminalne zagadki.

Harold zacisnął powieki i skupił myśli. Sherlock Holmes powiedział: „Szukajmy konsekwencji w działaniu. Jej brak oznacza oszustwo”. Więc co jest tutaj brakiem konsekwencji? Co nie ma sensu?

Chrup, chrup, chrup.

Na miłość boską, pomyślał Harold. Jeżeli ona nie przestanie żuć tej sałaty, dojdzie do kolejnego morderstwa.

Przestała, jakby usłyszała jego myśli. Poszła do łazienki i zamknęła drzwi. Dobiegł go szum wody. Wiedział, że będzie miał tylko minutę, zanim Sarah wróci i życie zacznie się od nowa.

Chociaż portfel wbijał się teraz ostro w jego siedzenie, zignoruje go. Poświęci temu jedną, ostatnią minutę czystej energii umysłowej. Jest zaangażowany w swe zadanie i nic go od niego nie oderwie. No więc: co nie ma sensu?

Właśnie wtedy Harold doszedł do prawdy.

Gwałtownie otworzył oczy. I zaraz zmrużył je, starając się przystosować do światła dziennego. Wstał z fotela i pocuł trzeszczenie w kolanach. Najwyraźniej siedział tak przez wiele godzin.

- Sarah! - wrzasnął.

- Tak?! - zawołała, przekrzykując szum wody.

- Alex Cale nigdy nie odnalazł dziennika Arthura Conan Doyle'a!

Woda natychmiast przestała lecieć. Sekundę później Sarah wyłoniła się z łazienki z bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

- Słucham? - zapytała.
- Alex Cale nigdy nie odnalazł zaginionego dziennika Arthura Conan Doyle'a. Kłamał.
- Skąd wiesz?
- Jeden element w tej historii nie ma sensu. Jedna rzecz, która nie przynależy do reszty. Kiedy zrozumiałem, co to jest, cała historia się rozplątała.
- A ten element to...?
- Rękopis! Cale spędził dwadzieścia lat, pracując nad tym. To miało być ukoronowanie jego wysiłków. I wreszcie po latach znajduje to, czego szukał. Dziennik. Po upływie tylu lat może wreszcie dokończyć biografię... Ale tego nie robi. Przez trzy miesiące od znalezienia dziennika jest zbyt zajęty, żeby włączyć jego zawartość do swego arcydzieła? To nie ma najmniejszego sensu.
- Ale zaczekaj, mamy tylko kopię jednego pliku. Może ten rozdział był w innym. Może był w innym dokumencie. Nie mamy jak się tego dowiedzieć.
- To prawda - przyznał Harold. - Ale pomyśl. Co powiedziała siostra Aleksa o jego nastroju po odnalezieniu dziennika?
- Sarah popatrzyła w górę, usiłując sobie przypomnieć.
- Powiedziała, że nie chciał tego uczić. Nie chciał też powiedzieć, co jest w dzienniku. Znalezisko to tylko go unieszczęśliwiło.
- Czy to ma jakiś sens? A może to kłamstwo sprawiło, że czuł się nieszczęśliwy? Czy Cale choć raz zasugerował komukolwiek choćby słowo na temat zawartości dziennika? Albo zrobił najmniejszą aluzję na temat tego, gdzie go znalazł?
- Nie.
- Czy jest jakikolwiek twardy dowód, poza jego słowami, na to, że rzeczywiście odszukał dziennik?
- Nie.

- No to co jest bardziej prawdopodobne: że Alex Cale rozwiązał największą tajemnicę w historii studiów sherlockistowskich, ale nikomu nie powiedział jak, czy że skłamał w tym względzie?

Sarah skinęła głową, przyznając mu rację.

- No dobrze - powiedziała. - Jeśli jednak Alex Cale nie odnalazł dziennika, to kto go zabił?

Na to Harold musiał się uśmiechnąć. Wyjaśnianie rzeczywiście było najlepszą stroną pracy detektywa.

- Nikt - odparł. - Alex Cale zabił się sam.

Jeżeli Sarah była wcześniej zaskoczona, teraz osłupiała.

- Bzdura - stwierdziła.

- „Kiedy wyeliminuje się wszystko co niemożliwe, cokolwiek pozostanie, choćby nie wiem jak nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

- Oczywiście to powiedział Sherlock Holmes...

- Tak. I miał rację. Wiem, że to nieprawdopodobne, ale to jedyne sensowne wyjaśnienie.

- No dobrze - zgodziła się Sarah, opadając na łóżko. - Wyjaśnij wszystko.

Patrzyła na niego jak przejęty widz na podnoszącą się kurtynę przed przedstawieniem. Było to porywające doznanie.

- Pierwszą rzeczą, jaką trzeba wyjaśnić, jest przyczyna kłamstwa Cale'a. Jaki miał plan, do licha? Miał zamiar pojawić się na wykładzie z pustymi rękoma i powiedzieć, że jest mu przykro? Samobójstwo sugeruje, że nigdy nie miał takiego zamiaru. Jego planem od samego początku było kłamstwo, że znalazł dziennik, a następnie zabicie się w podejrzanych okolicznościach i upozorowanie kradzieży dokumentu. Spłądował własny pokój. Trzykrotnie otworzył i zamknął drzwi do niego, symulując przyjęcie potencjalnych zabójców. I pamiętaj, nikt nie przyznał się do odowiedzenia go w nocy. Oczywiście zabójca by się nie przyznał,

ale czy dwóch niewinnych sherlockistów naprawdę kłamałoby na ten temat policji?

- Uduślił się własnym sznurowadłem - zauważyła Sarah, machając nogami. - Czy to w ogóle możliwe?

- Społeczność lekarska jest w tej kwestii podzielona - wyjaśnił Harold.

- Skąd to wiesz, na miłość boską?

- Przeczytałem masę kryminałów. To nie jest pierwszy raz, kiedy pojawia się kwestia samouduszenia. Poza tym mógł się w tym celu posłużyć jakimś narzędziem. Pamiętasz scenę zbrodni? Na podłodze obok ciała leżało zabytkowe pióro. Taki sam model, jakiego używał Conan Doyle. Co, jeśli Cale użył go do zaciśnięcia sznurowadła wokół własnej szyi? Potem pióro wypadło, kiedy osunął się na ziemię.

- Ale czy to może nie być możliwe?

- Nie wydaje ci się, że zaliczasz się do tych, dla których szklanka jest do połowy pusta? To może być możliwe. Żadne z nas nie jest lekarzem. Ale nawet gdybyśmy byli, nie moglibyśmy wykluczyć takiej możliwości.

Sarah uśmiechnęła się. Dobrze się bawiła.

- Wiesz, podobna sytuacja zdarzyła się w opowiadaniu o Holmesie. Nie uduszenie sznurowadłem, ale w „Niezwykłych wydarzeniach na moście Thor” kobieta zabiła się w taki sposób, że wyglądało to na morderstwo. Chciała obciążyć kochankę męża.

- Czy słowo „elementarne” nie pojawia się w innym opowiadaniu? Ty mi to powiedziałeś.

- Tak. Kiedy Cale napisał je na ścianie, skierował nas w stronę „Studium w szkarłacie”. Ale czyja to była krew

- Aleksa! - powiedziała Sarah radośnie.

- A poza tym słowo to pochodzi z opowiadania „Garbus”. I mówiąc szczerze, nie mam pojęcia, co ma ono wspólnego ze

śmiercią Cale'a. To tylko kolejna historia, w której coś, co wygląda na morderstwo, w istocie nim nie jest. Wydaje się, że niejaki pułkownik Barclay zostaje zamordowany przez własną żonę, ale Holmes wydedukowuje, że w istocie umiera w wyniku szoku, a żona zachowuje milczenie, bo w tym czasie była z kochankiem. To w gruncie rzeczy słabsza wersja „Mostu Thor”. Nie wiem jeszcze, co Cale chciał przez to powiedzieć.

- Więc dlaczego to zrobił? - zapytała Sarah. - Dlaczego kłamał, że znalazł dziennik, a potem się zabił, pozorując jego kradzież?

Harold przystanął. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że do tej pory chodził tam i z powrotem po pokoju.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - To będzie następny etap naszego dochodzenia. - „Następny etap”, „nasze dochodzenie” - podobała mu się obietnica zawarta w tych słowach. - Ale przychodzi mi do głowy kilka możliwości. A jeśli chciał kogoś zrobić? Tak jak w „Moście Thor”.

- Kogo? - zapytała Sarah.

- Sebastiana Conan Doyle'a - odparł Harold. - Dziesięć do jednego, że wszyscy gliniarze myślą, że to on jest mordercą.

- Prawdę mówiąc, stawiam dziesięć do jednego, że wszyscy gliniarze myślą, że to ty nim jesteś. Ale rozumiem twój punkt widzenia.

- Cale nienawidził Sebastiana. Kłócili się przez lata z coraz większą zaciekłością. Ścigali się w poszukiwaniach dziennika. Może w ostatnim akcie Cale postanowił dokopać Sebastianowi raz na zawsze. Najpierw zmylił go, ogłaszając, że odnalazł wolumin. A potem zaaranżował wszystko tak, żeby Sebastian spędził lata w więzieniu. Albo stracił czas i energię na poszukiwania dziennika i takie działania jak wynajęcie mnie. Nawet jeśli policja go nie aresztuje, bo w istocie nikogo nie zabił, będzie już

naznaczony podejrzeniem na resztę życia. Cale umiera jako uwięziony bohater, a Sebastian żyje jako drań.

Sarah podniosła oczy do sufitu, zastanawiając się nad tym wszystkim. Było tego dużo, ale widząc jej uśmiech i wesołe machanie nogami na krawędzi łóżka, doszedł do wniosku, że nie znalazła w jego rozumowaniu żadnej luki.

- Produktywnie spędziłeś ten czas! - oznajmiła wreszcie.

- Wiem! - odrzekł Harold. Był z siebie naprawdę dumny.

- Mam jednak dwa zastrzeżenia - dodała. - Dlaczego teraz? Dlaczego po tylu latach Alex Cale porzucił poszukiwania dziennika i postanowił się zabić, obciążając Sebastiana?

- Zgadzam się - przyznał Harold. - Wiemy, co zrobił, ale przyczyny tego pozostają tajemnicą. Musimy to wyjaśnić.

- I zastrzeżenie numer dwa. Poważniejszej natury - westchnęła głęboko Sarah. - Jeżeli Alex Cale kłamał, a potem zabił się, to kto, do cholery, nas ściga?

Na to Harold nie miał odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 29

ARTHUR WRACA DO SCOTLAND YARDU

- I co to oznacza, Watsonie?... Jaki sens ma ten zamknięty krąg bólu, przemocy i lęku? To musi służyć jakiemuś celowi, bo w przeciwnym razie naszym wszechświatem rządzi przypadek, a to jest nie do pomyślenia.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
TEKTUROWE PUDEŁKO

13 listopada 1900

New Scotland Yard buczał przyjemnie o poranku niczym gigantyczny eksperyment naukowy. Strumień identycznie umundurowanych posterunkowych wlewał się i wylewał bramą frontową pięciokondygnacyjnego budynku, jak gdyby byli małutkimi pęcherzykami dwutlenku węgla w wielkim palniku Bunsena. Arthur pokonał ogrodzenie z kutego żelaza u samych stóp Big Bena, który wskazywał za kwadrans jedenastą.

Bez większych trudności trafił do gabinetu inspektora Millera. Drzwi były otwarte, więc wszedł, nie pukając. Inspektor podniósł

wzrok znad papierów i Arthur ponownie się zdziwił, jak młodo wygląda pod tą gęstą brodą.

- Doktor Doyle! - wykrzyknął Miller, odkładając kilka kartek na bok zawalonego papierami biurka. - Nie spodziewałem się dzisiaj pana.

- To dlatego, że nie miałem czasu uprzedzić o swoim zamiarze - powiedział Arthur wyzywająco.

Inspektor Miller zamilkł. Wyglądał jak człowiek, którego przyłapano na jakiejś psocie.

- No dobrze - powiedział. - Mimo wszystko miło pana widzieć. - Wskazał mu fotel przed biurkiem,

Arthur usiadł, przyjmując tę samą pozycję, jak przy poprzedniej wizycie. Czy minęły od niej tylko dwa tygodnie? Z jakąż szybkością życie człowieka może się nieodwracalnie zmienić.

- Jak idzie pańskie... eee... pańskie śledztwo? - zapytał inspektor, udając ciekawość.

- Odnalazłem przestępcę, który próbował mnie zamordować za pomocą bomby pocztowej - oznajmił Arthur.

Policjant spojrział na niego zaskoczony.

- Odnalazł pan?

- Tak. Odnalazłem.

- Przepraszam - dobiegł głos od strony drzwi. - Czy ma pan chwilę?

Arthur obrócił się w fotelu i zobaczył w drzwiach nastoletniego posterunkowego. Kask siedział niezgrabnie na jego głowie, a spod niego wystawały rozczochrane włosy. Młodzieniec nie zwrócił uwagi na Arthura.

- Prowadzę w tej chwili rozmowę - odparł inspektor Miller. - Odezwę się do pana, jak skończę.

- Tak, dobrze, w porządku. Doskonale. Tylko, widzi pan, przysłał mnie nadinspektor. Powiedział, żebyśmy zobaczyli, czy jest

pan zajęty, a jeżeli nie, żeby pana wysłać na świeżą sprawę. Właśnie nadeszła.

- Ponieważ jestem dość zajęty, zajmę się tym, kiedy skończę rozmowę. Dziękuję, panie posterunkowy. - Inspektor posłał Arthurowi spojrzenie oznaczające zmęczenie mało rozgarniętymi rekrutami.

Młody człowiek jednak nie odszedł od drzwi. Wyglądał tak, jakby musiał coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział jak.

- Mogę mówić dalej? - zapytał Arthur inspektora z ironią.

- Proszę - oznajmił policjant.

- Złapałem panu morderczynię. A przynajmniej niedoszłą. I teraz jestem gotów ujawnić jej tożsamość.

- Jej? - zapytał inspektor.

- Tak. To kobieta zbudowała tamtą bombę. Jest całkiem szalona, chociaż przy tym również dość inteligentna.

Inspektor Miller popatrzył na Arthura w osłupieniu.

- To jest doktor Arthur Conan Doyle - wyjaśnił posterunkowemu.

- Och! - ucieszył się tamten. - Rozumiem! - dodał i teraz sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zmieszanego tym, że przeszkadza im w spotkaniu.

- ...więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chcielibyśmy wrócić do rozmowy. Rozumie pan, doktor Doyle i ja mamy sporo do omówienia.

- Oczywiście! Tak, oczywiście, proszę pana! - rzekł młody posterunkowy, ale zaraz zwrócił się do Arthura: - Tak mi miło pana poznać. Jestem wielkim wielbicielem... No, wszyscy jesteśmy, prawda? Nie myślę, żebym trafił do policji, gdyby nie te opowiadania. Czytałem je jako chłopak, a teraz, proszę spojrzeć!

Arthur popatrzył na niego, ale uznał, że byłoby niegrzecznie podzielić się swoim zdaniem na temat tego, jak daleko chłopak zaszedł.

- Chodzi tylko o to - ciągnął chłopiec, zwracając się znowu do inspektora Millera - że odniosłem wrażenie, iż nadinspektor chce, żeby pan natychmiast tam pojechał.

- Posterunkowy! - zirytował się Miller. - Jestem w połowie rozmowy. Z doktorem Doyle'em. I jestem pewien, że w ciągu godziny znajdę czas, żeby...

- Zastępca komisarza wydziału kryminalnego jest już w drodze, proszę pana. - Po tym wybuchu posterunkowy wzdrygnął się, jak gdyby właśnie oddał pierwszy strzał z muszkietu i bał się zobaczyć, w co trafił.

Arthur z niedowierzaniem patrzył na system pracy Scotland Yardu. Czy ten konglomerat niekompetentnych ludzi nie miał być również dywizją wojskową? Chciałby zobaczyć lorda Kitchenera u steru tej menażerii.

- Do licha! - krzyknął inspektor. - Pan Henry już pojechał? Ty ośle, dlaczego od razu tak nie mówiłeś? Przez twoje bełkotanie zmarnowałem cenne minuty! - Zerwał się zza biurka, złapał płaszcz i czapkę z wieszaka stojącego w kącie.

- Och, na litość boską, inspektorze - powiedział Arthur. - Jestem pewien, że ma pan obowiązki, ale to nie przystoi!

- Najmocniej przepraszam, doktorze Doyle, strasznie mi przykro, że muszę wybiec w taki sposób, ale nie zna pan Edwarda Henry'ego. Jest nowy w Yardzie, właśnie wrócił z Indii. Komisarz z miejsca awansował go do wydziału kryminalnego na zastępcę. Coś jakby test, żeby zobaczyć, jak Henry'emu spodoba się Londyn. Ale ja powiem panu, jak on się spodoba Londynowi. Facet przez dziesięć lat ubierał czarnuchów w meloniki, a teraz mu się zdaje, że wie, jak obchodzić się z brytyjskim światem przestępczym. Dużo się musi nauczyć, cholernie dużo. Chce zreorganizować całą jednostkę, zmienić priorytety, zainstalować w biurze kupę gadżetów zamiast uczciwego śledztwa. Przepisy i

regulamin - tym się zajmuje. Strata czasu. Wie pan, jakie jest najlepsze narzędzie detektywa, doktorze Doyle? - Inspektor postukał się w błyszczące buty do kolan. - Stąpienie po ziemi, oto co rozwiązuje sprawę.

Arthur wstał i podążył za policjantami korytarzem.

- Pewna młoda dziewczyna ma w głowie tylko robienie bomb - oznajmił. - Stanowczo sugeruję, żeby pan ją bezzwłocznie aresztował.

Idąc, inspektor Miller wskazał posterunkowego.

- Oczywiście. Posterunkowy Billings może zatrzymać, kogo pan chce - odparł.

- W jej mieszkaniu znajdzie pan wszystkie potrzebne dowody. Niech pan tam idzie, a złapie ją pan na gorącym uczynku.

- Doskonale - odrzekł inspektor, z łomotem pokonując po dwa stopnie naraz i schodząc na główną klatkę budynku. - Chętnie zatrzymamy każdego, kogo pan wskaże. Wystarczy pańskie słowo. Kogo posterunkowy Billings ma aresztować?

Arthur nagle poczuł się silny. Wiedział, że Yard nigdy nie doceni jego pomysłów ani zdolności detektywistycznych, ale wiedział, jak na policję działa jego nazwisko. Aż się ugiął pod pierwszym podmuchem sławy.

- Nazywa się Emily Davison - powiedział. - Mieszka w Clerkenwell. - Podał młodemu posterunkowemu adres.

- Tak jest, proszę pana - odparł młodzieniec z pełnym satysfakcji szacunkiem.

- Zaraz - zatrzymał się inspektor Miller. - Dokąd ja mam jechać?

Posterunkowy podał mu złożoną kartkę, którą cały czas trzymał w ręku. Inspektor przeczytał ją, znowu idąc szybkim krokiem ku drzwiom. Nagle zamarł o kilka centymetrów od drzwi. Na jego twarzy pojawił się chytry uśmiech.

- Doktorze Doyle - powiedział powoli, nie odrywając oczu od kartki. - Czy zechciałby pan pojechać z nami na miejsce tej świeżej zbrodni? Myślę, że może nam być potrzebna pomoc, którą tylko pan może zaoferować.

Arthura nieco zmieszała ta prośba, ale skinął głową.

- Oczywiście - powiedział. - Czy mogę jednak spytać, dlaczego sądzi pan, że się wam przydam?

- Ponieważ - oznajmił inspektor - przydzielono mi sprawę zabójstwa niejkiej Emily Davison, zamieszkałej ostatnio w Clerkenwell.

Ze wszystkich myśli, jakie w tej chwili zalały głowę Arthura, najsilniejsza była świadomość jego położenia. Stał oto zneruchomiał w holu Scotland Yardu, a wokół niego krzątała się setka detektywów. On, pisarz w średnim wieku, który wpadł w zagadkę na tyle głęboką, żeby w niej utonąć.

ROZDZIAŁ 30

„PTAKI WIELKIEJ BRYTANII” KATULLUS I „ŚWIĘTA WOJNA”

*Od dawna jestem przekonany, że właśnie
rzeczy drobne mają największe znaczenie.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
SPRAWA TOŻSAMOŚCI

11 stycznia 2010

Gdybyś był Aleksem Cale'em i zabiłbyś się, a potem pozostawił łańcuch sherlockowskich śladów wyjaśniających powody, to dokąd te ślady by prowadziły? - to pytanie stało przed Haroldem.

Przedyskutował już z Sarah możliwości. Mogli wrócić do Nowego Jorku, żeby jeszcze raz obejrzyć pokój Cale'a - tyle że z pewnością do tej pory wszystkie ślady zostały już wysprzątane. Mogli też wrócić do Sebastiana, żeby się dowiedzieć, czy ten zna jakąś wskazówkę na temat jego motywacji - tyle że ich ostatnie spotkanie nie zakończyło się w przyjaznej atmosferze.

Tak więc, nie mając idealnego rozwiązania, Harold i Sarah postanowili jeszcze raz rzucić okiem na pracownię Aleksa. Tyle że ona też była teraz miejscem przestępstwa. Jennifer Peters wezwała przecież policję i nie myślała ciepło o kolejnym spotkaniu z nimi. Jak więc się tam dostaną?

Jak się okazało, było to o wiele prostsze, niż się spodziewali. Czekali zaledwie kwadrans na schodach przed drzwiami frontowymi, udając, że Sarah szuka w torebce kluczy, kiedy pojawił się jakiś nastolatek i wpuścił ich do środka. Sprawiał wrażenie zatopionego w myślach, gdy włókł się po schodach do swojego mieszkania, i Harold stwierdził, że ponurość, która okazała się podstawowym nastrojem młodzieży także po tej stronie Atlantyku, może być nawet przydatna.

Drzwi do mieszkania Cale'a były zamknięte, lecz uszkodzony, prawdopodobnie przez Kozią Bródkę, zamek jeszcze nie został wymieniony. Wejścia do środka broniła też żółta taśma policyjna, rozpięta w kształt litery X. Harold i Sarah przeszli pod nią, po czym bez problemu znaleźli się w mieszkaniu.

Pokoje wyglądały w dużej mierze tak, jak je zostawili dwa czy trzy dni temu. Chociaż może zaledwie wczoraj? Harold zupełnie stracił poczucie czasu. Dziwne, pomyślał, że te najbardziej znaczące dni w jego życiu zlewają się tak łatwo w papkę złożoną z adrenaliny i intryg.

Spojrzał na Sarah, która brodziła wśród książek i papierów, szukając Bóg wie czego, i uprzytomnił sobie, że w lawinie zdarzeń zapomniał o tym, żeby ją wypytać o rozwód. Nic nie wiedział o jej już wkrótce byłym mężu ani o kwestiach prawnych, które wymagały gorączkowych rozmów przez telefon. Chociaż oczywiście to nie natłok wydarzeń był tego przyczyną, lecz ukłucie zazdrości. Bał się dowiedzieć czegoś więcej o człowieku, którego

kiedyś musiała kochać. On sam nigdy się poważnie nie zastanawiał nad małżeństwem. Nie był mu z zasady przeciwny, tylko nigdy nie pojawiła się taka konieczność. Chociaż Sarah nie sprawiała wrażenia o wiele starszej, a już miała tę decyzję za sobą.

Próbował wyobrazić ją sobie, robiącą kawę w niedzielny poranek, rozwiązującą krzyżówkę w łóżku, owijającą białe prześcieradła wokół nóg i przypominającą Haroldowi, że „strug” jest pięcioliterowym słowem oznaczającym narzędzie do obróbki drewna, lecz niezbyt mu się to udawało. Zdecydowanie więcej życia miały w sobie sceny, w których atakowała opony czarnej limuzyny albo badała splądrowane miejsce przestępstwa w poszukiwaniu ukrytych wiadomości.

Nagle posmutniał. Jak tylko to się skończy, Sarah wyjedzie i znów zacznie żyć swoim życiem, z dala od niego. Ich spotkanie było przecież wynikiem splotu dosyć niezwykłych okoliczności. A on wróci do swojego dwupokojowego mieszkania w Los Feliz, niewielkiej sterty papierów z sądu cywilnego i większej starych książek, do dawnych przyjaciół, z którymi jadał raz w miesiącu kolację, i do corocznej gali w Nowym Jorku, podczas której mógł publicznie nosić szeryfa i nikt nie miał prawa się z niego śmiać. Te dni z Sarą były fantazją; prawdziwe życie gdzieś tam na niego czekało. To się nie skończy niespieszną kawą w niedzielny poranek. Po prostu się skończy.

Zaraz po studiach miał dziewczynę, Amandę. Rzeczą, którą pamiętał lepiej niż jedenaście upojnych dni, jakie spędzili w Buenos Aires, czy też pewną noc, podczas której kochali się cztery i pół razy i sekundy dzieliły go od użycia określenia „bratnia dusza”, była jej zdolność do życia całkowicie chwilą obecną. Przyjmowała radości i niepowodzenia zwyczajnie, tak jak ją spotykały, nie zastanawiając się bezustannie, co będzie, jak przeminą.

Harolda zaś paraliżowała myśl o końcu. Bardzo się starał doświadczać przyjemności na bieżąco i oddzielać je od wiedzy o przeszłości albo myśli o przyszłości i - ich końcu, ale rzadko mu się to udawało. W tej chwili na przykład starał się skupić na książkach u swoich stóp, tajemnicy i przygodzie, która go pochłonęła, a przede wszystkim na spokojnym oddechu Sarah, ledwie słyszalnym z drugiego końca pokoju, ale nie mógł przestać myśleć o zepsutym mleku, które na niego czekało w lodówce, ani o trzech czy czterech wiadomościach, jakie zapewne znajdzie na sekretarce. To również się skończy.

- Kiedy to się skończy? - zapytał na głos, choć prawdę mówiąc, słowa te same popłynęły z jego ust.

- Co masz na myśli? - zapytała Sarah, rzuciła książkę trzymaną w rękach na stos innych i założyła nogę na nogę.

Harold nie wiedział, jak odbyć tę rozmowę. Ale skoro sam ją zaczął...

- No... Kiedy skończy się to śledztwo. Czego my teraz w ogóle szukamy? To zabawne w pracy detektywistycznej. Dochodzenie zmienia się w samonapędzający się mechanizm. Jeśli znajdziesz jakąś wskazówkę, uznajesz ją za wyjaśnienie czegoś, a potem skupiasz się na kolejnej kwestii. I kolejnej. I może nawet robisz jakieś postępy, ale bardziej przypomina to uwięzienie w perpetuum mobile. Zawsze jest coś jeszcze do przeanalizowania. Zawsze można znaleźć więcej. Można nawet analizować własną analizę!

Sarah dziwnie na niego spojrzała.

- Rozumiem, że podchodzisz do tego wszystkiego filozoficznie - zaczęła ostrożnie. - Chociaż i tak nie jestem pewna, co masz na myśli.

- Co zamierzaliśmy zrobić? Chcieliśmy ustalić, kto zabił Aleksa Cale'a. I odzyskać dziennik. No więc wiemy, kto go zabił. I

wiemy, że dziennika nie można odzyskać, bo go nigdy nie znaleziono.

- Nie wiemy, dlaczego Cale to zrobił.

- Ale czy to ważne? Czy „dlaczego” ma znaczenie, skoro wiemy już „co”?

Sarah milczała, starając się odczytać coś z jego twarzy. Do czegoś zmierzał, to pewne, ale nie wiedziała, do czego.

- O co ci chodzi, Haroldzie? Chcesz wracać do domu?

- Nie - odparł. - Ale dlaczego ty jeszcze tu jesteś?

- Dlaczego jeszcze tu jestem? - Sarah sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

- Mogę powiedzieć, dlaczego ja tu jeszcze jestem. Ponieważ Alex Cale zostawił mi wiadomość. Ale dlaczego ty tu jeszcze jesteś? - Dla mnie, pomyślał. Powiedz, że jesteś tu dla mnie.

Chłodno spojrzała mu w oczy.

- Ze względu na dziennik - odparła. - Jestem tu, żeby go znaleźć. To mój powód.

Harold starał się, żeby jego spojrzenie było równie pozbawione wyrazu, ale był pewien, że mu się nie udało. Zapewne dostrzegła smutek, który usiłował ukryć.

- Alex nigdy nie odnalazł dziennika - przypomniał jej, ograniczając drżenie głosu do minimum.

- Nie. Ale ty możesz to zrobić.

- Co tam masz za książki? - zapytał, jak gdyby nigdy nic.

- Trochę historii - odparła. - I poezji. Niemieckiej, rzymskiej.

- Czekaj. Rzymska poezja czy historia?

- Umm... - Wyciągnęła ze stosu starą książkę w twardej oprawie. Nie miała lśniącej obwoluty, tylko zniszczoną tekturową okładkę. - „Poezje Katullusa”. Był Rzymianinem, prawda?

Harold się roześmiał.

- Tak. I założę się, że jest tu również jakaś historia wojenna. Jakaś „Święta wojna”...

Zaskoczona wnikliwością Harolda Sarah spojrzała w dół na stos książek i wyjęła inną.

- Tak. Skąd wiedziałeś?

- Otwórz ją.

Zrobiła to i zaskoczona spojrzała na Harolda.

- Jest pusta! - zawołała.

- Tak. Taki żart ze strony Cale'a. Kiedy Sherlock Holmes wrócił do życia po Wielkiej Luce, pojawił się przed Watsonem w przebraniu starego księgarza. Miał przy sobie trzy książki, które dał w prezencie nic niepodejrzewającemu przyjacielowi. Był to zbiór wierszy Katullusa, jakaś „Święta wojna”, która nawet nie była prawdziwą książką, i „Ptaki Wielkiej Brytanii”. Katullus zawsze stanowił zagadkę dla sherlockistów. Był jednym z najchętniej poruszających temat miłości poetów rzymskich - i to zarówno w odmianie hetero, jak i homo. To zabawne podarować go najlepszemu przyjacielowi po długiej nieobecności.

Sarah skończyła przeglądanie książek leżących najbliżej niej i zwróciła się do Harolda z pustymi rękoma.

- Nie ma tu niczego o nazwie „Ptaki Wielkiej Brytanii” - powiedziała.

- Jestem pewien, że gdzieś musi być.

Dołączył do niej i razem ponownie przejrzeni stos książek. Nic. Więc przeszukali całe mieszkanie na czworakach, podnosząc każdą książkę, jaką znaleźli po drodze. Znowu nic.

- Nie ma jej tu - stwierdziła Sarah wreszcie.

- To nie ma najmniejszego sensu - odparł Harold.

- Nie ma mowy, żeby Alex Cale miał tylko dwie książki z tej Sherlockowskiej trylogii. Ktoś tak silnie ogarnięty obsesją jak on? Oczywiście, że miał egzemplarz.

- Więc ukradł go Kozia Bródka - oznajmiła Sarah.

Harold zastanowił się nad tym.

- To jest możliwe - przyznał. - Ale dlaczego by uważał, że jest w niej coś szczególnego? A jeżeli wiedział, że to w niej jest coś szczególnego, to dlaczego przewrócił do góry nogami całe mieszkanie?

- Trafna uwaga.

- A jeśli Kozia Bródka jej nie ukradł? - zakonkludował Harold.

- Cóż... W takim razie nigdy jej tu nie było, a Alex Cale wysłał nam w ten sposób kolejną wiadomość.

ROZDZIAŁ 31

POJAWIA SIĘ PAN EDWARD HENRY

Sprawy kryminalne nieustannie kręcą się wokół tej właśnie kwestii. Jakiegoś człowieka podejrzewa się o przestępstwo być może wiele miesięcy po tym, jak je popełniono. Na jego (...) ubraniu znajdują brązowe plamy. Czy są to plamy krwi? A może plamy po błocie, rdzy, owocach lub czymkolwiek innym? Nad tą kwestią głowiło się już wielu ekspertów. A dlaczego? Bo nie było wiarygodnego testu. A teraz mamy test Sherlocka Holmesa i nie będzie już z tym problemów.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
STUDIUM W SZKARŁACIE

13 listopada 1900

Arthur miał sporo do wyjaśnienia. Próbował to zrobić podczas krótkiej drogi powozem ze Scotland Yardu do Clerkenwell. Jechali prędko, tak więc musiał się spieszyć. Kiedy ich szeroka czterokółka zatrzymała się przed mieszkaniem Emily Davison, roіło się już tam od policjantów.

Dwunastu mundurowych kręciło się po salonie, wykonując rozmaite zadania. Dwóch sypało talk na wszystkie dostępne

powierzchnie, a grudki czarnej sadzy nadawały pokojowi wygląd dawno wybuchłego wulkanu. Mężczyźni przyciskali przezroczyście szybki do bryłek talku, a następnie podnosili je do światła i wpatrywali się intensywnie w kalejdoskop obrazów, jakie proszek wytworzył na szkle, a potem, widocznie niezadowoleni z wyników swojej pracy, znowu przyciskali szybkę, żeby stworzyć kolejny obraz. Inna grupa śledczych stała kręgiem wokół czegoś na podłodze. Z rękoma pełnymi dziwnych przyrządów po kolei klękali i sprawdzali nimi to coś, co leżało na ziemi. Kiedy Arthur wszedł głębiej do salonu, zobaczył w centrum tej grupy parę nóg w pończochach, a potem czarną suknię rozdartą i złożoną pod dziwnym kątem. Zrozumiał, że to musi być ciało Emily Davison. Jakiś mężczyzna klęczący obok niego długim stalowym prętem zakończonym półksiężycem mierzył obwód czaszki denatki.

W ten zgiełk wkroczyła imponująca postać zastępcy komisarza wydziału kryminalnego Edwarda Henry'ego. Chociaż nie okazał żadnego dowodu tożsamości, Arthur nie miał wątpliwości co do jego pozycji. Górował o całe piętnaście centymetrów nad większością swoich ludzi - szczupły, wręcz chudy, z patykowatymi nogami. Jego kanciasta twarz miała rysy tak ostre, jakby skórę naciągnięto bezpośrednio na kości. Grube brwi i gęste wąsy nadawały mu wojowniczego wyglądu. Kiedy kroczył władczo w stronę swych ludzi, pokrzykiwał w obcym języku:

- *Jul-dhee kuro! Jana hae!* No, co tam macie, chłopcy?

Każdy z tuzina posterunkowych oraz inspektor Miller odwrócili się do niego usłużnie. Omiótł spojrzeniem pokój, obserwując ludzi, którzy przerwali pracę.

- To hindi, panowie. Przyuczyłem się w biurze inspektora generalnego Bengalu. Jeśli chcesz złapać złoczyńcę, pomoże ci to, że mówisz jego językiem. Teraz: w sypialni panny Davison

mamy dwie używane filiżanki do herbaty, stojące na stoliku nocnym. Pan i pan... - wskazał na dwóch podwładnych - idźcie i zastosujcie na nich proszek, jak skończycie tutaj. Pamiętajcie, jak wam pokazywałem? Dobrze.

- Widzi pan ciężar, jakim mnie obarczono? - szepnął inspektor Miller do Arthura. - Komisarz myśli, że jest czarodziejem. Ludzie uważają, że stał się londyńczykiem. A mnie się nie podoba, że jakiś nowy rekrut dostaje awans na szefa wydziału dochodzenia i szczerka po hindusku na moich chłopców.

Usłyszawszy czyjś szept, zastępca komisarza odwrócił się w stronę drzwi i zobaczył tam czekających inspektora Millera i Arthura Conan Doyle'a.

- Inspektor Miller - powiedział. - Miło pana zobaczyć w terenie.

Miller wszedł do salonu i nienaturalnie wyprostowany podszedł do Henry'ego. Dzielili ich tylko kanapa.

- Rozkazuje pan mojemu posterunkowemu, żeby sypał proszek po całym miejscu zbrodni? - zapytał.

- Właściwie - odparł Henry - to są moi posterunkowi. A pan jest moim inspektorem.

- Przepraszam, panowie - oznajmił gromkim głosem Miller. - Nie wiedziałem, że przyjechaliśmy na cały dzień na plażę, żeby bawić się czarnym piaskiem!

Kilku policjantów się uśmiechnęło, ale reszta spoglądała to na jednego, to na drugiego przełożonego, niepewna, komu okazać posłuszeństwo. Edward Henry wpatrywał się w inspektora Millera, wytrzymując jego gniewne spojrzenie.

- Czy znaleźliśmy jakieś odciski palców na filiżankach i spodkach? - zapytał w końcu, wskazując na zastawę do herbaty, nieporządnie ustawioną w stos na niskim stoliku przy kanapie.

- Tak jest - odparł jeden z policjantów. - Zdaje się, że wyodrębniliśmy kilka zestawów tych okrągłych smużek, jak pan kazał.

- Wspaniale - powiedział Henry. - Zobaczmy teraz, czy uda nam się stwierdzić, do kogo należą.

- Należą do mnie - odezwał się Arthur.

Jego swobodny głos rozniósł się czystym dźwiękiem po salonie. Henry zmierzył Conan Doyle'a od stóp do głów, jak gdyby właśnie go zauważył.

- A pan się nazywa? - zapytał.

- Nazywam się Arthur Conan Doyle.

Na twarzy każdego obecnego w pokoju detektywa odmalował się wstrząs. Inspektor Miller tylko się uśmiechnął, zaliczając Arthura do swoich popleczników w międzywydziałowej wojnie.

- Doktor Doyle jest moim gościem - oznajmił. - Pracowaliśmy razem przy innej sprawie, której zakończenie przywiodło Arthura - przepraszam, nie powinienem używać pańskiego imienia wobec podwładnych - przywiodło doktora Doyle'a do tych właśnie drzwi.

- To zaszczyt, doktorze Doyle - stwierdził Edward Henry z prawdziwym podziwem. - Kiedy byłem w Indiach, witałem pojawienie się każdego z pańskich opowiadań całym wieczorem w swoim gabinecie, zamkniętym na klucz, żeby nic mnie od niego nie oderwało. Nie znajdzie pan pilniejszego ucznia pana Sherlocka Holmesa ode mnie.

- Nie wątpię - odparł Arthur krótko. - Do rzeczy. Co się tu wydarzyło?

Idąc przez salon, Arthur czuł, jak przechylają się szale władzy. Kiedy podszedł do ciała leżącego nieopodal okna, mężczyźni rozstąpili się, robiąc mu miejsce. Uważał, że to zabawne, iż mimo obecności w pokoju dwóch znakomitych detektywów to on, zwykły

amator, cieszy się szacunkiem policjantów dzięki urokowi taniej rozrywkowej literatury.

- Emily Davison została pobita i uduszona - oznajmił Henry. - Najprawdopodobniej ostatniej nocy albo o świcie. Jej sąsiadka z dołu, pani Lansing, przysłała dziś rano, żeby się poskarżyć na hałasy, które słyszała poprzedniego wieczoru. Mówiła o strzałach. Słyszała je, jak jej się zdaje, około osiemnastej, chociaż nie jest pewna. Weszła na górę do mieszkania panny Davison i stwierdziła, że zamek został wyłamany strzałem, a drzwi huśtają się na zawiasach. Zaniepokoiła się więc i weszła do środka. Znalazła martwą pannę Davison i wezwała policję.

Arthur pochylił się nad ciałem dziewczyny. Był u niej dwadzieścia cztery godziny wcześniej - tak słusznie wściekły i pełen furii. A teraz zmieniła się w błądy kształt na podłodze własnego salonu. Na jej gardle widniały czerwone i fioletowe plamy; twarz miała równie posiniaczoną. Rozbity i rozcięty nos był przesunięty, powieki - czerwone i opuchnięte jak u rozgniecionej pluskwy. Spostrzegł, że wąska strużka krwi wypłynęła z lewego oka na podłogę. Zdążyła skrzepnąć, tworząc gumowatą czarną kałużę. Gniew, jaki Arthur czuł wcześniej w jej obecności, był niczym w porównaniu z tym, co leżało w ciemnym sercu człowieka, który to zrobił.

- Na biurku znaleźliśmy dynamit i przewody - oświadczył Edward Henry. - Choć trudno w to teraz uwierzyć, wydaje się, że ta dziewczyna zajmowała się robieniem bomb.

- Wiem - odparł Arthur, wstając.

Wolałby nie patrzeć już na to ciało.

- Odciski palców, które moi ludzie tu zbierają - zwrócił się do niego Edward Henry - zatrzymamy w celu porównania z odciskami zabójcy, kiedy go już znajdziemy. Opracowałem system

klasyfikowania ich - odbijamy dziesięć linii papilarnych na papierze i odnotowujemy ich najważniejsze cechy. Kiedy znajdziemy podejrzanego, będziemy mogli porównać znaki na jego palcach z tymi. I jeśli będą pasowały, *bus sub hoe guy ya*. Zrobione.

- Metoda zapisywania odcisków palców człowieka? - zapytał Arthur. - To brzmi imponująco. Ale obawiam się, że odciski na tych filiżankach nie na wiele się panu zdadzą. Jak powiedziałem, niektóre z nich są moje, a niektóre należą do mojego drogiego przyjaciela, niejakiego pana Stokera.

Edward Henry patrzył na niego wyczekująco, więc Arthur zacerpnął głęboko powietrza, by jeszcze raz wszystko wyjaśnić.

W tym czasie policjanci skończyli pomiary ciała Emily Davison, a inspektor Miller palił spokojnie papierosa, patrząc przez okno. Twarz Edwarda Henry'ego nie zdradzała niczego poza uważnym i profesjonalnym namysłem nad sprawą. Zaimponował Arthurowi. Jeżeli jakiś człowiek w Yardzie przypominał Sherlocka Holmesa, to był nim on.

- Dziękuję panu, doktorze Doyle - to było wszystko, co Arthur usłyszał, gdy skończył wyjaśnienia. - Był pan świadom tego wszystkiego? - zapytał Henry inspektora Millera.

- W rzeczy samej. Komunikowałem się z doktorem w kwestii tych śledztw od samego początku.

- Rozumiem - powiedział Henry w zamyśleniu. - Doktorze, jestem pewien, że pan Stoker potwierdzi pańską historię?

Arthur nie był pewien, dlaczego jego „historia” wymaga potwierdzenia.

- Z pewnością - odparł mimo to. - Jeżeli trzeba, podam panu jego adres.

Edward Henry wypuścił powietrze przez nos i ze znużeniem wstał. Założył ręce za plecami i zaczął się przechadzać. Sprawiał wrażenie wielce zirytowanego jakimś wewnętrznym dylematem.

- To fantastyczna opowieść - uznał po kilku minutach przechadzania się w milczeniu. - Bardzo literacka, nieprawdaż? Ciekaw jestem, czy przeciętny czytelnik uznałby ją za wiarygodną.

- Proszę pana - powiedział Arthur, stając obok detektywa. - Jak mam to rozumieć?

- Chodzi mi o to - odparł Henry - że chciałby pan, żebym uwierzył, że dzięki dedukcji, długiemu łańcuchowi logicznego rozumowania i krótkiemu wieczorowi w spódnicy ustalił pan tożsamość i miejsce pobytu kobiety, która próbowała pana zamordować. A następnie poszedł pan do jej mieszkania w celu konfrontacji, ale zastawszy zamknięte drzwi, pan - albo pana przyjaciel - wyjął pistolet i przestrelił zamek. Kiedy następnie znalazł się pan twarzą w twarz ze swoją niedoszłą morderczynią, spierał się z nią przez chwilę, usiadł, żeby wypić herbatę, a następnie wyjaśnił jej, że źle postępuje, i wyszedł. Że potem pojechał pan do domu, dobrze się wyspał i nazajutrz przybył do naszego kochanego inspektora Millera, żeby mu wyjaśnić całą sprawę. A ktoś inny zakradł się do mieszkania wkrótce po pańskim wyjściu, żeby tłuc tą biedną, nieszczęsną dziewczyną o podłogę, jak gdyby była mokrym praniem? Upichcił pan dobrą historię, doktorze Doyle, i wyjaśnia ona każdy fragment pańskiego zaangażowania w tę sprawę, który z pewnością byśmy odkryli. Wydaje się, że odwiodła ona inspektora Millera od pościgu, nieprawdaż?

Arthur był przerażony. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Yard będzie podejrzewał go o zabójstwo Emily. To, że ktoś uważał go za zdolnego do takiego czynu, było potworne.

Inspektor Miller porzucił swoje miejsce przy oknie. Arthur nie mógł się oprzeć myśli, że lekko się uśmiecha.

- Nie może pan oskarżać Arthura Conan Doyle'a o morderstwo! - oznajmił. - Powiadają, że wkrótce otrzyma tytuł szlachecki. Jeżeli fałszywie go pan oskarży, to spowolni pańską obiecującą karierę.

- Nikogo nie oskarżam - oznajmił Henry. - Sugeruję jedynie, że będziemy musieli zbadać tę historię. I że będziemy musieli poddać doktora Doyle'a bardziej szczegółowemu przesłuchaniu.

- Jak pan śmie! - oburzył się Arthur.

Nagle opanowała go wściekłość. Jego krew nie gotowała się powoli jak woda w czajniku, raczej od razu zawrzała.

- Widzi pan jej twarz?! Czy ja byłbym zdolny to zrobić?! Byłbym zdolny to zrobić tymi rękoma?!

Arthur uważał to, co nastąpiło później, za najdziwniejszy z przypadków. Uniósł ręce ku twarzy Edwarda Henry'ego, chcąc mu pokazać, jak są delikatne - bo to były dłonie pisarza, nie rzeźnika - ale ten odsunął je od siebie uderzeniem. Poczuvszy się zaatakowanym, Arthur zrobił to, co zrobiłby każdy człowiek w jego stanie - oddał cios, uderzając detektywa prosto w szczękę.

Henry cofnął się, trzymając za twarz. Wszystkie oczy w pokoju zwróciły się na Arthura. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że właśnie znieważył policjanta.

- Panowie - powiedział Edward Henry cicho. - Proszę, nałóżcie doktorowi Doyle'owi kajdanki.

Dwóch detektywów podeszło do niego od tyłu. Wykazali się delikatnością, umieszczając jego dłonie w metalowych kajdankach. A kiedy stali tak po obu jego stronach, każdy z ręką na jego ramieniu, patrzyli w dół na własne buty, unikając jego wzroku.

Arthur był zbyt zdumiony, żeby coś powiedzieć. Spojrzał na inspektora Millera w poszukiwaniu wparcia.

- Nie martw się, Arthurze - oznajmił tamten. - Wyjaśnimy to wszystko.

Arthur nie odezwał się ani słowem, kiedy policjanci prowadzili go w dół po schodach i do powozu jadącego do więzienia Newgate.

ROZDZIAŁ 32

BIBLIOTEKA

- Watson uparcie twierdzi, że mam zamiłowanie do dramatyzmu - odparł [Holmes]. - Cóż, mam w sobie artystyczną duszę, która nieustannie domaga się dobrze wyreżyserowanych przedstawień. Panie Mac, nasz zawód z całą pewnością ma już taki charakter, że wydawałby się szary i bezbarwny, gdybyśmy nie mogli czasami tak wszystkiego wyreżyserować, by móc się cieszyć końcowym efektem.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
DOLINA STRACHU

11 stycznia 2010

Z zewnątrz biblioteka na St Pancras miała kolor pomarańczowej terakoty. Przypominała zestaw zniekształconych prostopadłościaków, które w sposób przypadkowy położono jeden na drugim. Haroldowi przypominała połamane klocki Lego.

Harold i Sarah przeszli pod wysokim portykiem, na który słowa „British Library” schodziły z sufitu tłustymi literami. W środku Harold zerknął na imponujący pomnik Izaaka Newtona. Nie

miał oka do rzeźby, ale pomyślał, że potężne mięśnie łydek są zadziwiająco duże jak na matematyka.

Wypełnili rewery w ciasnym biurze rejestracji. Podali się za ornitologów i pokazali swoje prawa jazdy. Harold sądził, że uzyskanie dostępu do zbiorów British Library będzie trudne i czasochłonne, ale już po dwunastu minutach przeszli przez kontrolę bezpieczeństwa i znaleźli się w pierwszej z kameralnych czytelni.

Szybkie poszukanie elektronicznego katalogu ujawniło, że dział przyrodniczy, obejmujący regał numer 7852, jest ulokowany na czwartym piętrze. Wjechali tam windą, kluczyli chwilę między ścianami książek i w końcu znaleźli niską półkę, na której stały dziesiątki przewodników dla ornitologów.

To Harold wpadł na pomysł, żeby tu przyjść. Był pewien, że brak egzemplarza *Ptaków Wielkiej Brytanii* w gabinecie Aleksa to nie przypadek. Więc gdzie mógł być?

- Pamiętasz, Jennifer Peters mówiła, że brat większość badań prowadził w British Library. Odniosłem wrażenie, że spędził tu sporo czasu w ostatnich tygodniach życia. A gdybym miał wskazać jedno miejsce w Londynie, w którym można by schować książkę tak, żeby się przez przypadek nie zawieruszyła...

Cały dział poświęcony naukom przyrodniczym był wolny od gości. Jakby co najmniej od kilku miesięcy nikt tu nie zaglądał. Jeżeli Cale coś tu zostawił, Harold miał spore szanse na znalezienie tego. Ukłął i z podnieceniem wyciągał książki z półek.

- Czy szukamy jakiejś konkretnej pozycji? - zapytała Sarah, dołączając do niego na podłodze.

- Niezupełnie - odparł. - Czegoś, co ma w tytule ptaki i Wielką Brytanię. W opowiadaniu książka nazywa się po prostu „Ptaki

Wielkiej Brytanii”, ale w rzeczywistości taka nie istnieje. Jest jednak sporo możliwości. - Harold wyjął *Ptasi śpiew. Terenowy podręcznik śpiewu brytyjskich ptaków dla przyrodników*. - Hmm - mruknął, spoglądając na stronę tytułową. - Z 1925 roku. Zbyt niedawna. Cale użyłby książki, która była już w obiegu za życia Conan Doyle'a. Czegoś, co mógłby przeczytać Sherlock Holmes.

Sarah wzięła gruby ilustrowany wolumin pod tytułem *Odmiany ptaków Wielkiej Brytanii*. Spojrzała na datę - 1975. Nie nadaje się. Przez następnych kilka minut wyciągali z półek jedną książkę po drugiej. Oboje byli zaskoczeni, jak szczegółowo literatura przyrodnicza omawia ten temat.

Z błyskiem w oku Harold spostrzegł nieduży tom podarty na brzegach. Wyjął go z półki. *Przewodnik Bacona po ptakach Wielkiej Brytanii*. Otworzył książkę na frontyspisie. Po raz pierwszy wydano ją w 1876 roku. Ta edycja ukazała się drukiem w 1894.

Harold niecierpliwie otworzył książkę. Zanim jeszcze podniósł ją do twarzy, spomiędzy jej stron wypadła biała kartka papieru. Spojrzał w dół. Kartka była złożona na pół i wyglądała na nową.

Sarah przysunęła się do niego, kiedy schylił się po papier, i zerknęła mu ponad ramieniem, żeby móc czytać razem z nim. Czuł jej oddech na uszach.

Była to napisana na maszynie notatka:

Do wszystkich zainteresowanych

Jeżeli jesteś ornitologiem amatorem i znalazłeś tę notatkę, szukając informacji o kolorze skrzydeł pliszki, proszę, zniszcz ten papier od razu. Jego adresat bowiem zbyt wolno szukał drogi tutaj i nie jest mu już potrzebna wiadomość zawarta poniżej.

Jeśli jednak jesteś uczestnikiem Wielkiej Gry i znalazłeś tę notatkę poprzez zwłoki w pokoju hotelowym w Nowym Jorku, to należą Ci się gratulacje. Twoja podróż dobiegła końca. Prawie.

No więc, Koledzy, który z Was siedzi w British Library, czytając te słowa? Czy to Ty, Jeffreyu Engelsie? Gdybym lubił się zakładać, postawiłbym pieniądze na Ciebie... Albo Ty, Lesie, mój drogi przyjacielu... Myślałbym, że jesteś zbyt zdrowy na umyśle, żeby się włóczyć po świecie w poszukiwaniu ostatniej wiadomości od umarłego. Czy Ron? Nie przypuszczałbym, że masz zdolności konieczne do tego, żeby dotrzeć tak daleko. Ale jeśli to Ty, Ronie Rosenbaum, to należą Ci się gratulacje. Zdziwiłeś mnie. Jeżeli to Sebastian Conan Doyle — cóż, w takim razie zawiodłem. Którego z nich wzięłeś do pomocy? Zakładam, że będziesz próbował rzucić pieniędzmi i wynająć jednego z moich kolegów sherlockistów do rozwiązania tajemnicy Twojej rodziny. Który z nich był na tyle głupi, żeby się zgodzić? Mogę tylko mieć nadzieję, że obaj wkrótce dołączycie do mnie w piekle.

Co dość ładnie łączy się z tym, co tu robisz, kimkolwiek jesteś. Jak wiesz, nie żyję. Zostałem uduszony w swoim pokoju w hotelu Algonquin w Nowym Jorku wczesnym rankiem 6 stycznia. Czy wiesz, kto mnie zabił? Skoro doszedłeś aż tutaj, zakładam, że prawdopodobnie wiesz, iż to ja jestem mordercą. Zabiłem się.

O tak, jestem pewien, że się zastanawiasz dlaczego. Ale nie obawiaj się. Odkryjesz to. To znaczy, jeśli jesteś dostatecznie bystry!

Czy już wydedukowałeś, gdzie jest dziennik? Przypuszczam, że nie. To trudniejszy problem i zajęło mi niemal dekadę, żeby

go rozwiązać. Ale kiedy to zrobiłem, wiedziałem, że będę musiał zabrać tę tajemnicę do grobu. Pomyślałem jednak, że nie byłoby w porządku odejść, nie zostawiając komuś wskazówki - lekkiego pchnięcia we właściwym kierunku. Tak więc wymyśliłem tę diabelską zagadkę, która będzie żyła po mojej śmierci. Za życia byłem największym sherlockowskim uczonym na świecie. Ktokolwiek rozwiąże moją zagadkę, zasługuje na tytuł drugiego po mnie. Gratulacje. Zasłużyłeś na to.

Dokąd zatem teraz się udasz, detektywie? Musisz już wiedzieć, że nie miałem przy sobie dziennika w Nowym Jorku. I nie ma go w żadnym z moich londyńskich mieszkań. Więc gdzie jest? To pyszna zagadeczką, nieprawdaż? Mogę tylko mieć nadzieję, że Arthur Conan Doyle byłby dumny.

Mój ojciec umarł 6 stycznia. Wiedziałeś o tym? Jestem pewien, że nie miał pojęcia, iż dzień, w którym pękł tętniak w jego mózgu, to dzień urodzin Sherlocka Holmesa. Nie myślę także, że Jennifer to skojarzyła. Moja dobra Jennifer — była cudowną siostrą, zapewniam Cię, bez względu na to, co o mnie teraz mówi. Teraz ja również umarłem 6 stycznia. Czy byłem lepszym człowiekiem niż mój ojciec? Mój Boże, mam nadzieję. Ty, detektywie, po przeczytaniu tego będziesz myślał o mnie jak najgorzej. Będziesz myślał, że byłem próżny i egocentryczny, a nawet niezrównoważony. Z taką łatwością poddasz mnie psychoanalizie: obsesja na punkcie Holmesa, brak zahamowań po śmierci ojca, a wcześniej kłopoty z uwolnieniem się spod ciężaru jego dezaprobaty i tak dalej. Będziesz musiał wejść do wnętrza mojej głowy, nieprawdaż? Będziesz czuł, że musisz mnie wytłumaczyć,

bo to właśnie jest zadanie wielkiego detektywa: wyjaśnianie. No więc weź się za mnie.

Dawne stulecia miały i mają własne moce, których zwykła nowoczesność nie potrafi zabić. To całe wyjaśnienie, jakie Ci się należy.

Żegnaj,

Alexander Horace Cale.

Harold trzymał rozpostarty list w sztywno wyciągniętych rękach dopóty, dopóki Sarah nie skończyła czytać. Kiwała lekko głową, ciągle wydychając ciepłe powietrze w jego ucho. Odwrócił się do niej. Milczenie, jakie zapadło, przypominało inne, które poznali w tym tygodniu. Żadne z nich nie chciało zepsuć tej chwili powiedzeniem czegoś oczywistego. Podał jej list i przeczytała go ponownie. Harold oparł się plecami o niemal pustą półkę i zamknął oczy.

Teraz pozostał głównie smutek. Nawet pożegnalny list Aleksa Cale'a był dobrze napisany i naznaczony jego dowcipem, wdziękiem, jego osobowością. Sprawiał, że chciało się go poznać, chociaż Harold coraz wyraźniej widział, że Alex zawsze trzymał się z dala od wszystkich.

- Przykro mi - powiedziała Sarah, skończywszy lekturę.

Harold milczał. Cale nie wymienił jego nazwiska wśród sherlockistów, którzy mogli dotrzeć aż tutaj, ale przecież nawet nie wiedział o jego istnieniu. Lecz to on trzymał jego list w dłoniach. Przez chwilę czuł satysfakcję, a potem zawstydził się tej myśli - Cale nie umarł po to, żeby Harold zyskał pewność siebie, chociaż w niezamierzony sposób tak właśnie się stało.

- Dracula - powiedział Harold nagle.

Sarah była zdezorientowana.

- Co? - Dracula. Ostatnia część listu jest cytatem. „Dawne stulecia miały i mają własne moce, których zwykła nowoczesność nie potrafi zabić”. To cytat z „Draculi”. I kolejna wskazówka.

- Och - powiedziała Sarah. - Strasznie szybko to odkryłeś. Chociaż... naprawdę mi przykro z powodu Aleksa. To zaskakujące, ile człowiek może się dowiedzieć o kimś z jego pożegnalnego listu.

- Czy możemy o tym nie mówić? - Harold nie potrafił myśleć teraz o Aleksie. Chciał iść dalej. Chciał prowadzić śledztwo.

- Tak - odparła Sarah uspokajająco. Ścisnęła jego dłoń. - Ale kiedy skończysz dochodzenie i wszystko to na ciebie spadnie, pamiętaj, że dokonałeś wielkiej rzeczy. Zrobiłeś to, czego chciał Alex. Działałeś według jego wskazówek. Rozwiązałeś jego zagadkę... No, prawie. Nie ma lepszego sposobu, żeby uczcić jego pamięć.

- Dziękuję - odwzajemnił uścisk.

- Więc cokolwiek się stanie, powinieneś być dumny.

- Będę.

- Obiecujesz?

Harold uśmiechnął się.

- Tak.

- Dobrze. Więc co ma Dracula wspólnego z tym wszystkim? - zapytała Sarah, zaczynając układać książki na miejsce.

- Oto jest pytanie - odparł Harold. - Wiemy, że Conan Doyle i Bram Stoker byli dobrymi przyjaciółmi. To ogólnie wiadomo. Czy Stoker jest kluczem do znalezienia dziennika? Jeżeli Cale dotarł do niego poprzez Stokera... Cambridge! - wykrzyknął Harold.

Sarah się uśmiechnęła. Wiedziała, że dojdzie do tego, oczywiście. Musiała tylko poczekać.

- Co jest w Cambridge? - zapytała.

- Czy Jennifer Peters nie powiedziała, że jej brat wyjechał na jakiś czas do Cambridge tuż przed śmiercią?

- Chyba tak - przyznała. - Ale co z tego? Prawdopodobnie odwiedził z pół tuzina uniwersytetów z powodu swoich badań.

- Słusznie. Ale Cambridge przechowuje całą oryginalną korespondencję Brama Stokera. - Twarz Harolda się rozjaśniła.

Sarah wzięła list Cale'a, złożyła go i schowała do torebki.

- No dobrze - powiedziała. - Chodźmy więc po dziennik.

ROZDZIAŁ 33

NEWGATE

Czasem myślę, że wszyscy musimy być obłąkani i że obudzimy się zdrowi psychicznie w kaftanach bezpieczeństwa.

BRAM STOKER,
DRACULA

13 listopada 1900

Smród więzienia Newgate osiadał z wilgocią na małych włoskach w nosie Arthura. Z uwagi na jego pozycję społeczną dyrektor przydzielił mu osobną celę. Świadomość, że to musi być największa i najlepiej utrzymana ze wszystkich, przeraziła go jeszcze bardziej. Pomieszczenie miało dwa i pół metra na trzy i pół i w dalekim końcu zakratowane okno wychodzące na podwórze. Ponieważ jednak Arthura umieszczono na drugim piętrze, przez grube kraty wpadało niewiele światła. Pod oknem stała miska i dzbanek z wodą, a obok leżał zwinięty w rulon komplet pościeli. W celi nie było stołu, jedynie półka, na której stały talerz, kubek i Biblia. Przez kratę drzwi Arthur widział inne cele wychodzące na galerię i ciągnące się w równych rzędach w oddali jak żywopłoty.

Nie dostrzegali jednak ich końca ani innych pięt. W suficie galerii, która cuchnęła niczym gnijący trup i rozbrzmiewała jękami ludzi będących już w pół drogi do śmierci, był jedynie niewielki świetlik.

Arthur przekartkował Biblię, żeby zabić czas. Była to wersja króla Jakuba, tak wybrudzona, że ledwie czytelna. Zastanawiał się, czy przyniesie mu jakąś pociechę. Może trafi na jakiś cięty aforyzm, który wydzwignie jego duszę z miażdżących niegodziwości więzienia? Ale pierwsze słowa, jakie zobaczył, brzmiały: „Jezdem ofiarom twojej słodko pachnącej cipki”. Jakiś poprzednik nabazgrał te słowa na marginesie Pisma, jak gdyby były komentarzem uczonego do tekstu. Arthur spojrział na marnie wydrukowane wersety. Trafił na fragment z Księgi Jozuego, w którym dzieci Izraela przechodzą powtórne obrzezanie. „Jozue przygotował sobie noże z krzemienia i obrzezał Izraelitów na pagórku Aralot”, czytał. Nie był pewien, czy komentarz z błędem ortograficznym miał się odnosić do konkretnego wersetu, czy też był to ogólniejszy wyraz postawy piszącego w danym dniu. Pomyślawszy o tym przez minutę, uprzytomnił jednak sobie, że mało go obchodzi Biblia i towarzysz niedoli.

Dzień mijał, a on jeszcze nie rozmawiał z nikim. Kiedy wypuszczono więźniów na podwórze na coś w rodzaju rekreacji, strażnicy umyślnie zatrzymali go w celi.

- Będzie pan tu bezpieczniejszy - usłyszał.

Nie mógł zaprotestować.

Podczas gdy inni skazani spacerowali po wybiegu, dyrektor więzienia postanowił osobiście zobaczyć się z Arthurem.

- Strasznie mi przykro z powodu tego wszystkiego - powiedział. - Inspektor Miller przysłał wiadomość i postara się, żeby pana wypuszczono przed zapadnięciem nocy. Czy możemy panu w jakiś sposób ułatwić przetrwanie tego czasu?

Arthur podziękował za życzliwość, ale powiedział, że ma wszystko, czego mu potrzeba. Dyrektor zaofiarował pomoc w wysłaniu wiadomości do rodziny.

- Sam ją zaniosę na pocztę - zapewnił, ale Arthur nie chciał o tym słyszeć. Wolał żeby Touie i dzieci nie dowiedziały się o tej jego szczególnej przygodzie. Dyrektor zapewnił, że rozumie.

- Ja też mam rodzinę, doktorze Doyle. Żonę Shelly i syna. Świetny chłopak. Też ma na imię Arthur. To zabawne!

- Tak. Doceniam pańską dyskrecję - powiedział Arthur, doskonale świadom, dokąd prowadzi ta rozmowa.

Nauczył się przez lata, że jak tylko ktoś czyni choćby najmniejszą wzmiankę o swoim „wspaniałym chłopaku”, powinien natychmiast zacząć szukać pióra.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - powiedział dyrektor. - Jest pańskim wielkim wielbicielem. Mój syn. I oczywiście ja. Jeśli to nie będzie zbyt narzucaniem się...

- Och, niech mi pan da tę cholerną książkę - odparł Arthur.

Podpisał dyrektorowi egzemplarz *Dzienników Sherlocka Holmesa*, a potem również *Znak czterech*. Upojony szczęściem dyrektor pozostawił go samego, mocno ściskając jego dłoń na pożegnanie. Kiedy szedł przez galerię, Arthur słyszał, jak pogwizduje.

Słońce właśnie zaszło, kiedy został zwolniony. Chociaż strażników zaskoczyło, że tracą więźnia o tak późnej porze, szybko się podporządkowali rozkazowi. Jeden nawet mu się uklonił, kiedy otworzył ciężką centralną bramę i wypuścił go na pełne hałasu ulice.

Bram Stoker i inspektor Miller czekali razem na Newgate Street, żeby go powitać. Obaj objęli go serdecznie, a Bram nawet przyniósł butelkę dzinu na tę okazję.

- Jeżeli inspektor nie ma nic przeciwko temu, pomyślałem, że może ci się przyda łyk czegoś mocniejszego - powiedział Bram, wsuwając srebrną butelkę w brudne dłonie Arthura.

- Ależ oczywiście - zgodził się policjant. - Proszę. Przeszedł pan ciężką próbę.

Arthur nie należał do ludzi skłonnych do upijania się w miejscach publicznych ani nawet przez chwilę nie marzył o alkoholu. Ale gdy poczuł w dłoniach chłodną butelkę, ośladnęła nim wdzięczność za troskliwą przezorność Brama. Pociągnął tęgo i zrobiło mu się ciepło, kiedy schłodzony dzin przeleciał przez przełyk.

- Zastępca komisarza Henry dostał reprimendę za swoje pośpieszne działania - ciągnął inspektor, kiedy Arthur skończył. - To powinno opóźnić przejście przez niego wydziału kryminalnego przynajmniej o rok. Sam komisarz prosił, żebym przekazał panu wyrazy najgłębszej solidarności i uroczystą obietnicę, że żaden ślad po tym... incydencie nie pozostanie w kartotece Yardu. Musieliśmy naprodukować trochę papierów dla Newgate, ale przypilnuję, żeby wszystko zostało spalone do końca tygodnia.

- Inspektor Miller był bardzo pomocny w sprawie twojego zwolnienia - powiedział Bram. - Skontaktował się ze mną dziś rano.

- Dziękuję wam obu - odparł Arthur i pociągnął następny łyk dżinu.

- Dokąd mam cię zawieźć? - zapytał Bram. - Proponuję twój dom i gorącą kąpiel albo mój i gorący grog. Podejrzewam jednak, że będziesz chciał zaraz wrócić do swojej sprawy. Wywęszyć mordercę Emily Davison...

Arthur się uśmiechnął. Bram był takim kochanym przyjacielem i znał go jak siebie. Ale akurat teraz nie mógł się bardziej mylić.

- Dziękuję, ale nie - oznajmił. - Świętej pamięci panna Davison i jej przyjaciółki mogą gnić w grobach. To nie mój interes. Uważam, że ten dzin był najlepszym pomysłem, na jaki wpadliśmy od miesiący, i będę go potrzebował więcej, zanim się położę. Chodź! Do najbliższego pubu! Upijemy się jak beły i kiedy zaczniemy widzieć podwójnie, pójdziemy do domu, zataczając się.

Inspektor i Bram zrobili dziwną minę.

- Arthurze, to całkiem niepodobne do ciebie - zauważył przyjaciel. - Pamiętam twoją niedawną mowę do mnie na temat sprawiedliwości i czegoś tam... Szczegóły uleciały mi z głowy. Ale była strasznie poważna.

Arthur zaśmiał się gorzko i zanurkował w butelkę.

- Wiesz, mówi się, że dzin jest przekleństwem ubogich - powiedział. - Ale myślę, że może być odwrotnie - ubodzy są przekleństwem dzinu! - Zaśmiał się do siebie i jednym haustem dokończył butelkę, po czym rzucił ją na ziemię.

- W takim razie zostawię panów - powiedział Miller taktownie. - Do widzenia.

Arthur skłonił się po królewsku, a Bram uścisnął mocno dłoń inspektora. Kiedy policjant odszedł, zwrócił się do swego pijanego przyjaciela:

- Arthurze, to jest już wystarczająco żenujące.

- Naprawdę? Jesteś zażenowany? - zapytał Arthur i ruszył w kierunku św. Pawła. - Niemal wyleciałem w powietrze, byłem w Sodomie Whitechapel i Gomorze portu, celowano mi w głowę z rewolweru, aresztowano mnie i wysłano na zatracenie w bagno więzienia Newgate. I co mam z tego wszystkiego? Trzy zabite dziewczyny. Patrzyłem w zmasakrowaną twarz Emily Davison i wiesz, co w niej było? Nic. Ni cholery. Nie ma nic na dnie króliczej nory rozumiesz? Nie zabito jej z jakiegoś powodu, Bram. Żadnej z nich. Nie zamordowano jej z miłości ani dla pieniędzy,

zamordowano ją dla samego morderstwa. Co mam z tym zrobić? Jak to badać? I czego szukać? Od jednej zabitej dziewczyny do drugiej - mogę śledzić grzechy Londynu, ale po co? - Oczy Arthura spuchły. Usiadł na ziemi i zwiesił głowę między kolanami. - Spójrz no tam - powiedział, wskazując niebo na południu. - Jesteśmy o pięćdziesiąt kroków od katedry św. Pawła. A gdybyśmy chcieli, to w kwadrans moglibyśmy sobie napompować żyły lekarskimi opiatami. Kiedyś była tu cywilizacja. Tysiąc lat postępu, budowania na gliniastej ziemi aż po tę wieżę. Były zasady. Był porządek. Była Wielka Brytania. Naprawdę sądziłem, że pomagam. Wyobrażasz sobie? Tymi głupimi opowiadaniem. Że żyjemy w czasach transcendentnego rozumu. Że olśniewające światło logiki nadchodzi, żeby zaświecić nad bladym miastem i przenieść nas w białą przyszłość nauki. - Splunął energicznie na ziemię. - Gówno. Miałeś rację od początku, zawsze masz rację. To była wielka pomyłka. A teraz z tym skończyłem. Ze wszystkim. Żadnego bawienia się w detektywa, obiecuję. Umarli mogą zatrzymać swoje tajemnice. My, żywi, i tak nie wiedzielibyśmy, co z nimi począć.

Bram Stoker nic nie powiedział, tylko położył dłoń na ramieniu Arthura i ścisnął je jak najmocniej.

ROZDZIAŁ 34

PRAWDĄ JEST TYLKO TO, W CO WIERZY SERCE

*Był taki czas, kiedy świat był pełny pustych przestrzeni,
w których człowiek mający wyobraźnię mógł puścić jej wodze.
Ale (...) te przestrzenie szybko zostały wypełnione; i pojawiło
się pytanie, dokąd ma się zwrócić autor powieści.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
FRAGMENT WYSTĄPIENIA NA CZEŚĆ ROBERTA PEARY'EGO, MAJ 1910

12 stycznia 2010

Pociąg z King's Cross do Cambridge o 9.15 był ekspresem składającym się z pięciu wagonów. Harold i Sarah siedzieli obok siebie w ciepłym milczeniu w przedziale pierwszej klasy. W minionym tygodniu Harold stał się znawcą milczenia. Był ekspertem w tej dziedzinie, umiejącym odróżnić jego typy: spokojne milczenie i powolne westchnienia i uśmiechy; milczenie zmęczone, cechujące się kłótliwym przesiadaniem się z krzesła na krzesło; milczenie pełne napięcia, wstrzymywanych oddechów i ukradkowych spojrzeń... On i Sarah doświadczyli wszystkich, ale to było inne. Miał wrażenie, że jest ostateczne. Gdyby Harold był

sommelierem niewypowiedzianych nastrojów, poleciliby je tak, jak poleca się wino po posiłku. To było milczenie po kolacji, gdy trawi się posiłek i kontempluje zbliżający się wieczór.

Kiedy się odezwała, był zaskoczony, ale nie zdziwiony. W jej głosie była łagodność.

- Nie czytasz.

- Nie - odpowiedział. - Nie mam już nic do czytania. Wszystkie książki, które przywiozłem, zostały w pierwszym pokoju hotelowym. Ale przyjemnie jest wyglądać przez okno.

- Co widzisz? - zapytała.

Poczuł się, jakby był dzieckiem, a ona bawiła się z nim dla zabicia czasu podczas długiej podróży. Spojrzał przez okno.

- Mmm... Mokre szare drzewa. Mokre szare szyny. Kilka mijających nas mokrych szarych pociągów. Kilka miast w oddali, które są tylko punktami na horyzoncie, ale jestem pewien, że i one są mokre i szare.

Sarah uśmiechnęła się.

- Innymi słowy, Anglia.

- To zabawne - zauważył - jak lepiej znam Anglię sprzed stu lat niż obecną.

- Tak? Przypuszczam, że to dotyczy wszystkich sherlockistów.

- Jest taki wiersz Vincenta Starretta, jednego z pierwszych specjalistów od prozy Conan Doyle'a:

*Tutaj razem mieszka dwóch wybitnych ludzi,
Którzy nigdy nie żyli, nigdy nie umrą zatem.
Jak bliscy się wydają i jak daleki jest
Ten czas, zanim się cały na opak wywrócił świat.
Ale gra trwa nadal dla tych, co łowią uchem
Daleki okrzyk: „Na lisa!”.*

*Anglia jest nadal Anglią - pomimo naszych lęków.
Prawdą jest tylko to, w co wierzy serce...*

- Zakończenie jest wspaniałe, zawsze robi na mnie wrażenie.

*A tutaj, choćby świat wybuchnął, ci dwaj nadal żyją
I zawsze jest tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty piąty rok.*

Harold umilkł.

- Prawda, że piękny? - zapytał.

- Tak - przyznała. - Ale dziwnie, gdy mówi go człowiek w twoim wieku. Wy, sherlockiści, jesteście tradycjonalistami. Chcecie wrócić do tej różowej wizji świata sprzed stu laty. „Anglia jest nadal Anglią...” Jako kobieta powiem ci wprost, że nie chciałabym żyć w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku.

- Rozumiem - odparł Harold. - Nasza wizja czasów Holmesa jest w jakiś sposób... niepełna. Nieprawdziwa. Wiem, że wtedy w Londynie było dwieście tysięcy prostytutek, syfilis szalał, a odchody leżały na większości głównych ulic. Imigrantów z Indii zamykano w Newgate na podstawie samego podejrzenia o popełnienie zbrodni. Tak zwane czyny homoseksualne były przestępstwem i karano je latami więzienia. To była kultura rasistowska i seksistowska. - Harold zaczerpnął powietrza. - Ale spróbuj tego. Wyobraź sobie taką scenę: Deszcz leje, uderzając w szyby. Na zewnątrz, na Baker Street, światło latarni jest tak słabe, że ledwie sięga chodnika. W powietrzu kłębi się mgła. Tajemnica wisi w każdym ciemnym kącie, w każdym ciemnym pokoju. I w ten ciemny, zamglony świat wchodzi człowiek, który potrafi opowiedzieć historię twojego życia na podstawie kroju rękawów twojej koszuli. Umie rozjaśnić ciemność za pomocą jedynie intelektu i

dymu tytoniowego. Cóż. Powiesz mi, że to nie jest romantyczne?

Sarah się roześmiała.

- Pewnie - powiedziała. - To brzmi zdecydowanie romantycznie. - Wyrzała przez okno na przesuwający się za nim szary krajobraz. - Ale może to też jest romantyczne.

Harold popatrzył na drzewa pochylające się pod ciężarem deszczu, trawę, wilgotne wrzosowisko poznaczone żółtymi plamami mleczy. Odwrócił się od okna ku Sarah, a kiedy to zrobił, jego łokieć dotknął jej na oparciu między ich siedzeniami.

- Może masz rację - powiedział.

- To dlatego tak kochasz te opowiadania? Za romantyzm?

Nigdy wcześniej nie musiał określić powodów swojej miłości do opowiadań o Holmesie. Czy obsesja ta w ogóle ma przyczyny? Gdyby Sarah go zapytała, dlaczego kocha swoją matkę, też nie umiałby odpowiedzieć. Jak więc może wyjaśnić swoją miłość do Holmesa?

- Myślę, że kocham koncepcję, iż problemy można rozwiązać. To pociąga mnie w tajemnicach - bez względu na to, czy dotyczą Holmesa, czy kogo innego. Świat tych opowiadań jest racjonalny. I w naszym świecie każdy problem ma rozwiązanie. Nie jesteśmy tylko dostatecznie bystrzy, by je odnaleźć.

- W przeciwieństwie do...?

- W przeciwieństwie do świata, którym rządzi przypadek. Gdzie przemoc i śmierć są zrzędzeniem losu - nieuchronnym i nie do uniknięcia. Ze wszystkich konwencji opowiadań detektywistycznych jednej nie można złamać - rozwiązania na końcu. Conan Doyle pisał o tym w swoich dziennikach, choć wielu powieściopisarzy próbowało to później zrobić. Ale to nie zadowala czytelników. Jest przyczyną frustracji. I nie chodzi nawet o złapanie zabójcy czy zamknięcie go, ale o to, że czytelnik musi

wiedzieć, bo potrzebna nam jest wiara, że świat jest poznawalny. Sprawiedliwość nie jest obowiązkowa, ale odpowiedzi już tak. I to kocham u Holmesa. Że odpowiedzi są takie eleganckie, a świat, w którym żyje, taki racjonalny. To piękne.

- Romantyzm racjonalnego świata - powiedziała Sarah. - Czy nadal myślisz, że na końcu tego wszystkiego są odpowiedzi?

- Tak.

- Zadowolające?

Harold popatrzył na deszcz. Nie był pewien, jak odpowiedzieć na to pytanie, i nie był pewien, czy chce to zrobić.

ROZDZIAŁ 35

PROŚBA O POMOC

*Powinno się zastawić nogą drzwi, żeby dopóty,
dopóki się da, trzymać obłęd na zewnątrz.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
NIEPUBLIKOWANY FRAGMENT DZIENNIKA Z 1912 ROKU

23 listopada 1900

Tydzień po tym, jak Arthur wyszedł na wolność, życie w Hindhead wróciło do normy. Albo wystarczająco się do niej zbliżyło. Od porannego pobrzękiwania dzbankami pokojówek do wieczornego głuchego odgłosu, z jakim kamerdyner zamykał zasuwę w kominkach, ciągle działy się różne domowe sprawy. Koniuszy miał kłopoty z nową klaczą, która właśnie przyjechała z Hiszpanii... Mały Roger złamał rękę, wypadłszy z taczki, którą wiozł go starszy brat Kingsley... Touie odpoczywała w swojej sypialni, a Arthur posunął się nawet do tego, że pewnego poranka sam przyniósł jej tacę ze śniadaniem, przebrawszy się dla żartu w liberię jednego ze służących. Touie chichotała jak dziewczynka, kiedy się zorientowała, że to mąż. Arthur jeszcze się nie widział z Jean, tak był zajęty sprawami domu, ale wkrótce miał zamiar

wybrać się do miasta. Był zadowolony z życia - i to chyba bardziej niż kiedykolwiek. Człowiekowi potrzebny jest wstrząs, nieprawdaż, żeby zdał sobie sprawę, jak mu jest dobrze.

Cóż za szaleństwo musiało nim owładnąć, żeby pomyślał, że sam może być detektywem. To okropny zawód, podejmowany przez okropnych ludzi. Ale szczęśliwie ta mgła już znikła z jego mózgu i teraz zobaczył swoje życie na nowo: był ojcem, był mężem i był pisarzem. A nie detektywem czy przestępcą. „Szkarłatna nić morderstwa” - napisał to zdanie wiele lat temu, jak gdyby oznaczało coś ładnego, pełnego życia. Cóż, porzuci tę nić. Wykroi sobie życie - swoje prawdziwe życie - z innego materiału.

Oczywiście, pewna doza ciekawości jest czymś naturalnym. No bo kto zabił Emily Davison i jej przyjaciółki? Ale dopóty nie wstyd się nad tym zastanawiać, dopóki człowiek się w to nie zagłębia. Arthur nigdy nie poznał nazwiska drugiej zamordowanej dziewczyny. Podpisała się „Morgan Nemain”, ale Emily mówiła o niej Anna. Może policja znalazła coś wśród rzeczy panny Davison, co mogłoby ujawnić nazwisko tej Anny? Mógłby posłać słówko do inspektora Millera i...

Ale nie. Tam leży szaleństwo.

Kiedy czuł w głowie to szarpnięcie, przypominał sobie, kim jest, na podstawie świata przed jego oczyma. Czuł własne stopy na drewnianej podłodze na poły odremontowanego gabinetu i to sprawiało, że prostował kręgosłup. Od stóp aż do głowy był w domu. I szarpnięcie mijało.

Realizm rządził jego pracą. Och, jak dobrze było zanurkować dla odmiany w coś rozsądnego! Żadnego więcej nonsensu ścigania arcyłotrów po mglistych uliczkach z pomocą psów policyjnych. Żadnych więcej czarów ani fantazji, żadnego romantyzmu. Jakąż frywolnością były powieści detektywistyczne w porównaniu z bezwzględną realnością prawdziwej literatury! Od złożenia

Holmesa do grobu tyle lat temu próbował swoich sił w powieściach historycznych, przygodach naukowych, a nawet powieściach grozy. Byli dzielni rycerze i wielkie poszukiwania, damy pod działaniem hipnozy i zła czarownica okultystka. Ale teraz znalazł swoje powołanie: historie wojenne. Opowiadania były krwawe, dosadne, a co najważniejsze - prawdziwe, gdyż bazowały na jego doświadczeniach z Transwalu. Młodzi chłopcy, jeszcze nawet nie dwudziestoletni, walcząc w nich w obezwładniającym upale, stawali się mężczyznami.

Pewnego dnia, gdy Arthur kończył w swoim gabinecie krótką historię o szkockim żołnierzu, który wpada na nubijskiej pustyni w zasadzkę przygotowaną przez arabskiego szejka, zabrzmiał dzwonek. Jego dźwięk był obcy. Tyle czasu minęło, od kiedy Arthur słyszał go po raz ostatni, że dopiero po sekundzie go rozpoznał. Podniósł głowę znad nowego biurka. Dziwne. Nie spodziewał się gości. A dostawcy poszliby do tylnego wejścia. Służba była zajęta dziesiątkami spraw, ale znanego gościa wpuszczono by od razu.

Zdawało mu się, że usłyszał, jak drzwi się otwierają, a potem ściszoną rozmowę przy wejściu. Odłożył pióro i czekał na pukanie do gabinetu. Minęła pełna minuta, zanim usłyszał delikatne puk, puk, puk kamerdynera.

- Tak?! - zawołał.

- Przepraszam pana - oznajmił kamerdyner Barrow - ale przyszedł ktoś obcy. Ta pani... żąda audiencji u pana.

- Żąda? - zapytał Arthur. - Pani? - dodał po chwili.

- Tak, proszę pana. Przedstawiła się jako Janet Fry. - Barrow wszedł do gabinetu i podał Arthurowi kartkę.

- Nie miała biletu wizytowego, ale powiedziała, żebym dał to panu, a pan będzie wiedział, co to znaczy.

Arthur wziął kartkę od kamerdynera. Zanim jego wzrok na niej spoczął, wiedział, co znajdzie. Na jej górze tkwiła trójgłowa wrona.

- Niech wejdzie - powiedział. Położył kartkę na biurku i odsunął opowiadanie. - I, Barrow - dodał, kiedy kamerdyner się już odwrócił - niech pan będzie w pobliżu, jeśli mogę prosić.

Barrow skinął głową i wyszedł.

Arthur pobiegł szybko do sięgającego od podłogi do sufitu regału z książkami. Na końcu jednej z półek stało drewniane pudełko. Zdjął je, otworzył i wyjął z niego stary rewolwer. Nigdy nie służył w wojsku, ale widział wiele razy, jak się sprawdza broń. Obejrzał więc rewolwer - w każdej komorze był pocisk, lufa była czysta, a kurek posłuszny jego kciukowi.

Usiadł z powrotem za biurkiem, a rewolwer schował pod opowiadaniem. Ręce położył na podolku dokładnie w chwili, kiedy Barrow otworzył drzwi gabinetu, wprowadzając jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Arthur widział w życiu.

- Panna Janet Fry - zaanonsował kamerdyner i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Arthur zamrugał, jak gdyby chciał się pozbyć mirażu. Od ciemnych włosów po ciemne zapadnięte oczy jej twarz była uwodzicielska i ponura, jak rozlewisko odbijające wszystko, z czym się do niego zwrócono. Wyglądała niewiarygodnie pociągająco, mimo to Arthur położył prawą dłoń na rewolwerze.

- Jeśli przyszła pani, żeby mnie zabić - zaczął - to zapewniam panią, że nie uda się to pani.

Janet odsunęła jego sugestię lekkim poruszeniem brwi.

- Myśli pan, że po to zadałam sobie tyle trudu? - odparła spokojnym i - ku wielkiemu zaskoczeniu Arthura - umęczonym od smutku głosem.

- To nie byłaby pierwsza próba. Pani przyjaciółka Emily Davison opowiedziała mi o pani udziale w spisku z bombą pocztową.

Janet otworzyła szerzej oczy i spojrzała błagalnie na Arthura.

- Więc to prawda, że pan ją odnalazł?

- Tak.

- Przysłała mi list. Tego wieczoru, kiedy umarła. Powiedziała, że się pan z nią skontaktował i że się pan waha, ale sądzi, że pan pomoże.

Arthur byłby się roześmiał, gdyby sytuacja nie była tak ponura. Nie tak by opisał swoje pożegnanie z panną Davison.

- Przyłapałem ją, panno Fry. Przyłapałem ją, jak robiła drugą bombę. Jedyne powód, dla którego nie siedzi w tej chwili w Newgate, to ten, że leży w ziemi.

Janet zeszywniała, jak gdyby jej kamienna twarz powstrzymywała wielką falę uczuć. Usiadła powoli, ostrożnie, jak kaleka. Arthur czuł, że odwołuje się do wszystkich swoich sił, żeby się nie poddać smutkowi.

- Czy... - Janet ścisnęła dłonie na podolku. Nie była w stanie spojrzeć Arthurowi w oczy. - Czy Emily powiedziała coś o mnie? Czy powiedziała panu, że my... Czy wspomniała moje imię?

- Powiedziała, że jest pani najpiękniejszą dziewczyną, jaką widziała w życiu. I że są panie wiernymi przyjaciółkami. Że były panie nierozłączne i dzieliły wszystkie tajemnice swojego życia.

Janet Fry zabrakło tchu. Wyglądała, jakby dławiono ją powietrze. Aż raptem pochyliła się do przodu i zwymiotowała.

Arthur zawołał Barrowa i zważywszy szybkość, z jaką kamerdyner wszedł, było jasne, że czekał pod drzwiami. Przyniósł wodę i wilgotne ściereczki. Janet była zbyt oszołomiona, żeby

mówić, kiedy Barrow zmył żółć z jej czarnej sukni i położył ciepły okład na czole. Kiwała się tylko w przód i w tył na krześle, jak gdyby smutek był kamieniem w jej brzuchu, jedyną rzeczą trzymającą ją przy ziemi, podczas gdy wielki wiatr szarpał jej ciałem.

Zadżgane dziewczyny. Zastrzelone. Utopione. Uduszone.

Płaczące. Rozpaczające.

Arthur obserwował bezbarwną strużkę śliny ściekającą z ust Janet na jej spódnice. Nie poruszył go rozdzierający smutek tej pięknej dziewczyny. Przeraziła natomiast zdecydowana obojętność własnego serca. Jedyne, co czuł, to lekką zgagę po śniadaniu, która podchodziła mu do gardła. Stało się. Teraz i on był zbrukany tym morderstwem, utopiony w martwej obojętności. Przemoc go nie zraniła - uczyniła go bezdusznym. A to, zrozumiał teraz, było gorsze.

Doprowadziwszy pannę Fry do porządku, Barrow zostawił jej czystą ściereczkę i filiżankę gorącej herbaty. Jego zniknięcie za drzwiami wprowadziło długą chwilę ciszy do gabinetu.

- Proszę mi wybaczyć - odezwała się w końcu Janet Fry. - Ja też ją kochałam. Była impulsywna. Tyle w niej było głębokiego gniewu i nigdy nie dawała się udobruchać rozsądkowi. Ale była zachwycająca, pełna pasji. I czasami chichotała tak, jakby - nie wiem nawet, jak to opisać - jakby życie było jakimś sprośnym żartem i tylko ona to rozumiała. Kiedy zaczęła mówić o bombach... Cóż, wtedy się rozstałyśmy. Nie chciałam brać w tym udziału. „Nikommu się nie stanie krzywda, głuptasie!” - tak mi powiedziała. Ale myliła się. Zawsze komuś robi się tym krzywdę. Od tego są bomby, prawda? Od robienia ludziom krzywdy. Pokłóciłyśmy się. Zostawiłam ją, wsiadłam w pociąg i wróciłam do rodziców w Norwich. Musi pan zrozumieć, byłam zła. Wysyłając

panu tę bombę, była na najlepszej drodze, żeby zniszczyć wszystko, w co wierzyliśmy. To cud, że pana nie zabiła. To było takie głupie... Ale wcześniej pisałam listy. Do pana. Dostał je pan?

Arthur nie odpowiedział, ale jego milczenie było wymowne. Dostawał wiele listów.

- Tak - ciągnęła panna Fry. - Pewnie moje zagięły w zalewie innych. Potrzebna nam była pańska pomoc... Po prostu nie przychodził nam do głowy żaden inny sposób, żeby ją uzyskać! Tak się cieszę, że ta jej głupia bomba nic panu nie zrobiła, to wszystko. Ale byłam zła. Nie odpowiedziałam, kiedy do mnie napisała. Bo co więcej było do powiedzenia? Niemożliwe było przekonać Emily, kiedy się na coś uparła. Nie mogłam jej wtedy powstrzymać. Musi mi pan uwierzyć.

- Nie obchodzi mnie to - oświadczył w końcu Arthur. - Proszę opuścić mój dom.

Janet patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Rozpaczliwie potrzebuję pańskiej pomocy - wyznała.

- Nie obchodzi mnie to.

Teraz spoglądała na niego ze zgrozą i wstrętem, jakich nie widziała nigdy w życiu.

- Przyznaję, nie była ani aniołem, ani świętą, ale była ludzką istotą. I kochałam ją. A teraz została zamordowana.

- Nie obchodzi mnie to - powtórzył Arthur te słowa jak mantrę. Bo do tego właściwie sprowadzały się teraz jego przekonania,

- Ja już wiem, kto ją zabił, doktorze Doyle. Potrzebna mi tylko pańska pomoc, żeby to udowodnić.

- Nie obchodzi mnie to.

- To Millicent Fawcett. To musiała być ona. Zapewne dowiedziała się o naszej grupie, Morrigan. Nie wiem, jak to odkryła, ale musiało się tak stać. I pozabijała nas, jedną po drugiej. Zrobiłaby wszystko, żeby powstrzymać schizmę w ruchu. Była jedyną

osobą, która miała motyw. Kto inny chciałby, żebyśmy wszystkie umarli? A ona z pewnością miała środki. Nasze nazwiska, adresy. Poznał ją pan kiedyś? Spojrzał pan kiedyś w jej oczy? Nie uwierzę, że kiedykolwiek coś czuła. Dla niej wszystko jest taktyką, cały świat jest po prostu reglamentowany przez politykę. Nie uroniłaby łzy, zabijając nas.

- Nie obchodzi mnie to.

- Policja pana zna. Ufa panu. Musi, nieprawdaż? Jest pan człowiekiem ze sfer. Jest pan mężczyzną. Jest pan jedynym wśród nas, który jest w pełni obywatelem. Dla pana złapią mordercę.

- Nie-obchodzi-mnie-to.

Janet Fry wpatrywała się w jego oczy i zobaczyła w nich gniew, jak również niewzruszone postanowienie, żeby go powstrzymywać.

- Kłamie pan - powiedziała. - Obchodzi to pana. Tylko jest pan zbyt wielkim tchórzem, żeby coś z tym zrobić.

Wstała. Powiesiła wystygłą już ściereczkę na oparciu krzesła, skłoniła się i podeszła do drzwi. Z jedną ręką już na klamce odwróciła się jeszcze do Arthura.

- Więc niech pana piekło pochłonie - powiedziała. - Sama wyjdę.

Dopiero po minucie Arthur zdołał wrócić do biurka. Kładąc ręce na jego blacie, poczuł stalowe zgrubienie pod papierami. Rewolwer. Kompletnie o nim zapomniał.

Włożył broń z powrotem do drewnianego pudełka. Z pewnością nie będzie mu więcej potrzebna.

Siedząc już przy biurku, odetchnął głęboko. Wyrzucił z głowy wszelkie myśli o Janet Fry i Emily Davison. Skupił się całkowicie na swoim opowiadaniu wojennym, pułapce szejka i odważnej strategii małego szkockiego pułku, poświęcając swój czas realistycznemu pisarstwu.

ROZDZIAŁ 36

ZAGADKA BEZ ROZWIĄZANIA

*Zagadka, której nie można rozwiązać, być może
zainteresuje badacza, jednak dla zwykłego czytelnika
będzie po prostu irytująca.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
NIEZWYKLE WYDARZENIA NA MOŚCIE THOR

12 stycznia 2010

Doktor Gwen Garber z pewnością była jedną z najmniejszych kobiet, jakie Harold widział w życiu. Siedziała za biurkiem w swoim gabinecie w St John's College i wydawała się jeszcze mniejsza z powodu leżących przed nią stosów książek. Podniosła podbródek, żeby móc oprzeć łokcie na biurku, i popatrzyła w górę na Harolda i Sarah, jak odbywające pokutę dziecko patrzy na krzyż.

- Tak - powiedziała, kiedy Harold i Sarah grzecznie wyjaśnili powód swojego przyjazdu do Cambridge. - Alex Cale był tutaj. Zaledwie kilka miesięcy temu. Przyjechał przeczytać listy Stoke-ra, więc oczywiście przyszedł porozmawiać ze mną. Jestem tu

jedyną osobą, która w ogóle się nimi zajmowała.

- Czy powiedział, czego konkretnie szuka? - zapytał Harold.

- Nie przypominam sobie - odparła doktor Garber, postukując palcem w podbródek. - Ale jestem pewna, że byłby szczęśliwy, mogąc państwu pomóc w poszukiwaniach. To najżyczliwszy z ludzi, naprawdę.

- Alex nie żyje - oznajmił Harold i uprzytomnił sobie, że był to pierwszy raz, kiedy musiał to komuś powiedzieć.

Doktor Garber przyjęła tę informację spokojnie, chociaż może tylko dlatego, że mało go znała. Zamrugwała kilka razy, jak gdyby czekała, aż Harold sprostuje swoje słowa i wyjaśni, że mówił o kimś innym. Ale gdy nic takiego nie nastąpiło, wstrząsnęła się i spuściła wzrok na swoje buty.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Nic nie wiedziałam. Pano-
wie byli... przyjaciółmi?

- Znaliśmy się.

- Kontynuujemy jego badania - dodała Sarah. - Kończymy je-
go pracę.

- In memoriam - uzupełnił Harold.

- Ach, jak to ładnie z państwa strony - stwierdziła doktor Gar-
ber. - Ale to takie smutne. Czy może pan... Czy może pan mi po-
wiedzieć, co się stało? Był chory?

- Został zamordowany - wyjaśnił Harold szybciej, niż zamie-
rzał. Dopiero później przyszło mu do głowy, że chyba powinien
skłamać. Ale jak na ironię nawet prawda była bardziej skompli-
kowana. - No, prawdopodobnie - dodał niezręcznie.

- Cholera? - Doktor Garber jakby zapadła się w fotelu i jeżeli
to możliwe, wydawała się jeszcze mniejsza.

- Im więcej może nam pani powiedzieć o listach i poszukiwa-
niach Aleksa, tym szybciej pomożemy w skończeniu jego książki

- powiedziała Sarah.

Doktor Garber patrzyła na nią przez chwilę. Jak zawsze Sarah była absolutnie przekonująca.

- Dobrze, chodźmy tam. Po drodze wyjaśnię, tyle, ile potrafię.
- Włożyła żółty zimowy płaszcz. - Nasz zbiór listów Stokera - zaczęła - jest dość wyczerpujący. Ale oczywiście Aleksa interesowała tylko jego korespondencja z Arthurem Conan Doyle'em. Byli dobrymi przyjaciółmi. A Conan Doyle napisał szereg sztuk, które klient Stokera, Henry Irving, wystawił w swoim teatrze. Ponieważ Stoker zajmował się zarówno Irvingiem, jak i teatrem, miał oczywiście mnóstwo spraw do omówienia z Conan Doyle'em. Mamy piękny zbiór korespondencji dotyczącej wyłącznie szczegółów systemów opłat, które Bram wymyślił. Trudno orzec zdecydowanie na podstawie tego, co mamy, ale wiele wskazuje na to, że Stoker oszukiwał Conan Doyle'a na wpływach z biletów. Co w gruncie rzeczy jest dość zabawne. Ale to chyba nie jest ta część korespondencji, która państwa interesuje, prawda?

- W normalnych okolicznościach zapewne - odparł Harold. - Ale teraz... Czy wiadomo pani coś o tym, jaki okres Alex studiował? Czy to była jesień 1900 roku?

- Tak... Tak, to chyba to. Cale starał się odtworzyć ich przedsięwzięcia z tego okresu. Stoker pracował nad wystawieniem *Don Kichota* w Lyceum, a jednocześnie pisał kilka opowiadań. Ale myślę, że Cale'a interesowało to, co wiedział na temat działań Conan Doyle'a w tym czasie. W październiku, listopadzie i grudniu.

- To okres, który obejmował zaginiony dziennik - wyjaśnił Harold Sarah, ale to doktor Garber skorzystała z tej informacji.

- Ach, tak - powiedziała. - Coś mi się przypomina. Cale mówił coś o zaginionym dzienniku Doyle'a, że szuka go od lat. „Od

czasu, jak zacząłem studiować sherlockiana”, tak się chyba wyraził. Niezły był z niego numer.

- Czy znalazł w listach coś na temat tego dziennika?

Doktor Garber pchnęła podwójne drzwi do budynku biblioteki i stanęła, przytrzymując ich skrzydła dłońmi, jakby anonsowała przybycie członka rodziny królewskiej.

- Uczciwie mówiąc, nie wiem - odparła po pewnym namyśle. - Nie sprawiał wrażenia zadowolonego, tyle mogę powiedzieć. Wyjechał dość pospiesznie, kiedy skończył. Nie wstąpił nawet, żeby się pożegnać, tyle że przypadkiem spotkałam go na ścieżce, kiedy szłam na wykład. Coś wymamrotał, był bardzo podenerwowany. Można by pomyśleć, że to niegrzeczne, ale ja przez lata napatrywałam się na badaczy i wiem, jacy bywają. Jak grupa aktorek - zawsze nadwrażliwi z powodu takiego czy innego kryzysu.

Harold starał się, żeby samemu nie wyglądać na podenerwowanego. Im więcej doktor Garber mówiła, tym bardziej obiecująco zapowiadały się listy. Wyraźnie ich zawartość miała wielkie znaczenie w dochodzeniu Cale'a. Język trzepotał mu się w ustach, więc zagryzł wargę. Czuł, że jak tylko zobaczy te listy, objawi mu się cała tajemnica...

Ale kiedy dziesięć minut później doktor Garber zostawiła ich samych w podziemnej czytelni rzadkich rękopisów, tak od razu dowiedzieli się niewiele. Zamknięty w wolnym od wilgoci, klimatyzowanym pomieszczeniu Harold położył na niewielkim stole dwa tekturowe pudełka. Oba były zawiązane białym sznurkiem i oznaczone liniowanymi fiszkami z kartoteki z informacją: „STOKER, BRAM. ZEBRANE LISTY”. I jeszcze z latami życia Stokera - na każdym pudełku innymi. Harold przesunął dłońią pod sznurkiem. Miał wrażenie, jakby swoim krótkim palcem wskazującym dotknął damskiej bielizny.

Nie mógł rozwiązać pętelki, więc Sarah pomogła mu swoimi długimi paznokciami. Podrapała sznurek jak kot i pod jej dotknięciem sam spadł z pudełka. Oboje łakomie zanurkowali dłońmi do środka, wyciągając grube pliki papierów zabezpieczonych plastikiem. Każdą stronicę wypełniało wąskie i niemal nieczytelne pismo Brama Stokera, a przeczucanie ich wywoływało w Haroldzie zarazem podniecenie i podziw: milimetry od jego palców znajdowały się brudne ślady pióra samego Brama Stokera.

Gdzie był, kiedy pisał te listy? W gabinecie na... Kensington? Harold pamiętał z dziennika Conan Doyle'a, że dom Stokera był jednym z pierwszych w Londynie posiadających elektryczność. Conan Doyle mówił o wstrząsie, jakiego doznawał, ilekroć odwiedzał Brama pod tymi elektrycznymi żarówkami. Harold trzymał plastikowe kartki bardzo blisko twarzy, wnikając w pociągnięcia pióra. Co mówiły?

Wszystko, jak stwierdził wkrótce, i jednocześnie nic. Podzieliли listy z jesieni 1900 roku, próbując znaleźć te, które były pisane do Conan Doyle'a. Natrafili na krótkie liściki do całej wielopokoleniowej rodziny nadawcy, służalcze do każdej znanej osoby w Londynie związanej zawodowo z teatrem, a nawet pełne skruchy listy do pisarza Halla Caine'a, któremu, jak się wydawało, Stoker był winien znaczną sumę. Ale nie znaleźli nic do Conan Doyle'a - prócz napisanej przez kalkę kopii jedyne go telegramu, jaki Stoker wysłał 1 października 1900 roku. Brzmiał on: „Przyjedź natychmiast. Proszę. B.S.”.

Było to w jednakowym stopniu fascynujące, jak i irytujące. W jakiej sprawie Stoker musiał się tak pilnie zobaczyć z Conan Doyle'em? I gdzie jest odpowiedź Conan Doyle'a? Co ci dwaj zamierzali?

Harold był pewien, że Stoker jest kluczem do wszystkiego, ale

nie umiał odgadnąć, w co wdał się razem z Conan Doyle'em. Jego pierwszą myślą było, że napisali razem opowiadanie, ale to nie wyjaśniało nic z tajemnicy otaczającej ostatnią wskazówkę Cale'a. Czemu go nie ogłosili, nawet jeśli było słabe?

Próbował sobie wyobrazić zaangażowanie Stokera w inne działania Conan Doyle'a w tym czasie. Czy dołączył do przyjaciela podczas jednego z krótkich śledztw dla Scotland Yardu zakończonych niepowodzeniem? Żadne ze sprawozdań w gazetach z tego okresu nie wspomina, żeby Conan Doyle odkrył coś szczególnie ważnego. Badacze sprawdzili nawet archiwa Scotland Yardu, które były dość dokładne. Cokolwiek Conan Doyle tam robił, nie było wiele warte.

Co ciekawe, w jednym z plików Harold natrafił na list zaadresowany do niejakiego inspektora Millera ze Scotland Yardu. Bram dziękował mu w nim za pomoc: „Pańska uprzejma pomoc w Newgate spotkała się z dużą wdzięcznością”. Harold uznał, że to dziwne, ale nie bardzo wiedział, jak to wyjaśnić. Dlaczego Stoker pisał do Scotland Yardu? I o Newgate... Czy to oznaczało, że ktoś był w więzieniu?

Po godzinie ślęczenia nad mało czytelnymi dokumentami większa część entuzjazmu Harolda wyparowała. Nie było tu niczego do Conan Doyle'a ani niczego, co mogło wprawić Aleksa Cale'a w depresyjne odrętwienie.

- Nic, prawda? - zapytała Sarah, odkładając garść listów.
- Dokładnie. Nic. - Harold nie bardzo wiedział, co robić dalej.
- To chyba wszystko, jeśli chodzi o te pudełka.

Mógł tylko przytaknąć. Chociaż coś tu powinno być, tego był pewien. Ale gdzie? Powtarzał w myślach ostatnie słowa z listu Aleksa Cale'a. Potem je wypowiedział:

- „Dawne stulecia mają swoje moce, których nie może zabić zwykła nowoczesność”. Jakie piękne, a zarazem przejmujące i

poetyckie zdanie - „zwykła nowoczesność”. Są takie rzeczy, złe rzeczy, tak dawne, że nawet coś tak małego jak nowoczesność nie jest w stanie ich wykorzenić. Co Cale usiłował nam powiedzieć o Stokerze? Dlaczego wskazał nam jego listy? Co Stoker wiedział... - urwał w pół słowa. Błysk natchnienia w jego głowie był nagły i wyraźny. Jak wtedy w pokoju hotelowym. I Harold po prostu już wiedział. - Nie ma dziennika. - Kiedy wymówił te słowa, prawda stała się jeszcze bardziej oczywista.

- Co masz na myśli?

- Nie ma. Został zniszczony. To musi być to. Jaka inna wiadomość tak by zdenerwowała Cale'a? W liście pożegnalnym nie powiedział, że ma dziennik, tylko że wie, co się z nim stało.

- Więc co się z nim stało? - zapytała Sarah.

- Nie ma go. Nigdy go nie było.

- Nie rozumiem. Wszyscy są zgodni, że Conan Doyle go napisał, prawda? Podobnie tuziny innych tomów.

- Tak. Conan Doyle go napisał, ale potem został zniszczony.

- Dlaczego miałby to zrobić?

- Nie zrobił tego.

- Więc kto go zniszczył?

Harold uśmiechnął się i wskazał listy.

- Bram Stoker.

Sarah zrobiła kwaśną minę. Nie była zadowolona z tej wiadomości. Ale Harold był uradowany. Ogarnęło go podniecenie wynikające z przyjemności rozwiązania zagadki. Ale o ile jego twarz się rozjaśniła, o tyle twarz Sarah pociemniała.

- Skąd Cale o tym wiedział?

- Musi to być w listach. Ale nie w tych. W późniejszych. Rozumiesz? Conan Doyle pisał dziennik. Bram Stoker go ukradł

albo wyrzucił, albo coś w tym rodzaju. A potem on i Conan Doyle musieli wymienić na ten temat listy. Stąd Cale wiedział. „Zwykła nowoczesność” nie zniszczyła starego dziennika Conan Doyle'a. Zrobił to Bram Stoker.

Harold zerwał się i wcisnął dzwonek, żeby przywołać bibliotekarkę. Gdy przyszła, poprosił ją o tom listów następny chronologicznie po tych, które oglądali. Kazała mu wypełnić nowy rewers, co w pośpiechu zrobił.

Teraz nastąpiło piętnaście minut męki, gdy razem z Sarah musieli czekać na dokumenty. Harold chodził maniakalnie tam i z powrotem, założywszy ręce z tyłu. Kiedy spojrzął na Sarah, zobaczył, że jest zatopiona w myślach. Ale coś w jej twarzy - jakiś cień zmartwienia czy rozczarowania - wskazywało, że jej myśli są w nastroju bardzo różne od jego.

Wreszcie bibliotekarka wróciła z kolejnym pudełkiem, zawiązanym takim samym białym sznurkiem.

Minęło mniej niż pięć minut, zanim Harold znalazł to, czego szukał. Chociaż jemu wydawało się, że trwało to znacznie dłużej. Spocone palce ślizgały się po gładkim plastiku, kiedy przerzucał papiery.

Drogi Arthurze - zaczynał się list, który właśnie trzymał w ręku. Twój gniew jest zrozumiały, ale bezpodstawny. Cokolwiek zrobiłem - nie, wszystko, co zrobiłem - zrobiłem w duchu przyjaźni i dobrej woli, jaki panuje między takimi ludźmi jak Ty i ja. Jeżeli nie chcesz mi podziękować teraz, to ufam, że pewnego dnia podziękujesz mi z bram niebios, gdzie jeden święty Piotr szepcze słowa prawdy. Porozmawiajmy o tym osobiście, dobrze? Mogę przyjechać w każdej chwili, jeśli chcesz. B.S.

Następny list znowu poruszał tę kwestię:

Drogi Arthurze. Nie przystoją Ci te gorzkie zniewagi. Ale nie ma powodu, żebyśmy wyrażali swoje przeciwne poglądy w tych listach. Usiądźmy w Twoim gabinecie z butelką brandy, jak tyle razy przedtem, i rozwiążmy tę sprawę. B.S.

Trzeci sugerował jeszcze większe napięcie między mężczyznami niż dwa pierwsze.

Drogi Arthurze, proszę, skończ z tym dziecinnym zachowaniem. Obawiam się, że nie mogę Ci dać tego, czego się ode mnie domagasz. Zostało to spalone w Twoim własnym kominku, od pierwszego „elementarne” do samego końca. A Twoje nieuprzejme i niewłaściwe listy zostały spalone w moim. Proszę, błagam Cię, pozwól mi przyjechać do Ciebie do domu i omówić z Tobą tę sprawę. Daj mi możliwość wytłumaczenia się, a ja również dam Ci taką samą możliwość. B.S.

I to było wszystko.

Harold przerzucił resztę listów, ale w pudełku nie było więcej adresowanych do Conan Doyle'a. Sarah również próbowała coś jeszcze znaleźć, z takim samym rezultatem. Oboje milczeli i oboje uznali, że to wszystko. Że to już koniec tropu.

- Miałem rację - stwierdził Harold, kiedy uspokoił się na tyle, że mógł mówić. - Stoker ukradł dziennik i spalił go w kominku Arthura. Oto stuletnia tajemnica.

- Ale - odparła Sarah - jeżeli tak... to co w nim było? Dlaczego Stoker go spalił?

- Myślę, że się nigdy nie dowiemy - wyznał Harold. - I dlatego Alex Cale się zabił. Ponieważ na końcu powieści kryminalnej, w zakończeniu historii, którą żył, nie było rozwiązania. Więc stworzył

nową tajemnicę nad swoim grobem. Coś, co ktoś inny mógłby zbadać. Napisał słowo „elementarne” na ścianie, bo przeczytał te listy i chciał, żebyśmy to wiedzieli, kiedy je znajdziemy. „Elementarne” nie było początkiem powieści, lecz jej końcem. To pewnie ironiczne, ale kiedy o tym teraz myślę, wydaje się takie oczywiste. Najbardziej poruszającą prawdą, jaką Alex Cale mógł odkryć, nie jest ponura tajemnica ukryta w dzienniku, ale fakt, że dziennika nie ma. Że sekret w nim zawarty będzie sekretem na zawsze.

- To chore - stwierdziła Sarah.

Harold wiedział, że ma rację. Ale jednocześnie całkowicie pojmował rozumowanie Cale'a.

- Conan Doyle napisał: „Zagadka, której nie można rozwiązać, może zainteresuje badacza, jednak dla zwykłego czytelnika będzie po prostu irytująca”. - Zaśmiał się krótko. - Myślę jednak, że Conan Doyle się mylił. W tym wypadku zagadka bez rozwiązania irytuje również badacza.

- Zabił się, żeby zachować tajemnicę? Więc po co te wszystkie wskazówki?

- Zabił się, bo jego życie okazało się porażką. Jego wielkie dzieło nie mogło być ukończone. Nigdy nie miał osiągnąć sukcesu, jakiego pragnął jego ojciec, nie mógł rzucić wychwalanej biografii Conan Doyle'a na jego grób. A skóro i tak miał się zamiar zabić, to czemu nie zasiać ziarna? Nie mógł po prostu powiedzieć wszystkim, że powieść jest skończona... Więc zostawił po sobie prezent. Dla nas. Dla mnie.

W spojrzeniu, jakie mu rzuciła Sarah, dostrzegł złość i smutek.

- Jesteś na mnie wściekła? - zapytał w końcu, bo nie za bardzo wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

- Nie - odparła. - Oczywiście, że nie.

Wstała z krzesła i przeciągnęła się leniwie. Wygięła rękę w łuk nad głową, a potem skrzyżowała je na piersiach i skuliła się na siedzeniu.

- Więc to wszystko? Jesteś pewien? Nie ma dziennika? Spalił go Bram Stoker w kominku Conan Doyle'a?

Harold przeanalizował jeszcze raz w myślach łańcuch zdarzeń i doszedł do wniosku, że wszystko się zgadzało. Było logicznie bezbłędne.

- Tak - powiedział. - To wszystko. - I nagle się przestraszył. - Nie powiesz nikomu? Twój artykuł... Myślę, że Cale nie chciałby... Chciał pozostawić po sobie tajemnicę, którą miał poznać tylko jeden człowiek. Najlepszy. Nie chciał, żeby wszyscy wiedzieli. Chociaż wiem, jak wiele ten artykuł dla ciebie znaczy. Proszę cię.

Sarah jeszcze bardziej się skuliła.

- Oczywiście - powiedziała. - Rozumiem. Nikomu nie powiem. - Włożyła płaszcz. - Twoja tajemnica jest bezpieczna.

Harold również wstał. Tak dobrze było dzielić z kimś zwycięstwo. Z Sarah. Była zagadka, test, i on go rozwiązał. Ale teraz uniesienie zastępowało poczucie pustki. Dlaczego Sarah nie cieszy się razem z nim? Dlaczego doświadcza tego sam?

- Wychodzisz? - zapytał.

- Tak. Skoro to już koniec... Nie ma dziennika, nie ma o czym pisać. Miło było cię poznać. - Wyciągnęła rękę i zanim zdążył zrozumieć, co robi, uścisnęła ją grzecznie.

- Co się stało?

- Do widzenia - powiedziała. - Jesteś naprawdę, naprawdę bystry.

Wzięła torebkę i zapukała w drzwi. Bibliotekarka szybko odpowiedziała i zapytała, czy Harold także wychodzi. Został jeszcze na chwilę, sam, z kłębowiskiem myśli trudniejszych do

rozszyfrowania niż leżące przed nim listy Brama Stokera.

A Kozia Bródka? Czy nadal go szuka? Czy szuka Sarah?

I wtedy zrozumiał, że zagadka bez rozwiązania nie jest denerwująca. Najzwyczajniej doprowadza do szału i stanowi najokropniejsze doświadczenie, jakie znał.

ROZDZIAŁ 37

ŚMIERĆ W RODZINIE

Rzeczy, które robimy źle - chociaż mogą się wówczas wydawać drobne i chociaż przez surowość serca przechodzimy nad nimi lekko - wracają do nas z goryczą, kiedy niebezpieczeństwo każe nam myśleć, jak niewiele zrobiliśmy, żeby zasłużyć na pomoc, a jak wiele, żeby zasłużyć na karę.

BRAM STOKER,
UNDER THE SUNSET

1 grudnia 1900

Telegram brzmiał: „Przyjedź natychmiast. Proszę”. Podpisany był po prostu B.S.

Arthur był zły, mimo to pojechał. Był to rodzaj wiadomości, jakie w jego opowiadaniach Holmes zawsze wysyłał do Watsona, i Bram o tym wiedział. Co za czelność! Wciągać Arthura z powrotem w tę straszną sprawę, nie mając nawet dość uprzejmości, żeby cokolwiek wyjaśnić. To było zachowanie niepasujące do człowieka z klasą Brama, a szczególnie do przyjaciela tego kalibru. „Przyjedź natychmiast”. Na litość boską. Odebrał wiadomość kilka minut po trzeciej i zdążył na pociąg do Waterloo za

pięć czwarta. Stąd trzeba było tylko dwudziestu minut jazdy dwukółką, żeby dojechać do domu Brama przy St Leonard's Terrace w Kensington.

Arthur nie umiał sobie wyobrazić, co było tak pilnego, że Bram postanowił zmusić go do opuszczenia meczu krykieta i przyjazdu do miasta. Z całą pewnością był to drobiazg, oczywiście. Najprawdopodobniej Bram po prostu nie umiał zaakceptować decyzji Arthura o wycofaniu się ze sprawy. Ale żeby tak go kusić... Droczyć się z nim obietnicą wskazówek! To jakby trzymać butelkę taniego dżinu pod nosem zdrowiejącego dyspomańki. Arthur nigdy mu tego nie zapomni.

Oczywiście nie da się też złapać na przynętę. Pojedzie na St Leonard's Terrace i tylko zobaczy, o co Bram robi tyle szumu. A potem wytłumaczy mu, spokojnie i zdecydowanie, że jest w zbyt zaawansowanym wieku na takie szaleństwa. Jeżeli Bram chce kontynuować dochodzenie, Arthur nie będzie stawał mu na drodze. Ale Arthur nie będzie już przesłuchiwał świadków ani wachał zjełczałych plam krwi. Cyrk wyjechał z miasta, a Arthur z niego wysiadł.

Dom pod numerem 18 był większy, niż Arthur pamiętał. Cztery lata wcześniej Bram przeprowadził się spod dziewiętnastki, żeby zyskać dodatkowe piętro. Ale układ w nowym domu odtwarzał stary z dokładnością niemal do ustawienia wazonów w salonie. To było posunięcie w stylu Brama - kosztowne, odrobinę folgujące sobie, ale przeprowadzone starannie i konsekwentnie. Podobno Bram musiał się zapożyczyć, żeby zapłacić za nowe umeblowanie. Niektórzy mówili o sześciuset funtach od samego Halla Caine'a, a inni aż o siedmiuset. Ale to były plotki, a Arthur nigdy nie przywiązywał do nich wagi. Zapytanie zaś o to było nie na miejscu. Wystarczająco dużo wiedzieli o swoich grzechach i niedostatkach, żeby przydawać sobie jeszcze kłopotów.

Kamerdyner rozpoznał go i zanim Arthur zdążył się odezwać, powiedział uprzejmie:

- Proszę tędy, doktorze Doyle. Pan Stoker oczekuje pana - dodał dla większego efektu.

- Myślę jednak, że będzie rozczarowany, kiedy mnie zobaczy - odparł Arthur.

Dom był zarazem ciemny, jak i bogato zdobiony. Niewiele światła wpadało z ulicy, chociaż od południa przylegały doń otwarte parki Szpitala Królewskiego! Arthur pomyślał, że okna są za małe, a może jest ich po prostu za mało. Salon tonął w mroku, który przeobrażał złoto i srebro wystawnego serwisu do herbaty w brąz, a soczyste czerwienie olejnych obrazów w krwawo-brunatne barwy.

Kiedy Bram odwrócił się od biurka, Arthur zobaczył, że właśnie zapala cygaro. Zapałka błysnęła pomarańczowym światłem i szybko zgasła, zdmuchnięta przez przyjaciela. Dym z cygara uniósł się w ciemność nad ich głowami.

- Nie obchodzi mnie, co mi masz do powiedzenia - zaczął Arthur. - W najmniejszym stopniu nie interesuje mnie, kto zabił Emily Davison.

Bram tylko wpatrywał się w niego.

- No dobrze - oznajmił w końcu. - Dziękuję, żeś mi to uprzytomnił. Ale nie dlatego cię tu poprosiłem.

- Och - wydukał zaskoczony Arthur.

Nie przyszło mu do głowy, że Bram może go zaprosić po to, by porozmawiać o czymś innym niż morderstwa.

- Oscar nie żyje.

Trochę trwało, zanim Arthur zrozumiał, o kim Bram mówi.

- ...Wilde? - zapytał niezręcznie.

Bram przytaknął. Któżby inny?

Arthur usiadł w pluszowym fotelu. Pozwolił ciału zapaść się weń, jakby nurkował tyłem z klifu.

- Gdzie? - zapytał. - Kiedy?

- W Paryżu. Wiedziałeś w ogóle, że tam był? Ja nie. Mieszkał dwa lata w Hotelu d'Alsace. Nigdy nie posłałem mu listu ani nawet marnego słówka. A ty? Cóż, nie. Oczywiście, że nie. Umarł wczoraj. Florence dostała dziś rano depezę i poinformowała mnie. - Bram westchnął. - Od kiedy wyszedł z więzienia, nie mieliśmy dla niego jednego dobrego słowa, nieprawdaż? Zostawiliśmy biedaka, żeby się zapił i załajdaczył na śmierć na kontynencie.

Arthurowi nie podobało się oskarżenie zawarte w tonie Brama.

- A co mieliśmy zrobić? - zapytał. - Oscar miał... Skłonności. Nieodparcie pociągał go grzech. To tragedia, że taki wielki człowiek upadł tak nisko z powodu występku. Ale łajdakiem jest tu występki, nie ty i ja.

- Występek? - powtórzył Bram. - Uważasz, że to go zabiło? Nie. Występek jest czymś, czego przy zachowaniu umiaru można nie zauważać, ale nadużywany staje się straszny. Morfina w uncjach jest wspaniała, ale w galonach jest występkiem. Zdrowe pożądanie własnej żony to cnota. Ale kompulsywne pożądanie innej, cóż, to występki, który zaszkodzi.

Bram patrzył mu prosto w oczy i Arthur zastanawiał się, czy robi aluzję do Jean. Czy go osądza?

- Nie - ciągnął Bram. - To nie występki zabił Oscara. To samotność.

- Pamiętasz ten wieczór, kiedy go poznałem? - zapytał Arthur.
- Na kolacji w hotelu Langham? Czekaj, nie, ciebie tam nie było. Gospodarzem był Joseph Stoddart z wydawnictwa Lippincott. Dla mnie to był złoty wieczór. Oscar był tak szaleńczo zabawny i powiedział mi, że podziwiał moją twórczość. Stoddart zamówił powieści u nas obu. Wiedziałeś o tym? Tego samego wieczoru. Oscar napisał „Portret Doriana Graya”, a ja - „Znak czterech”.

- A potem - dodał Bram - poszedł do więzienia, a ty na audiencję do królowej. Och, zupełnie zapomniałem zapytać: czy twoje szlachectwo już nadeszło?

- To nie jest takie proste. Nie zamknęli go w więzieniu z powodu „Portretu Doriana Graya”, a „Znak czterech” nie jest bezpośrednią przyczyną przyznania mi szlachectwa, co do czego wszyscy są pewni. Był cały szereg pośrednich kroków. Obraliśmy różne drogi, rozumiesz?

- Tak, Arthurze, rozumiem.

Siedzieli przez długie minuty w ciszy. Bram palił cygaro, a Arthur pozwolił myślom dryfować. W wypadku Oscara najlepiej pamiętało się kolacje. Z niektórymi chętniej spędzało się popołudnia lub uprawiało sport. Ale Arthur zawsze będzie pamiętał Oscara przy kolacji. Każda głowa odwrócona w jego stronę, czekająca na nowy żart, na nowe skandaliczne i doskonałe oświadczenie. Arthur pamiętał jego słowa, ale pamiętał również, jak Oscar karmił się uwagą i śmiechem. W cztery oczy był jedynie dowcipny, ale w grupie dwunastu osób był oszałamiający.

- Ciemno się robi - stwierdził nagle Bram.

Arthur musiał przyznać, że rzeczywiście. Bram wstał i poszedł do małego przełącznika przy drzwiach. Przekręcił go i pokój eksplodował.

Przynajmniej tak się wydawało Arthurowi, dopóki jego oczy nie przystosowały się do blasku. Kiedy oślepiająca biel ustąpiła i Arthur ponownie zaczął rozróżniać kolory, zauważył w kinkietach i miniaturowym żyrandolu żarówki elektryczne. Sześciocalowe szklane rurki świeciły taką bielą, jakiej Arthur nigdy przedtem nie widział.

- Och, zaskoczyłem cię? - zapytał Bram. - Zainstalowałem je latem. Są mniejsze niż te na ulicach. Do użytku prywatnego. Strasznie drogie, mówię ci, ale popatrz! Czuję się, jakbym wydmuchiwał dym z cygara w same chmury!

Dla zilustrowania swoich słów Bram wypuścił solidny obłok dymu w stronę jednego z kinkietów. Wydawało się, że dym zapalił się od blasku.

Arthur zamrugał, starając się wymazać czerwone i pomarańczowe punkciki, które pojawiły się przed jego oczyma. Gdy jego wzrok się uspokoił, ponownie przyjrzał się salonowi Brama.

Pomyślał, że dawniej ten pokój wyglądał jak rysunek Michała Anioła, teraz zaś bardziej przypominał średniowieczne malowidło. Czerwień była czystą czerwienią, a niebieski - czystym niebieskim. Cienie krzeseł odcinały się ostrymi czarnymi liniami od złocistych perskich dywanów. Wszystko było czyste, widoczne i nieruchome. Soczyste i straszne szarości i brązy światłocienia lamp gazowych usunęła brzytwa elektryczności.

- Istny cud - stwierdził Arthur, ale w jego głosie słychać było nutę wahania.

- Najzupełniej - przyznał Bram. - Coś jednak ci w tym przeszkadza.

Arthur rozejrzał się wokół i poczuł, że dryfuje w oślepiającym blasku nowej gwiazdy postępu.

- Nie umiem tego dokładnie wyjaśnić - powiedział. - Ale jakoś to mnie zasmuca.

- Więc ty też to czujesz?

- Nie bardzo wiem, co masz na myśli.

- To koniec epoki - stwierdził Bram. - I początek nowej. Dwudziestego wieku. Dziwnie to brzmi, prawda? Kalendarze już się zmieniły. A teraz straciliśmy Oscara. Nawet Wiktoria nie może trwać wiecznie, chociaż z pewnością ma zamiar spróbować.

- Cicho! Nie mów tak.

- Och, daj spokój. Edward nie będzie taki zły. Poczekajmy, zobaczymy.

- Ale tym, co mnie smuci - odparł Arthur - nie jest mijający

czas, lecz dziwna świadomość, że to się dzieje. Jesteśmy przyzwyczajeni do analizy historii z perspektywy czasu. To uczeni kreślą linie, oddzielają jeden okres od drugiego. Czy Konstantyn wiedział, że panuje nad czymś więcej niż zlepkim krain? Czy Newton wiedział, że pojawił się na fali rewolucji niczym Afrodyta na swej muszli? Czy byli oni świadomi siebie i zmian rzeczywistości tak jak my? Ale masz rację - ciągnął. - Jak można czuć palenie w oczach od elektryczności i jednocześnie nie dostrzegać ewidentnie dziejącej się historii. Bram się uśmiechnął.

- „Ewidentnie dziejącej się historii” - powtórzył, smakując słowa. - Podoba mi się to. - Umilkł, przyglądając się Arthurowi z ciekawością. - Wróciłeś do pisania? Pracujesz nad nowymi opowiadaniem?

- Tak - przyznał Arthur niepewny, do czego zmierza Bram.

- Zawsze wtedy stajesz się troszkę bardziej poetycki w zwykłej rozmowie. Ale zauważyłem to dopiero po latach. To naprawdę urocze.

Bram wstrzymał oddech i podrapał się w brodę. Arthur czuł, że przyjaciel przygotowuje się do poruszenia jakiegoś delikatnego tematu.

- Holmes?

- O, ty też, tylko nie to! - obruszył się Arthur. - Dostyc mam nękania na jego temat ze strony wydawców. Nie, nie pisałem o Sherlocku Holmesie.

- Skoro tak mówisz. Pomyślałem tylko... Hmm, jak to ująć? Nie było człowieka, który czuł „ewidentnie dziejącą się historię” bardziej niż Sherlock Holmes.

- Nie będę więcej o nim pisał, rozumiesz? Myślałem, że powiedziałem to zupełnie jasno.

- Nie obchodzi mnie to - odparł Bram. - Chociaż z czasem

znów zaczniesz. Jest twój, dopóki śmierć was nie rozłączy. Myślę, że zawsze wiedziałeś, że musi wrócić. Ale niezależnie od tego, kiedy weźmiesz w tym celu pióro do ręki, nie doprowadzaj go tutaj. Nie wprowadzaj Sherlocka Holmesa w świat elektryczności. Pozostaw go w tajemniczym i romantycznym migotaniu lampy gazowej. On tego nie zniesie, rozumiesz? Ten blask go roztopi. Był człowiekiem naszego stulecia bardziej niż Oscar albo my. Zostaw go tam, gdzie jego miejsce, w ostatnich dniach minionego stulecia. Bo za sto lat ja nie będę nikogo obchodził. Ani ty. Ani Oscar. Oscar przestał nas obchodzić lata temu, a byliśmy, do cholery, jego przyjacielami. Nie, ludzie będą pamiętać opowiadania. Będą pamiętać Holmesa. I Watsona. I Dorianą Graya.

- A twój hrabia? Jak on się nazywał? Z... - Arthur zawiesił głos, próbując sobie przypomnieć.

- ...z Transylwanii - podsunął Bram, kiedy stało się jasne, że wysiłki Arthura na nic się nie zdadzą. - Pochodził z Transylwanii. Nie, nie będą go pamiętać. Nie zainspirował wyobraźni narodu jak twój Holmes. Był moją wielką porażką. - Bram zaśmiał się gorzko. - Hrabia jak-mu-tam.

- Przykro mi, Bram - powiedział Arthur. - Naprawdę. Wiem, ile w tej powieści jest twojej krwi. I uważałem, że jest świetna. - Zamilkł na chwilę. - Czy to dlatego śmierć Oscara tak cię zdruzgotała?

- Chyba tak. Potraktowaliśmy go jak kawałek papieru, który ostatecznie zawsze trafia do kosza. Ale zawsze będziemy cenili opowiadania. Przynajmniej opowiadania Oscara pozostaną dla potomności. Co zostanie po mnie?

- „Człowiek jest niczym, jego dzieło - wszystkim”. To chcesz powiedzieć?

- Tak. - Bram zamilkł. - To Flaubert, prawda?

- Tak.

- I ciągle pamiętamy. - Bram znowu zaśmiał się gorzko.
- Moje opowiadania - powiedział Arthur - dedukcja jako nauka, rozumujący detektyw... - to wszystko bzdury.

Bram się uśmiechnął.

- Wiem - powiedział. - Dlatego są nam potrzebne.

To zastanowiło Arthura.

- Posunąłem się do przodu - zaznaczył po długiej przerwie. - Pracuję nad realizmem. Historia.

- Realizm - powtórzył Bram. - Realizm moim zdaniem jest ulotny. To romantyzm będzie żył wiecznie.

- A co ze mną? Czy moje nazwisko przetrwa?

Twarz Brama przybrała kwaśny wyraz.

- Nie wiem, przyjacielu. Tyle mogę powiedzieć: światu nie jest potrzebny Arthur Conan Doyle. Potrzebny mu jest Sherlock Holmes.

- Nie! - wykrzyknął Arthur nagle. - Nie. Jestem lepszy od niego, nie rozumiesz? Nie zawstydz mnie. Przeżyję go, przyćmię.

- Arthurze...

- Powiadasz, że o Wildzie już zapomniano? Że wszyscy zmierzamy do grobu? Psiakrew, nie. Nie pozwolę Holmesowi zwyciężyć.

- On nawet nie istnieje! - przypomniał Bram, ale nie odniosło to skutku.

- A zabójca Emily Davison? - zapytał Arthur. - On istnieje. I zapędzę go do grobu, zanim odkopię tego cholernego Holmesa. Holmes nie uratuje Emily Davison. Ja to zrobię.

- Arthurze - odezwał się Bram cicho. - Nikt nie uratuje Emily Davison. Ona nie żyje.

Arthur zamilkł, oniemiały, mrugając pod elektrycznymi światłami.

ROZDZIAŁ 38

SZCZUPAK

...pewność jest zawsze lepsza od niejasnych przypuszczeń.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
ŻÓŁTA TWARZ

15 stycznia 2010

Harold dąsał się przez trzy dni, płynąc przez kolejne szklanki burbona i wilgotną mgłę Cambridge. Wiedział, że powinien wyjechać. Powinien wyjechać z Cambridge, bo nie ma tu już czego szukać. Ale wyjazd z Cambridge oznaczał powrót do Londynu, zajęcie miejsca w samolocie na Heathrow i lot na zachód, poza miejsce zbrodni w Nowym Jorku, aż do dwupokojowego mieszkania w Los Angeles. W sekundzie, w której opuści Cambridge, powróci prawdziwe życie, minuta po minucie, aż stanie na progu własnego mieszkania, na brudnej wycieraczce z napisem: „Witajcie”, przekręci klucz, zamknie się w środku i będzie tak, jakby nic się nie zdarzyło. Ta straszna myśl była nie do zniesienia.

Powinien wysłać wiadomość Sebastianowi, to także wiedział. Nadal przecież dla niego pracował i powinien go zawiadomić,

że dochodzenie, za które zapłacił, dobiegło końca. Dziennik spłonął ponad sto lat temu i nikt - nawet on - nie będzie mógł czerpać z niego korzyści. Ale Harold czekał. Bo jeśli zadzwoni do Conan Doyle'a, jeśli wyśle mu e-mail, będzie o krok bliżej końca tego wszystkiego.

Niezależnie jednak, czy się z tym godził, czy nie, to był koniec. Nie można go było odsunąć nawet za pomocą alkoholu ani bezcelowych spacerów po uniwersyteckich ogrodach. Nie można go było odsunąć sprawdzaniem wiadomości i zastanawianiem się co minuta, czy Sarah kiedykolwiek zadzwoni.

Więc jeszcze raz przeczytał listy. Nie dlatego że uważał, iż coś pominął - ale dlatego że był to jedyny powód, by nie wyjeżdżać. Siedział więc w klaustrofobicznej czytelnicy, w tym samym wolnym od wilgoci pomieszczeniu, co wcześniej z Sarah. I myślał o tym, jak wstała, wzięła płaszcz, powiedziała coś uprzejmego i wyszła.

Nie wiedział, dokąd się udała ani nawet skąd była. Wiedział o niej naprawdę niewiele. Tak jak reszta tej przygody Sarah pozostanie tajemnicą, którą zachowa dla siebie. Powodem do dumy, którego nie będzie mógł dzielić z nikim.

W Szczupaku, starym pubie przy Magdalene Street, spędzał teraz więcej czasu niż w pokoju hotelowym. Był niedaleko, poza tym raczej omijali go hałaśliwi i wiecznie flirtujący studenci. Harold mógł się więc zajmować w nim sobą i kilkoma książkami, które znalazł w księgarni przy tej samej ulicy. To nie był Holmes. To nawet nie były powieści detektywistyczne. Musi na jakiś czas odpocząć od kanonu. Co dziwne, nieprzyjemna myśl, że nigdy nie pozna tajemnicy ukrytej w dziennikach, dręczyła go mniej niż świadomość, że jego dochodzenie dobiegło końca. Dokuczala mu melancholia, że odpowiedzi nadeszły tak szybko i że wyglądały

na ostateczne. Harold nie tęsknił za rozwiązaniami, lecz za pytaniami. Chciał jeszcze.

Zrozumiał, że nawet po przeczytaniu wszystkich opowiadań nie jest przygotowany na tę chwilę - na spokojne dni po punkcie kulminacyjnym, kiedy świat idzie dalej. Przeczytał tysiące tysięcy opisyw momentów objawienia, wielkich gestów wyjaśnienia, które mocno zszywały i utwardzały rozdartą tkankę życia. Przeczytał tysiące szczęśliwych zakończeń i tysiące smutnych i był zadowolony z obu. Tym, czego nie znalazł w żadnej książce, jak sobie teraz uświadomił, były momenty po zakończeniach. Skoro Harold wierzył w te opowiadania, ponieważ przedstawiały zrozumiały świat, to, co się dzieje, kiedy rozumie się świat, a to zrozumienie nie znaczy nic dla nikogo poza tobą - z pustą szklanką po burbonie w rękę? Harold wiedział, że niezalezienie rozwiązania byłoby okropne, ale nie sądził, że znalezienie go - i życie z tym faktem - może być gorsze.

Jedno określenie stale przebijało się przez jego pijackie smutki: tani kryminał. Nie mając z kim się pośmiać, Harold zaśmiał się do siebie. Było ono znacznie trafniejsze, niż myślał - ponieważ historia, którą teraz przeżywał, okazała się przelotna, płytka i tandetna. Błysk magii, która była rozrywką dla głupich i naiwnych. Opowieść za pensa, ale niewarta nawet tyle.

Klepnięcie w ramię nadeszło, kiedy sięgał po precle do plastikowej miseczki. A raczej seria klepnięć - raz, dwa, trzy - poniżej łopatki. Odwrócił się i nie zobaczył za sobą nikogo. Dziwne. Ale zaraz usłyszał kaszlnięcie i spojrzął w dół - na wpatrującego się weń... gнома w czarnym hełmie. Przelknął ślinę, zamrugał i rozpoznał twarz doktor Garber. Uśmiechnęła się.

- Harold! - przywitała się, jakby była naprawdę zadowolona, że go widzi.

- Cześć - odparł.

Naprawdę nie był teraz w nastroju do rozmowy. Ale gdy odwrócił się do swojego drinka, usłyszał:

- Gdzie pana przyjaciółka? Sarah?

Widać zrobił to zbyt delikatnie.

- Nie ma jej. Musiała... Musiała wyjechać.

Był za bardzo zmęczony, żeby wymyślić lepszą wymówkę. W dodatku nigdy nie umiał kłamać. Doktor Garber zmarszczyła brwi.

- Sprzeczka kochanków? - zapytała tonem żartobliwie współczującym i spojrzała na niego z troską.

- Niezupełnie.

- Jestem pewna, że się pogodzicie - pocieszyła go, wskakując na sąsiedni stół.

Harold nie przypominał sobie, żeby ją zaprosił.

- Podobacie mi się. Ładna z was para.

Nie odpowiedział, tylko kiwnął kilka razy głową i pociągnął trochę burbona. Doktor Garber popijała coś przezroczystego i musującego, najpewniej dżin z tonikiem. Zrozumiał, że nie odejdzie, i uznał, że najlepiej będzie, jeśli przynajmniej zmieni temat.

- Dzięki za pomoc przy listach - powiedział. - Chyba znaleźliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy.

- Wspaniale! Jesteście w drodze do zaginionego dziennika Conan Doyle'a, o którym mówił Cale?

- No... nie. - Niemówienie o tym wymagało jednak większego wysiłku niż mówienie. - Dziennik został spalony. Zrobił to Stoker w 1900 roku. Mówi o tym Conan Doyle'owi w jednym z listów.

- Hm - zamyśliła się doktor Garber. - I to w tej sprawie chciał się spotkać?

- Spotkać się?

- Tak. Stoker. Ciągle starał się zaaranżować spotkanie. Sama się zawsze nad tym zastanawiałam. Widział pan notatki sekretarki

Stokera w Lyceum? Nawet ona przez kilka miesięcy naciskała - pod pretekstem jakichś kwestii finansowych - na Conan Doyle'a, żeby zechciał z nim pogadać.

Harold zmarszczył brwi. Nie widział żadnej korespondencji między sekretarką Stokera a Conan Doyle'em.

- Czy te listy też są w pudłach?

- Och, teraz, gdy pan o to spytał, to stwierdzam, że chyba nie. Nie były pisane osobiście przez Stokera, więc przechowywane są gdzie indziej. Zapomniałam, do którego uniwersytetu je przekazano, ale na pewno znajdują się w jakimś mniejszym zbiorze dokumentów Stokera. Może w Austin. Wszystkie napisała sekretarka do sekretarki Conan Doyle'a, więc są w gruncie rzeczy mało interesujące. Głównie o zaległych płatnościach dla Conan Doyle'a i o tym, że rozmaici jego przyjaciele dostaną odpowiednie miejsca... Jeśli jednak się nie mylę, przez całą jesień i zimę 1900 roku panie próbowały umówić spotkanie panom.

- Spotkanie?

- Tak.

W tej chwili Harold dobitnie poczuł działanie burbona w swoim organizmie i po raz pierwszy od wielu dni postanowił mu się przeciwstawić. Przez ostatnie dwie doby alkohol skutecznie niweczył wszelkie jego racjonalne myśli, ale teraz Harold chciał myśleć. I to myśleć jasno.

- Gdzie? - spytał wolno, gdyż bał się odpowiedzi.

- Gdzie Stoker chciał się spotkać?

- Tak. W listach, które ja czytałem, Stoker wspomina, że chce przyjść do domu Conan Doyle'a, do jego gabinetu. Wtedy nie wydało mi się to godne uwagi, ale... O Jezu... Proszę spróbować sobie przypomnieć, czy sekretarka Stokera sugerowała jakieś konkretne miejsce? Na przykład gabinet Conan Doyle'a?

Doktor Garber wyglądała na zaskoczoną nagłym atakiem do-
ciekliwości Harolda.

- Nie jestem pewna - odparła, upijając łyk przezroczystego
drinka i próbując skwitować uśmiechem powagę Harolda. - Czy
to ma znaczenie?

- Wiemy, że Conan Doyle zawsze pisał w swoim gabinecie i
tam też trzymał dzienniki. Wiemy również, że Stoker był zaangażowany
w zniknięcie jednego woluminu, bo inaczej Conan Doyle
nie sugerowałby, że to on go zabrał. Poza tym pisarz dopóty nie
był świadom, że dziennik został zniszczony, dopóki Stoker mu o
tym nie powiedział w liście. Czyli Doyle na pewno nie wszedł do
gabinetu w momencie, gdy dziennik się palił. Stoker musiał więc
być sam, kiedy go kradł. A może w rzeczywistości wcale go nie
zniszczył?

- Czemu? Przecież próbował się go pozbyć? - zapytała doktor
Garber.

- Nie wiem - przyznał Harold. - Może nie miał czasu. Bo Co-
nan Doyle na przykład wrócił już do gabinetu. Coś go musiało
powstrzymać.

- Co by z nim zrobił, gdyby go nie spalił?

- Schowałby go - powiedział Harold. - Schowałby w gabinecie
Conan Doyle'a.

- Listy! - wykrzyknęła doktor Garber, a jej twarz się rozjaśni-
ła. Weszła w rolę o wiele szybciej niż Sarah, to pewne. - Uważa
pan, że dlatego Stoker tak strasznie chciał się spotkać z Conan
Doyle'em osobiście! Żeby znowu znaleźć się w gabinecie.

- Tak - odparł Harold. Rozumowanie doktor Garber zrobiło na
nim wrażenie.

Podniecenie przenikało Harolda, wywołując mrowienie w
każdym centymetrze ciała. Czy się łudzi? - zastanawiał się. Czy
oszukuje siebie, że to nie koniec tajemnicy i jest jeszcze coś do

zrobienia? Ale zaraz zrozumiał, że to nie miało znaczenia. Niezależnie od tego, czy wskazówka była prawdziwa, czy też wymyślona na podstawie połowicznie zapamiętanego fragmentu zupełnie nieciekawego urzędowego listu sprzed stu lat, czy to nie był dobry powód do tego, żeby iść dalej?

Jednym haustem dopił burbona.

- Wygląda na to, że to wystarczy, żeby iść dalej - powiedział.

- Ale dokąd pan chce iść? Nawet jeśli Stoker rzeczywiście schował dziennik w gabinecie Conan Doyle'a w 1900 roku, jak go pan teraz odnajdzie?

Harold wstał i wziął płaszcz.

- Nie wiem, ale chętnie spróbuję - powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha.

ROZDZIAŁ 39

DRUKARZ

Nie myślę, że powinnaś mieć jakiegokolwiek obawy co do Sherlocka. Nie mam poczucia jakiegokolwiek osłabienia własnych możliwości, a moja praca jest nie mniej sumienna niż dawniej'(...). Zobaczysz, że Holmes nigdy nie umarł i że teraz jest bardzo żywy.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
FRAGMENT LISTU DO MATKI, KWIECIEŃ 1903

3 grudnia 1900

Rozmowa, który wyprowadziło Arthura z domu Brama we wtorek i przywiodło do witryny drukarni Stegler & Synowie na Strandzie w czwartek, było całkiem proste. W zasadzie, kiedy Arthur wszedł na ganek drukarni, był naprawdę zdziwiony, że dojdzie tu zajęło mu tyle czasu.

To prawda, zbaczal z drogi podczas dochodzenia. Kiedy opuściwszy gabinet Brama, postanowił ponownie otworzyć sprawę, nastąpił okres niepewności i niepokoju co do własnych możliwości dedukcji. Skoro jednak mimo to postanowił odnaleźć mordercę Emily Davison, jak się do tego zabierze?

Wyłożył fakty na stół. Wyglądały następująco: jakiś mężczyzna, o którym wiedział jedynie, że jest wysoki, w długim czarnym płaszczu i mówi wysokim głosem, zaproponował małżeństwo dwóm członkiniom Morrigan - Sally Needling i tajemniczej Annie - a następnie poślubił je i zamordował. Popenił te zbrodnie w odstępie kilku miesięcy, a oba śluby zostały zawarte w tajemnicy. Należało przyjąć, i Arthur zrobił takie założenie, że tajemnica ta obowiązywała nawet w relacjach między młodymi kobietami. Kilka miesięcy później ten sam mężczyzna zakradł się do domu Emily Davison i bestialsko zatłukł ją na śmierć. Dziwne, pomyślał Arthur, ale ta zbrodnia nie pasuje do wzoru poprzednich. Czy najpierw zabiegał też o względy Emily? Nie umiał jednak sobie wyobrazić, żeby ta dziewczyna, jak jej koleżanki, uległa jego urokowi, kimkolwiek był. Więc kim on jest?

Spędził przedpołudnie, zastanawiając się nad podejrzeniami Janet Fry co do Millicent Fawcett, ale im dłużej o tym myślał, tym mniej przekonujące wydawały mu się jej argumenty. Przede wszystkim pan młody. Owszem, Fawcett mogła zatrudnić współnika, ale nawet gdyby miała tak mordercze zapędy - a na pewno trudno było w to wierzyć, zobaczywszy jej wystąpienie na spotkaniu sufrażystek - to czy wybrałaby aż taką przemoc?

Tych morderstw dokonał mężczyzna, Arthur był tego pewien. Wiedział bowiem coś, czego nie wiedziała Janet. Patrzył na zakrwawione, pobite ciało Emily Davison i widział wściekłość, którą na nie przelano. Tylko mężczyzna, który nienawidzi kobiet z pasją, jaką Arthur ledwie umiał sobie wyobrazić, mógł się dopuścić takiej przemocy.

Arthur miał niewiele wskazówek dotyczących jego tożsamości. Ale bardziej niż na nie i dowody liczył na rozsądek. Morderca musiał znać wszystkie trzy dziewczyny, co oznaczało, że najprawdopodobniej wiedział o ich tajnej organizacji.

Śmierć dwóch mogła być zbiegiem okoliczności, ale nie trzech. Lecz ta znajomość była dosyć powierzchowna, gdyż w przeciwnym razie trudno by im było utrzymać w tajemnicy swoje zaręczyny z nim. Nie mógł być ich przyjacielem w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale miał z nimi kontakt.

Minęło zaledwie kilka krótkich godzin i Arthur znalazł odpowiedź, spojrzawszy w skupieniu na jedyną pamiątkę po tym dochodzeniu - ulotkę wydrukowaną na tanim papierze z wizerunkiem trójgłowej wrony.

Miał ją w kieszeni, kiedy stanął przed wejściem do drukarni Stegler & Synowie. Mówiąc uczciwie, to była szósta drukarnia, którą odwiedzał tego dnia. Ale od momentu otwarcia drzwi i wejścia do pełnej hałasu fabryki miał nieodparte wrażenie, że znalazł to, czego szukał. Wielkie prasy szczękały metalicznie, produkując - arkusz za arkuszem - książki, ulotki i plakaty. Arthur spojrział na nie i pomyślał o szatańskich młynach Blake'a. To zabawne, że służą dostarczaniu informacji; ślą w świat drukowane słowo. Bo było coś groźnego w każdym klaśnieciu ich o papier. Nieustępliwe uderzenia przywodziły na myśl ciało Emily, wbijane cios za ciosem w podłogę.

Ale podejrzania Arthura umocniły się dopiero, kiedy powitał go pracownik drukarni - nie więcej niż dwudziestoletni chłopiec, który wyszedł zza maszyny. Uniósł głowę do światła i Arthur zobaczył najpiękniejszą męską twarz, jaką kiedykolwiek widział. Blond włosy opadały mu delikatnie na czoło, ku lśniący niebieskim oczom i kształtnemu nosowi. Nawet Arthur, którego raczej trudno było uznać za znawcę męskiej urody, był zaskoczony. Chłopiec uniósł ręce w geście powitania i Arthur zobaczył, że jest w poplamionych farbą drukarską rękawiczkach. Również jego koszula była poplamiona, a kiedy Arthur podszedł bliżej, dostrzegł nawet plamkę fioletowej farby na nieogolonym podbródku chłopca.

- Czym mogę służyć? - zapytał delikatnym głosem.

- Przepraszam za ręce, uściskałbym pańską dłoń, ale boję się zniszczyć panu ubranie.

Arthur był oczarowany. A uświadomiwszy sobie, jak dalece jest oczarowany, poważnie się przestraszył. Wiedział, że musi działać ostrożnie. Nie spuszczał więc oczu z brudnych rękawiczek chłopca, wyjął z kieszeni ulotkę.

- Dzień dobry - powiedział. - Wymienimy uścisk dłoni kiedy indziej. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - Szukam drukarza tej ulotki. Czy mogła być zrobiona tutaj? To było kilka miesięcy temu.

Zbliżył obraz trójgłowej wrony do światła. Chłopiec spojrział na niego z kamienną twarzą. Jeśli go poznał, nie okazał tego.

- Co to jest? - zapytał.

- A bo ja wiem - odparł Arthur.

- To dlaczego pan o to pyta?

Arthur się zastanowił. Tak. Chłopak udaje głupiego, ale niezbyt dobrze mu to idzie. Jak więc do niego podejść? Na pewno nie jak detektyw, rozumował, ani członek Scotland Yardu. Zgadzał, że młodzieńcowi potrzebne jest życzliwe ucho.

- Jakieś cholerne ladacznice zostawiają je w moim sklepie - powiedział. - Jestem rzeźnikiem, z East Endu. Położyłem trochę literatury na wystawie i chyba im się to nie spodobało. Więc teraz, gdzie się nie obrócę, pojawiają się te piekielne obrazki. Znalazły nawet moje mieszkanie i zostawiły ich tam kilka. Okropne, nie uważa pan? Chcę, żeby te cipy ukarano. - Ostatnie słowa pozostawiły gorzki smak w ustach Arthura, ale wiedział, że musi uruchomić wściekłość tego chłopca, musi do niej dotrzeć. Zanim zapadnie wieczór, będą braćmi w mizoginizmie.

Chłopiec znów się uśmiechnął i zdjął rękawiczki. Położył je na jednej z maszyn drukarskich i wyciągnął czystą dłoń w geście powitania.

- Mam na imię Bobby - przedstawił się. - Bobby Stegler. To zakład mojego taty, ja tylko pomagam.

Arthur uściśnął mu dłoń.

- Andrew - powiedział. - Andrew Greenleaf. Miło mi pana poznać.

- Więc pan zna te dziewczyny?

- Niestety nie do końca - odparł Arthur. Puścił rękę Bobby'ego i spojrzął na niego z żartobliwą podejrzliwością. - Powiedzmy, że jestem gotów się założyć, że wie pan o nich trochę więcej, niż pan zdradza, nieprawdaż?

Bobby Stegler opuścił głowę, zmieszany.

- Gdybym powiedział, że drukowałem ten papier i że wiem to i owo o ich organizacji, miałby pan mi to za złe?

- Nie, jeśli się dowiem, kim są.

- Bandą podżegaczek w gruncie rzeczy, agitatorkami nawołującymi - da pan wiarę? - do przyznania kobietom prawa wyborczego.

- Tak, tyle zdążyły mi powiedzieć.

- To byłby upadek imperium - oświadczył Bobby Stegler.

Arthur mocno klepnął chłopca po ramieniu.

- Nareszcie człowiek, który myśli rozsądnie! - zawołał. - Boję się, że ich hasła stały się ostatnimi czasy bardzo popularne.

- Dlatego trzeba coś z tym zrobić - stwierdził Bobby.

Arthur spojrzął chłopcu prosto w oczy. Nadszedł czas, żeby zobaczyć, co w nim siedzi.

- I zrobi pan to? - zapytał. - Zrobi pan z tym coś?

Chłopiec uśmiechnął się filuternie.

- Kiedy te dziewczyny były ostatnio u pana w sklepie? - zagadnął, mocno akcentując ostatnie słowo.

Arthur nie wiedział, do czego zmierza.

- Przyznaję, że ostatnio nie zachodziły. Miał pan może z tym coś wspólnego?

- Nie wiem, co pan ma na myśli - odparł chłopiec i umilkł, jakby czekał, że Arthur coś powie.

- Gdyby miał pan zamiar się nimi zająć - powiedział Arthur - miałbym dla pana parę rąk do pomocy.

- Proszę powtórzyć, jaki sklep pan prowadzi?

- Zwykły rzeźnicki, tak jak mówiłem.

Teraz chłopiec klepnął po ramieniu jego, ale mocniej, bardziej zdecydowanie. W tym uderzeniu czuć było dużą siłę.

- Och, niech pan przestanie - powiedział Bobby Stegler. - Wiem, kim pan jest! Co pan powiedział: Andrew jakiś tam z East Endu? Doprawdy. Nie sądzę, żeby wielki Arthur Conan Doyle mógł wejść do mojej drukarni, a ja bym nie skojarzył nazwiska z jego twarzą!

Arthur zbladł. Nie spodziewał się, że jest tak dobrze znany wśród londyńskich morderców.

- Pomyliłeś się, chłopcze - ratował się nieporadnie.

Bobby Stegler nie dał się zbić z tropu.

- W porządku, doktorze Doyle. Może pan być ze mną szczerzy. Nie wie pan, jaką pan był dla mnie inspiracją. Pańskie wystąpienia przeciwko prawu wyborczemu kobiet były świetne. I opowiadania. Pokazują, gdzie jest miejsce mężczyzny na świecie, prawda? Sherlock Holmes nie słuchałby tego kobiecego miauczenia.

Pierwszy raz od długiego czasu Arthur naprawdę się zawstydział. Czy rzeczywiście ludzie odnajdują w jego opowiadaniach takie rzeczy?

- Proszę, niech pan usiądzie - zaproponował Bobby. - Mamy dużo do omówienia. Pan i ja jesteśmy po tej samej stronie. I myślę, że możemy sobie nawzajem bardzo pomóc.

ROZDZIAŁ 40

DAWNE STULECIA

Jeśli przedstawi pani fakty, być może da się je wyjaśnić.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
NIEZWYKLE WYDARZENIA NA MOŚCIE THOR

16 stycznia 2010

Kiedy taksówka Harolda wyjechała spod wielkich sosen, dostrzegł Undershaw. Większość szyb była potłuczona. Wyszczerbione szkło sterczało z obłazających z farby ram niczym zęby zdychającego zwierzęcia. Resztę okien zabito deskami z taniego, butwiejącego już drewna. Trawa przed domem zdziczała, a z niej wyrastała winorośl, wdrapując się na cegły.

Harold nigdy wcześniej tu nie był, chociaż widział zdjęcia. Wyobrażał sobie, jak dom - w którego spłowiątych murach powstała cała druga część kanonu - musiał wyglądać w czasach świetności. Holmes został przywrócony do życia niecałe trzydzieści metrów od miejsca na podjeździe, gdzie wzniesając tu many kurzu, zatrzymała się taksówka Harolda. Tym razem Harold prawdopodobnie naprawdę był o dzień - a nawet chwile - od

rozwiązania zagadki. Kto wie, ilu badaczy przybyło tu przed nim i odeszło z pustymi rękoma? Ale on nie będzie jednym z nich. Czuł strach, pokorę, ale i radość, że wejdzie do tego domu właśnie teraz. Bo czuł, że teraz jest godzinę jego tajemnic.

Na kamiennych stopniach prowadzących do drzwi wejściowych siedziała starsza kobieta. Tyle że drzwi wejściowych już nie było - zostało jedynie kilka połamanych desek pozbijanych gwoździami. Kobieta miała włosy ściągnięte w kok, a na sobie gruby, ciemny płaszcz, który wyglądał tak, iż trudno było powiedzieć, z której dekady ostatniego półwiecza pochodzi. Zgarbiona pochylała się nad grubym albumem z fotografiami, który trzymała na kolanach.

Nazywała się Penelope Higgins i Harold rozmawiał z nią późnym wieczorem poprzedniego dnia. Jej matka była służącą u Conan Doyle'a, a Penelope przez całe życie mieszkała w Hindhead. Rodzina pisarza sprzedała dom pokolenie wcześniej i przez większą część stulecia działał tu wiejski hotelik. Teraz stał opuszczony, a rozmaite towarzystwa działające na rzecz ochrony zabytków prowadziły batalie z przedsiębiorcami budowlanymi o jego przyszłość.

Penelope mieszkała tuż obok i była jednym z najgłośniejszych obrońców budynku. Przechowywała ogromny zbiór fotografii, planów i innych dokumentów na temat jego historii. Właśnie to wszystko - leżące teraz na jej kolanach i narażone na zniszczenie w styczniowym powietrzu - Harold przyjechał obejrzeć.

Opowiedział jej przez telefon o swoich zainteresowaniach i sprawie Aleksa Cale'a, którego Penelope dobrze знаła. Zadzwonił nawet do Jeffreya Engelsa, żeby ten się za nim wstawił. I Jeffrey, dość zaskoczony telefonem Harolda i natarczywością, z jaką przedstawiał swoją prośbę, porozmawiał z Penelope Higgins.

Harold podziękował mu, wiedząc, że w końcu będzie musiał opowiedzieć mu o wszystkim innym, ale odsunął ten moment na później, gdy będzie już miał czas, by obmyślić tę historię. Teraz bowiem znowu był na tropie i tylko to się liczyło.

Penelope zmierzyła Harolda od stóp do głów, kiedy wchodził po kruszących się kamiennych schodach do foyer.

Rozmawiali o wspólnych znajomych sherlockistach, a Harold wyznał, że zawsze chciał odwiedzić Undershaw, ale nigdy nie miał możliwości. Była to zdawkowa pogawędka, ale oboje wiedzieli, że jest konieczna. Pani Higgins przyglądała mu się podejrzliwie, ale była na tyle uprzejma, że nie wypytywała go za bardzo. Zaręczyły za niego największe nazwiska wśród sherlockistów, więc nie bardzo mogła odmówić mu wglądu w swoje zbiory. Harold zaś zdawał sobie sprawę, że na pewno zna okoliczności śmierci Aleksa i domyśla się, że jego wizyta łączy się z tym morderstwem. Powtórzył więc tę samą historię co poprzedniego wieczoru: że chce skończyć pracę Cale'a i powinien zobaczyć Undershaw, skoro Cale tu również był. To było kiepskie wytłumaczenie, ale kobieta skinęła głową, powiedziała: „Rozumiem”, po czym wstała.

- Chce pan obejrzeć dom? - zapytała.

- Możemy? Jest cały zabity deskami.

- Nie ma tu teraz nikogo oprócz szczurów i gołębi - powiedziała Penelope oschle. - A skoro one się tu kręcą, nie widzę powodu, dla którego my byśmy nie mogli.

Weszli przez pozbawione szyb okno. Harold czuł się jak włamywacz, chociaż nie było tu nic, co można by było ukraść. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zabrano stąd już przed laty. Nie zostało nic oprócz historii i owadów.

Dom był mniejszy, niż Harold sobie wyobrażał, korytarze zaś na tyle wąskie, że chociaż okna wpuszczały dużo światła, wyglądały

jak zminiaturyzowane. Pełne uroku. W ich brudnych podłogach i ścianach, z których obłaziła farba, gnieździła się cisza. Kiedy tak szli przez nie, ich kroki odbijały się echem.

- Czy chciałby pan zobaczyć coś konkretnego? - zapytała pani Higgins.

- Tak - odparł Harold. - Gabinet.

Kiedy go tam wprowadziła przez masywne drzwi, skrzypiące na jedynym zawiasie, Haroldowi oddech uwiązał w gardle. Był dorosły, chwalał Bogu, więc nie bał się duchów ani potworów, ani żadnego rodzaju wampirów, o jakich mógł pisać Stoker. Ale wejście do tego domu... do tego pokoju... Każdego by przeraziło butwiejące, opuszczone domostwo największego autora powieści detektywistycznych wszech czasów. Harold czuł tu obecność czegoś dawnego, zniszczonego, umarłego.

- Podobno ma pani fotografie tego pokoju - powiedział. - Z czasów, kiedy Conan Doyle tu mieszkał.

- Tak. Mam ich sporo. Conan Doyle był zafascynowany fotografią, jak pan wie. Miał dokumentację całego domu - jego historię od położenia pierwszego kamienia do swoich ostatnich dni spędzonych tutaj.

Posłusznie przerzuciła albumy i znalazła zdjęcia. Harold wpatrywał się w białe-czarne fotografie, a potem patrzył na ukazaną na nich przestrzeń spustoszoną przez stulecie. Regały wzdłuż ścian były wolne od grubych i zakurzonych tomów. Dębowego biurka, które stało niegdyś pod najdalszą ścianą, dawno nie było. Zabrano fotele, lampy, pudełko, w którym Conan Doyle trzymał rewolwer. Nie ma, nie ma, nie ma.

Harold stanął w miejscu biurka, przy którym Conan Doyle'a przesiadywał, komponował opowiadania, a potem je zapisywał. Gdzie ostatecznie przywrócił Sherlocka Holmesa do życia.

„Dawne stulecia miały i mają własne moce, których nie potrafi zabić zwykła nowoczesność”. Stoker miał rację. I miał ją Alex Cale. W tym domu było coś żywego. Nawet nowoczesność, nawet straszna fala historii, nie potrafiła zabić tego, co się tu zrodziło.

Wziął do ręki wymaginowane pióro. Przyłożył je do wymaginowanego papieru leżącego na wymaginowanym biurku i pisał, w wyobraźni, z wielkim rozmachem. Penelope Higgins odkaszlnęła. Była chyba przyzwyczajona do takich zachowań odwiedzających dom sherlockistów.

- Czego pan szuka, panie White? - zapytała zdecydowanym tonem, żądając prawdziwej odpowiedzi.

- Dziennika - odparł Harold z roztargnieniem. - Szukam dziennika.

Pani Higgins się uśmiechnęła.

- W takim razie powodzenia - odparła. - Idzie pan śladami znamienitych poprzedników. Od 1930 ludzie podobni panu przyjeżdżają tutaj w tym samym celu. Jak pan myśli, ile razy tu szperali, podnosili deski podłogowe, opukiwali ściany, szukając pustych miejsc? Odkręcali nawet światła. No, ile? Sto? Tysiąc? Nie sądzę, żeby zostało panu zbyt wiele możliwości.

Tym razem to Harold się uśmiechnął. A jego uśmiech był większy i szerszy niż jakikolwiek uśmiech Penelope Higgins. Oto jest w gabinecie Conan Doyle'a, w jego domu i ma przed sobą tajemnicę wartą jego wysiłków.

- Elementarne - powiedział, bo po prostu nie mógł się oprzeć.

Penelope Higgins pokręciła głową.

- W takim razie zostawię pana. Tu są zdjęcia. Tylko niech się pan nie nadzieje na jakiś zardzewiały gwóźdź i nie dostanie tężca - ostrzegła go i wyszła, jakby znużenie tymi sytuacjami sprawiło, że postanowiła mu zaufać.

Harold się rozgościł. Usiadł na zniszczonej podłodze, zamknął oczy, ścisnął krótkie palce na podołku i pozwolił umysłowi skupić się na zadaniu, jakie przed nim stało.

Dziennika się nie znajdzie, szukając. Znajdzie się go, myśląc. Wszystkie zagadki mają rozwiązania, nawet jeśli umykały one pokoleniom dociekliwych badaczy. Dziennik był tutaj. Schowano go tutaj sto lat temu. Ale jak? Gdzie? Co pominęli jego poprzednicy? Jaka kryjówka była na tyle oczywista, że Bram Stoker automatycznie schował w niej książkę oprawną w skórę, a zarazem na tyle pomysłowa, że przeoczył ją zarówno Conan Doyle, jak i tysiąc literatów detektywów? Jaki punkt pozostał nietknięty mimo stulecia lodowatych zim, letnich burz i spustoszeń dokonywanych przez ludzi?

Harold pomyślał o *Skradzionym liście*. Nie. W tym wypadku dziennika nie położono w widocznym miejscu. To by było zbyt proste. Gdzie jest zaskakujący zwrot akcji? Gdyby Conan Doyle sam miał schować wolumin, to gdzie by go ukrył? Albo, jeszcze lepiej, gdyby miał go schować tak, żeby znalazł go Holmes, a Holmes właśnie wszedłby teraz do gabinetu, to gdzie by spojrział? Jeśli dziennik ukryto tutaj, a Harold był tego pewien, to musiał istnieć zwrot akcji. Zawsze istniał.

Przypomniawszy sobie finały wszystkich wielkich powieści detektywistycznych - niektóre kończyły się drobnymi zmianami ostrości widzenia, inne radykalnymi zmianami w fabule, tak że wszystkie przypuszczenia czytelnika okazywały się fałszywe. Harold nie bardzo wiedział, jakiego zwrotu teraz się spodziewa, ale wszystkie najlepsze, jakie znał, miały jedną wspólną cechę: zawsze odwoływały się do założeń czytelnika, które - początkowo stuprocentowo pewne, bo jakże inaczej mogłoby być? - ostatecznie okazywały się fałszywe. Coś niekwestionowanego było podważane. Coś, co nigdy nie wydawało się warte zbadania,

podlegało analizie, a odpowiedź znajdowano w najmniej oczekiwanym miejscu.

Co zakładał Harold? Że Bram Stoker schował dziennik, żeby móc przyjść później i go zniszczyć. Że schował go w tym pokoju. I że nikt go nigdy nie odnalazł. Że pokój opróżniono, zdemolowano, przewrócono do góry nogami tysiąc razy i że dziennika tu nie ma.

Że dziennik tu był. Że dziennika tu nie ma.

Harold przestał oddychać.

Dziennik tu był. Dziennika tu nie ma.

Wszystko stało się tak zdumiewająco, żenująco oczywiste.

Szybko przerzucał strony fotografii, uważnie patrząc na szare obrazy na szarym tle.

- Już pan go znalazł? - dobiegł go głos Penelope Higgins.

Harold podniósł wzrok i zobaczył jej masywną postać w drzwiach.

- Tak - powiedział poważnie.

Kobieta zaśmiała się szyderczo.

- To świetnie! No i gdzież on jest?

Harold, nie zważając na jej sarkazm, powrócił do fotografii.

- Dziennik schowano tutaj w 1900 roku. Ale już go tu nie ma i nie było go po śmierci Conan Doyle'a. Więc w jakimś momencie między 1900 a 1930 rokiem ktoś go zabrał z tego pokoju.

- Czyli ktoś go ukradł?

- Nie. Ktoś go zabrał. Ale nie myślę, że wiedział, co właściwie stąd wynosi. Zabrał go niejako przez przypadek. Muszę się więc teraz dowiedzieć, co stąd zabrano w tamtych latach. Co jest na tyle duże i na tyle oczywiste, i na tyle puste, że można tam było szybko wsunąć dziennik, ale do czego zazwyczaj nikt nie zagląda? To nie jest wazon, to nie jest skrzynia... Może pusta podstawa lampy?

- Wszystkie lampy trafiły do córki Conan Doyle'a, jak mi się zdaje. I nie było ich wiele. Poza tym były dość małe, jeśli mnie pamięć nie myli. Prawdopodobnie trzymała je na strychu. Nie sądzę też, że będzie pan pierwszą osobą przeszukującą to miejsce z powodu dziennika, panie White.

Harold obrócił stronę i jego oczy spoczęły na małej fotografii z 1899 roku. Przedstawiała gabinet i widać na niej było barek - stolik z ozdobnymi karafkami i dziwnym, wysokim przedmiotem. Harold zmrużył oczy, by mu się przyjrzeć. Przedmiot był większy niż wszystkie karafki, szerszy u podstawy i wysoki na dobre pół metra. Zarówno jego podstawa, jak i korpus w kształcie balonu były zrobione z matowego szkła. Wokół biegly jakies rurki, a z górnej części wystawało coś, co wyglądało jak dysza.

Przerzucał szybko strony, aż znalazł zdjęcie tego samego fragmentu pokoju. Pochodziło z 1905 roku. Zrobiono je pod innym kątem, a barek przesunięty był bliżej ściany... I tego przedmiotu już na nim nie było. Na jego miejscu stało coś podobnego, ale mniejszego. O wiele mniejszego.

Przycisnął palec do pierwszej fotografii.

- Co to jest? - zapytał. - Trudno zobaczyć.

Penelope Higgins pochyliła się nad albumem.

- Och! - wykrzyknęła. - Gazownica!

Harold przez lata czytał o gazownicach, ale nigdy żadnej nie widział. Były to wczesne urządzenia do karbonizowania, używane w prywatnych domach do robienia wody sodowej. Były dość nieporęczne, ale przede wszystkim kosztowne, dlatego stać na nie było tylko ludzi zamożnych.

- Jest wielka - stwierdził Harold.

- Tak, dosyć. To chyba był wczesny model. Conan Doyle dostał go i oddał, kiedy zaczęto produkować lepsze kilka lat później. Pamiętam, że ta była prezentem.

- Od kogo?

- Od Brama Stokera. Wie pan, byli przyjaciółmi.

Harold zamarł.

- Oddał ją? Komu?

- Licho wie - odparła pani Higgins. - Conan Doyle pozbył się jej na długo przed śmiercią. W tysiąc dziewięćset pierwszym? Drugim? Trzecim? To musiało być wtedy.

- Wyrzucił ją? - zapytał Harold, martwiąc się, jaką odpowiedź usłyszy.

Jeżeli Stoker zdołał wepchnąć dziennik w szeroką podstawę gazownicy, a Conan Doyle nierozważnie wyrzucił ją do śmieci rok później...

- Nie sądzę - powiedziała pani Higgins. - Ale mogę sprawdzić to w rejestrach. - Westchnęła. - Widzi pan, mamy listę losów wszystkich rzeczy Conan Doyle'a.

- Proszę - błagał Harold. - Bardzo proszę.

- Chyba mam jeden w samochodzie. Jest strasznie ciężki. Niech pan zaczeka. - Westchnąwszy, wyszła, zostawiając go samego.

Harold siedział, bębniąc palcami o podłogę. Ospale przerzucał zdjęcia. Był już tak blisko. Tak rozpaczliwie blisko... Dotarł do końca albumu, gdzie znalazł portrety rodziny Conan Doyle'ów. Przyjrzał się twarzom pisarza i jego żony, jego drugiej żony, jego dzieci. Pokolenia Conan Doyle'ów bywały w tym domu i nigdy nie poznały tajemnicy, którą on za chwilę miał odkryć.

Zatrzymał się na ostatnim zdjęciu. Było jasne i kolorowe, nowoczesne - wyraźnie zrobione dopiero przed kilku laty. To muszą być prawnuki. Fotografia nie była podpisana, ale Harold rozpoznał kilka twarzy, między innymi uśmiechniętego Sebastiana.

Gdyby tylko wiedział, gdzie Harold jest w tej chwili... Uśmiechnął się do zdjęcia. Miał poczucie, że pokonał ich wszystkich.

Spojrzał na młodą kobietę stojącą obok Sebastiana. Była o dobre trzydzieści centymetrów niższa od niego, miała ciemne kręcone włosy i jasnożółty szalik. Harold wpatrywał się w nią ze zdumieniem, podczas gdy każdy mięsień w jego ciele napiął się pod wpływem szoku.

- Lucerna - oznajmiła pani Higgins od drzwi, z teczką pełną papierów w rękach. - Wygląda na to, że pierwsza gazownica Conan Doyle'a w cudowny sposób trafiła do kolekcji w Lucernie.

Harold nie spojrzał na nią. Nie mógł oderwać oczu od zdjęcia. Wymamrotał coś o Szwajcarii.

- Tak - potwierdziła pani Higgins, zaskoczona jego brakiem zainteresowania. - Jest w muzeum Sherlocka Holmesa w Lucernie, w Szwajcarii. Zna je pan?

- Tak - wymamrotał Harold. - Leży u stóp wodospadu Reichenbach, gdzie zginął Holmes. Zrekonstruowali jego gabinet. Wyposażyli go nawet w eksponaty z epoki, łącznie z należącymi do samego Conan Doyle'a. Przepraszam, kto to jest?

Pani Higgins podeszła do niego.

- Kto? - zapytała.

- Ta kobieta. - Harold wskazał drżącą ręką postać w szaliku.

Pani Higgins zbliżyła się do fotografii.

- Och - powiedziała. - To jest Sarah.

- Tak. To wiem - odparł Harold. - Ale co, u licha, robi ona na rodzinnej fotografii Conan Doyle'ów? Dlaczego stoi obok Sebastiana?

Pani Higgins się roześmiała.

- No, myślę, że nie tylko stała obok niego - stwierdziła. - To jego żona. Sarah Conan Doyle.

Harold poczuł wzbierającą w gardle złość.

ROZDZIAŁ 41

ZA KAŻDĄ CENĘ

*Skoro prawo na nic się tu nie zda,
sami musimy podjąć ryzyko.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
PRZYGODA W WILLI WISTERIA

4 grudnia 1900

Arthur rzucił z całej siły kamieniem w szary mur Scotland Yardu, a ten z ostrym stuknięciem odbił się od budynku i wylądował u stóp stojącego nieopodal posterunkowego, który podniósł wzrok, żeby zobaczyć, skąd się wziął. Dostrzegł cofającego się Victoria Street Arthura i kiedy otworzył usta, żeby nakrzyczeć na niego za ten głupi pomysł, Arthur odwrócił się i ruszył spiesznie przed siebie. Intensywny marsz był dobrym upustem dla gniewu, więc kłusował na zachód, aż wreszcie tuż przed Westminsterem zwolnił i zaczął dyszeć.

Nikt mu nie uwierzył. Nikt go nie słuchał. Nazwisko Arthura było synonimem sztuki detektywistycznej i chyba tylko Sherlock Holmes przewyższał go sławą w tej dziedzinie, mimo to nikogo w najmniejszym stopniu nie interesowało, co miał do powiedzenia.

Szczególnie inspektora Millera, który ponosił tu największą winę, zważywszy na jego niedawne konszachty z Arthurem. Kiedy Arthur wmaszerował do jego gabinetu i oznajmił, że znalazł mordercę Emily Davison, Sally Needling i ich przyjaciółki Anny, inspektor spokojnie odłożył raport, który właśnie czytał, niezdarnie poukładał pióra na biurku, po czym wygłosił serię uprzejmych frazesów, powalających Arthura swoją służalczą banalnością.

„Naprawdę doceniamy pańską pomoc”, powiedział Miller, a potem podziękował Arthurowi za czas, jaki poświęcił kwestii sprawiedliwości. Yard wie, że Arthur musi być strasznie zajęty przy całej swojej pracy pisarskiej, i jego szczodrość w tym względzie została dostrzeżona i doceniona. Jeśli sobie życzy, sam komendant Bradford może wysłać do niego oficjalny list w tej sprawie, który będzie można oprawić w ramkę i zawiesić w gabinecie Arthura. „Cenimy pańską pomoc bardziej niż jakiegokolwiek obywatela Królestwa” - ciągnął swoje pochlebstwa inspektor, a Arthur starał się go uciszyć i zainteresować sprawą. Wyjaśnił, że nie potrzebuje komplementów, za to jego ustalenia zasługują na uwagę. Niejaki Bobby Stegler zaś z drukarni Stegler i Synowie na Strandzie zasługuje na to, żeby go zakuć w najbardziej niewygodne łańcuchy, jakimi inspektor dysponuje, i poprowadzić prosto na gilotynę.

Miller westchnął i oznajmił, że po jego niedawnej wycieczce do Newgate najlepiej będzie, jeśli Arthur powstrzyma się od udziału w tej sprawie. W końcu nikt nie chce kolejnej pomyłki. Przecież jedno kompromitujące słowo może zniszczyć kariery, które budowano przez całe życie! Gdyby Arthur znowu wylądował w Newgate, pozycja inspektora w Yardzie mogłaby się zachwiać. Czyż nie będzie lepiej dla wszystkich, jeśli Arthur po prostu zostawi tę sprawę?

Arthur odrzekł na to, że nie wie, co byłoby najlepsze dla niego, inspektora czy nawet kretynów, którzy kierują tą niewydarzoną instytucją, ale na pewno dla świata byłoby lepiej, gdyby morderca znalazł się za kratkami, jak należy! Zabił trzy kobiety. I z pewnością zabije ich więcej. Choć rzeczywiście musiał przyznać, że ma niewiele, jeśli chodzi o rzeczywiste dowody. W istocie nie ma żadnych poza wyznaniem chłopaka, które słyszał tylko on. No i w sumie Bobby nie przyznał się do zabicia tych dziewcząt, ale na pewno robił do tego aluzje. A to musi coś znaczyć, prawda? Arthur postawi w zakład swoje życie, że ten chłopak jest mordercą, którego szukają.

Inspektor nie był przekonany. Nie wierzył, jakby miał inne podejrzenia co do tożsamości zabójcy.

- Odwiedził pan rodziców Sally Needling? - zapytał. - Nawiązał pan kontakt z tą drugą dziewczyną, jak ona się nazywa, Janet Fry? Jakim sposobem zna pan tak dobrze te młode kobiety?

- Nie znam - stwierdził Arthur, ale pytania inspektora zawierały jakąś ciemną aluzję. Jakby, stwierdził ze zgrozą Arthur, policjant uważał, że to on zabił Emily Davison... - Co pan insynuuje? - zapytał w końcu.

- Nic, doktorze Doyle. Tak jak powiedziałem, było dla mnie przyjemnością i przywilejem uwolnić pana z łańcuchów Newgate ten jeden raz. Ale myślę, że nic dobrego by nie wynikło, gdyby trafił pan tam znowu. - Współczujące skinienie głową, jakim inspektor obdarzył Arthura, było najbardziej obciążające ze wszystkiego. Jak gdyby Arthur był czymś współnikiem w tym występku.

- Jeśli uważa pan, że zabiłem Emily Davison - powiedział z wściekłością, wypluwając cuchnące jak bagno słowa - to lepiej niech mnie pan zamknie w tej chwili. I niech moja pozycja nie śmie odwieść pana od ściągnięcia na mnie całej mocy prawa. Słyszysz mnie pan?

Inspektor pokręcił głową i spokojnie kazał posterunkowemu odprowadzić gościa do drzwi. Arthur aż kipiał z wściekłości, kiedy podniósł kamień na Victoria Street i cisnął nim w szpetną twarz brytyjskiej sprawiedliwości.

Niecałe trzy kwadranse później odnalazł Bram w jednej z garderób w suterenie Lyceum, gdzie przyjaciel własnoręcznie polerował lustra szmatą i słonecznym mydłem Braci Lever. Żarówki okalające lustra odbijały się w świeżo wyczyszczonym szkłe, podwajając swoją jasność i stwarzając wrażenie, jakby wykładana lustrami ściana zmieniła się w płomień.

Bram odwrócił się do Arthura, odkładając szmatę.

- Poznałbym tę twarz wszędzie - powiedział. - Miło mi pana powitać, panie Holmes.

Arthur się nie uśmiechnął. Zamiast tego zaczął żalić się przyjacielowi, opowiadając ze szczegółami wydarzenia z ostatnich dni. Kiedy skończył, Bram w zamyśleniu podrapał się w rudą brodę.

- Ten chłopak, Bobby Stegler, pozwolił ci tak po prostu wyjść? Po tym, jak prawie się przyznał? Pozwolił ci wyjść stamtąd całym?

- Tak - potwierdził Arthur. - Nie rozumiesz? Kiedy się zorientował, kim jestem, cóż, pomyślał, że znalazł sprzymierzeńca dla swojej sprawy. A ja z kolei nie widziałem większego sensu w wyprowadzaniu go z błędu. Dziwne, psiakrew. Każdy myśli, że jestem po jego stronie. Inspektor Miller sądzi nawet, że usiłuję w ten sposób zatuszować swoje zbrodnie. A Stegler myśli, że pracuję nad tym, żeby mu pomóc zatuszować jego.

- No więc po czyjej stronie jesteś naprawdę, Arthurze? Sprawiedliwości? Prawa?

- Nie. Po stronie Emily, Sally, Anny. Jestem po stronie tych dziewczyn.

- Więc co twoim zdaniem one chciałyby, żebyś teraz zrobił?

Arthur rozważał to pytanie, patrząc w lustro, w którym widoczne były odbicia ich obu. Stwierdził, że wąsy mu już odrosły, a jego twarz odzyskała dzięki temu właściwą męską formę. Ale zaraz w jego głowie pojawił się inny obraz: oblanej rumieńcem szczęścia panny młodej w olśniewająco białej jedwabnej sukni, z trenem ciągnącym się po posadzce, idącej do ołtarza ku swojemu narzeczonemu. Wyobraził sobie uśmiech na jego twarzy...

Kątem oka zauważył, że Bram przygląda mu się z zaciekawieniem, i otrząsnął się ze swojej wizji.

- Myślę - oświadczył wreszcie - że te dziewczyny chciałyby, żeby ich morderca został oddany w ręce sprawiedliwości. Za każdą cenę. Za absolutnie każdą cenę.

Bram wstał i zaczął odwijać rękawy. Zapiął guziki mankietów, zanim znowu się odezwał.

- No dobrze - powiedział. - W takim razie jestem z tobą. - Włożył surdut. - Jakakolwiek będzie ta cena.

6 grudnia 1900

Stali na Bridge Street, naprzeciwko cmentarza żydowskiego. Chociaż było dość ciemno, nadal widzieli zarysy kilku najwyższych macew, wyszczerbionych i nierównych, oświetlonych blaskiem padającym przez okna znajdującego się za nimi przytułku. Skądś usłyszeli stękanie pijanych, a z dużej ulicy doszedł ich słaby odgłos kroków prostytutek. Arthur nie planował tego powrotu na East End, ale kiedy znów się tu pojawił dwa dni temu, zrozumiał, że nie ma innego miejsca, gdzie ta sprawa może się zakończyć we właściwy sposób.

Patrzył na solidny piętrowy dom rodziny Steglerów przed sobą.

Znaleźli go z łatwością dzięki zajrzeniu do publicznych rejestrów dotyczących ich firmy i przez te dwa dni obserwowali. W czarnym notesiku zapisywali tożsamość i rozkład dnia każdego z jego mieszkańców. Pierwszy był Bobby, który wychodził z domu bardzo wcześnie każdego ranka, żeby zająć się swoimi obowiązkami w drukarni. Jego ojciec Archibald opuszczał pielesze trochę później, wstępował do drukarni, a potem załatwiał inne sprawy związane z interesem. Siostra Bobby'ego, która - jak się dowiedzieli - miała na imię Melinda, większość dnia spędzała w domu, doglądając służących i wykonując niektóre prace sama. Wieczorami jadała kolacje z przyjaciółkami. Przeszukanie nekrologów ujawniło, że matka Bobby'ego umarła przed laty, kiedy syn był jeszcze mały.

Arthur śledził Archibalda Steglera i ze zdumieniem stwierdził, że jest on właścicielem kilku domów na Wathey Street, niedaleko Whitechapel, łącznie z tym, którego gospodyni potajemnie wynajmowała pokoje i w pobliżu którego znaleziono ciało Sally Needling. Stegler zapukał kilka razy w drzwi i kobieta otworzyła je, po czym wręczyła mu plik banknotów i bez zbędnych ceregieli pożegnała się z nim. Stegler w ogóle nie wszedł do środka; najwyraźniej wystarczyło mu, że odebrał czynsz; nie widział powodu, by sprawdzać stan swej własności.

Po godzinnej analizie tych zdarzeń w rozmowie tego wieczoru doszli z Bramem do wniosku, że Archibald Stegler nic nie wie o pensjonacie prowadzonym w jego domu. Ale, rozumowali dalej, musiał o tym wiedzieć Bobby Stegler i wykorzystał to. Potrzebował ustronnego miejsca, cichego pensjonatu bez dużej liczby gości, do którego mógłby przyprowadzić swoją pierwszą ofiarę. Wydawało się sensowne, że postanowił skorzystać z tej okazji. Nie zaryzykował jednak powrotu do miejsca zbrodni, choć i tak miał sporo szczęścia, że kobieta go nie rozpoznała - nie było

nawet pewne, czy w ogóle go znała.

Jeżeli Arthur miał jakieś wątpliwości, czy Bobby Stegler jest winien tych morderstw, to odkrycie to je rozproszyło. Bobby miał szczególne możliwości, żeby popełnić te zbrodnie, okazję i z pewnością motyw, choćby najpotworniejszy. Bo nie były to proste morderstwa. Chłopak najpierw bawił się ofiarami, uwodził je, mamił, że je kocha, sprawiał, że czuły miłość - a potem je dusił w pokrytych brudem wannach. Nie tylko je zabijał; wcześniej zgwałcił ich kobiecość. W okrutny sposób uderzył każdą w rdzeń jej jestestwa, w całą żeńską płć.

Zaczekali, aż dom opustoszeje. O wpół do dziewiątej zgodnie z oczekiwaniami Melinda wyszła na wieczorne spotkanie z przyjaciółkami. Bobby jeszcze nie wrócił z drukarni; w poprzednie dwa wieczory zjawiał się dopiero po dziesiątej. Archibalda też nie było - o tej porze jadał kolację z właścicielem innego domu w sąsiedztwie. Wszystko szło tak, jak zaplanowali. Gdy Melinda Stegler zniknęła za rogiem Harford Street, dokończyli ostatniego papierosa tego wieczoru i przeszli na drugą stronę Bridge Street.

Szczegółowo wszystko zaplanowali, więc kiedy obchodzili dom od tyłu, żaden nie musiał nic mówić. Tylne drzwi były tandetne i cienkie, prawdopodobnie zamykane na jeden zamek, ale zdecydowali się na okno obok. Kiedy Arthur kopnął prosto w nie, szyba łatwo się stłukła. Dźwięk pękającego szkła zginął w plu-gawym zgiełku East Endu.

Sprawnie weszli do środka przez okno. Ich buty kruszyły szkło pod nogami, kiedy znaleźli się w kuchni. Wcześniejszy rekonesans powiedział im, że pokój Bobby'ego jest na pierwszym piętrze, skierowali się więc tam, nie tracąc czasu. Wiedzieli, po co tu przyszli. Żeby to zdobyć, porzucili wszelką ostrożność.

Schody trzeszczały pod ciężarem dwóch ciał. Dom był stary i stopnie sprawiały wrażenie, że mogą w każdej chwili pęknąć. Buty Arthura zostawiały lśniący ślad drobinek szkła od kuchni do sypialni na pierwszym piętrze - do samych wrót piekła.

Kiedy znaleźli się w pokoju Bobby'ego, zamknęli drzwi i zapalili jedną lampę gazową na ścianie. Wąskie łóżko z baldachimem stało w kącie pomieszczenia, nie było posłane, naprzeciwko niego znajdowały się dwa szerokie fotele, jak gdyby gotowe na przyjęcie gości. Ze stosu rzuconych na nie ubrań Arthur wywnioskował jednak, że to mało prawdopodobne, by ktokolwiek tu zachodził. Nieporządek w pokoju chłopca wskazywał na jego samotność - jakby godził się na to, że nigdy nie będzie z nikim dzielić swego życia.

Czy ten dzieciak miał przyjaciół? Czy grywał w krykieta z kolegami w swoim wieku? Czy kiedykolwiek czuł miłość? Czy kiedykolwiek spojrzął w twarz kobiety i poznał tę czułość, to ciepło, które rozchodzi się od brzucha po brodę? Czy jego ręce zdrząły, gdy dotknęły rękawiczki dziewczyny? Czy zagryzał kiedyś wargę, żeby powstrzymać się od krzyku radości, gdy pochylał się nad dłonią kobiety, by ją pocałować?

Arthur spojrzął na leżące w nieładzie na niewielkim biurku arkusze papieru, na poplamione farbą drukarską ubrania porzucone na podłodze i wiedział, że Bobby Stegler nie jest człowiekiem. Jest bestią. A Arthur dopilnuje, żeby resztę życia spędził w klatce, gdzie jest jego miejsce, żeby tam dożył swych nędznych dni, kiedy jego czarne serce będzie można wyciąć z jego piersi za pomocą skalpela i umieścić w słoju w celu przestrogi dla przyszłych pokoleń. „Oto zimne serce umarłego człowieka” - będzie brzmiała wypisana na maszynie etykieta. „Tak to wygląda, kiedy serce umiera lata przed właścicielem”. W jasnym dwudziestym

wieku, kiedy światem będzie rządził rozum, posłuży ono za przypomnienie ciemnych lat, które minęły, i pokolenia - pokolenia Arthura - które przeprowadziło ludzkość od zabobonu do wspa- niałego racjonalizmu nauki.

Najpierw jednak trzeba go złapać. Zabrali się zatem do pracy - w milczeniu i metodycznie. Przejrzeli ubrania, łóżko, biurko, fotele i ciasną szafę w poszukiwaniu dowodów. Arthur miał nadzieję znaleźć świadectwa ślubów - podejrzewał, że chłopak był na tyle arogancki, na tyle pyszałkowaty w swej nikczemności, że je zachował. A gdyby miał je w rękę, Yard by go wysłuchał. Ale poszukiwali też listów od którejś z dziewcząt albo korekty ich ulotek, co przynajmniej byłoby dowodem na to, że je znał. Był tuzin możliwych śladów, a im potrzebny był tylko jeden.

Kiedy pierwsze oględziny nie ujawniły niczego interesującego, zaczęli od początku. Minuty uciekały i Bram zaczął się martwić o godzinę. Któryś z mieszkańców mógł w każdej chwili wrócić, a oni nie mogli dać się tu przyłapać.

Ale Arthur nie chciał wyjść. Nie chciał o tym myśleć dopóty, dopóki nie odkryją czegoś przydatnego. Podążył zbyt daleko za szkarłatną nicią morderstwa, żeby się teraz zatrzymać czy nawet wrócić i spróbować ponownie później. To się musi skończyć dzisiejszej nocy, a rano Bobby Stegler będzie pod opieką policji.

- Musimy wyjść, Arthurze - nalegał mimo wszystko Bram z rosnącą niecierpliwością. - Co będzie, jeśli wróci Archibald? Albo córka?

Arthur odchylił płaszcz, ukazując przypięty do pasa rewolwer.

- Wtedy nieustraszenie wyjaśnimy sytuację i wyjdziemy. Co nam zrobią? Wezwą policję? Jestem pewien, że Bobby Stegler chciałby, żeby tu powęszyła - dodał z przekąsem.

- Nie mam naturalnej awersji do włamywania się, nie zrozum mnie źle. Ale musimy być dyskretni, nie uważasz?

- Uważam - odparł Arthur - że musimy znaleźć coś, czego będziemy mogli użyć. A takie paplanie nam w tym nie pomoże.

Odwrócił się od biurka w stronę parapetu. Leżało na nim kilka połamanych piór, a z jednego kapał nawet atrament na białą farbę. Arthur dotknął piór, po czym podniósł głowę i stwierdził, że stoi o kilkanaście centymetrów od uśmiechniętej twarzy Bobby'ego Steglera.

Zamarł. Przez sekundę trwał nieruchomo, patrząc na to, co mogło być jedynie duchem w oknie. Ale kiedy uśmiech chłopca stał się szerszy, a okno się uchyliło, Arthur zrozumiał, że nie ma do czynienia ze zjawą. Chłopiec siedział na gałęzi drzewa i prawdopodobnie obserwował ich stamtąd przez cały czas.

Arthur cofnął się i Bobby Stegler wszedł przez okno do sypialni.

- Jak tylko zobaczyłem z ulicy, że pali się światło, od razu się domyśliłem, że to pan! - oznajmił chłopak. - Po prostu wiedziałem! - Zamknął za sobą okno i spojrzał na Brama. - A to będzie pan Stoker, nieprawdaż? - ciągnął, odgarniając jasne włosy z oczu. - Szukałem was obu. Wygląda na to, że i wy szukaliście mnie! - Zaśmiał się ohydnie.

Arthur wyjął broń zza pasa i wyciągnął przed siebie.

- Cicho bądź - powiedział - i zachowuj się spokojnie, rozumiesz? Albo zastrzelę cię tu i teraz.

Chłopiec znowu się uśmiechnął i przeniósł wzrok na Brama.

- Jeżeli Arthur tego nie robi - rzekł tamten, wyjmując rewolwer z kieszeni płaszcza - to ja na pewno.

- Oho! - powiedział Bobby. - Moich dwóch detektywów.

Rzeczywiście całkiem serio potraktowaliście swoją rolę, nieprawdaż? Ale dajcie spokój. Nie chcecie chyba mnie zastrzelić po tym wszystkim, co dla was zrobiłem. Ależ, Arthurze, nie patrz tak na mnie! Uratowałem ci życie! Nie uważasz, że powinniśmy usiąść nad kuflem piwa i śmiać się z tego, jakie miałeś szczęście? Te cholerne cipy miały zamiar cię zabić. Wiem o bombie w liście. Ale dowiedziałem się dopiero, jak omamiłem ostatnią. Nie mogę sobie przypisać zbyt wielu zasług. Nie zabiłem ich, żeby uratować ci życie, ale zabijając je, niewątpliwie cię uratowałem!

- Tak naprawdę nie miały zamiaru mnie zabić. Ale nie będę ich bronił, nie będę tłumaczył okropnych rzeczy, które te dziewczyny planowały. Lecz to, co ty zrobiłeś, jest nieskończenie gorsze. Zamordowałeś trzy niewinne kobiety.

- Niewinne? - Na twarzy Bobby'ego Steglera pojawiło się niedowierzanie. - Nie mówisz poważnie. Niewinne? Trzy podejrzane wariatki z pudełkiem pełnym dynamitu? Musisz wiedzieć, że były... No, myślę, że się kochały. To znaczy kochały się tak, jakby jedna z nich była mężczyzną! Emily Davison i Janet Fry z całą pewnością. Mój Boże, możesz to sobie wyobrazić? Były potworne, te włochate cipy. I miały zamiar zmienić świat - nasz świat - na swój włochaty, cipowaty obraz.

Trzymając w dłoni rewolwer, Arthur czuł drżenie w ramieniu. Czuł, że cały się wzdryga. Wyobraził sobie twarze tych dziewcząt - miłe, blade i zmasakrowane. Bardziej niż czegokolwiek kiedykolwiek pragnął w tej chwili pociągnąć za spust. Zobaczyć, jak ta ohydna rzecz przed nim znika z powierzchni ziemi.

- Arthurze - powiedział Bram. - Nie rób tego.

Przyjaciół jak zwykle świetnie rozumiał jego myśli. Bobby Stegler patrzył to na jednego, to na drugiego - i wyraz jego twarzy

się zmienił. Pojawiła się na nim ciekawość. Jak gdyby nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że Arthur mógłby rzeczywiście skorzystać z rewolweru.

- Och! Zastrzelisz mnie? - zapytał. - Rzeczywiście o tym myślisz? Wprost nie mogę... Rany! - Ponownie odsunął włosy z twarzy i podrapał się w głowę. - Jakoś to nie w pana stylu, doktorze Doyle. Poza tym nie mam broni. Nie jestem dla pana zagrożeniem. Ale pan zabiłby mnie z zimną krwią, prawda? Pisarz ma broń i umie się nią posługiwać. No dobrze. W porządku. Więc co pan teraz zrobi, doktorze Doyle? Zastrzeli mnie pan czy opowie mi jakąś historię?

Arthur spojrział głęboko w czyste niebieskie oczy chłopca. Słyszał coś niewyraźnie, z daleka. Odgłos wody. Wody spadającej na kamienie. Strumienie wody spadające z klifu. Nadstawił uszu i rozpoznał go. Opanował drżenie ręki i słuchał dźwięku wodospadu Reichenbach dobiegającego z czeluści jego umysłu.

ROZDZIAŁ 42

MUZEUM SHERLOCKA HOLMESA

[Holmes] popadał w skrajność, twierdząc, że spiskowiec może być bezpieczny jedynie wówczas, gdy spiskuje sam. Byłem mu bliższy niż ktokolwiek inny, a mimo to miałem świadomość, że są rzeczy, o których nie wiem.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
ZNAMIENTY KLIENT

17 stycznia 2010

Stojąc u podnóża góry, poniżej wodospadu Reichenbach, Harold wpatrywał się w budynek Muzeum Sherlocka Holmesa po drugiej stronie szerokiej Hauptstrasse. Zatrząsł się i ściślej owinął cienkim płaszczem chroniącym go przed szwajcarskim powietrzem. Wybiła właśnie osiemnasta i ostatnie pomarańczowe promienie znikwały na zachodzie, za siedzibą muzeum. Ulice z każdą minutą ciemniały coraz bardziej.

Ze swojego miejsca Harold widział dwóch strażników zamykających muzeum na noc. Teraz to już będzie tylko kilka minut. Zacisnął dłonie w pięści w kieszeniach. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz było mu tak zimno.

Spojrzał za siebie na wschód. Alpy wyrastały z ziemi niecałe pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie stał. Na trzecim szczycie łańcucha leżał śnieg jak biały jedwabny szal.

Poruszył się. Stalowa łyżka do opon schowana w torbie przeźruczonej przez ramię uwierała go w plecy. Strażnicy się roześmiali i zaczęli powolną wędrówkę w stronę parkingu. Ostatni skrawek słońca zniknął w oddali i Harold wyszedł z cienia w noc.

Nie miał już nic do stracenia. Nie mógł wrócić do dawnego życia, a nowe, którego chciał i które sprawiło, że po raz pierwszy czuł, że istnieje naprawdę, okazało się oszustwem. W dodatku nawet nieskomplikowanym. Zwrot nastąpił w sposób tak prosty i powalił go z tak ewidentną oczywistością, że Harold nie potrafił się nawet gniewać na Sarah ani Sebastiana. Od początku wiedział, że nie powinien jej ufać. Cała historia była przecież tak samo nieprawdopodobna jak teraz. Wiedział wystarczająco dużo, żeby winić samego siebie.

Nie mógł uwierzyć, że kłamstwo uszło jej na sucho. Żona Sebastiana Conan Doyle'a - czy niebawem była żona - weszła na największą konwencję sherlockistów pod fałszywym nazwiskiem i nikt jej nie rozpoznał? Ależ oczywiście, że nie. Większość z nich żyje tak, jakby to Sherlock Holmes był postacią rzeczywistą, a Arthur Conan Doyle - agentem literackim Watsona. Nie obchodził ich pisarz ani jego potomkowie. Sarah kłamała w sposób tak bezczelny, że nikomu nie przyszłoby do głowy kwestionować tego, co mówi. „Jesteś naprawdę, naprawdę bystry”, powiedziała mu na odchodnym.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego go oszukała. Co planują z Sebastianem? Czy rzeczywiście się rozwodzą? Prawnik, do którego dzwoniła, jest prawdziwy, ale czy historia, jaką mu opowiedziała, również? Wczoraj zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy go to

nie obchodzi. Nie obchodzi go, kto, u diabła, ścigał ich w Londynie. Czy to wszystko jest na niby? Czego chce Sebastian i kim naprawdę jest Sarah Lindsay - czy Sarah Conan Doyle? Rozwiązał zagadkę „morderstwa” Aleksa Cale'a, bezbłędnie prześledził łańcuch jego wskazówek, ale pościg już go nie cieszył, nie przynosił mu spokoju. Wszystko, czego teraz pragnął, jak umierający ostatniego haustu powietrza, to dziennik.

Wiedział jednak, że on też go nie zadowoli. Kiedy położy spoczone dłonie na jego okładce i otworzy popękane kartki, nie usłyszy w głowie anielskiego chóru. Jego serca nie napełni duma, dyszące płuca nie wzbiorą zadowoleniem. Rozumiał, że za kilka minut, gdy pozna jego tajemnice, będzie tylko gorzej. Ale to go nie powstrzyma. Doprowadzi tę sprawę do okropnego końca. Bo musi. Bo musi wiedzieć.

Szybko ruszył przez śnieg. Piętrowy budynek muzeum był niegdyś kościołem i nad jego wygiętym dachem nadal wznosiła się skromna wieża. Nawet w ciemności Harold widział czerwony odcień cegieł i piękne witraże.

Było wiele sposobów, żeby wejść do muzeum. Mógł schować się w nim w ciągu dnia w jakiejś zapomnianej szafie. Mógł się nauczyć wyłączyć system alarmowy, a nawet otwierać zamki. Tylko że te metody zajęłyby niemożliwie dużo czasu. A on nie miał już siły. Nie potrafił dłużej tego wytrzymać. Musiał wiedzieć teraz.

U stóp wodospadu Reichenbach był u siebie. W miejscu, gdzie wszystko się skończy.

Wyjął łyżkę do opon z torby i popatrzył na stary witraż w nisko umieszczonym oknie. Przedstawiał Jezusa wskrzeszającego Łazarza. Złota aureola otaczała głowę Łazarza wychodzącego z jaskini ku przywołującej go dłoni Jezusa. Legion apostołów i wyznawców stał z tyłu, podziwiając boskość Chrystusa i chłonąc pociechę z jego obecności.

Harold podniósł łyżkę nad głowę i uderzył nią w szybę. Dźwięk tłukącego się szkła był głośniejszy, niż przewidział, mimo to nawet się nie wzdrygnął. Drobne odłamki szyby pokryły rękawy jego płaszcza i zabłocone buty. Postukał kilka razy łyżką w ramę, wybijając resztki ostrego szkła. Potem wrzucił ją z powrotem do torby i oparł dłonie w rękawiczkach na parapecie, podciągając się w górę. Po chwili był w środku.

Nie usłyszał alarmu, ale zakładał, że musiał się włączyć. Nie miał dużo czasu, lecz nie sądził, by był mu potrzebny. A jeśli policja szwajcarska zastanie go tłukącego bezcenną gazownicę w prywatnym muzeum? No to będzie mogła powiedzieć nowojorskiej, że go znalazła, i zadecydują, w którym więzieniu ma siedzieć. Nie obchodziło go to. Zależało mu tylko na dzienniku.

Przeszedł szybko przez muzeum, a że było małe, a miejsce, do którego podążał, stanowiło jego główną atrakcję, od razu znalazł to, czego szukał. Wszedł do starannie urządzonego gabinetu Sherlocka Holmesa, zapalił światła i rozejrzał się. Ze wszystkich możliwych miejsc zakończenia to miało tyle sensu co każde inne.

Pokój był zagracony. Kominek zdobiły ostre pogrzebaczki i długi kij, z którym Holmes tropił Moriarty'ego w *Ostatniej zagadce*. Rysunki przedstawiające rozmaite przygody detektywa pokrywały każdą dostępną powierzchnię. Na stoliku leżał stetoskop Watsona, jak również skrzypce Holmesa. Na innym stole stały przyrządy chemiczne do badania plam z krwi, tytoniu i rozmaitych innych śladów zbrodni. Szerlok, taki sam jak Harolda, wisiał na wieszaku. Pierwsze wydania wszystkich opowiadań zapełniały półki. Serwis do herbaty stał na stole śniadaniowym, łyżki i noże znajdowały się na swoich miejscach, jak gdyby Holmes i Watson byli w trakcie posiłku. Gazety z epoki leżały obok filiżanek i spodków. A pod najdalszą ścianą, w najciemniejszym

kację, jak Harold nie omieszkał zauważyć, na niewielkim biurku błyszczała stara gazownica.

Harold podszedł bez wahania do niej i podniósł ją z biurka. Potrząsnął nią. Podstawa była na pewno dość szeroka, żeby ukryć w niej dziennik, a jak na przedmiot z pustego szkła gazownica była dość ciężka. Pokręcił jedną ze śrub u podstawy, ale ani drgnęła. Spróbował drugą - z takim samym rezultatem. Przyszło mu do głowy, że poza łyżką do opon coś w rodzaju śrubokrętu byłoby całkiem inteligentnym dodatkiem do jego zestawu narzędzi włamywacza.

Postawił gazownicę na stole, podszedł do kominka i wziął ciężki pogrzebacz. Ujął go oburącz i zobaczył, jak zbiegły mu kostki u rąk, kiedy ścisnął uchwyt. Podniósł pogrzebacz nad głowę. Czy jest pewien, że dziennik jest w gazownicy? Tak. Nie. Naprawdę nie miało to już znaczenia. Rozbije ją na kawałki albo rozbije coś innego, albo rozbije wszystkie pamiątki w całym muzeum, jeśli będzie trzeba.

Z szeroko otwartymi oczyma ścisnął pogrzebacz w dłoniach, wygiął się do tyłu i z całej siły walnął nim w gazownicę. Szkło rozbiło się na kawałki, a stalowe narzędzie uderzyło gwałtownie w metalową podstawę. Harold poczuł ból w przegubach.

- Harold White.

Kiedy usłyszał za sobą głos, natychmiast poczuł pustkę w głowie.

Słowa same w sobie brzmiały obco. Harold? White? Ach, tak, uprzytomnił sobie, a krew odpłynęła mu z twarzy. To ja.

Przygotował się na więzienie, uspokajając swój naturalny strach, że to nie będzie więcej niż kilka lat. W końcu nikogo nie zabił. Dopiero odwracając się, uświadomił sobie, że ten ktoś zna

jego imię i nazwisko. I wtedy się przeraził.

Obrócił się i zobaczył Kozia Bródkę, który wpatrywał się w niego z drugiego końca gabinetu. Trzymał przed sobą pistolet. Wzrok Harolda tańczył między końcem lufy a zarostem mężczyzny. Broń wyglądała tak samo jak ta, którą Harold widział w jego dłoniach w Londynie. A jego bródka nie była atrakcyjniejsza, niż uznał za pierwszym razem.

Strach ścisnął mu mięśnie i skracał oddech, ale Harold wiedział, że człowiek przed nim jeszcze nie pociągnął za spust. Mógł sobie z tym poradzić. Ruszył do przodu - prawa stopa, potem lewa - w stronę Koziej Bródki.

- Zatrzymaj się - powiedział mężczyzna.

- Nie - odparł Harold.

Zrobił następny krok. Nie mógł być teraz dalej niż dwa metry od niego. Kozia Bródka podniósł broń wyżej, mierząc wprost w głowę Harolda.

- Zrób jeszcze jeden krok, to cię, psiakrew, zabiję - oświadczył.

- Nie - powtórzył Harold i znów się odrobinę przesunął. - Nie zrobisz tego - dzielił ich teraz nieco ponad metr - bo chcesz dziennik. I wiesz, że beze mnie go nie zdobędziesz.

Mężczyzna spojrzał dziwnie na Harolda.

- Tak ci się zdaje? - zapytał, rzucając szybkie spojrzenie na podłogę za stopami Harolda.

Kilka stóp za nim, pośród kupy potłuczonego szkła z metalowej podstawy gazownicy wystawał gruby na dwa cale, oprawny w skórę dziennik.

- Nie myślę, żeby mi jeszcze była potrzebna twoja pomoc - oznajmił mężczyzna, uśmiechając się.

No i tyle. Harold zrobił wszystko, o co go poproszono, a nawet więcej. Teraz to już koniec. Zyskał tyle, że był trochę

bystrzejszy niż inni. I choć to zaprowadziło go daleko, nie wydało mu się, że go zaprowadzi dalej.

- Jeszcze nie - powiedział.

Dopiero teraz naprawdę zaczął się bać. Ale nie bał się pistoletu - przerażała go myśl, że tamten go zabije, zanim zdąży wziąć dziennik do rąk i otworzyć jego zakurzone stronice.

- Nie chciałem cię zabić - wyznał mężczyzna - ale teraz nie mam wyboru. Potrzebny mi dziennik, a nikt nie może wiedzieć, skąd się wziął. Jeżeli zaś będziesz żywy, kiedy zjawi się tu szwajcarska policja...

- Świetnie - powiedział Harold. - Więc zabij mnie. Już mi nie zależy. Ale proszę. Pięć minut. Daj mi pięć minut na przeczytanie dziennika. Umiem czytać naprawdę szybko. Naprawdę, naprawdę szybko.

- Cofnij się i kopnij księgę w moją stronę.

- Nie, proszę. Trzy minuty... - błagał Harold.

Był o dwa metry od dziennika. Wyobrażał sobie, że czuje zapach stęchlizny, czuje smak brudu stulecia z tyłu na języku.

- Nie możesz pozwolić, żeby to się tak skończyło. Muszę go przeczytać.

- Słuchaj - powiedział mężczyzna jakby z litością. - Nie podejmowałem się nikogo zabić. I wolałbym tego nie robić. Zawrę z tobą układ, dobrze? Wyjdiesz stąd i będziesz milczał, a ja powiem, że sam znalazłem tu drogę. Ale musisz wyjść. Teraz.

- Nie - odparł Harold.

Chciał wytłumaczyć swoją desperację, ale nie umiał.

- Zwariowałeś, do cholery? Idź. Zostaw mi dziennik i idź.

Zduślił w gardle łyżę. Próbował mówić, ale z jego ust wyszło tylko dyszenie. Błagalnie patrzył na mężczyznę i zrobił kolejny krok do przodu. Jeżeli nie może wyjść stąd z dziennikiem, nie wyjdzie w ogóle.

- W takim razie - oznajmił mężczyzna - jak sobie chcesz.

Jego palec zagiął się wokół spustu. Harold nie zamknął oczu. Nie czuł potrzeby osłonięcia się.

- POLIZIA! - rozległ się krzyk gdzieś w budynku, który zakończył ich diaboliczny pakt.

Usłyszeli czyjeś kroki i zgrzyt szkła pod butami. Mężczyzna nadal trzymał pistolet wycelowany w Harolda, a Harold się nie ruszał.

- POLIZIA! - rozległ się ponownie okrzyk.

- Proszę - powiedział Harold do mężczyzny. - Zastrzel mnie, weź dziennik i uciekaj. Albo daj go mnie. Ja nigdzie się nie wybieram.

Mężczyzna wpatrywał się w niego, oceniając, na ile mówi poważnie. Jego twarz ściągnęła się, jakby przyjął do wiadomości, że Harold się nie ugnie. Kiedy kroki zbliżyły się do gabinetu, odwrócił się w stronę drzwi. To była chwila, której potrzebował Harold.

Zamachnął się w powietrzu pogrzebaczem, celując w głowę mężczyzny, ale trafiając w jego lewą rękę. Rozległ się trzask i Harold poczuł odrzut. Mężczyzna zgiął się w lewo, instynktownie osłaniając zranione przedramię dłonią. Nadal trzymał pistolet, ale już nie celował w Harolda.

Harold ponownie zamachnął się pogrzebaczem. Tym razem uderzył mężczyznę w bark. Ten zawył z bólu. Kiedy Harold cofnął się, biorąc kolejny zamach, zobaczył w drzwiach postać. Była to kobieta, ale na pewno nie funkcjonariuszka szwajcarskiej policji.

To była Sarah.

Harold upuścił pogrzebacz i niemal nie usłyszał łoskotu, z jakim upadł na podłogę. Sarah trzymała w ręku mały pistolet i celowała nim w Harolda. Mężczyzna, mając chwilę na złapanie

oddechu, zaatakował go własną bronią, wciskając ją w brzuch Harolda. Harold poczuł, jak uchodzi z niego całe powietrze. Opadł na kolana, przyciskając obie ręce do podłogi. Kilka chwil wcześniej przygotowywał się na śmierć, ale teraz czuł, że rzeczywiście umiera. Było to straszniejsze, niż sobie wyobrażał. Otworzył usta, żeby zaczerpnąć powietrza, ale bezskutecznie. Pozostały otwarte w niemym krzyku.

Mężczyzna postanowił nie tracić ani chwili. Uderzył Harolda w czoło pistoletem. Wszystko stało się niewyraźne.

Kiedy znowu stał się świadom, leżał na ziemi, patrząc w górę na Kozią Bródkę. Czuł coś mokrego na czole. Najprawdopodobniej krew ściekającą pomiędzy brwiami w kierunku nosa. Mężczyzna celował w jego twarz. I Harold z jakiegoś powodu poczuł radość na myśl, że Sarah będzie widziała, jak umiera. Jeżeli kula ma zaraz wejść w jego mózg, wyrzucając szarą materię i odłamki kości na podłogę gabinetu Sherlocka Holmesa, chciał, żeby Sarah to zobaczyła.

Usłyszał strzał. Ale tak głośny, że zaboląły go uszy. Brzmiał bardziej jak wyładowanie, choć na pewno jego źródłem była broń palna. A skoro Harold go słyszał, oznaczało to, że nie umarł. Nie został zastrzelony. A kto został?

- Cofnij się - powiedziała Sarah stanowczo, ale spokojnie.

Harold spojrział na nią i na pistolet, który trzymała przed sobą. To ona wystrzeliła. Ale kiedy odwrócił głowę do Koziej Bródki, zobaczył, że i jemu nic się nie stało. Mężczyzna posłuchał Sarah i odsunął się od Harolda, a wtedy Harold zobaczył dziurę w ścianie za nim. Sarah nie próbowała nikogo zabić. Powiedziała tylko swoje.

Jeżeli nie poskutkowała kula, to wyraz twarzy Sarah na pewno. Mężczyzna cofnął się jeszcze dalej, a nawet bez wezwania opuścił broń.

- Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery? - zwrócił się do Sarah.
- Zapytałabym cię o to samo - odparła. - Nikt nie miał zginąć.
- To nie twój problem, czy zabiję tego drania, czy nie.
- To jest mój problem - stwierdziła Sarah. - I twój też. Bo jeśli go zabijesz, to jak myślisz, jak długo pozwolę ci żyć?

Harold nie miał najmniejszych wątpliwości, że mówi serio. Ale zaczęło mu się kręcić w głowie. Kaszlał, dławił się, próbował nabrać tchu w płuca, ale nie mógł odetchnąć. Dusił się i ogarnęła go panika.

Sarah rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Oddychaj powoli - poradziła. - Spokojnie. Powolne głębokie oddechy.

Zrobił, co mu kazała, i poczuł, jak tlen ogrzewa mu płuca. Próbował stanąć, ale się potknął. Nadal kręciło mu się w głowie, a rana na głowie nie poprawiała jego stanu. Spojrzał w dół i zobaczył krew kapiącą na podłogę. Przetarł dłonią czoło, a kiedy na nią spojrział, zobaczył, że jest cała czerwona. Widok ten przyprawił go o mdłości.

Sarah napięła się, przygotowując się do kolejnego strzału. Tym razem nie będzie celowała w ścianę.

- Proszę, Ericu, rzuć broń - powiedziała. - Albo zginiesz.

Harold spojrział na Kozią Bródkę. Eric. Wydawało mu się dziwne, że ten człowiek ma imię, prawdziwe, normalne imię. Nie wyglądał na Erica.

Zamroczenie umysłu i kłopoty z widzeniem sprawiły, że Harold nie był pewien kolejności wydarzeń, jakie teraz nastąpiły. Wszystko działo się bardzo szybko, jakby ich działania nie były podejmowane w odpowiedzi, lecz wszystkie naraz. W jednej chwili Eric podniósł pistolet w kierunku Sarah, a ta opuściła swój i pociągnęła za spust. Kolejne dwa gwałtowne wystrzały zabrzmiały w gabinecie, szarpiąc zmysły Harolda.

Następny dźwięk, jaki usłyszał, dochodził z daleka - syreny. Prawdziwa szwajcarska policja była w drodze.

Wrzask. Męski wrzask. Eric żył i wrzeszczał. Przeklinał.

Harold nic nie widział. Poczł tylko czyjąś rękę na ramieniu, która podciągnęła go w górę. Ktoś coś powiedział, ale Harold nie miał pojęcia kto ani co.

Podniósł się z wysiłkiem. Nie mógłby teraz się obronić przed nikim. Dłón pociągnęła go przez pokój, a on szedł za nią posłusznie. Człł, że się o coś potyka, ale zdołał jakoś stawiać jedną nogę za drugą. Ciągnięto go teraz szybciej, natrętniej. Nie wiedział, czy zmierza w stronę ocalenia, czy na egzekucję. Nie był pewien, co by wolał.

Dopiero gdy poczuł mroźne szwajcarskie powietrze na policzkach, spojrział w górę. Było ciemniej, niż kiedy się włamywał do muzeum. Ulicę, na której się znajdowali, oświetlały jedynie gwiazdy i czerwono-niebieskie koguty wozów policyjnych. Harold poczuł dźgnięcie w głowę i uświadomił sobie, że to zimno szczypie ranę na jego czole. Ręka jednak nadal go ciągnęła i po raz pierwszy Harold ją odsunął. Wytarł krew z czoła rękawem płaszczka. Właściciel ręki zatrzymał się na chwilę i odwrócił do niego.

- Chodź.

To była Sarah.

- Ten człowiek... Eric... Czy on...

- Żyje - powiedziała szybko. - Krwawi, ale żyje. Podobnie jak ty. Czas uciekać. Mamy, czego nam potrzeba.

Harold spojrział w dół, wycierając krew z oczu. Pod lewą pachą Sarah trzymała dziennik.

ROZDZIAŁ 43

MORDERCA

*- Okazuje się, że to czego dokonasz na tym świecie, nie ma zupełnie żadnego znaczenia - odparł gorzko mój towarzysz. -
Pytanie brzmi: co uda ci się wmówić ludziom?*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
STUDIUM W SZKARŁACIE

4 grudnia 1900

Kula oderwała Bobby'emu Steglerowi lewy policzek. Krew i skóra trysnęły na okno za nim, a potem spłynęły po szybie na brudny parapet.

Rozległ się krzyk. Chłopiec skowyczał, ale nadal żył. Wrzeszczał jak jakiś demon i tak też wyglądał.

Arthur patrzył, jak chłopiec rozdziera własną twarz, a krew tryska na jego jasne włosy. Kula, jedyna kula Arthura, przeobraziła go w coś potwornego, ukazując jego prawdziwą naturę.

Ciągle skowycząc, Bobby rzucił się na Arthura, chwytając za jego broń. Zmagali się, a Arthur widział kości chłopaka sterczące za czymś, co kiedyś było policzkiem.

Usłyszał, że Bram też strzela, ale Bobby'ego to nie zraziło. Walczył, ciągnął i popychał, usiłując wydrzeć Arthurowi pistolet.

Nagle Arthur uświadomił sobie niejasno, że ktoś stanął w drzwiach. Nie mógł się jednak obejrzeć.

Walczył z Bobbym, który był znacznie młodszy od niego i wyraźnie silniejszy - mimo rany. Arthur, ciągnąc, zaciskał z wysiłku szczęki i miał wrażenie, że zaraz trzasną mu zęby trzonowe.

Rewolwer w jego ręku ponownie wystrzelił. Kiedy później rozmyślał o tych chwilach, dochodził właśnie do takiego wniosku: broń po prostu wystrzeliła. Nikt z niej nie strzelił. Strzał po prostu padł. Nikt nie wystrzelił. Na pewno nie on. Broń zwyczajnie wystrzeliła. Tę formę Arthur rozumiał. Broń wystrzeliła. Kula została wypuszczona. Ale nadal Arthur i Bobby zmagali się z całych sił. Pocisk nie trafił żadnego z nich.

Teraz Bram wystrzelił i Arthur zobaczył, jak metalowa kula wyrzuca z drugiej strony to, co zostało z mózgu chłopca. Uścisk przeciwnika zelżał. Z głuchym kłaśnięciem ciało Bobby'ego Steglera runęło na podłogę. Nie żył.

Dopiero po kilku chwilach Arthur usłyszał głos Brama. Popatrzył na swego przyjaciela, swego Watsona, oszołomiony, jak we śnie.

- Coś ty zrobił, Arthurze?

Z tyłu dobiegł ich inny odgłos. Dyszenie i bulgotanie. Arthur odwrócił się i zobaczył Melinę Stegler, która osunęła się w drzwiach na podłogę - jej szyję rozdarła zabłąkana kula.

Arthur jej nie zabił. Stało się to dla niego później kwestią pierwszorzędną wagi. Nie pociągnął za spust. Musiał to zrobić Bobby. Arthur byłby pamiętał, że zacisnął palec wskazujący. Podczas walki, pośród krwi, hałasu i niepokonanej przemocy Bobby zastrzelił siostrę.

Melinda nie umarła od razu jak brat. Jej krew tryskała w gęstniejące powietrze, a ona chwyciła szyję dłońmi, próbując ją powstrzymać. Mdląca czerwona ciecz tryskała spomiędzy jej palców na suknię koloru nieba i wsiąkała w materiał między jej piersiami, przesączaając się przez gorset ku talii. Z gardła dobywało się bulgotanie, kiedy płuca nabierały głębokie hausty krwi i wykaszliwały je z powrotem.

Melinda klęczała, a jej oczy rozszerzyły się, kiedy ciaśniej obejmowała gardło. W jej twarzy nie było grozy ani strachu, tylko zdumienie. Rozpromieniła się na widok Arthura, a jej oczy lśniły jeszcze mocniejszym błękitem niż oczy jej brata. Wyglądała jak dziecko po raz pierwszy patrzące na nowy świat. Miała otwarte usta, ale Arthur wiedział, że to z podziwu dla światła tańczących jej przed oczami. Tak, Arthur zanotował to sobie później, umarła szczęśliwa. Zobaczyła coś pięknego przed sobą i poszła ku temu. Nie cierpiała.

W następnej chwili ciężar głowy pociągnął jej ciało w bok i dziewczyna upadła na podłogę. Jej rany nadal krwawiły, a Arthur patrzył, jak u jego stóp jej krew miesza się z krwią brata. Pomyślał o zmasakrowanym ciele Emily Davison. Śmierć tych dwojga jednak była łagodniejsza. Nie był przecież potworem. Może zabójcą, ale nie potworem.

Poczuł dłoń na ramieniu. To był Bram. Ścisnął mocno.

- Chodźmy stąd - powiedział.

ROZDZIAŁ 44

CZY TERAZ JEST TWOJA KOLEJ.

ŻEBY MNIE ZABIĆ?

Rzeczą najwyższego znaczenia jest, by nie dopuścić do tego, aby na nasz osąd miały wpływ jakieś osobiste odczucia. Dla mnie klient jest po prostu jednostką, czynnikiem w danej sprawie. Emocje są przeciwieństwem chłodnego rozumowania.

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
ZNAK CZTERECH

17 stycznia 2010

Harold i Sarah usiedli wreszcie na małej kamiennej półce. Harold czuł zimno kamieni przez cienkie spodnie. Lodowaty wiatr owiewał jego twarz.

Patrzyli w dół na dolinę. W oddali majaczyło muzeum oświetlone policyjnymi kogutami.

- Powinniśmy być tu bezpieczni - powiedziała Sarah.

- Tylko Eric wie, że byliśmy w muzeum, a nie widział, dokąd poszliśmy. Policja nas nie śledziła. Nikt nie wie, że tu jesteśmy.

Harold skinął głową, ale się nie odezwał.

- Jak twoje czoło? - zapytała.

- Krwawi.

Zdjęła z szyi jasnożółty szalik i obwiązała go wokół głowy Harolda, zakrywając ranę. Mocno go zacisnęła, a Harold się skrzywił. Pamiętał, że miała go na sobie pierwszego dnia, kiedy ją spotkał. Teraz patrzył, jak robi się czarny, nasiąkając krwią.

- Będzie dobrze - orzekła. - To nie jest głębokie skaleczenie. Rany głowy zazwyczaj silnie krwawią.

Wskazał pistolet na jej kolanach.

- Czy teraz jest twoja kolej, żeby mnie zabić?

Uśmiechnęła się.

- Nie. Nigdy nie chciałam cię zabić. Nikt nie miał nikogo zabić.

- A Eric? - Harold wymówił to imię ze szczególną goryczą.

- Też nie. Przysięgam. Słuchaj. Przepraszam. Dobrze? Wiem, że muszę ci dużo wyjaśnić, ale zanim zacznę, chcę przeprosić.

- Chcesz, żebym ci wybaczył?

- Tak, chcę. Ale nie w tej chwili. Wiem, że teraz tego nie zrobisz. Przynajmniej ja bym nie zrobiła. Ale, proszę, uwierz mi, jest mi przykro.

- Tak - powiedział Harold po długiej przerwie. - Jestem tego pewien.

- Masz. - Podała pistolet Haroldowi. Był zimny i ciężki.

- Weź go. Możesz mnie zabić, jeśli chcesz.

Harold obrócił broń z zaciekawieniem w dłoniach. Patrzył na nią jak na tajemniczy relikwiarz, dowodzący istnienia jakiejś zaginionej cywilizacji.

- Nie - odparł. - Nie zabijam ludzi.

Wyciągnął rękę za siebie i rzucił pistolet za skalną półkę. Nie usłyszeli, jak upadł, chociaż najprawdopodobniej wpadł do rzeki u podnóża góry.

- Śledziłaś mnie? - zapytał.

- Nie. Eric to robił. Ja zaś śledziłam jego, co było całkiem łatwe. Pracuje dla mojego byłego męża. - Spojrzała na Harolda, starając się ocenić, ile już wie. Z wyrazu jego twarzy nie wynikało, że jest specjalnie zaskoczony. - Byłam żoną Sebastiana Conan Doyle'a - ciągnęła wyjaśnienia. - Byłam. Rozumiesz? Wszystko, co powiedziałam na temat rozwodu, jest prawdą. To drań. Ale wygląda na to, że dranie do mnie ciągną.

- Dlaczego ma mnie to obchodzić? - Surowość w jego głosie zaskoczyła nawet jego samego. Gdy poczuł się bezpieczniejszy, jego gniew wzrósł.

- Bo nic z tego nie było moim pomysłem, rozumiesz? W każdym razie nie to, co najgorsze. Pewnie myślisz, że jestem okropna, prawda?

- Tak.

Sarah westchnęła.

- Rozumiem. Ale posłuchaj. Naprawdę jestem reporterką. To znaczy naprawdę nią byłam. Sebastian i ja rozstaliśmy się pół roku temu. Możesz to sprawdzić. I wtedy postanowiłam znowu pisać. A znałam sherlockistów dzięki niemu. Przynajmniej dużo wiedziałam o Aleksie Cale'u i o wszystkich waszych działaniach, bo Sebastian pilnie je śledził. Tak strasznie was nienawdził, że pewnie zabiłby Aleksa, żeby zdobyć dziennik. Nie zrobił tego, wiem, ale mógłby. Nie było mnie przy nim, kiedy Alex ogłosił swoje odkrycie, ale mogę sobie wyobrazić, jak bardzo był wściekły. Ja zaś wiedziałam, że to będzie dla mnie okazja, żeby znowu zacząć pisać. I wtedy Sebastian do mnie zadzwonił. Naprawdę nie wiem, skąd wiedział, że to mnie interesuje. Zaproponował, żebyśmy połączyli siły i razem odnaleźli dziennik. Finalizowaliśmy wtedy rozwód... A ja nie byłam aniołkiem... Obiecał ułatwienia. Duże ułatwienia. Zgodziłam się, rozumiesz? Przyjmuję

za to odpowiedzialność. Zgodziłam się grać reporterkę i pomóc mu w odzyskaniu dziennika.

- Skąd, u licha, wziął się Eric?

- Pracuje dla Sebastiana. Już od jakiegoś czasu. Ale to wszystko, co wiem.

- Jeżeli Sebastian zaangażował cię do pomocy w odnalezieniu dziennika - powiedział Harold - a potem zaangażował mnie do tego samego, to po co był mu Eric?

Sarah milczała. Już wcześniej się nad tym zastanawiała.

- Bo ci nie ufał - odparła. - No i nie ufał mnie. To cały Sebastian. Masz problem, więc rozwiązujesz go pieniędzmi, każdymi. Wynajmujesz trzy osoby do pracy nad nim, ale nie mówisz im o sobie. Trzymasz wszystkich w niewiedzy, a jak się pozabijają, machasz ręką, że trudno. Jedna z nich jednak na pewno znajdzie to, na czym ci zależy.

Harold spojrzął na błyszczące gwiazdy. Ledwie oświetlały zbocze góry, tak że twarz Sarah ginęła w ciemnościach. Wierzył jej. Ale nie czuł się przez to lepiej.

Sarah sięgnęła za siebie i wzięła dziennik. Położyła go na kolanach Harolda.

- Możemy poświecić moim telefonem - zaproponowała - jeżeli chcesz go przeczytać.

Harold przełknął ślinę.

- Tak - powiedział. - Chcę.

Sarah wyjęła telefon z kieszeni i otworzyła go, kierując jego światło jak latarkę na dziennik. Harold delikatnie otworzył okładki. Kartki były kruche i pożółkłe, ale dawał radę rozróżnić słowa napisane zamasytą ręką Arthura Conan Doyle'a.

ROZDZIAŁ 45

ZAGINIONY DZIENNIK

ARTHURA CONAN DOYLE'A

*- Proszę się uspokoić, sir - rzekł Holmes ze śmiechem.
- Pan, podobnie jak mój przyjaciel doktor Watson,
ma zły nawyk opowiadania historii od końca.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
PRZYGODA W WILLI WISTERIA

8 grudnia 1900

Arthur spisał to wszystko.

Tym się zajmował - pisał. Pisanie było zarówno jego zawodem, jak i powołaniem. Ceniono go na całym świecie, bo robił to tak dobrze. Kiedy pisał, kiedy ubierał wydarzenia w słowa, w jasne i składne zdania, rozumiano je. Rzeczy miały sens. Tak więc choć te wydarzenia były straszne, wymagały opisania. Wymagały przelania na papier, przekucia z surowych emocji w wyrefinowany język. To robią pisarze, prawda? Nazywają to, co wymaga nazwania, przywołują to, co było niedopowiedziane.

W noc śmierci Bobby'ego i Melindy Steglerów Arthur w ogóle

się nie kładł. Opisywał wszystko, co się wydarzyło, tak, jak pamiętał. Jeśli jakiś moment umknął jego pamięci, upiększał to, co wiedział. Pisał tę historię tak, jak ją rozumiał. Nie gloryfikował siebie. Nie uniewinniał. Ponościł odpowiedzialność i nie będzie temu zaprzeczać. Ale nie będzie też tuszował nikczemności Bobby'ego Steglera. To, że chłopak zasługiwał na śmierć, było naprawdę poza dyskusją i Arthur robił wszystko, by powiedzieć to wyraźnie. Lecz to nie usprawiedliwiało tragedii jego siostry. Nic jej nie usprawiedliwi. Podobnie jak innych tragedii, które zdarzyły się w ciągu tygodni od wybuchu bomby. Przemocy, która splamiła życie Arthura, nie można wyjaśnić. Podobnie jak śmierci i morderstwa, które być może po prostu istnieją.

Arthur i Bram nie widzieli się przez kilka dni. Wydawało się, że żaden nie chce mówić o tym, co się wydarzyło. Przeczytali sprawozdania w gazetach, a kiedy nie znaleziono winowajców - a policjanci nie zapukali do drzwi żadnego z nich - wiedzieli, że sprawa jest zakończona. Nigdy więcej nie zobaczą Archibalda Steglera, a ciężar śmierci ich dzieci będzie żył w nim i tylko w nim. Z tego powodu było im bardzo przykro.

Arthur zastanawiał się, czy Janet Fry odwiedzi go znowu - znała przecież Bobby'ego. Czy skojarzy jego śmierć ze śmiercią przyjaciółek, czy też przypisze ją dziwnemu zbiegowi okoliczności? Była przecież tak przekonana o winie Millicent Fawcett...

Ale dni upływały, a Arthur nie miał od niej żadnej wiadomości. Uznał więc, że jest wolny. A jeżeli inspektor Miller coś podejrzewa? Już raz - tak przynajmniej uważał - pomógł Arthurowi zatuzować morderstwo. Czy zrobi to samo przy dwóch następnych? Czy też Scotland Yard jest rzeczywiście tak niekompetentny, że nic nie doprowadzi go do jego drzwi? I Arthur nigdy się nie dowie, czy jest wolny dzięki korupcji, czyjejś niekompetencji, czy też głupiemu szczęściu.

Ósmego grudnia Bram Stoker złożył ostatnią wizytę w gabinecie Arthura. Przyszedł omówić to, co się stało, i pożegnać ten okres w ich życiu.

Ale chociaż pozostawali w takiej zażyłości, zachowywali się dziwnie oficjalnie. Kiedy Bram wszedł, Arthur odłożył pióro i po raz pierwszy poczuł się niezręcznie w towarzystwie przyjaciela. Zapadło milczenie.

- Co piszesz? - zapytał Bram w końcu.

- To... Cóż, nie uwierzysz, nawet gdybym ci powiedział - odparł Arthur zmieszany.

- Sam to osądzę.

- To Holmes. Jeszcze nikomu nie powiedziałem. Ty pierwszy się dowiadujesz.

Bram skinął po prostu głową, jak gdyby tego się spodziewał.

- Którego dnia - ciągnął Arthur - przyszedł mi do głowy pomysł. Byłeś w Dartmoor? Na tych strasznych wrzosowiskach? Są dość przerażające. Pomyślałem, że to będzie świetna sceneria dla tego starego durnia. Miałem pomysł na fabułę po tym, jak mój przyjaciel Robinson opisał mi tę historię o gigantycznym psie, który zastraszył okolicę. Ha. Sherlock Holmes na tropie straszliwego psa... Cóż, może to trochę naciągane, ale kto wie, może wyjdzie z tego dobra opowieść.

- Tak - przytaknął Bram. - A światu brakuje dobrych opowieści.

Był zachwycony, a Arthur - wniebowzięty. Ale ich rozmowa przybrała dziwny obrót, kiedy Arthur powiedział Bramowi o tym, co jeszcze napisał oprócz tego.

- Prowadziłeś dziennik wszystkiego... Wszystkiego, co się wydarzyło? - zapytał zdumiony Bram.

- Musiałem. Och, nie patrz tak na mnie! Nie jestem głupcem. Nikt nie będzie tego czytał. Nie podzielę się tym z nikim. Ale

musiałem to opisać. - Arthur uśmiechnął się smutno. - Może pewnego dnia, kiedy będę już na tamtym świecie, ktoś go znajdzie i przeczyta, co się naprawdę wydarzyło... Co mnie wtedy będzie obchodziło, że ludzie poznają prawdę? I ciebie? Może prawda zasługuje na to, żeby pewnego dnia wyjść na wolność.

- Nie mówisz poważnie, Arthurze - powiedział z gniewem Bram. - Twoja reputacja... Twoja wartość dla pokoleń... Zniszczysz tak nie tylko własne imię, nie rozumiesz? Także Holmesa. Tu nie chodzi tylko o ciebie.

- Proszę, uspokój się. Sherlock Holmes tak czy siak będzie się miał dobrze.

- Nie - odparł Bram. - Będzie niczym, Arthurze, jeśli nie zniszczysz tego dziennika. Słyszysz? Dla twojego dobra. Dla mojego dobra. I dla dobra Holmesa.

- Boże, Bram - zaczął Arthur, lecz przerwał mu hałas z góry. Zaniepokojony hukiem i krzykiem Arthur zbliżył się do drzwi. - Przepraszam cię na chwilę - powiedział i wyszedł z gabinetu.

Kiedy wrócił kilka minut później, Bram miał dziwną minę.

- Coś się stało? - zapytał Arthur.

- Nic - odparł Bram. - Zupełnie nic.

Lecz Bram się spocił, co zdarzało się rzadko.

Żaden z nich nie miał pojęcia, że właśnie zrodziła się tajemnica. I że minie ponad sto lat, zanim ktoś odnajdzie dziennik.

ROZDZIAŁ 46

WODOSPAD REICHENBACH

Noś flanelową bieliznę i nie wierz w wieczną karę.

MARY CONAN DOYLE DO SYNA ARTHURA,
SŁOWA PRZYTOCZONE W JEGO *MEMORIES AND ADVENTURES*

17 stycznia 2010

Kiedy Harold zamknął dziennik, zdał sobie sprawę, że płacze. Jego łzy kapały na skórzaną okładkę, mieszając się ze stuletnim brudem, kurzem i kilkoma plamkami krwi.

Czytał wolno, upewniając się, że Sarah za nim nadaża. Teraz oboje wiedzieli wszystko. Pociesząco położyła rękę na jego kolanie, a on zapłakał jeszcze bardziej. Przycisnął dziennik do piersi i łzy poleciały na ziemię. Nie miał siły, by je ukrywać. Ani on, ani Sarah nie odezwali się słowem.

Po kilku minutach Sarah w końcu wstała. Nic nie mówiąc, wskazała ścieżkę przez góry. Harold się nie sprzeciwił. Podniósł się, czując ból w udach i kolanach. W ciemności poszedł za nią wyżej, w zaśnieżone Alpy.

Nie wiedział, jak długo idą - dwadzieścia minut czy dwie

godziny. Wędrowali pod gwiazdami, przez śnieg, coraz wyżej. Wysięk trochę rozgrzał Harolda i po jakimś czasie pomyślał, że niebawem odzyska czucie w końcach palców. Sarah sama zmarzła, ale zdjęła płaszcz i zarzuciła mu go na ramiona. Nie podziękował jej, tylko szedł dalej poprzez rzednące powietrze.

Nie wiedział, dokąd idą, i nie obchodziło go to. Zaczął doceniać zimno w kościach, zimno zamrażające łyzy na jego twarzy. Chłodziło myśli i uspokajało ich gonitwę. Przyszło mu do głowy, że gdyby tu mieszkał, gdyby założył obóz w górach i nigdy nie schodził w doliny, mógłby żyć wolny od wszelkich uczuć. Plan ten brzmiał równie rozsądnie jak każdy inny.

Zanim doszli do polany, Harold usłyszał odgłos spadającej wody. Z powodu ciemności zobaczyli wodospad dopiero w chwili, gdy znaleźli się o dwa metry od niego. Harold poczuł, jak kropelki wody zraszają mu twarz, i w tej samej chwili pomiędzy drzewami zobaczył spadający potok. Woda rozbijała się o kamienie, uderzając w twarde zbocze góry co sto metrów, aż wreszcie lądowała w kipiącej sadzawce i spływała do jeziora głęboko w dolinie. Wodospad Reichenbach. Przystanęli oboje i w milczeniu wpatrywali się w jego skrawek widoczny w oddali.

- Przykro mi - powiedziała Sarah.

- Mnie też.

Harold nie miał już w sobie ani krztyny gniewu. Nie był pewien, ile w nim zostało czegokolwiek.

- Jesteś zadowolony? - zapytała. - Cieszysz się, że go odnalazłeś?

Nie musiał się zastanawiać, żeby odpowiedzieć:

- Nie.

Sarah wyjęła wolumin z jego ręki, a on oddał go bez protestu. Sarah cofnęła się i zamachnęła jak miotacz, posyłając dziennik jak najdalej w ciemność. Niemal usłyszeli, jak zderza się z wodospadem,

kiedy siła wody cisnęła nim w kierunku skalistego jeziora. A potem nastąpiły cisza i bezruch. I później znów usłyszeli szum wodospadu i swoje oddechy.

- Dziękuję - powiedział Harold.

Sarah ujęła jego dłoń i zamknęła ją w swojej. Stali tak, patrząc w nocne niebo. Harold wplótł swoje palce w jej i ścisnął je z całej siły, a Sarah odwzajemniła uścisk. Aż poczuli, że za chwilę ich delikatne kości się połamią.

ROZDZIAŁ 47

POŻEGNANIE

*Czytelniku, pożegnaj się zatem z Sherlockiem Holmesem!
Dziękuję za Twą lojalność, mam nadzieję, że odwdzięczyłem
Ci się za nią w ten szczególny sposób, jakim podczas czytania
jest możliwość oderwania się od codziennych zmartwień
i życiowych kłopotów oraz skierowania myśli na inny tor,
co można osiągnąć jedynie, zatapiając się w czarownym
królestwie fikcji literackiej.*

SIR ARTHUR CONAN DOYLE,
PRZEDMOWA DO KSIĘGI PRZYPADKÓW SHERLOCKA HOLMESA

11 sierpnia 1901

Robotnicy byli zmęczeni. Pracowali cały dzień w sierpniowym upale, aż ich granatowe kombinezony przemokły pod pachami. Dwa dni temu skończyli kłaść długie na sześć metrów kable elektryczne od stacji Marylebone do Baker Street. Były grube i dość ciężkie - dwie miedziane rury jedna w drugiej, pokryte brązowym woskiem, a potem zatopione w żelazie. Za każdym razem, kiedy je podnosili, stękali, napinając wszystkie mięśnie. Potrzeba było dwunastu ludzi, żeby skończyć to zadanie. Tylko dwóch zaś było

koniecznych do zdemontowania lamp gazowych.

Późnym popołudniem, kiedy słońce wtopiło się w wyższe budynki na Montague Square, dwóch spoconych, wyczerpanych ludzi wchodziło na zmianę na drabinę i odkręcało klosze. Słupy już podłączono do rodzącej się sieci, więc pozostawało tylko odpowiednio zestawić przewody i wkręcić żarówkę. Druty wyślizgiwały się z wilgotnych palców, a kiedy robotnicy próbowali wytrzeć pot w kombinezony, pozostawiali na granatowym materiale plamy z wosku i brudu w kształcie palców.

Kilka godzin później, niż zamierzali, stanęli przy ostatniej latarni tuż przed rogiem Igor Street i parkiem. Niższy trzymał drabinę od dołu, bo teraz była jego kolej, a wyższy wszedł na ósmy szczebel do lampy. Podłączenie instalacji zajęło mu zaledwie kilka minut. Kiedy znów stanął na ziemi, wszystkie lampy na Baker Street były elektryczne.

Włożywszy drabinę i narzędzia na tył szerokiego wozu, robotnicy przeszli na stację Marylebone, żeby podłączyć linię Baker Street do systemu.

Wyłonili się zza rogu, kiedy dziesięć tysięcy woltów przebiegło pod miastem z oddalonej o dziewięć mil elektrowni Deptford przez kable Ferrantiego w przestrzeń Baker Street. To był olśniewający widok i chociaż już kilka lat pracowali dla Londyńskiej Kompanii Dostawy Elektryczności, pierwsze spojrzenie na ulicę rozjaśnioną żarówkami nadal powodowało u nich wstrząs. Każdy budynek, każda alejka, każda ciemna i cuchnąca uliczka brukowana kocimi łbami wyglądały jak umyte światłem.

- No - powiedział wyższy robotnik. - To tyle.
- Na to wygląda - odparł drugi.
- Boże, ale widno, co? Już prawie nie widzę mgły.

Jego towarzysz po prostu skinął głową w odpowiedzi. Ale widok tej białej i lśniącej ulicy też był dziwny i żaden z nich nie znajdował słów, żeby wyjaśnić dlaczego.

Pierwszy robotnik przeszukiwał kieszeń kurtki.

- Masz coś przy sobie? - zapytał.

Jego kolega poklepał się w spodnie i usłyszał uspokajające brzęczenie metalu.

- Pewnie parę pensów. A bo co?

Pierwszy robotnik wskazał gestem park.

- Za rogiem chłopak sprzedaje gazety. Ja też mam przy sobie parę groszy. Miałbyś ochotę na opowiadanie?

Kolega pomyślał i uśmiechnął się.

- Owszem.

- Dziś rano wyszedł nowy Strand z „Psem kogoś tam”. Nowy Holmes.

- Chętnie przeczytam.

Wyjęli wszystkie drobne z kieszeni i z zakłopotaniem je policzyli. Wiedzieli, że to niedużo, ale zebrali równo na dwa kufle piwa i jeden broszurowy kryminał.